



*Sarah Vaughan*

.....

**SŁODKI  
SMAK  
MIŁOŚCI**

.....



*Sarah Vaughan*

---

**SŁODKI  
SMAK  
MIŁOŚCI**

---



Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
**EWA GÓRCZYŃSKA**

 PWN

*Dla Elli, Jacka i Phila  
Z miłością*

Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; Czysta anarchia szaleje nad światem<sup>[1]</sup>.

W.B. Yeats, *Drugie przyjście*

Głęboko wierzę, że pieczenie czyni życie lepszym.

Dan Lepard, *Short and Sweet*

# Prolog

*kwiecień 1964*

*Wyobraź sobie swoje idealne miejsce na ziemi: chatkę gajowego lub obszerny dom na farmie, oplecione wisterią mury, rozgrzane przez słońce cegły. Przedstaw sobie ogród: pszczoły pijane od nektaru z kwiatów malwy, powietrze migoczące w letnim upale. Jabłoń szeleści i gubi wczesne owoce.*

*Teraz wyobraź sobie ten dom zrobiony z piernika, jego złotawe ściany, dach przyozdobiony lukrem i cukierkami. Posadź cukrowe rurki na klombach, posyp je żelkami, alejki wybrukuj czekoladowymi drażetkami, pokrytymi kolorową polewą. Przerwij na chwilę i podziwiał ten słodki domek dla lalek. Twoje idealne miejsce na ziemi i przysmak, który szybko zostanie zjedzony.*

Kathleen Eaden odkłada pióro i z niezadowoleniem przygryza dolną wargę. Nie to chciała napisać.

Stawia swoje dzieło na podłodze i kładzie się przed nim, gniotąc tweedową spódnicę i niczym dziecko wyciągając za siebie długie nogi. Dotyk axminsterskiego dywanu działa kojąco, więc układa się wygodniej i unosi szczupłe plecy, czując pod kością łonową miękkość grubej wełny.

Wsparta na łokciach przygląda się domkowi i wdycha zapach świąt: imbir, cynamon, złoty syrop, cukier muscovado. Skórka pomarańczowa. Lekka woń goździków. Dachówki są posypane cukrem, a jeśli sięgnie ostrożnie, uda jej się wyprostować kołatkę w kształcie serca, która przekrzywiła się na wciąż mokrym lukrze. Proszę, teraz lepiej. Delikatnym ruchem przesuwają słodki element na lepkiem podłożu.

Nadal jednak to kiczowate чудо, nad którym spędziła ostatnie cztery godziny, nie wygląda idealnie. Dachówki trzymają się niepewnie, a wycięte w pierniku okna powinny być równiej rozplanowane. Przysuwa się bliżej. Światło wpada przez otwory skośnie do środka i niknie w rudawym mroku. Jaki szkolny błąd... Sięga po pióro: „Użyj linijki, żeby ustalić pozycję okien”. A może okienka powinny być wielodzielne? Usta Kathleen poruszają się bezgłośnie, kiedy wypisuje instrukcje dla czytelników „Home Magazine”. Jej dłoń porusza się tak szybko, że mną się kremowe kartki notatnika, ale charakter pisma pozostaje nieskazitelny: krągłe litery kreślone niebieskim atramentem biegną szybko w poprzek strony.

Jeszcze raz czyta, co napisała. To jeszcze nie to. Nie uchwyciła powodu, dla którego uwielbia robić domki z piernika, chociaż nie ma to najmniejszego sensu. Próbuje się skupić i odsunąć od siebie nerwowe myśli o zbliżającym się terminie oddania książki. Hałaśliwe dźwięki najnowszego przeboju Beatlesów huczą jej w głowie, radosna melodia nie chce się odzepić. „Bo ja nie dbam o pieniądze” – śpiewa wielka czwórka z Liverpoolu i chociaż Kathleen ma dwadzieścia siedem lat, a więc jest za stara, żeby się zachwycać chłopcami o długich włosach, mimo woli daje się porwać żwawej piosence.

Musi jednak pracować dalej. Opuszcza głowę i – mrużąc oczy – zagląda do środka przez piernikowe okna. Może podchodzi do tego z niewłaściwej strony? Dlaczego Susan, jej sześćioletnia siostrzenica, kocha takie rzeczy? I co przemawia do sześciolatki, którą sama wciąż w sobie znajduje?

Domek z piernika to o wiele więcej niż suma części, z których się składa: więcej niż cukierki i kawałki ciasta połączone lukrem błyszczącym od białka i gęstym od cukru. W tym bajkowym domu jest coś z fantazji...

Nagle znajduje odpowiedź.

Łzy pieką w kącikach oczu. Szybko mruga powiekami. Nie teraz. Nie ma na to czasu. Musi dokończyć artykuł. „Oddychaj głęboko – nakazuje sobie w myślach. – Wdech na dwa, wydech na pięć, wdech na dwa, wydech na pięć”.

Kuca, podnosi domek, stawia na biurku i zaczyna składać papiery. Sięga po stojącą na blacie filiżankę stygnącego earl greya, niemal ją przewracając. Nadal czuje ucisk w żołądku z żalu nad samą sobą. Węzeł smutku jest tak twardy i duży, że niemal widzi go pod delikatnymi zebrami. Wypija większy łyk herbaty, żeby pozbyć się tego doznania. Nadal tam jest? Tak, oczywiście. Nigdy jej nie odstępować, w każdej chwili gotowe, żeby ją przytłoczyć. Ale nie uda mu się. Musi dać sobie z tym radę.

Bierze resztkę lukru i wyciska sobie na podniebienie. Słodycz spływa na język i ześlizguje się do gardła, przynosząc chwilową ulgę. Kathleen pociąga kolejny łyk herbaty. Teraz jest lepiej. „Królowa wypieków o godnej pozazdroszczenia figurze” nie powinna tak się zachowywać, prawda? To określenie

– ukute przez pismo „Harper’s Bazaar” – zwykle wywołuje u niej ironiczny uśmiech. Teraz jednak próbuje widzieć w nim tylko komplement bez żadnych podtekstów. Wygładza spódnice, żeby uporządkować swój wygląd; opiera kciuki na kościach biodrowych. Może jednak jej życie nie jest takie złe.

Pochyla się i układa prosto papiery na biurku. Teraz, jeśli uda jej się zignorować przenikający ją smutek, może będzie w stanie dokończyć artykuł. Pociąga nosem i stara się przeczytać ostatni akapit. Litery chwieją się i zamazują. Na litość boską, Kathleen! Z determinacją ignorując łzy, które mimo wysiłków znów kłują pod powiekami, Kathleen Eaden gorączkowo zdejmuje skuwkę z pióra i zaczyna pisać.

# Ciasta





Ludzie często mnie pytają, na czym polega sekret moich wypieków. Powiedzieć wam? Nie ma żadnego sekretu. Każdy może piec, pod warunkiem że opanuje kilka podstawowych zasad i przynajmniej dopóki nie nabierze doświadczenia, dopóty będzie postępował co do joty według przepisu. To jest najważniejsze przy pieczeniu ciast. Źle ustawiona temperatura, niedokładne odmierzenie składników, nieprzesianie mąki lub niestaranne wymieszanie ciasta mogą spowodować, że biszkopt się nie uda. Ale kiedy zrobisz wszystko jak należy, możesz upiec nawet najbardziej nieziemskie ciasto.

A oto zasady: zawsze używaj jajek w temperaturze pokojowej i miękkiego tłuszczu – czy to masła, czy margaryny. Używaj mąki ze środkiem spulchniającym, zawsze przesianej, żeby ją napowietrzyć, i mieszaj ciasto z wycuciem, żeby dodać mu puszystości. Zawsze przygotuj formy i rozgrzej piekarnik, zanim przystąpisz do pracy. Wstawiaj formy ostrożnie, a drzwiczki piekarnika zamykaj tak delikatnie, jakby to były drzwi do pokoju śpiącego dziecka. I nigdy nie zaglądaj do środka, zanim nie upłyną co najmniej dwie trzecie czasu przeznaczanego na pieczenie biszkoptu.

Kiedy twoje złociste dzieło wyjdzie już z pieca, odstaw je na kilka minut i dopiero potem wyjmij z formy. Połóż je na ażurowej podstawce, żeby powietrze miało do niego dostęp z każdej strony. Gdy już wystygnie, przełóż je najlepszym dżemem i posyp cukrem pudrem. Podawaj z dzbankiem popołudniowej herbaty.

Idealny biszkopt królowej Wiktorii ma być lekki, wilgotny, pachnący świeżymi jajkami i wanilią. Ma nas rozpieszczać smakiem, ale bez przesady. Jego kawałek, przełożony dżemem malinowym lub letnią porą podany z bitą śmietaną i świeżo zerwanymi truskawkami, jest codzienną przyjemnością, na którą można sobie pozwolić bez poczucia winy. Po prostu weź trzy jaja, po 170 gramów cukru, tłuszczu i mąki ze środkiem spulchniającym, a stworzone w piekarniku niebo może być twoje.

Kathleen Eaden, *Sztuka pieczenia* (1966)

## styczeń 2012

Vicki Marchant chucha na zimną szybę okna balkonowego i starannie kreśli na niej serce. Gruba kropla wody ześlizguje się w dół, więc zatrzymuje ją palcem i pisze A, jak Alfie. Litera rozpływa się, więc Vicki uważnie przeciera szybę, usuwając wilgoć za pomocą czystych kawałków papierowego ręcznika. „Chyba zaczynam wariować – myśli. – Albo po prostu jestem nieszczęśliwa”. Za oknem gradowe kule bombardują zmarznięte źdźbła trawy.

Cóż, trudno być wesołym w styczniu. Radość świąt – przeżywana w cudowny sposób dzięki trzyletniemu Alfiemu – skończyła się brutalnie, odeszła wraz ze spakowanymi dekoracjami: w tym roku były to złote gruszki i przepiórki, rokokowe cherubinki, sople i gwiazdy. Styczeń – lub cholerny styczeń, jak zwykle nazywa go w myślach – to miesiąc abstynencji, skruchy i świętoszkowatej wstrzemięźliwości, w którym wszyscy znajomi przechodzą na bezalkoholową, beznabiałową i wolną od pszenicy dietę. W styczniu nikt nie daje się zaprosić na obiad, a jeśli uda jej się namówić jakąś inną młodą mamę na lunch, posiłek jest skromny: zupa brokułowa bez niedojedzonego w czasie świąt sera stilton. Próby namówienia gościa na domową struclę, florentynki lub babeczki z bakaliami są stanowczo odrzucane. „Nie, naprawdę nie mogę”, zarzekła się wczoraj sąsiadka Sophie, kiedy Vicki usiłowała jej wcisnąć całą blachę ciasta. W jej głosie słychać było panikę, jakby Vicki zamierzała nakarmić ją siłą.

Ale to nie wszechobecna wstrzemięźliwość tak ją frustrowała, ale poczucie trwania w zawieszeniu. Temperatura poniżej zera oznacza, że Alfie nie może biegać po ogródku, a nie co dzień może zabierać go do sali zabaw dla dzieci. Bez śniegu i słońca „wielka fala mrozów”, jak nazwały to media, zmieniła się w nużący maraton odmrażania samochodów i posypywania solą chodników, wkładania wielu warstw ubrań i znoszenia jęków Alfiego, kiedy kolejny raz zapomni o jego ciepłych skarpetach do śniegowców.

Wzdycha ciężko i z wysiłkiem. Grad nagle się skończył i tylko lodowe kulki w trawie świadczą o tym, że w ogóle padał. Szare niebo jest ponure jak zwykle; nagie drzewa stoją nieruchomo, ziemia bez oznak życia. Ani śladu przebiśniegów i miniaturowych żonkili, które posadzili z Alfiem w październiku. Ogród wydaje się pozbawiony wszelkiej nadziei.

Włącza ekspres i odmierza porcję ziaren kawy na podwójne espresso, wierząc w to, że kofeina doda jej energii i poprawi nastrój. Ale jeśli miałyby być szczerą, a zawsze stara się taka być, to musiałyby przyznać, że jej frustracja nie ma nic wspólnego z pogodą.

Wyobraża sobie, jak się przedstawia w kolejnej grupie przedszkolnej: „Nazywam się Vicki Marchant i jestem niepracującą matką oszustką. Matką jedynaka wolną od nawału obowiązków, jakimi obarcza nas liczniejsze potomstwo, i od stresów związanych z pracą zawodową. Mam ślicznego zdrowego chłopca, który mnie kocha. Ja też go uwielbiam. Mimo to wątpię, czy sprawdzam się w tej roli i czy – tutaj zaczyna szeptać – macierzyństwo zawsze mi się podoba. Och, a co najzabawniejsze, według Urzędu Kontroli Instytucji Oświatowych jestem wybitną specjalistką od nauczania początkowego. Czyli powinnam znać się na tym, co robię. Dlaczego więc opieka nad własnym synkiem przychodzi mi z takim trudem?”

„Nie tak miało być”, myśli, kiedy ekspres zaczyna wyrzucać z siebie gorące ziarna kawy. Zanim urodził się Alfie, planowała, że rzuci pracę i całkowicie poświęci się wychowaniu dziecka, a potem następnych. Jej urządzone w tradycyjnym stylu kuchnia będzie obwieszona dziełami sztuki wykonanymi plakatówkami, w dużym ogrodzie będą się przechadzały kury, rosły zioła i kwiaty, a każdy dzień będzie

wspaniałą nową przygodą dla jej synka, ubranego w śliczne ciuszki z Petit Bateau. Nie przewidziała, jaką harówką może być opieka nad małym chłopcem, który nie chce spać, zwłaszcza gdy mężowi nie chce się wstawać w nocy. Nie przewidziała, że może wpaść w taką wściekłość, kiedy jej syn ozdobi starannie pomalowane ściany odciskami rączek, ani że będzie tak bezsilna, kiedy odkryje, że lis zmasakrował kury.

Można by pomyśleć, że nauczycielka z podstawówki będzie wiedzieć, że małe dzieci od wizyty w Starbucksie i *babyccino* wolą przykościelne grupy przedszkolne, gdzie matki dostają herbatniki i słabą kawę rozpuszczalną, i że wyprawy do miasta zawsze będą się kończyć dramatyczną awanturą, w której trakcie Alfie będzie sztywniał jak deska, żeby nie dać się usadzić w wózku, i wyrwał się matce zwinnie niczym piskorz. Powinna wiedzieć, że brokat będzie rozsypany po całej kuchni i że w wieku trzech lat synek nie stworzy niczego więcej niż niekształna bryła z *papier mâché*. Ale nie pamiętała o tym albo była naiwnie optymistyczna. Wydawało jej się, że rozwiąże każdy problem, nie podnosząc głosu i przydzielając nalepki z uśmiechniętym słoneczkiem. Nie, macierzyństwo wcale nie wyglądało tak, jak się spodziewała.

Sprzątając ziarna kawy z blatu i napełniając ponownie ekspres, doszła do wniosku, że jest tylko jedna rzecz, którą może robić z Alfie: pieczenie. Ta czynność wychodzi im coraz lepiej. Zaczęli od babeczek, nad którymi sprawowała ogólną kontrolę artystyczną, ale wkrótce zrobili krok naprzód. Od piernikowych ludzików przeszli do *tuiles*, francuskich rożków z migdałami, od ciasta na pizzę do chleba na zakwasie, od tartaletek z dżemem to tarty *tatin*. Alfie, który szybko pojął, że wywołuje zdecydowany protest mamy, kiedy pochłapie wodą podłogę lub rozmaże klej na stole podczas malowania, zauważył też jej pozytywną reakcję, kiedy dobrze rozbił jajko i przelał śliskie białko do miseczki „bez kawałków skorupki”. Mamusia śpiewa, gdy piecze, a jeśli nawet marszczy czoło, kiedy zdarza mu się zbyt energicznie potrząsać sitkiem i mąka lub kakao lądują na podłodze, to jej irytacja szybko mija pod wpływem miłego zapachu piekącego się biszkoptu czy przyjemności płynącej z wylizywania miski. Dla Vicki pieczenie z synkiem to namacalny dowód, że jest dobrą matką.

– To twoje dzieło? I Alfie ci pomagał? – zapytała w miniony poniedziałek jej przyjaciółka Ali, kiedy z niedbałym uśmiechem wręczyła jej blachę ciasta.

Poczuła wyraźny przypływ zadowolenia, słysząc, jak przyjaciółka chwali nie tylko jej wypiek, lecz także fakt, że dokonała tego razem z dzieckiem.

– Boże, jak znosisz ten bałagan? – ciągnęła Ali. – Pewnie wychodzi z ciebie belferska natura! Ja nigdy nie piekę z Samem.

Jak zwykle ogarnęła ją lekka litość.

– On to uwielbia. – Wzruszyła ramionami, jak zwykle umniejszając swoją rolę.

Jakby na zawołanie Alfie podniósł potarganą głowę, uśmiechnął się do niej przelotnie i podał również trzyletniemu synkowi Ali domowe ciasteczko, wsuwając jednocześnie rączkę w jej dłoń.

– Ja zresztą też.

Dzisiaj jednak satysfakcja nie chce nadejść. Kiedy patrzy na morze klocków Lego, schnące pranie, czekające na sprzątnięcie skarpety niedbale ściągnięte z nóg – jedna smętnie zwisająca z ergonomicznego krzeselka Alfiego, druga kopnięta pod skrzynkę z zabawkami i zwinięta niczym czerstwy croissant – wzdycha i z wysiłkiem uspokaja oddech, chłonąc unoszący się w kuchni i spowijający ją niczym mgłą aromat cytryny, cukru i masła. Dzwoni minutnik, więc otwiera piekarnik i wyjmuje z niego wspaniałą tartę cytrynową. Jaskrawożółty środek lśni w otoczce złotego spodu z perfekcyjnie wypieczonego kruchego ciasta. A Vicki się uśmiecha.

*Podczas pieczenia nie należy oszczędzać na składnikach ani chodzić na skróty. Bylejakość nie ujdzie ci płazem. Twoja rodzina zasługuje na najlepsze.*

*Zdecydowanie jestem za umiarem i oszczędnością, ale nikt nie lubi kiepskiego ciasta czy niewyrośniętego chleba, pasztecików skąpo wypełnionych nadzieniem czy puddingu bez smaku. Pamiętaj: kiedy pieczesz, okazujesz miłość i troskę.*

W swoim wiejskim domu w Suffolk Jennifer Briggs ugniała na granitowym kuchennym blacie ciasto na focaccię. Przerywa na chwilę, żeby spojrzeć przez okno na otoczony murem ogród. Od wysiłku zaczynają ją boleć ramiona: rozciąga ciasto, potem znów je ugniała i ponownie rozciąga, żeby uwolnić gluten. Swędzi ją nos, więc pociera go grzbietem umączzonej dłoni. Kot – jeden z dwóch, które zawsze ją odwiedzają, kiedy piecze – przechodzi wolno przez kuchnię, miauczy natarczywie, siada i wbija wzrok w wielką lodówkę.

– Nie. Na razie nic nie dostaniesz – oznajmia mu Jennifer i po chwili dodaje rozbawiona: – Widzę, że i ciebie to zaciekało, Pręgusku. Cóż, wydaje mi się, że nic z tego nie będzie.

Kot mruga z nieprzeniknionym wyrazem pyszczka i zaczyna się myć. Jennifer znów patrzy na anons starannie wycięty z „Eaden’s Monthly” i przyczepiony do lodówki magnesem w kształcie serca. „Wzywamy brytyjskich mistrzów pieczenia!” – krzyczy ogłoszenie stylizowane na znany plakat z Kitchenerem z czasów pierwszej wojny światowej. „Kraj was potrzebuje! Pokażcie, co potraficie!” Tekst wyjaśnia dynamiczną kursywą, że sieć sklepów Eaden i Syn poszukuje nowej pani Eaden, niezawodowej mistrzyni lub mistrza wypieków, kogoś tak utalentowanego, że będzie godnym następcą zmarłej w zeszłym roku żony założyciela firmy, która w 1966 roku wydała klasyczną książkę kucharską *Sztuka pieczenia*. Zwycięzca konkursu podpisze wart pięćdziesiąt tysięcy funtów kontrakt na stanowisko doradcy w dziedzinie wypieków, co miesiąc będzie zamieszczać artykuł w firmowym miesięczniku oraz zostanie twarzą kampanii reklamowej supermarketów Eaden’s. Potem nowa pani Eaden będzie mogła rozpocząć karierę na własną rękę.

Jennifer uwielbiała piec, a konkurs tak bardzo ją zaintrygował, że ku własnemu zaskoczeniu zgłosiła swoją kandydaturę. W końcu wychowała się na *Sztuce pieczenia*. Jej matka stale korzystała z receptur Kathleen Eaden i zachwycała się jej opisami wyszukanych ciast i deserów, a Jennifer często robi zakupy w Eaden’s i wierzy, że będzie to prawdziwy konkurs pieczenia – pomimo raczej niepoważnego wymogu, żeby po każdym etapie dwoje najlepszych zawodników umieściło swoje filmiki na YouTube. Sędziowie na pewno robią wrażenie: Dan Keller, przystojny piekarz artysta, i Harriet Strong, autorka ponad trzydziestu książek kucharskich i gwiazda nadawanego od wielu lat programu o gotowaniu. To nie będzie żadne reality show, ale konkurs ogłoszony przez najbardziej ekskluzywną sieć supermarketów w kraju, w których sprzedaje się produkty wysokiej jakości, ekologiczne i świeże i której klienci uwielbiają domowe wypieki.

Jennifer, jedna z takich klientek, wysłała swoje zgłoszenie tuż przed Gwiazdką. Nadal irytował ją fakt, że dotychczas nikt się z nią nie skontaktował. Chociaż w sumie nie zaskoczyło jej to. Na stronie internetowej napisano drobnym drukiem, że sieć zastrzega sobie prawo do selekcji kandydatów, którzy będą reprezentować różne grupy demograficzne kraju. Z przesadnym naciskiem przypomniano, że należy załączyć swoje zdjęcie, więc Jennifer podejrzewa, że jako pięćdziesięciolatka jest o wiele za stara i za gruba, żeby dostać się do konkursu.

Wzdycha, wyobrażając sobie, jak musieli ją widzieć ci, którzy przeglądali zgłoszenia, zapewne

ludzie młodzi, w wieku jej od niedawna dorosłych trzech córek: krótka, praktyczna fryzura na pazia, nudna i niedodająca urody, ale odpowiednia dla żony dentysty i członkini Ligi Kobiet, szeroka szczerą twarz, zaczerwieniona od trądziku różowatego i świadcząca o zamiłowaniu do prostego życia oraz braku próżności, no i waga, przez którą może być postrzegana jako wcielenie grubej, wesołej aseksualnej kucharki.

Wraca do pracy nad ciastem.

Ugniatając je z coraz większym wigorem, wywołanym nagłym przyływem gniewu, dochodzi do wniosku, że przyzwyczaiła się do swojej nadwagi.

Jej miłość do pieczenia rozkwitła, kiedy Jennifer weszła w wiek średni. „Nigdy nie ufaj chudej kucharce”, rzuca niekiedy z humorem, splatając nadal jędrne ramiona pod biustem – jest to raczej biust niż dwie oddzielnie zarysowane piersi – który staje się coraz pokaźniejszy, podobnie jak okrywające go ubrania. Jennifer doszła do rozmiaru czterdzieści osiem i nikt już nie powie, że jest ponętna, krągła czy choćby puszysta. Na udach, które ocierają się o siebie, kiedy chodzi, niczym krople wilgoci na cieście rozciąganym teraz przez nią na blacie, widać srebrzyste rozstępy. Miękki, obwisły brzuch ma konsystencję słabo bitej śmietany. Córki, jeśli kiedykolwiek się nad tym zastanawiały, pewnie myślą, że matka nie zwraca na takie sprawy uwagi. Bo wygląd Jennifer odzwierciedla jej charakter: typ Matki Ziemi o rumianych policzkach, doskonała kucharka, która wyczaruje tuzin bułeczek albo biszkopt królowej Wiktorii, używając jaj od własnych kur rasy sussex, choćby goście uprzedzili ją o wizycie zaledwie dwadzieścia minut wcześniej, w końcu niezawodna podpora rodziny. Tylko Lizzie, najmłodsza, która właśnie rozpoczęła studia w Bristolu, zastanawia się, czy matka jest tak szczęśliwa, jak twierdzi.

– Mamo, wszystko w porządku? – zapytała niepewnie podczas świąt. – Nie przeszkadza ci, że teraz, kiedy wszystkie wyjechałyśmy na studia, siedzisz tu sama i gotujesz tylko dla taty?

Jennifer się uśmiechnęła.

– Pewnie chodzi ci o to, co robię całymi dniami?

Starsze córki nie wykazały takiej troski.

– Przecież mama uwielbia opiekować się nami i dbać o naszego zrzędlivego staruszka, prawda? – wtrąciła Kate, która niedawno skończyła dwadzieścia trzy lata.

– Oczywiście, że tak. To przecież nasza mama kwoka. Prawda, mamo? – Emma, lat dwadzieścia dwa, jak zwykle bardziej oschła, otoczyła ją szczupłym ramieniem i przytuliła.

Jennifer trochę się zmieszła, ale szybko rozluźniła się w uścisku córki.

– Mam mnóstwo zajęć. Nadal jest sporo gotowania i pracy w ogrodzie... No i kury oczywiście. – Starła się zrobić wrażenie osoby bardzo zapracowanej.

Córki, chcąc wierzyć, że wszystko jest w porządku, roześmiały się.

– Lizzie, nie czepiaj się – nakazała Emma młodszej siostrze. – Słyszałaś, co powiedziała mama. Po prostu robi to, co zawsze.

Nie przychodziło im do głowy, że kiedyś pracowała zawodowo jako pielęgniarka, chociaż rzeczywiście zrezygnowała z tego po urodzeniu pierwszego dziecka. Kiedy dziewczynki poszły do szkoły, nikt nie chciał, żeby podjęła pracę poza domem – więc tego nie zrobiła. Teraz zaś, gdy Lizzie martwi się o nią i wysyła pełne troski esemesy, szybko otrzymuje wesołą odpowiedź: „Jak miło, że piszesz, kochanie. Spędziłam wspaniały dzień w ogrodzie, a teraz robię ciasto daktylowe z sosem toffi. Buziaki”. Jennifer bardzo się stara, żeby wiadomość brzmiała odpowiednio bez troski, ale zawsze wpatruje się w telefon, jakby chciała go zmusić, żeby zadzwonił. Telefon jednak milczy. Tak więc piecze i piecze, samotna w swojej kuchni.

*Kiedy częstujesz kogoś ciastem, zawsze podawaj widelczyki deserowe i serwetki. I nigdy nie zmuszaj gości do jedzenia. Ciasto należy jeść z wyboru, kiedy już rozważymy jego potencjalny wpływ na nasze biodra i dojdziemy do wniosku, że warto ulec słodkiej pokusie. Powinniśmy szczerze cieszyć się jego smakiem – albo napawać się satysfakcją, że nie daliśmy się złamać.*

Karen Hammond siedzi przy wyspie na środku swojej sterylnej czystej kuchni. Z odrazą patrzy na marmurowy blat, a bruzda między jej brwiami coraz bardziej się pogłębia. Blade światło słoneczne wpada skosem przez pokaźny świetlik w dachu, podkreślając ciemny balejaż na jej włosach. Sprzątaczką ma przyjść później. Karen krzywi się na widok drobinek kurzu tańczących w słońcu wokół niej niczym brudna aureola.

Tłusta smuga z wiele mówiącym odciskiem kciuka znaczy połyskliwą gładkość blatu wyspy. Jak mogła ją przeoczyć? Sięga po sprej antybakteryjny i zaczyna czyścić. Kiedy dostrzega swoją twarz odbitą na powierzchni blatu, na chwilę przerywa polerowanie, zaskoczona własną skoncentrowaną, zaciętą miną. Po usunięciu skazy chowa środki czyszczące i uważnie przygląda się kuchni. Jej paznokcie, pokryte lakierem Chanel w kolorze Rouge Noir, wybijają minorowy werbel na kontuarze: wezwanie do działania, do dążenia ku doskonałości.

Na blacie naprzeciwko stoi ciasto marchewkowe polane błyszczącym lukrem. Okazałe rodzynki kusząco mrugają spośród brązowych okruchów. Wdycha zapach cukru, przypraw korzennych i jajek. Ciasto drażni się z nią niczym pewny siebie nastolatek stojący na rogu ulicy. „No, śmiało! Przecież wiesz, że mnie pragniesz. Może chociaż odrobinę? Nawet lukru nie poliziesz? Powiedz, skarbie, komu by to zaszkodziło?” Karen jednak nie daje się skusić.

Przybory kuchenne włożyła już do zmywarki, miska oblepiona lukrem już dawno została umyta, wytarta i odłożona na miejsce do szafki. Czyszcząc ją, przez chwilę wyobrażała sobie, że przesuwa palcem wskazującym po jej wnętrzu i zlizuje rozkoszną mieszankę serka mascarpone, cukru i odrobiny soku z limonki. Ale nawet wtedy wiedziała, że nigdy tego nie robi. Kontrola i samodyscyplina to klucz do wszystkiego. Już dawno zrozumiała, że krótkie uniesienie po spełnieniu zachcianki nie może się równać dreszczykowi satysfakcji płynącej z odrzucenia pokusy.

Jej siedemnastoletni syn Jake, pół chłopiec, pół mężczyzna, wchodzi do kuchni.

– Co tam, mamuśka?

Jego sztuczny sposób bycia, będący efektem wielu lat edukacji w prywatnej szkole, sprawia, że Karen tężeje. Syn otwiera lodówkę i przegląda jej zawartość, włożywszy ręce w kieszenie džinsów, przez co zsuwają się jeszcze niżej. Koszulka podjechała do góry i Karen może teraz zobaczyć rowek między szczupłymi pośladkami Jake’a. Ma ochotę podciągnąć mu spodnie i powiedzieć, że ma się ubierać jak należy, ale tylko odwraca wzrok.

– Jest coś do jedzenia?

To pytanie retoryczne. Nakłada sobie na talerz stertę sera, szynki, masła i bajgli, niemal nieograniczoną liczbę kalorii, która nie szkodzi jego mierzącej prawie metr dziewięćdziesiąt sylwetce. Karen sztywnieje, kiedy syn stawia talerz na blacie, błyskawicznie burząc zaprowadzony przez nią porządek. Jake przebiega wzrokiem sterylną kuchnię i dostrzega jej najnowsze dzieło.

– O... ciasto. Pozwolisz, mamó? – pyta, jednocześnie odkrawając nożem do chleba spory kawałek.

Zjada go, jakby umierał z głodu. Wilgotne okruchy spadają na podłogę, a kropla nie do końca stężałego lukru spływa z noża.

Karen nie potrafi tego znieść.

– Na litość boską, Jake. Jeśli zamierzasz się obzerać, to przynajmniej rób to elegancko.

Sięga po porcelanowy talerzyk i srebrny widelec deserowy.

– A to po co?

– Wiesz, do czego to służy. To widelczyk do ciasta. Jedz porządnie.

Patrzy na nią z symulowanym niedowierzaniem.

– Boże, mammo! Nikt by nie uwierzył, że urodziłaś się w kiepskiej dzielnicy Southend. – Ostatnie słowo wymawia przeciągle, udając akcent z Essex. – Kiedy to stałaś się taka wytworna?

Ton jego głosu tnie niczym skalpel. Ma ochotę odpowiedzieć: „Kiedy syn zaczął mnie przedrzeźniać. Kiedy on i jego siostra weszli do innej klasy społecznej ze swoimi meczami rugby, lekcjami gry na wiolonczeli, wyjazdami na narty i odmianą łacińskich czasowników. Kiedy przeszli do świata innego niż mój”. Ale milczy. Patrzy tylko na swojego pięknego syna, na jego patrycjuszowską twarz, litościwie nieskażoną trądzikiem, teraz skrzywioną w drwiącym grymasie.

– Jeśli chcesz jeść moje ciasto, postępuj według moich zasad. – Tylko tyle udaje jej się wydusić. Zdanie jednak brzmi ostrzej, niż chciała. Nie jak polecenie, raczej jak syk.

Jake wybucha śmiechem.

– Mamuśka, wyluzuj. Nie denerwuj się tak. – Patrzy na nią, jakby spadła z księżycy, a potem wraca do łapczywego pochłaniania ciasta, rytmicznie poruszając szczękami. – Bardzo dobre, wiesz? Masz, spróbuj. – Wyciąga kawałek w jej stronę, usiłując wsunąć go jej do ust.

Karen cofa się wystraszona.

– Nie, dziękuję. – Głos więźnie jej w gardle. – Nie jestem głodna.

Syn wzrusza ramionami i zjada swoją porcję do końca.

– A może trochę lukru? – nalega, odkrawając następną, mniejszą. – Chociaż spróbuj tego, co zostało na nożu, dla smaku. Śmiało. – Rozciąga usta w uśmiechu, podsuwając jej nóż jakby w nagrodę za dobre sprawowanie.

Jest niebezpiecznie blisko jej ust, ale Karen się nie cofa.

– Powiedziałam nie – krzyczy niemal.

Syn unosi brew. Karen zmusza się więc do łagodniejszego tonu:

– Dziękuję, kochanie.

Zaczyna się krzątać, żeby odwrócić uwagę od swojego wybuchu. Wkłada jedzenie z powrotem do lodówki i wyjmuje puszkę dietetycznej coli. Karmelowy płyn pieni się w kryształowej szklance, bąbelki szczypią, spływając do gardła. Od kiedy rzuciła palenie, to jest jej nowy, dobrowolnie wybrany nałóg: cudowny napój bez jednej kalorii, który potrafi ją nasycić.

Syn uniósł dłonie w błagalnym geście i nadal jej się przygląda.

– Zupełnie cię nie rozumiem. Pieczesz wszystkie te wspaniałe ciasta i nawet nie chcesz ich spróbować. O co tutaj chodzi? Przecież nie jesteś gruba czy coś w tym rodzaju.

Mierzy wzrokiem jej sylwetkę w rozmiarze trzydzieści sześć: płaski brzuch i wystający mostek, skórę gładko opiętą na kościach policzkowych, górne żebra wyraźnie rysujące się na piersi. Potrząsa głową, jakby był rodzicem nierozumiejącym własnego dziecka, po czym odchodzi. Karen już ma zaprotestować, zażądać, żeby po sobie posprzątał, kiedy Jake wymierza pożegnalny cios, obraźliwy komentarz wypowiedziany tak niedbale, że z początku nie jest pewna, czy dobrze go zrozumiała:

– Nikogo nie oszukasz, mamuśka. Nikogo nie oszukasz.

„Co on, do cholery, miał na myśli?” Strach dodaje jej sił, kiedy wybiega z okazałego wiktoriańskiego domu w Winchesterze i kieruje się ku obrzeżom miasta. Obliczyła, że czterdziestopięciominutowy bieg pozwoli jej spalić dobrych pięćset sześćdziesiąt pięć kalorii, a może nawet zdusi poczucie wstydu.

Trzyma szybkie tempo: stopy poruszają się rytmicznie, pięta – palce, tors wyprostowany, ale nie

usztyniony, oddech regularny i spokojny. Mija domy, których cena maleje w miarę oddalania się od centrum miasta: rezydencje w stylu georgiańskim ustępują miejsca pretensjonalnym szeregowcom, żeby w końcu zmienić się w wolno stojące nowocześniejsze domy. Większość z nich wygląda nijako, z rzadka trafia się jakaś podmiejska perełka.

„Przebyłam daleką drogę”, powtarza sobie, przebiegając obok sądów, torów kolejowych i szpitala w kierunku otwartej przestrzeni. Przebyła daleką drogę i nie pozwoli, żeby wszystko się zawaliło, ponieważ jej syn, ten piękny pół chłopiec, pół mężczyzna – czasami aż wątpi, czy to ona go urodziła – myśli, że wie o niej coś, co jej przypomni, gdzie jest jej miejsce.

Czuje ucisk w żołądku. „Nikogo nie oszukasz, mamuśka”. Ogólna aluzja do jej robotniczego pochodzenia, o którym nigdy nie chce rozmawiać, czy coś bardziej konkretnego? Co on wie? Który z jej dwóch mrocznych sekretów odkrył? A może tylko strzela na oślep? Czy powiedział o tym Oliverowi? To nadal jej mąż, chociaż odkąd spędza pięć dni w tygodniu w ich londyńskim mieszkaniu, każde z nich coraz bardziej żyje własnym życiem. Czasami Karen zastanawia się, czy mężowi w ogóle jeszcze na niej zależy, tak mocno pochłania go praca, tak szybko się od niej oddala. A Livy? Myśli o swojej poważnej córce – była tak różna od niej w wieku piętnastu lat – i mimowolnie zaciska pięści, jakby chciała bronić niewinności nastolatki.

Przypomina sobie, jak to było dziesięć lat temu: siedmioletni Jake i jego pierwszy występ w drużynie rugby, otarte kolana, łydki pochłapane błotem, twarz promieniejąca z dumy. Po wygranym meczu nie podbiegł do Olivera ani do trenera, żeby obdarzyć ich uściskiem zwycięzcy, tylko do niej, marznącej na skraju boiska. „Mamo, kocham cię” – wyszeptał jej z przejęciem do ucha, mocno ją obejmując. Była jego światem. „Najlepsza mama pod słońcem. W całym wszechświecie”. To uczucie trwało dość długo. Skąd więc teraz taka pogarda?

To pytanie nie daje jej spokoju, a tymczasem trasa biegu staje się trudniejsza: stroma ścieżka na grzbiet jednego z okolicznych wzgórz. Okazja, żeby zmusić ciało do większego wysiłku. Nie ma tu chodnika, biegnie więc po asfalcie, a kiedy mija ją pędzący samochód, ochlapując wodą, zbacza na trawiaste pobocze, wzdłuż którego rosną krzaki jeżyn. Zerka na założony na ramię zegarek biegacza. Jest już niemal w połowie drogi. Prawie pięć kilometrów, dwadzieścia dwie minuty, dwieście pięćdziesiąt siedem kalorii... Zwiększa tempo. Musi więcej spalić, biec szybciej, powinna móc jeszcze przyspieszyć...

Oddycha teraz nierówno i z wysiłkiem. Próbuje nucić, jakby chciała odegnać niepokój. „Biegnij dalej – powtarza sobie. – On nic nie wie. Po prostu biegnij dalej”. Krew uderza jej do głowy mocnymi falami niezgodnie z rytmem z iPod'a. „Po prostu biegnij dalej. On nic nie wie” – powtarza te słowa jak mantrę i bardzo chciałaby w nie uwierzyć.

I nagle jest na szczycie wzgórza, a z gardła wydobywa się głos – trochę jęk ulgi, a trochę okrzyk zwycięstwa. Za nią rozciąga się Winchester: oaza dostatku, tradycji i przywilejów. „Przebyłaś daleką drogę”. W dole migoczą zalane łąki, a kiedy Karen stara się wyrównać oddech, promień słońca oświetla katedrę i mury prestiżowej szkoły.

Rusza dalej biegiem, wyrównując oddech na płaskim terenie. Zwiększa tempo, szybko i rytmicznie. „Przebyłaś daleką drogę, przebyłaś daleką drogę. I nie dasz sobie tego odebrać”.



*Jeśli zapraszasz kogoś na poranną kawę, zawsze podawaj kawę z najwyższej półki od Eadena i, czego chyba nie trzeba mówić, ciasteczka domowego wypieku. Nie obniżaj poziomu, choćby poczęstunkiem był tylko gorący napój. Nie chcesz chyba należeć do pań domu, które częstują odwiedzających zwykłą kawą rozpuszczalną.*

Trzy tygodnie później. Mokry, wietrzny lutowy poranek, a Vicki, moknąc, przemierza szybkim krokiem King's Road w Chelsea w drodze na eliminacje do konkursu na nową panią Eaden. Według zegarka ma jeszcze mnóstwo czasu – piętnaście minut w zapasie – ale Vicki nie lubi się spóźniać, tak samo jak nie znosi być nieprzygotowaną. Przyciska mocniej wiklinowy koszyk i zagląda pod kraciastą ściereczkę, żeby sprawdzić, czy domowe muffiny z czarnymi jagodami i croissanty z ementalerem w jakiś tajemniczy sposób nie uciekły spod przykrycia. Oczywiście są na miejscu. Grube krople deszczu spadają na blaszane pudełko, więc Vicki jeszcze przyspiesza kroku i staranniej osłania się parasolem.

„Przestań się denerwować – nakazuje sobie w myślach, kiedy przed sobą dostrzega główny supermarket Eaden i Syn z eleganckim napisem nad przeszklonym głównym wejściem. – Już jesteś na miejscu. Ciesz się tym. Właśnie tego chciałaś: szansy, żeby coś upiec na pokaz, żeby się wyróżnić, dokonać czegoś poza domem. Ale czy z Alfiem wszystko w porządku?” Na myśl o jego mokrej od łez buzi, kiedy zostawiała go u Ali, ogarnia ją znajome poczucie winy. „To był tylko pokaz, żeby zrobić wrażenie na mamie”, uspokaja ją wewnętrzny głos rozsądnej nauczycielki. Ale czy naprawdę? Może to początek jakiejś infekcji, którą przegapiła? Bo niby dlaczego tak kurczowo się jej trzymał?

Przez chwilę zastanawia się, czy nie zadzwonić znów do Ali. Tylko dla pewności. Ale przecież po wyjściu ze stacji metra Sloane Square wysłała jej esemesa, a nie chce wyjść na neurotyczkę. W kieszeni odzywa się sygnał telefonu. Wiadomość od Ali: „Oczywiście, że wszystko w porządku. Baw się dobrze!”. Dostawszy takie pozwolenie od innej matki, uśmiecha się szeroko i z lżejszym sercem niemal biegiem przemierza ostatnie metry do sklepu. Proszę bardzo. Wcale nie jest złą matką. Naprawdę nie. Po prostu wykorzystuje rzadką sposobność, żeby zabłysnąć.

Wchodzi do sklepu, nie dowierzając, że to się dzieje, że została zaproszona na eliminacje. Zgłosiła swoją kandydaturę w ostatniej chwili, 31 stycznia, kiedy termin już mijał. Nie dlatego, że nie chciała tego zrobić. Ogłoszenie wycięte z „Eaden's Monthly” wisiało na lodówce od początku grudnia, walcząc o miejsce z odbitymi na kartkach pieczętkami z ziemniaka i prostymi rysunkami Alfiego. Ona jednak się wahała: nie chciała zobowiązywać się do czegoś, co będzie wymagało rozłąki z synem. Lecz pewnego wyjątkowo samotnego poranka między składaniem torów kolejki elektrycznej, klocków Lego, plasteliny i figurek zwierząt zdała sobie sprawę, że jeśli nie zacznie częściej wychodzić z domu, pęknie ze złości albo zwariuje. Tym sposobem znalazła się tutaj. Choć zadanie nie wymaga szczególnej odwagi, to budzi w niej dreszcz emocji.

Lęk ustępuje ciekawości, kiedy Vicki dostrzega przy wejściu stół zastawiony butelkami prosecco i bombonierkami obwiązanymi kolorowymi wstążkami. Wdycha zapach świeżo pieczonych francuskich drożdżówek z kremem budyniowym i rodzynekami.

Ten sklep jest wizytówką firmy i wszystko tutaj wygląda doskonale. Na jabłkach ułożonych w stosy na makietach wózków straganiarskich nie widać najmniejszej skazy, toskański jarmuż *cavolo nero* jest ciemny i bujny, chleb na zakwasie, zawinięty w pomysłowo wystrzępiony szary papier, wygląda, jakby został upieczony rano w tradycyjnej piekarni. W dziale mięsnym pyszną się najlepsze kawałki wołowiny na steki, grube befsztyki z polędwicy, świeże, soczyste, w kolorze cynobru. Okonie morskie i langustynki

połyskują na kruszonym lodzie. Nawet przed dziesiątą w sklepie panuje gwar, a zadowoleni klienci starannie wybierają świeże produkty, deliberują nad zakupem kawy espresso, herbaty pochodzącej ze sprawiedliwej wymiany handlowej, czekolady zawierającej osiemdziesiąt pięć procent kakao, zdrowych ciasteczek owsianych czy włoskich *cantucci*. W szerokich alejkach mieszczą się dwa wózki, więc kiedy na oczach Vicki trzy kobiety w średnim wieku usiłują się wyminąć w przejściu, odbywa się to bez napięcia i złości. Wystarczy przepaszający uśmiech i przyzwalające skinienie głową. W tym supermarkecie klienci nie wymyślają sobie ani nie ścigają się do kasy. Eaden's uosabia staromodne wartości, takie jak dobry smak, wysoka jakość, elegancja, a przede wszystkim uprzejmość.

Nikt jednak nie wita uczestników konkursu przy wejściu, więc Vicki kieruje się do punktu obsługi klienta, po drodze zerkając na półki z produktami do wypieków. Starszy dżentelmen przygląda się przyprawom. Musztardowe spodnie ze sztruksu, fular, tweedowa marynarka, która służy mu od czterdziestu lat i będzie mu służyła do końca życia, twarz wyraźnie zaczerwieniona... Widać, że jest całkiem zagubiony.

– Czy mogę panu pomóc? – Szczupła młoda sprzedawczyni uśmiecha się z troską.

– Szukam świeżych lasek wanilii. Żona twierdzi, że bez nich się nie obędzie. Nigdzie nie mogę ich znaleźć.

– Proszę za mną. Zaraz panu pokażę. – Ekspedientka zachęcająco wyciąga ramię za jego plecami, ale nie dotyka klienta. – Proszę bardzo. Trzy rodzaje do wyboru, ale gdybym to ja coś piekła, wybrałabym te.

– Naprawdę?

– Tańsze, ale wyhodowane na tej samej plantacji, a więc podobnej jakości.

– Zdziwiająca...

– Czy mogę jeszcze czymś panu służyć?

– Nie... Już wszystko wiem. Bardzo dziękuję.

Dziewczyna znika, a klient przygląda się uważnie czarnym suchym strączkom w miniaturowych próbkach.

– Vicki... Vicki Marchant?

Uśmiecha się do niej młoda kobieta z ostrzyżonymi na pazia blond włosami i perłowymi kolczykami w uszach.

– Och, tak... Przepraszam – duka Vicki zaskoczona.

– Witamy na eliminacjach do konkursu na nową panią Eaden!

Vicki uśmiecha się, nagle podekscytowana.

– Jestem Cora Young, asystentka w dziale marketingu firmy Eaden i Syn.

Wyciąga zadbaną dłoń z sygnetem na małym palcu. Vicki wyciera swoją wilgotną rękę i dopiero wtedy wita się z kobietą.

– Rozmowy kwalifikacyjne odbywają się w sali konferencyjnej na piętrze, w biurze zarządu. Proszę za mną.

Ktoś już czeka w sali nad sklepem. Kobieta w średnim wieku, wyglądająca jak uosobienie gospodyni domowej, ma łagodny uśmiech i biust tak obfity, że natychmiast przyciąga spojrzenie Vicki. Mimo zdenerwowania robi bardzo miłe wrażenie. Prawdziwa mama. Albo młoda babcia. Bardzo spodobałaby się Alfiemu. Przytuliłby się do jej bujnej piersi i z uwielbieniem spoglądał jej w oczy, jakby znalazł się w raju.

– Dzień dobry! Mam na imię Jennifer. – Kobieta podchodzi do Vicki i wyciąga rękę, trochę skrzepowana.

– Jestem Vicki.

Ścisła jej dłoń. Palce Jennifer są chłodne, a uścisk zaskakująco mocny jak na kogoś, kto robi wrażenie tak nieśmiałego. Obie się uśmiechają, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę.

– Czy ty...? Jesteś...? – mówią jednocześnie.

– Ty pierwsza. – Vicki ustępuje starszej kobiecie.

– Chciałam tylko zapytać, czy jesteś zdenerwowana. Bo ja owszem. Zadzwonili do mnie zaledwie dwa dni temu i nadal nie mogę w to wszystko uwierzyć. Ciągłe mi się wydaje, że musieli się pomylić i zaraz mi to powiedzą.

– Na pewno się nie pomylili. Robisz wrażenie kogoś, kto zna się na pieczeniu... Oj, nie chciałam być niegrzeczna. Chodzi mi o to, że wyglądasz na doświadczoną... – Vicki milknie speszona. – Chyba coraz bardziej się pograżam?

Jennifer wybucha śmiechem.

– Wcale nie. To tylko nerwy. Dobrze wiedzieć, że obie się tak czujemy.

Zerka na zawieszoną na honorowym miejscu, oprawioną w ramki czarno-białą fotografię przedstawiającą Kathleen Eaden przed budynkiem, w którym się teraz znajdują.

– Ona wygląda tak, jakby nigdy niczym się nie denerwowała.

Vicki spogląda na zdjęcie. Kobieta jest ubrana w stylu Jackie Kennedy, ikony mody z lat sześćdziesiątych: natapirowane ciemne włosy do ramion o końcach wywiniętych na zewnątrz, jasna szminka, oczy podkreślone delikatną czarną kreską. Jej twarz nie jest piękna, ale przyciąga uwagę inteligentnym spojrzeniem, wysokimi kośćmi policzkowymi i pełnym wdzięku uśmiechem. Kathleen ma na sobie wcięty w talii płaszcz z dużymi guzikami, prostą suknię, kończącą się tuż nad kolanem, i buty na niskim obcasie.

– To samo zdjęcie zamieścili tutaj, prawda?

Vicki wyciąga z pojemnej torby egzemplarz *Sztuki pieczenia* – ilustrowaną wieloma zdjęciami książkę w zielononiebieskiej sztywnej okładce, wydaną w minionym roku, kiedy zmarła Kathleen Eaden.

– O! Widzę, że też jesteś wielbicielką Kathleen.

Jennifer pokazuje swój egzemplarz. Jej książka ma miękką okładkę, jest poplamiona i co najmniej czterdzieści lat starsza niż książka Vicki.

– Czy to pierwsze wydanie? – Vicki czuje się przelicytowana, choć wątpi, aby to było intencją Jennifer.

– Należało do mojej matki. Zostałam wychowana na pani Eaden. Dlatego ją tu przyniosłam.

Podaje książkę Vicki, a ta wertuje ją przez kilka chwil. Przepisy na bułeczki z Chelsea, tartę z Bakewell i szarlotkę przykuwają jej uwagę. Jest też ciasto battenburg, tarta cytrynowa z bezą i quiche z łososiem i rukwią wodną. Nie ma tu zbyt wielu zdjęć, wszystkie są przy tym czarno-białe, a większość ukazuje uśmiechniętą Kathleen Eaden prezentującą gotowy wypiek. Wzrok przyciąga jej uroczy uśmiech, a nie ciasto.

– Uwielbiam tę książkę – oznajmia Vicki z zachwytem. – Odkryłam ją dopiero kilka lat temu. Oczywiście już wcześniej słyszałam o autorce, ale dopiero kiedy ukazało się ostatnie wydanie, wypróbowałam wszystkie przepisy.

– Kiedy byłam dzieckiem, wszystkie panie domu chciały piec tak jak ona – oznajmia Jennifer. – Pamiętam, jak mama mawiała: „Muszę poradzić się Kathleen”, tak jak teraz polegamy na przepisach Delii Smith. Zdziwiałe, że ta książka miała na nas taki wpływ.

– A sama Kathleen musiała być wspaniałą kobietą. Czytałaś w „Eaden’s Monthly” ten wywiad z jej córką Laurą, przeprowadzony po jej śmierci?

– O, tak. Miała wspaniałe dzieciństwo. Po prostu idylla: ogniska na plaży, surfing, puszczenie latawców, no i oczywiście wspólne pieczenie różnych wspaniałych przysmaków.

– Chciałabym, żeby mój syn zapamiętał mnie w ten sposób. – Vicki wypowiada te słowa bez namysłu i natychmiast ma ochotę ze wstydu zapaść się pod ziemię.

Jennifer taktownie odwraca wzrok.

– Znaczy... Chciałam powiedzieć, że na pewno tak mnie zapamięta. Przynajmniej mam nadzieję. Ale

trudno mi to sobie wyobrazić – tłumaczy się zbyt gorliwie. – To takie żałosne. Uwielbiam go bezgranicznie, ale macierzyństwo nie przychodzi mi tak łatwo jak Kathleen. Czasami z trudem daję sobie radę... Masz dzieci? – mówi szybko dalej. – Wygląda na to, że masz... – Czerwieni się, jakby Jennifer mogła odgadnąć tok jej myśli: pokąźny brzuch pod luźną tuniką sugeruje więcej niż jedną przebytą ciążę.

Starsza kobieta nie wydaje się speszona.

– Mam trzy córki. Najmłodsza ma dziewiętnaście lat, najstarsza dwadzieścia trzy, więc wszystkie są już dorosłe, a przynajmniej tak twierdzą.

– Ja mam tylko trzyletniego synka. – Vicki mówi to przeproszającym tonem. Jakby na potwierdzenie czuje tępy ból w podbrzuszu.

– Z początku jest zawsze najtrudniej. Przeżywa się prawdziwy wstrząs. Kiedy urodziłam pierwszą córkę, to było jak trzęsienie ziemi. Z drugim dzieckiem jest lepiej, a z czasem wszystko staje się łatwiejsze – skończyła Jennifer z uśmiechem.

Vicki zwykle denerwuje się, słysząc takie opinie. Brzmią w jej uszach jak puste frazesy wygłaszane przez kogoś, kto bez wysiłku wychował liczne potomstwo. Teraz jednak odbiera je jako życzliwe pocieszenie. Nie tylko nie czuje się pogwałcona, ale wręcz podniesiona na duchu i doceniona. Jakby właśnie poznała kogoś, kto może zostać jej przyjacielem.

Dochodzi dziesiąta, a Vicki czuje narastające zdenerwowanie. Otwierają się drzwi i Cora wprowadza mężczyznę, który wylewnie przeprosza za spóźnienie. Ma ciemne, przetykane siwizną włosy i szczupłą sylwetkę. Wygląda na niewiele ponad czterdzieści lat. W brązowych oczach jednak można dostrzec ból.

– Dzięki Bogu, udało mi się dotrzeć.

Ma miłą, ale raczej przeciętną twarz. Wyraźnie się rozluźnia, widząc, że tylko dwie osoby zjawily się przed nim. Bruzda między brwiami wygładza się nieco.

– Przepraszam za spóźnienie – dodaje.

Odstawia duży plecak, w którym zapewne przyniósł swoje wypieki, i zdejmuje wilgotny trencz. Pod spodem ma źle wyprasowaną niebieską koszulę.

– Może kawy? – szczerotliwie pyta Cora i gestem wskazuje na stół z filiżankami.

– Z przyjemnością napiłbym się espresso – oznajmia przybysz, ale zobaczywszy termos z kawą ze zwykłego ekspresu przelewowego, przygotowaną godzinę wcześniej, dodaje: – Wystarczy zwykła kawa.

Z uśmiechem bierze filiżankę na spodeczku i podchodzi do tacy ze słodyczami. Ciągliste ciasteczka owsiane z rodzynkami, miniaturowe babeczki jagodowe i małe francuskie drożdżówki.

– Bardzo smaczne – zachwala Vicki z zachęcającym gestem, okrążając stół. – Chociaż nie są domowe. – Zagryza wargę, zdając sobie sprawę, że Cora może wziąć jej słowa za zniewagę. – Na pewno przed chwilą upiekli je w sklepie.

Mężczyzna wybiera babeczkę i dotyka plecaka, jakby chciał się upewnić, że go nie zgubił. Co on tam może mieć? – zastanawia się Vicki. Włoską *panettone*? Chleb orkiszowy na miodzie? A może coś mniej oryginalnego? Ciekawe, czy zna się na pieczeniu. I dlaczego zgłosił się do konkursu?

– Dzień dobry! – wita go bardziej wylewnie Jennifer.

– Przepraszam... Dzień dobry. Jestem Mike. Mike Wilkinson.

Wymieniają mocny uścisk dłoni.

– Jennifer.

– Vicki.

Uśmiechają się szeroko i chórem odpowiadają na powitanie Mike'a. Mike kiwa zachęcająco głową, ale rozmowa się nie klei. Ciszę wypełnia brzęk filiżanek odstawianych na spodeczki.

– Ojej.

Vicki niechętnie oblewa się słabą kawą. Ze speszoną miną chwyta papierową serwetkę i bezskutecznie stara się osuszyć kilka plam znaczących jej sukienkę koktajlową w stylu lat

pięćdziesiątych. Jennifer uśmiechem dodaje jej otuchy. Mike odwraca głowę, nie chcąc wprawiać jej w jeszcze większe zakłopotanie.

– Jestem cała w nerwach. To takie głupie – tłumaczy się chaotycznie Vicki. Żołądek ze strachu podchodzi jej do gardła.

– Wszyscy jesteśmy zdenerwowani – pociesza ją Jennifer. – Nic w tym dziwnego. Choć dotarliśmy tak daleko, nie mamy gwarancji, że zakwalifikują nas do konkursu. A jeśli jesteś choć trochę do mnie podobna, to dla ciebie również to wszystko ma znaczenie!

Dalej rozmowa toczy się gładko: dlaczego zainteresowali się konkursem, czego się boją, czego się spodziewają na rozmowie kwalifikacyjnej i co każdy z nich przyniósł, żeby zdobyć przychyłność jurorów: Jennifer – croissanty z migdałami i tort czekoladowy, a Mike – czarci tort z malinami i drożdżowe brioszki.

– Ale chyba powinno nas być więcej? – stwierdza Vicki. – Cora mówiła, że szukają pięciu uczestników. Jeśli będzie nas mniej, filmy na YouTube będą mało różnorodne.

Jak na zawołanie otwierają się drzwi. Kolejny uczestnik konkursu? Rozmowa się urywa.

Do sali wchodzi kobieta w stroju odpowiednim do walki: wysokie botki, nieskazitelnie biała bluzka i granatowe dzinsy. W bujnych ciemnobrązowych włosach połyskują rudawe pasemka zrobione u drogiego fryzjera. Jej twarz pod cieniutką warstwą pudru brązującego promienieje z przejęcia. Niesie kosz wiklinowy z taką miną, jakby znała jakiś niesamowity sekret.

Mike czerwieni się i nagle ubywa mu dziesięć lat. Jennifer jak zwykle uśmiecha się serdecznie, ale z lekką rezerwą. Vicki natychmiast ogarnia lęk.

– Czy tu odbywają się eliminacje do konkursu na nową panią Eaden? – pyta Karen nieco skrępowana, chociaż odpowiedź jest oczywista. Po chwili dodaje z lekką ironią: – No to upieczmy coś.

## Kathleen

„Wolałabym teraz wkładać ciasto do piekarnika”, myśli Kathleen, stojąc przed wejściem do setnego marketu Eaden’s, gotowa do przecięcia wstęgi. Wokół niej pracownicy uśmiechali się wyczekująco, a przedstawiciele prasy z trudem się powstrzymywali, żeby nie tłoczyć się wokół niej niczym dzieci, którym obiecano ciastka i czekoladę, lemoniadę imbirową i babeczki z kremem. Tak, wolałaby teraz piec – lub pisać. W każdym razie coś tworzyć. Nieforemne ptysie, które można pochłonąć w kilka sekund, lub opis, który przetrwa nieco dłużej.

Stoi jednak tutaj, na King’s Road w Chelsea, owiewana przez rześki kwietniowy wiatr, żałując, że nie włożyła czegoś cieplejszego zamiast lekkiego płaszczka i cieniotkich pończoch. Nowe buty cisną, więc dokuczliwy ból w połączeniu z przenikliwym chłodem nie pozwalają jej się skupić.

– Pani Eaden, prosimy o uśmiech! – woła jeden z reporterów.

Kiedy spełnia tę prośbę, wokół rozbłyskują flesze.

A gdyby odmówiła? Ta myśl przychodzi jej do głowy, kiedy owiewa ją tak silny podmuch, że musi sprawdzić, czy fryzura nadal jest w porządku: natapirowane, równo przycięte włosy, sztywne od lakieru Elnett. Cóż, oczywiście nie mogła odmówić. Jest przecież panią Eaden – żoną George’a, autorytetem w sprawach kulinarnych, chlubą firmy. Taką ma pracę, chociaż czasami wolałaby więcej czasu poświęcać przelewaniu słów na papier i mieszaniu składników na ciasto. Poza, uśmiech, skinienie głową – na tym polegają jej obowiązki. A ostatnio, ku jej uldze i niespodziewanej radości, na pisaniu i pieczeniu.

Próbuje się rozgrzać, rozcierając ramiona. Szacuje, że musi tu wytrwać jeszcze pięć minut, a potem kolejne dwadzieścia w sklepie, wymieniając uprzejmości z personelem. Nie jest to zbyt wielki wysiłek, zwłaszcza że jej obecność ma wielkie znaczenie dla powodzenia firmy – i dla jej kariery, jeśli chce dokończyć i wydać *Sztukę pieczenia*.

Potwierdza to pytanie jakiejś starszej pani, wyciągającej szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Kto to jest? Jakaś gwiazda filmowa? – Wiatr niesie jej słowa.

– Nie. To Kathleen Eaden. Jest właścicielką tego sklepu i pisuje felietony do „Home Magazine”.

– Ładna, prawda? – stwierdza z uznaniem koleżanka tamtej. – I o wiele młodsza, niż myślałam.

– Tylko jak dla mnie trochę za chuda. Ale teraz taka moda.

– Jest piękna – dołącza się trzeci głos.

– Kto? Kathleen Eaden? Aaaa! Nie poznałam jej.

– To Kathleen Eaden!

– Kto?

– Kathleen Eaden. No wiesz, pani Eaden.

– Aha. – Głos brzmi teraz ciszej. – Podoba mi się.

Wieść rozchodzi się wzdłuż ulicy w kierunku nowo otwartego sklepu Habitat, z bielonymi ścianami z cegły i sufitem wyłożonym drewnem, gdzie młodzi szczupli sprzedawcy obsługują młodych zamożnych klientów.

– To pani Eaden! – słychać wśród gęstego tłumu, a ona zastanawia się, jak długo wytrzyma taką presję. Jak szampan musujący w zakorkowanej butelce.

– Skarbie, jesteś gotowa? – George spieszy jej na ratunek.

– Oczywiście, kochanie.

– Tu masz nożyczki. Tylko ostrożnie.

Podaje je żonie, trzymając je w masywnej dłoni ostrzami w dół, jakby była dzieckiem wymagającym opieki. Przez krótką chwilę Kathleen zastanawia się, co by było, gdyby mu je wyrwała i zaczęła wymachiwać nimi w powietrzu.

– Kochanie? – George patrzy na nią z troską i miłością, jakby nadal, po trzech latach małżeństwa, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Już, zaraz – uspokaja go, rozwierając nożyczki i wsuwając między ostrza napiętą jedwabną wstęgę.

„Tylko pomyślę sobie życzenie. Pomyślę o tym, czego cały czas pragnę”. Zamyka oczy, może na trzy sekundy, a potem otwiera je szeroko. Przecina wstęgę i jedwabny materiał spływa na ziemię przy akompaniamencie okrzyków i braw. „Może to dobry znak – myśli Kathleen. – Skoro firma tak kwitnie... Kilka sklepików spożywczych w ciągu dziesięciu lat rozmnożyło się do stu dużych sklepów. To może mnie się to uda? Kobietom stale się to przydarza”.

– Kathleen?

George kładzie dłoń na jej karku i wprowadza do supermarketu przyszłości: z jasnymi świetlówkami i przystosowanymi do samoobsługi ladami chłodniczymi. Pani Eaden włącza więc swój urzekający uśmiech.

*Niech ci się nie wydaje, że aby umieć dobrze piec, trzeba ukończyć specjalistyczny kurs kulinarny czy to w miejscowym oddziale Ligi Kobiet, czy w szkole Le Cordon Bleu. Każdy może się nauczyć piec, więc chociaż dobry nauczyciel bez wątplenia w tym pomoże, można to zrobić samodzielnie. Niektóre z najwspanialszych wypieków, jakich zdarzyło mi się spróbować, pochodziły z bardzo skromnych domów.*

Deszcz, który pokropił Vicki i doszczętnie zmoczył Mike'a, zalewa strugami katedralne miasto Exeter. Woda spływa po wzgórzach, zakrywa chodniki i wypełnia po brzegi kanały odpływowe.

Claire Trelawney spędza nudny poranek przy kasie miejscowego marketu Eaden's, co jest skutkiem ulewy: do sklepu przyszło mniej klientów, chociaż czas i tak wlecze się ospale. Obdarza krótkim uśmiechem matkę z niemowlęciem, która wyklada zakupy na ruchomą taśmę. Większość jej dzisiejszych uśmiechów wypada zdecydowanie blado – zwykła uprzejmość, której oczekują od niej pracodawcy i którą zwykle okazuje z większym entuzjazmem. Ale nie tego ranka. Deszcz tłucze w okna w nagłym zrywie wiatru, wprawiając klientów w osłupienie i zalewając ludzi kryjących się pod markizą na zewnątrz. „Przemoknę do suchej nitki”, myśli Claire, zerkając na swoje regulaminowe czarne spodnie, które działają jak zimny okład, gdy są mokre. Tanie mokasyny już jej przemokły. Claire stara się odzyskać dobry humor, ale trudno jej to przychodzi. Z czego tu się cieszyć w prowincjonalnym supermarkecie w pochmurne lutowe przedpołudnie?

Zaczyna skanować wyłożone na taśmę produkty, a maszyna popiskuje z monotonną regularnością: pieluchy, piii, mokre chusteczki, piii, mleko, piii, masło, piii, czekolada Dairy Milk, piii, piii, piii.

– Była w specjalnej ofercie – wyjaśnia młoda matka z uśmiechem, trochę zawstydzona.

Zapewne twarz Claire zdradziła jej uczucia. Zawartość wózka z zakupami mówi wiele o człowieku. Od razu można wyłuskać nie tylko bulimików i alkoholików, lecz także ludzi z osobowością obsesyjną, sztywno trzymających się listy zakupów, takich, którzy nigdy nie gotują, i tych gotujących nieustannie. Na przykład ta młoda matka. Jej zakupy robią się coraz bardziej interesujące. Może źle ją osądziła na podstawie ponad kilograma czekolady. Teraz widzi ekologiczne jajka, cukier puder, zwykły drobny cukier, ser mascarpone, serek kremowy, esencję waniliową – droga rzecz w gustownej brązowej buteleczce, nie sztuczny ekstrakt – i ciasteczka pełnoziarniste.

– Będzie pani piec sernik nowojorski? – pytanie wyrywa jej się mimo woli.

Zażenowana spuszcza głowę i skupia się na skanowaniu. Mąka z proszkiem do pieczenia, piii, rodzynki, piii, marchew, piii, cukinia, piii – wszystkie warzywa z ekologicznych upraw.

– Tak – odpowiada z uśmiechem klientka. Mówi jak osoba dobrze wykształcona, ale jej głos brzmi przyjaźnie. – Jak się pani domyśliła?

„Przepis znam na pamięć – odpowiada w myślach Claire. – Nie znaczy to, że stać mnie na wszystkie potrzebne składniki – chyba że kończy się ich termin przydatności do spożycia i uda mi się wyprosić obniżkę ceny”. Zastanawia się, czy młoda mama zamierza upiec ten sernik w wersji Nigelli, Rachel Allen czy Mary Berry. Nie potrafi się powstrzymać i zadaje pytanie.

– W wersji Nigelli – odpowiada kobieta w sposób zdradzający zdziwienie.

Niewypowiedziana wątpliwość zawisa w powietrzu. Skąd ktoś taki jak Claire wie tak dużo o takim eleganckim przysmaku?

– Lubi pani gotować? – ciągnie klientka.

Claire jednak spostrzegła, że obserwuje ją Margaret, kierowniczka działu kas. Od kasjerki wymaga



się skanowania osiemnastu sztuk towaru na minutę i chociaż ma zachowywać się przyjaźnie, to zbyt długie pogawędki spowalniają jej pracę.

– Eee... Tylko czytuję książki kucharskie. Można powiedzieć, że to taka gastropornografia – odpowiada z nerwowym uśmiechem.

Młoda matka się czerwieni. „Gastropornografia. Naprawdę tak powiedziałam”. Claire się wzdryga. Klientka wystukuje swój PIN na klawiaturze terminalu, a potem obie czekają w milczeniu na zaakceptowanie transakcji.

– Do widzenia – wydusza klientka.

Ładuje jutowe torby do wózka i razem z dzieckiem szybko odchodzi, byle dalej od chudej dziewczyny, która wytrąciła ją z równowagi, pokazując odrobinę charakteru. Zaskoczyła niespodziewanym dowcipem.

„W końcu to prawda, czytuję książki kucharskie”, usprawiedliwia się w myślach Claire. Ogląda też powtórki *Saturday Kitchen*, *The Great British Bake Off* i *MasterChefa*. Co innego może robić samotna matka dziewięciolatki bez pieniędzy, niemal pozbawiona życia towarzyskiego? Zwykle jest za bardzo zmęczona, żeby wypróbować przepisy w praktyce, lub tak splukana, że nie stać jej na kupno droższych składników. Mimo to regularnie piecze z Chloe biszkopty i ciastka: piernikowe ludziki, babeczki oraz chlebki szafranowe, a nawet paszteciki kornwalijskie. Takie przepisy nie wymagają drogich produktów ani wyjątkowych umiejętności, ale wypełniają ich mieszkanko maślanym zapachem i nadzieją na lepsze czasy. Wie, że u dwudziestosiedmioletniej dziewczyny takie zamiłowanie do pieczenia jest raczej niezwykle, ale tylko robi to, czego nauczyła ją matka, Angela.

– Pielęgujemy tradycje Trelawneyów – mówi do Chloe, kiedy potargana córeczka skleja brzegi pasztecików i wycina gwiazdki z piernikowego ciasta, żeby zaraz potem wykonać taniec radości, na który właściwie nie ma miejsca w ciasnej kuchni.

– Masz wrodzony talent. – Mama Claire z aprobatą kiwa głową, chociaż nie może się powstrzymać, żeby nie poprawić ozdobnego listka na cieście.

– Oj! – Claire ulega znajomemu przyływowi irytacji, ale po interwencji mamy pasztecik rzeczywiście wygląda lepiej, więc go nie rusza.

– Tak bym chciała, żebyś znów zaczęła piec – dodaje zwykle Angela, co oznacza, że według niej córka powinna rzucić pracę przy kasie i wrócić do piekarni.

– Ale w supermarkecie godziny pracy są lepsze – odpowiada zwykle Claire. Jak mogłaby zaczynać pracę o piątej czy szóstej, mając pod opieką Chloe?

– A może wróciłabyś do college’u? – sugeruje matka, mając na myśli również kurs cateringu przerwany z powodu nieplanowanej ciąży.

Obie wiedzą, że to mrzonka. Studenckie życie, marzenia o pracy w ekskluzywnej restauracji – może nawet wyróżnionej gwiazdkami Michelina – skończyły się dziewięć lat temu, kiedy podano jej płaczące, pokryte śluzem i krwią dziecko. Ani przez chwilę nie żałowała, że urodziła Chloe – jak by mogła, skoro córeczka obdarza ją najczystsza, najbardziej bezwarunkową miłością, jakiej kiedykolwiek doświadczyła? Ale zając się w ciążę w wieku siedemnastu lat szybko przekreśla plany na przyszłość. Claire Trelawney nie ma marzeń. Nie stać jej na taki luksus.

W dziale marketingu sieci Eaden i Syn Cora Young wpatruje się w fotografię. Szczupła młoda kobieta przytula długonogą dziewczynkę, która mogłaby być jej siostrą, gdyby przedwcześnie, wywołane stresem zmarszczki na czole i pełna pasji siła uścisku nie świadczyły o czymś innym. Zaczęte do tyłu rzadkie włosy nie zasłaniają bladej twarzy i błękitnych oczu, które patrzą z zaskakującą przenikliwością. W całej postaci są jakieś napięcie i energia, jakby kobieta musiała stale mieć się na baczności, być gotową do akcji.

Cora, przez której biurko przewinął się cały tłum kandydatów z klasy średniej, dochodzi do wniosku, że chociaż dziewczyna jest pracownicą Eadena, nie należy uznawać tego za przeszkodę. Nikt

nie pomyśli, że dostała się tu po znajomości, a raczej że wywalczyła sobie drogę do konkursu. To będzie dobrze świadczyć o firmie.

Jeszcze raz spogląda na zdjęcie. Ta dziewczyna mi się podoba, myśli. Zadzwoń do niej.

Jennifer właśnie wyrabia kruche ciasto, kiedy dociera do niej telefoniczna wiadomość o tym, że przeszła eliminacje. Jej grube palce pokrywa warstwa masła i mąki. Akurat dodała zimnej wody i okazałe pomarańczowe żółtko do suchych grudek. Wszystkie składniki połączyły się gładko w procesie kulinarnej alchemii.

Przyrządza kurczaka z estragonem zapiekanego w cieście oraz młode ziemniaki z masłem i zieloną fasolką, specjalnie dla swojego męża, Nigela – choć trudno powiedzieć, czy będzie chciał to zjeść. Może zdecyduje się na ziemniaki, jeśli uda mu się nałożyć je na talerz, zanim zostaną obficie polane tłuszczem. Doda do nich fasolkę, tworząc w ten sposób mało apetyczną, niczym nieprzyprawioną sałatkę. Może po namyśle pokropi ją octem balsamicznym.

Kiedyś Nigel był takim samym smakoszem jak ona. Ale gdy jego młodszy brat Tom w pięćdziesiątym roku życia przeszedł ciężki zawał serca, stało się to dla niego – jak sam często powtarza świętoszkowatym tonem – sygnałem pobudki. Skończyły się popołudniowa whisky, czekoladki po obiedzie, kawałki ciasta po powrocie z pracy, obfite porcje czerwonego mięsa. Zaczęło się bieganie. Nie ostrożny jogging wokół domu, ale obsesyjne, nieustępliwe bieganie mężczyzny, który w wieku pięćdziesięciu dwóch lat poczuł, że nie jest nieśmiertelny, i postanowił za wszelką cenę uciec przed śmiercią. Mężczyzny, który w wieku średnim postanowił zostać maratończykiem.

„Lepsze to, niż gdyby wdał się w jakiś romans” – krytycznie zauważyła Lizzie, najmłodsza córka, kiedy odważyła się skomentować zmiany, jakie zaszły w ojcu. Oczywiście, chociaż Jennifer odbiera to jako pewnego rodzaju zdradę.

Nie chodzi o czas, jaki temu poświęca: biega trzy razy w tygodniu i jeszcze dwadzieścia kilometrów podczas weekendu, co tydzień spotyka się w klubie biegacza, gdzie w treningu towarzyszą mu triathlonistki o niewiarygodnie wymodelowanych figurach, no i jeszcze uczestniczy w maratonach – w niewiele więcej ponad rok przebiegł ich aż cztery. Chodzi o to, że odrzucił ich dawny styl życia, i to na dodatek w momencie, kiedy dziewczęta również wyfrunęły z gniazda: Lizzie rozpoczęła intensywny pierwszy rok studiów, Emma jest na trzecim roku filologii francuskiej w Montpellier, Kate po skończonych studiach postanowiła przez rok podróżować po Australii.

Jennifer oczywiście wie, że jak zawsze powinna próbować być dobrą żoną i wziąć pod uwagę potrzeby męża, nagiąć się do jego woli, zmienić swój sposób gotowania. Ale całe jej jestestwo wiąże się z tym, że zapewnia mu pożywne jedzenie. Za każdym razem, gdy podaje gotowanego na parze okonia morskiego z tajsą sałatką albo, przed biegiem, miseczkę makaronu z rzadkim sosem pomidorowym, a nie z tłustą carbonarą, czuje przypływ frustracji. Jest też głodna. Owszem, docenia delikatny smak dietetycznej ryby, ale brakuje jej węglowodanów. Po sprzątnięciu ze stołu sięga do zawsze pełnego pudełka z ciasteczkami albo zagląda do lodówki. Kiedy Nigel opuści kuchnię – „Ja sprzątnę, kochanie. Nie przejmuj się” – niweczy skutki zdrowego posiłku, objadając się tortem czekoladowym lub tartą z jajecznym kremem budyniowym.

Oczywiście takie zachowanie przynosi opłakane skutki. Zdała sobie z tego sprawę podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy Emma, obdarzona ostrym językiem, zażartowała przy niej, że Nigel zmienił się w Jacka Sprata z dziecięcej rymowanki, który nie jadał tłuszczu.

– Skoro ojciec to Jack Sprat, to kim ja jestem? – odparowała Jennifer, nawiązując do drugiej części wierszyka o żonie Jacka, która z kolei nie tykała chudych potraw.

Emma się zaczerwieniła.

– Ale nam się podoba, że jesteś taka mięciutka jak przytulanka – próbowała pocieszyć matkę.

Objęła ją w talii i usiłowała się wtulić w jej szyję jak w dzieciństwie, ale przykrość została już wyrządzona. Tym razem Jennifer odepchnęła córkę, chociaż Emma najrzadziej ze wszystkich dzieci

okazywała czułość.

– Zastanów się, zanim coś powiesz – syknęła. – Ja też mam uczucia.

Wychodząc z kuchni, minęła się z Nigelem, który znacząco przewrócił oczami i podzielił się z córkami swoją opinią:

– Klimakterium!

Usłyszała, jak dziewczynki wybuchają śmiechem, i choć wiedziała, że chcą w ten sposób ukryć zakłopotanie i udobruchać ojca, zabołało ją to jak najokrutniejsza zdrada. Spojrzała na swój wystający po obfitym świątecznym obiedzie brzuch opięty gumką aksamitnych spodni i ogarnęła ją odraza do samej siebie, a nawet coś więcej. Stojąc pod jemiolą na wyłożonej siedemnastowiecznymi kamiennymi płytami podłodze holu, poczuła głęboką rozpacz. Nigel miał oczywiście rację. Przechodziła klimakterium, ale przecież długie godziny spędzane w kuchni nie miały z tym nic wspólnego. W ten sposób starała się zapełnić rosnącą w jej życiu pustkę.

Była taka samotna... Straciła życiową rolę, którą odgrywała przez dwadzieścia pięć lat, ale jak chomik w kołowrotku nie potrafiła się zatrzymać i dostosować do zmieniających się okoliczności. Zawsze gotowała dla całej rodziny i fakt, że nikt już nie chce jej jedzenia – ani najwyraźniej jej troski – nie zniechęcił jej. Nadal dostarcza paszteciki i ciasta na festyny w wiosce, na poranne spotkania przy kawie w organizacjach dobroczynnych, starszym sąsiadom. Kiedy znajomi komentują jej hojność, odpowiada, że to naturalny odruch. „Przecież gotowanie dla kogoś oznacza miłość”.

– Jennifer Briggs? – Z zamyślenia wyrywa ją głos w słuchawce telefonu.

– Tak, tu Jenny.

– Dzwonię z konkursu na nową panią Eaden. Była pani na eliminacjach we wtorek? Chcielibyśmy, żeby wzięła pani udział w konkursie.

Jennifer stoi w kuchni, ściskając słuchawkę w dłoni nadal wilgotnej i oblepionej kawałkami ciasta, a jej serce rośnie z radości.

## Kathleen

Piecze, czyli robi to, co lubi najbardziej, w kuchni swojego londyńskiego domu w Chelsea. Słońce wpada przez okno, zalewając ją światłem.

Waga stoi równo na blacie, składniki ułożone są według rozmiaru. Notatnik i ołówek leżą na stole – w każdej chwili może zapisać jakieś zmiany w recepturze czy uwagi do *Sztuki pieczenia*. Już potwierdziła, że książka ukaże się w przyszłym roku.

Dzisiaj jednak kartka jest pusta. Natchnienie nie jest jej potrzebne, a może po prostu nie chce przyjść. Napisała już kolejny felieton: odę do radości z pieczenia ciast, w której nieco pochopnie obiecała „stworzone w piekarniku niebo”, zrobione z tłuszczu, mąki, cukru i jajek. Nie musi w tej chwili niczego piec. Może się natomiast trochę pobawić, zrobić jakiś biszkopt czy ciastka, bezę lub ciasteczka z kremem, tak po prostu, dla przyjemności, bo bardzo to lubi.

Jest systematyczna i efektywna. Piecze w skupieniu, z pamięci, produkując ciasto za ciastem: babkę cytrynową, ciasto kawowo-orzechowe i battenburg, zabarwione esencją migdałową i przetartymi przez sito malinami. Potem przychodzi pora na ciasto czekoladowe, które zostanie pokryte polewą krówkową, i jeszcze magdalenki – skromne i proste w porównaniu z poprzednim dekadentckim przysmakiem. W porze lunchu stół ugina się od ciast w różnym stadium gotowości: jedne się chłodzą, inne są już gotowe lub właśnie zostały pokryte precyzyjnie przyrządzonym lukrem.

Mimo woli sięga po notes, żeby wyczarować opis oddający smakowitość tych ciast za pomocą słów: polewa krówkowa jest „niczym lawa”, battenburg „wonny”, ciasto kawowo-orzechowe ma „odpowiednią nutę goryczy”. Nie, to nie brzmi dobrze. Ciasto kawowe „łączy słodycz z wyrafinowaniem: krem maślany podkreśla smak biszkoptu, orzechy włoskie dodają łagodności”. Czy teraz jest dobrze? Czy orzechy są łagodne w smaku, czy raczej gorzkawe? Wkłada kawałek orzecha do ust i próbuje. Zamazuje opis i wymyśla nowy, też niezbyt satysfakcjonujący: „kremowa gorycz?” – pisze i podkreśla znak zapytania.

Siada przy stole, pociąga łyk earl greya i pozwala sobie na jedną magdalenkę: chyba najbardziej nijakie z ciastek, ale i tak poprawiające samopoczucie. Pakuje kilka dla George’a na później, a ciasto kawowo-orzechowe wkłada do metalowego pojemnika, żeby je wręczyć kucharce, pani Jennings. Większość tych wspaniałych wypieków trafi pod inny dach. Zapakowane, zostaną późnym popołudniem przesłane do znajdującego się cztery kilometry dalej Szpitala Dziecięcego Westminster, stojącego na Vincent Square. Lekarze dziwią się, skąd placówka lecząca niedożywione dzieci otrzymuje takie smakołyki. Pielęgniarki zaś bez zbędnych pytań cieszą się nimi podczas przerwy na herbatę.

*Na ile jest to możliwe, staraj się, żeby dzieci pomagały ci przy pieczeniu. Na pewno bardzo się ucieszą, że mogą pracować razem z mamą. Nigdy nie jest za wcześnie, żeby uczyć małe dziewczynki i chłopców, jak się robi ciasto. Pamiętaj, że trzeba zachować cierpliwość i dobry humor, nagradzać uśmiechem ich wysiłki. Wkrótce zdobędziesz małego pomocnika, niecierpliwie czekającego na twoje pochwały.*

– Alfie, szybciej. Nie, nie tak. – Vicki stara się zapiąć opierające się dziecko w foteliku samochodowym, a zimny wiatr smaga jej ciało, w każdej chwili grożąc jej przytrzaśnięciem drzwiami samochodu.

Jest siódma czterdzieści pięć, dzień rozpoczęcia pierwszego etapu konkursu i Vicki musi odstawić Alfiego do koleżanki Ali do Putney, a potem zdążyć na dziesiątą do wiejskiej siedziby firmy Eaden i Syn w hrabstwie Buckingham. Nie powinna mieć z tym problemu, jeśli nie spowolnią jej nieprzewidywalne korki na ulicach Londynu – i krnąbrny synek.

Już się przygotowała na nieuchronny wybuch rozpaczy – „Mamusiuuuuu, zoooostań” – i doliczyła dwadzieścia minut na uporanie się z nim. Mogłaby napisać scenariusz: dwadzieścia minut wstępnego uspokajania chłopca, potem rodzicielska stanowczość, a w końcu jawne przekupstwo. Będzie w stanie go od siebie oderwać, tylko jeśli obieca mu nowy zestaw klocków Lego. Oboje o tym wiedzieli. Wtedy łyżki chłopca w cudowny sposób znikną, a ona pobiegnie do swojego samochodu i metr po metrze przemierzy w godzinie szczytu duszną od spalin Fulham Palace Road. Będzie zdenerwowana, wściekła i nękana poczuciem winy. Sama świadomość tego, co nastąpi, sprawia, że zaczyna ją boleć głowa.

– Powiedziałam: nie!

Koleżanka zasugerowała jej kiedyś, że najłatwiej usadowić opierające się dzieciaka w foteliku, jeśli się go walnie w brzuch. Wtedy uznała to za żart, rodzaj czarnego humoru, który bawi co inteligentniejsze znane jej młode matki. Takie komentarze można spotkać na stronach internetowych w rodzaju Mumsnet, na których znudzone mamy prześcigają się w produkowaniu najdowcipniejszych powiedzonek. Teraz jednak nie była już tego taka pewna.

Ponuro spojrzała na swojego potomka. Synek z anielskim uśmiechem usiłował ściągnąć jej spinkę z włosów, gdy tymczasem ona musiała użyć obu rąk, żeby zapiąć pas bezpieczeństwa w jego foteliku. Jego ciało, już nienależące do słodkiego bobasa, ale do silnego małego chłopca, prężyło się i wyginało, stawiając opór. Odsunęła głowę, żeby uniknąć chwytyliwych paluszków, i jednocześnie siłą wcisnęła dziecko w fotelik. Pas zapięty.

Alfie patrzy jej w oczy, uśmiech znika, dolna warga zaczyna drżeć. Vicki powtarza z uporem i satysfakcją:

– Powiedziałam: nie!

Kiedy zmieniła się w takiego władczy tyrana? Zbyt gwałtownie zatrzęsnęła drzwiami samochodu, siadła za kierownicą i zapięła swój pas. Nie chce być matką, która stale krzyczy. Jak eufemistycznie ujęła to pielęgniarka środowiskowa podczas jednej z wizyt domowych: „To nie pomaga”. No i na pewno nie tak powinna się zachowywać wybitna nauczycielka.

I nie tak zachowują się matki jedynaków. Gdyby w jej samochodzie siedziało kilkoro dzieci, a ona musiałaby zdążyć do pracy, byłoby to bardziej zrozumiałe. Ale ona ma tylko jedno dziecko, o czym przypomina jej tępy ból comiesięcznej przypadłości; jedno dziecko, któremu może poświęcić cały swój czas i uwagę. W tej sytuacji jej zachowanie jest po prostu niedopuszczalne.

Mimo wszystko – usprawiedliwia się w myślach nieco rozdrażniona, podczas gdy jej freelancer włącza się do długiego sznura innych pojazdów – jej życie wcale nie jest takie łatwe. Na przykład tego ranka przydałaby jej się pomoc Grega. Ale gdzie on był? Jak każdego ranka wyszedł z domu tuż po szóstej. Prawda, że jako prawnik specjalizujący się w prawie handlowym powinien najpóźniej o siódmej piętnaście zasiąść za biurkiem, i właśnie jego gotowość do takiej pracy pozwala Vicki na luksus pełnej opieki nad Alfim. Ale nawet biorąc to pod uwagę, wolałaby czasem, żeby więcej jej pomógł.

Chyba nawet nie zdaje sobie sprawy, co żona ma dzisiaj w planach. Oczywiście wiedział, że zakwalifikowała się do pierwszego etapu konkursu ogłoszonego przez supermarket, w którym robią zakupy, ale Vicki głęboko wątpiła, czy słuchał jej uważnie, kiedy wczoraj wieczorem przypominała mu o szczegółach, i czy rzeczywiście widział różne stroje, w jakich przed nim paradowała. Powieki mu opadały, szybko wykręcił się od dalszej rozmowy i z przepaszającym uśmiechem poszedł do łóżka. Pewnie myśli, że żona zakończy rywalizację na tym etapie, co i jej przyszło do głowy, chociaż eliminacje już się odbyły i wszyscy zakwalifikowani mają pozostać w konkursie do finiszu. Przynajmniej tak sobie Vicki tłumaczy brak większego zainteresowania z jego strony. Zależy mu tylko na tym, żeby z tego powodu nie ucierpeli Alfie i pozorna łatwość, z jaką żona prowadzi dom.

– Co będzie, jeśli przejdiesz etap pieczenia ciast? – zapytał, kiedy w zeszłym tygodniu dostała wiadomość od Eadena. – Kto się zajmie małym? – Regularne rysy twarzy lekko wykrzywiła mu panika. – Nie mogę ci pomóc w opiece.

– Och, jestem pewna, że do tego nie dojdzie – uspokoiła go. – A jeśli nawet, na pewno pomogą mi mama i Ali. Nic nie odczujesz.

Akurat, myśli teraz, skręcając w boczną uliczkę, prowadzącą do mieszkania Ali. Jeśli przetrwam ten etap, kolejne spotkania będą się odbywać co drugi tydzień, a matka, która stale gdzieś wyjeżdża na weekend, zajmuje się wolontariatem i ma już zaplanowaną Wielkanoc, może jednak nie zechce się zająć swoim energicznym wnukiem. Być może będziesz musiał podjąć się części obowiązków rodzicielskich, myśli, jednocześnie parkując auto z iście londyńską wprawą i opanowaniem na znalezionym z trudem wąskim miejscu postojowym. Wielki samochód już za pierwszym razem precyzyjnie trafia tam, gdzie powinien, ku jej lekkiemu zaskoczeniu. Może to dobra wróżba?

– Wsiadamy, synku – oznajmia, patrząc na małego we wstecznym lusterku.

Alfie ma pobladłą twarz i wielkie niespokojne oczy. Dolna warga zaczyna drżeć, najwyraźniej chłopiec zbiera siły do płaczu. Vicki czuje ogarniającą ją falę znużenia. Może powinna od razu przejść do przekupstwa? Odwraca się twarzą do Alfiego.

– Jeśli pozwolisz mamusi pojechać na konkurs i będziesz się ładnie bawił z Samem, dostaniesz helikopter z klocków Lego.

## Kathleen

Cóż, nie jest to domek z piernika.

Kiedy George oznajmił, że kupił jej dom na wsi, w pierwszej chwili irracjonalnie wyobraziła sobie, że będzie to coś w rodzaju domku ogrodnika: coś z przełomu wieków, z poddaszem i ozdobnymi gzymsami, o murach z czerwonej, wypłowiejącej od słońca cegły, przywołującej na myśl piernikowe cacko. Nie przyszło jej do głowy, że kupi coś tak wielkiego i tak – chociaż w życiu nie powiedziała by tego głośno – pretensjonalnego. Ale po głębszym zastanowieniu musiałaby przyznać, że właśnie taką potworność kupiłby syn sklepiarza, żeby popisać się niedawno osiągniętym bogactwem i zaimponować córce sędziego. Westchnęła głęboko. Kochała go właśnie za to, skąd się wywodzi, nie mimo to. Dlaczego więc George stale czuł potrzebę udowadniania jej swojej wartości?

– Podoba ci się, prawda, skarbie? – zapytał, obejmując ją ramieniem.

Stali przed Bradley Hall, olbrzymim domem w stylu gotyckim, który kupił jej w prezencie urodzinowym i teraz pokazał po raz pierwszy. Na czole wystąpiły mu kropelki potu.

– Oczywiście, kochanie.

Pocałowała go w policzek, powtarzając sobie w duchu, że mąż wcale nie wybrał tego domu ze względu na prostackie upodobania, tylko z miłości do niej.

– Jaka wspaniała niespodzianka!

– Pomyślałem sobie, że ci się spodoba – ciągnął, kiedy szli zwirowym podjazdem w stronę okropnych gryfonów. Zatrzymał się, znów zdenerwowany. – Tu jest tyle przestrzeni. Możesz sobie tu urządzić wspaniały gabinet do pracy. Spójrz. – Wskazał na pokój z wykuszowymi oknami na pierwszym piętrze. – Ma wspaniały widok. Pokój z widokiem. Mówiłaś, że chciałabyś taki mieć, prawda? A może chodziło ci o własny pokój?

Zaczerwienił się, a ona poczuła przyptyk miłości do tego człowieka, który rzeczywiście jej słuchał, kiedy opowiadała mu o Virginii Woolf, i który przeczytał powieść E.M. Forstera nie dla samego siebie – chociaż szczerze przyznawał, że chce nadrobić braki w wykształceniu – ale żeby jej sprawić przyjemność.

– Pokój z widokiem to coś, czego mi trzeba – odrzekła pogodnie.

– Jeśli chcemy wydać *Sztukę pieczenia* w przyszłym roku w lecie, będziesz musiała trochę przyspieszyć pracę. – Nagle pojawił się George biznesmen: poważniejszy od niej i – chociaż nigdy by tak tego nie ujął – bardziej świadomy jej rosnącej wartości dla rodzinnej firmy.

– Skończyłam już rozdział o ciastach.

– To nie może być książka tylko o ciastach.

– Nie... Ale zaczęłam już pisać o ciasteczkach... Potem będą chleb, placki i inne słodkie wypieki, desery i może – chociaż jeszcze nie zdecydowałam – ostatni rozdział o smakołykach podawanych na podwieczorek do herbaty.

– Wygląda na to, że trzeba jak najszybciej przygotować ci ten pokój.

– Tak... Albo kuchnię.

– Zgadza się – przytaknął z uśmiechem. – To brzmi bardziej logicznie. A w tej kuchni zaprzęgniemy cię do ciężkiej pracy.

Szli dalej w przyjaznym milczeniu. Kathleen nagle poczuła radość na myśl o wielkiej kuchni w wiejskim domu, z długimi stołami, na których będzie mogła wałkować ciasto na bardziej skomplikowane wypieki i wystawiać tacę za tacą ze smakowitymi ciasteczkami i herbatnikami. W tej

kuchni dokończy *Sztukę pieczenia* – nie w jakimś pretensjonalnym gabinecie ani w pokoiku ukrytym na poddaszu, ale w sercu domu. Rozdziały będą przyrastać niczym ciasto drożdżowe, a przepisy będą powstawać niczym piekący się biszkopt. Kiedy pracuje w salonie, zdania czasami nie chcą się układać, jakby do tworzenia potrzebowała zapachu stopionego masła, jaj i cukru.

– Pomyślałem sobie też – jeszcze bardziej czerwony George przerwał jej rozmyślenia – że to jest świetne miejsce dla dzieci. Już sobie wyobrażam, jak tu biegają nasze maluchy. – Teraz już czoło i uszy płonęły mu żywym ogniem.

Ścisnęło ją w gardle, ale poklepała go po ramieniu i roześmiała się, chociaż nawet w jego uszach musiało to zabrzmieć nieszczerze. Jak mu powiedzieć o tym, co i tak już pewnie podejrzewa? Że jego upragniony potomek – syn z nazwy firmy Eaden i Syn – najwyraźniej nie zamierzał się zmaterializować w najbliższej przyszłości.

– Kochanie, mamy na to jeszcze wiele czasu.

Przysunęła się do niego i pocałowała w usta, lekko rozchylając wargi. Chciała mu powiedzieć, że też tego pragnie, że rodzina jest dla niej bardzo ważna, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Zamiast tego, żeby go uspokoić, powiedziała coś, co nie było kłamstwem. Tak przynajmniej sobie mówiła. Po prostu nie wyrażało całej prawdy:

– Przecież nam się nie śpieszy... Mamy jeszcze mnóstwo czasu na dzieci. Nacieszmy się tym, że jesteśmy we dwoje.



*Kiedy stawiasz na stół ciasto lub tartę, postaraj się. Nieostrożny ruch ręki czy chwila nieuwagi mogą spowodować, że biszkopt się pokruszy albo, co gorsza, wyląduje na podłodze. Poświęcasz czas na przyrządzenie deseru, więc poświęć go jeszcze trochę na staranną prezentację. Liczą się zarówno treść, jak i forma.*

– O matko! – Claire Trelawney nie potrafi się opanować, jadąc żwirową aleją pod drzwiami Bradley Hall, dawnego domu Goerge’a i Kathleen Eadenów, w którym będzie się odbywał konkurs.

– Nieźle, co?

Taksówkarz zerka na nią we wstecznym lusterku i widzi jej rozszerzone oczy i otwarte usta. Dziewczynę najwyraźniej zatkało z wrażenia.

– Cholera! Oni naprawdę tu mieszkali? I teraz ja mam się tu zatrzymać? – Śmieje się z niedowierzaniem, czując, jak przeszywa ją dreszcz ekscytacji.

Wyciąga szyję, żeby lepiej się przyjrzeć domostwu w stylu neogotyckim, z wieżyczkami, ozdobnymi podcieniami i zaskakująco wysokimi oknami o szybach połyskujących w lutowym słońcu.

– Bierze pani udział w tym konkursie?

Taksówkarz, który przywiózł ją tu ze stacji w Reading, zwalnia, żeby mogła w pełni docenić przepych budowli. Dzięki temu Claire widzi trawnik do gry w krokieta, po którym przechadza się zabłąkany bażant.

– Tak. Tak, biorę.

Claire, która przez całą drogę milczała zdenerwowana, wybucha śmiechem, tak nieprawdopodobna jest ta sytuacja. Sam pomysł nadal wydaje jej się zupełnie niedorzeczny.

– Nieprzyzwyczajona do takich luksusów, co? – żartuje taksówkarz.

Uśmiecha się smutno.

– To prawda.

Gargulce łypią na nią z dachu, a kiedy taksówka zatrzymuje się z chrzęstem, dostrzega kamienne lwy strzegące wejścia.

– Dla mnie to też coś niezwykłego – przyznaje kierowca ze śmiechem. – Cóż, życzę dobrej zabawy! Mój kumpel pracował tu przy remoncie. Podobno mają tu zrobić hotel butikowy.

– Aha...

Claire nawet nie próbuje przed nim udawać, że wie, co to jest hotel butikowy, właściwie w ogóle nie zwraca na niego uwagi. W skupieniu patrzy na łukowato zwieńczone okna – jak w zamkach na rysunkach w starych książeczkach z bajkami Chloe.

– Przed remontem dom był w zupełnej rozsypce: dach się zapadał, drewno spróchniałe, okropna instalacja elektryczna. To dowodzi, że w środku nie wszystko jest takie, jak się wydaje na zewnątrz.

– Aha. – Prawie go nie słucha.

– Można powiedzieć, że jak to często bywa, forma przeważała tu nad treścią. – Wyłącza silnik, wyjmuje kluczyk ze stacyjki i zwraca się ku pasażerce. – Nie powinienem o tym mówić, ale kanalizację też mieli do kitu. Wszędzie było pełno, za przeproszeniem, gówna. – Puszczą do niej oko, dając do zrozumienia, że jako miejscowy zna wszystkie tajemnice tego domu. – Niech pani o tym nie zapomina.

„Czy trafiłam we właściwe miejsce?”, zastanawia się Claire, otwierając solidne dębowe drzwi, onieśmielona nieco przybladłym pięknym Bradley Hall. Wchodzi do imponującego holu, ale nikt tam jej nie wita i nic nie świadczy o tym, żeby mieściło się tu coś innego niż bogato umeblowany hotel,

urządzony w dawnej posiadłości wiejskiej. W sportowych butach stąpa bezgłośnie po parkiecie. Mahoniowe schody i zasłony w kwieciste wzory projektu Williama Morrisa robią wrażenie.

– Dzień dobry! – woła niepewnie.

Woła jeszcze raz, coraz bardziej onieśmielona. Jej głos z miękkim dewońskim akcentem brzmi głucho.

Nadal bez odpowiedzi.

Stawia niewielką torbę podrózną na podłodze i szuka w kieszeni dzinsów komórki oraz karteczki, na której zapisała numer. Żołądek ściska jej się jeszcze bardziej, kiedy ktoś odbiera telefon.

– Halo? – Głos po drugiej stronie brzmi konkretnie, pewnie i bez prowincjonalnego akcentu.

– Eeee... Tu Claire Trelawney... Przyjechałam na konkurs, ale nie wiem, czy dobrze trafiłam.

Nienawidzi siebie za brak elokwencji i asertywności. Zauważa, że skrzyżowała nogi. Nic dziwnego, że czuje się niepewnie i nie na swoim miejscu.

– Claaaire! – Ciepły głos brzmi tuż przy jej uchu. – Wspaniale. Czekamy na ciebie. Mówi Cora. Gdzie jesteś? W holu głównym? Bardzo cię przepraszam. Znajdziesz nas w kuchni. Powinna tam wisieć kartka. Widzisz ją?

Kartka formatu A4 z napisem „Konkurs «Nowa Pani Eaden» – tędy” i wielką czarną strzałką wisi przyklejona do włącznika światła.

– Och, przepraszam. Teraz widzę.

– Wspaniale. Idź za strzałką. Trafisz do nas za minutkę.

– Dobrze. – Ulga Claire jest tak wielka, że jej głos brzmi radośnie. Ale Cora już się rozłączyła.

Zerka na kartkę i nieco się uspokaja. Nakreślone czarnym tuszem litery i zamaszysty charakter pisma sprawiają, że sytuacja staje się bardziej realna. Kartka jest tymczasowa, ale mocno przyklejona taśmą klejącą. Ktoś nie chciał ryzykować, że spadnie na podłogę, zostanie zdeptana i zmięta. Jest namacalna, istnieje w rzeczywistości, a nie w świecie marzeń.

Przez ostatnie cztery dni Claire z trudem zachowywała kontrolę nad własnym życiem, chociaż zwykle przychodziło jej to łatwo. Wszystko działa się tak szybko... W czwartek mama zadzwoniła do niej do pracy, co samo w sobie było rzadkością, i zapytała nieswoim głosem, czy mogłyby chwilę porozmawiać, kiedy będzie odbierała Chloe.

– Wszystko w porządku? – Gardło Claire zacisnęło się ze zdenerwowania, ale starała się zachować beztroski ton.

– W porządku, córeczko. W jak najlepszym porządku – zapewniła pospiesznie matka i dodała: – Mam dla ciebie wspaniałe wiadomości.

Okłamała kierowniczkę: powiedziała, że zadzwonili ze szkoły z prośbą, żeby natychmiast odebrała Chloe. Wybiegła z zalanego dokuczliwym sztucznym światłem supermarketu i pospieszyła do mieszkania rodziców, kiedyś komunalnego, teraz wykupionego na własność, przekraczając ograniczenie prędkości swoim rozklekotanym fordem. Angela powitała ją z promieniejącą twarzą i uśmiechem od ucha do ucha.

– Co się stało?

Strach natychmiast opuścił Claire.

– Nic. Przecież mówiłam. Mam fantastyczną nowinę. Obawiam się tylko, że wcale ci się nie spodoba. – Urwała na chwilę. – Wtrąciłam się w twoje sprawy, ale wyłącznie dla twojego dobra.

Ojciec, Bill, również szeroko się uśmiechał.

– Wyduś to wreszcie z siebie, kochanie – ponaglił żonę zniecierpliwiony, a potem uściskał najmłodszą córkę, co nie zdarzało mu się często.

Zachowanie rodziców znów zaczęło ją napawać niepokojem.

– Mamo, na litość boską, chyba nie próbowałaś kontaktować się z Jayem?

Na wzmiankę o nieobecnym ojcu Chloe, którego nieraz usiłowała namówić, żeby zainteresował się swoją córką, Angela na chwilę zamilkła, skonsternowana.

– Z tym nieudacznikiem? Chyba żartujesz! – odpowiedziała z oburzeniem. A potem objęła ramieniem spiętą córkę i wreszcie zdradziła swój wspaniały sekret: – Posłuchaj, córeczko. Sama wiesz, jak dobrze idzie ci pieczenie... Zgłosiliśmy cię więc do konkursu... tego na nową panią Eaden... ogłoszonego przez sieć Eaden i Syn. I wiesz co? Chcą, żebyś wzięła w nim udział!

– Nie rozumiem.

– Wypełniłam zgłoszenie i napisałam, co potrafisz zrobić: rożki z kremem, ptysie, chlebki szafranowe, bułeczki, paszteciki, sardynki zapiekane w cieście po kornwalijsku, torty urodzinowe dla Chloe. No i wysłałam im twoje zdjęcie. Jutro ma rozmawiać z tobą kierownik regionalny. Pewnie chcą sprawdzić, czy potrafisz sklecić pełne zdanie i czy rzeczywiście umiesz piec. A w sobotę masz pojechać do hrabstwa Buckingham na pierwszy etap konkursu. Chcą, żebyś wzięła w nim udział.

Nie wiedziała, czy jest zirytowana, czy po prostu nie wierzy własnym uszom. Stała w ciasnej kuchni rodziców, zaciskając palce na brzegu wyszczerbionego, pokrytego laminatem blatu, jakby z trudem utrzymywała równowagę, i nagle poczuła, że zalewa ją fala adrenaliny.

– Ale co z Chloe? I z pracą? Nie mogę tak po prostu pojechać na jakiś konkurs. Nie mam się w co ubrać, brakuje mi pieniędzy...

– Coś poradzimy. – Tata, jak zwykle niezawodny, nie posiadał się z dumy.

– Oczywiście, że coś poradzimy – zawtórowała mu Angela.

Eaden i Syn pokryją wydatki, włącznie z kosztami podróży pociągiem i taksówką, rodzice zaś zajmą się Chloe podczas każdej z sześciu rund konkursu.

– A praca? Nie mogę stracić posady.

– Zamienisz się z kimś na sobotniej zmianie, a Cora, ta pani, z którą rozmawiałam, ma pogadać z twoim kierownictwem. W ich interesie leży, żeby mieć pracownicę celebrytkę i „konsultantkę kulinarną”. – Angela najwyraźniej wszystko już sobie zaplanowała, dając się nieco ponieść wyobraźni.

– Co takiego złego może się zdarzyć? – zapytał Bill ze śmiechem.

– Mogę stracić pracę. Przestaną zarabiać. Będę jeszcze biedniejsza. – Ogarnęła ją narastająca panika.

– Córeczko. – Mama pokręciła głową, dziwiąc się, jak rozsądne jest jej najmłodsze dziecko, jak szybko życie zmusiło je do tego. – Jeśli wygrasz ten konkurs, świat stanie przed tobą otworem. Zostaniesz ich najcenniejszą pracownicą. Pewnie zrobią cię kierowniczką działu piekarniczego! Będziesz rozrywana.

To było cztery dni temu. Teraz, w zimny sobotni poranek, po podróży pociągiem, który o szóstej pięćdziesiąt dwie wyruszył ze stacji Paddington, trudno jest jej podzielać brawurowy optymizm rodziców. Wiedziała jednak, że musi wykazać się pewną dozą tupetu, musi znów stać się tamtą zadziorną siedemnastolatką, która wierzyła, że zawojuje świat sztuki kulinarnej. To jest jej szansa. Szansa, żeby zrobić coś ciekawego ze swoim życiem, wyrwać się z marazmu pracy przy kasie, dać Chloe lepszą przyszłość... To jest szansa, żeby dłużej nie żyć w strachu, zyskać przyszłość, która nie będzie walką o przetrwanie za pensję niewiele wyższą od minimalnej, i cieszyć się teraźniejszością bez kłopotów finansowych. Wreszcie może śmiało unieść głowę i zacząć marzyć – tylko nie wie, czy jeszcze pamięta, jak się to robi.

Otwiera wahadłowe drzwi i podąża za strzałkami na kartkach formatu A4 z napisem „Kuchnia konkursowa”. Zagląda przez szybę w drzwiach i widzi olbrzymie pomieszczenie z pięcioma stanowiskami pracy, a w przeciwnym końcu sali coś, co wygląda jak stół sędziowski.

Kuchnia, mimo że obszerna, wydaje się jej przytulna. Pastelowe chorągiewki zdobią ściany, staromodne patery stoją na dębowych blatach, cztery lodówki w kremowym kolorze trzymają wartość w rogach. Białe marcowe słońce wpada przez okna, na których stoją doniczki z ziołami: rozmaryn, płaskolistna pietruszka, bazylija i tymianek. Halogenowe reflektorki rzucają jasne smugi światła.

Drzwi w przeciwnym końcu pomieszczenia otwierają się i ku jej przerażeniu wchodzi przez nie

rzędem kilka osób. Claire widzi swoich konkurentów: pulchną matronę, zamożną elegantkę, atrakcyjną młodą mamę, faceta w średnim wieku, starającego się ukryć zdenerwowanie. Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo się spóźniła. Wolała złapać poranny pociąg, niż wyjechać wieczorem i zostawić Chloe, a teraz czuje, że już na wstępie straciła kilka punktów. Zacerpnęła głęboko powietrza. „Dasz radę – powtarza sobie, choć nie bardzo w to wierzy. – Jestem równie dobra jak oni. Wygrana może być moja” – dodaje w duchu z wymuszoną brawurą.

– Claire! – Stojąca na środku kuchni elegancka kobieta w średnim wieku wita ją mocnym, pewnym siebie głosem. – Dobrze, że już jesteś.

Wszyscy odwracają się i patrzą na nią.

– Jestem Harriet Strong, będę jurorką w naszym konkursie. A to jest Dan Keller, również sędzia.

Kobieta podchodzi do niej i wyciąga rękę, na której połyskuje antyczny pierścionek z dużym oczkiem. Claire czuje, jak wbija się w jej palce.

– Bardzo mi miło – duka.

Harriet odpowiada krótkim skinieniem głowy i wraca na przód kuchni. Uśmiecha się, strzepuje jakiś mikroskopijny pyłek z bluzki i czeka, aż wszyscy skupią na niej uwagę.

– Witamy na pierwszej edycji konkursu „Nowa Pani Eaden”! – zaczyna.

Po kuchni przebiega nerwowy śmiech.

– Oto mistrzyni pieczenia, której będziecie się starali dorównać. – Gestem wskazuje na duże czarno-białe zdjęcie.

Claire natychmiast ją rozpoznaje. Ta sama twarz uśmiecha się do klientów w każdym dziale piekarniczym sklepów Eaden i Syn i z zastawy stołowej, zielononiebieskiej w kropki, stanowiącej część całej serii wyrobów sygnowanych jej imieniem. Mimo to zaskakuje ją dystyngowany wygląd Kathleen. Nic z rock and rolla. Ma na sobie wąską spódnicę i tweedowy żakiet. A przecież żyła w szalonych latach sześćdziesiątych. Może tego nie zauważyła.

– Zdjęcie zrobiono w 1963 roku, dwa lata po ślubie Kathleen z George’em – tłumaczy Harriet. – Pani Eaden stała się cennym nabytkiem dla firmy. Jak na pewno wiecie, kiedy firma w roku 1967 została sprzedana korporacji Marshall Group, z kilku sklepików ojca George’a rozrosła się do dwustu ośmiu supermarketów w całym kraju. Kathleen odegrała kluczową rolę w tym sukcesie. Uosabiała wszystko, do czego dążyli klienci Eadena: piękno, elegancję i wyrafinowanie. Kobiety za nią przepadały. Zapoznała je z nowymi składnikami, ale robiła to z wyczuciem: przekonywała, że potrafią upiec coś wspaniałego, i zapewniała przepisy, które to umożliwiły. Pisała konkretnie, ale umiała też żartować. Jak jej rówieśnik z „Sunday Times” Robert Carrier uwielbiała pisać o gotowaniu. Nie znajdziemy u niej przerostu formy nad treścią. Styl jej pieczenia jest jednocześnie prosty, ale też wykwintny. – Harriet się uśmiecha. – Tak więc stawiamy wysokie wymagania, a osoba, która zdobędzie tytuł i kontrakt, musi im sprostać. Musi być w kuchni równie perfekcyjna jak Kathleen Eaden.

Zapada cisza. „Cholera – myśli Claire. – Nie dam rady. Co też mama sobie wyobrażała? Wszyscy tu są ode mnie starsi, mają większe doświadczenie i bardziej przypominają Kathleen niż ja”. Głęboko oddycha i choć do oczu napływają jej łzy, czyta pierwszy przepis na laminowanej kartce: biszkopt królowej Wiktorii. Przeciera oczy. Słowa nadal tam są. Nie przywidziało jej się. Biszkopt królowej Wiktorii. Najłatwiejsze ciasto pod słońcem. Coś, co jej córka Chloe potrafi już zrobić samodzielnie. Dziecinna igraszka. Więc Claire zaczyna piec, z dziecinną radością, niczym Chloe.

Jest wpół do jedenastej, w kuchni panuje cichy gwar pełnej skupienia pracy. Pięcioro ludzi koncentruje się na jednym zadaniu. Jenny, ku własnemu zdumieniu, działa z drobiazgową dokładnością. Mogłaby upiec to ciasto z zamkniętymi oczami – w życiu robiła je już ponad sto razy – ale precyzyjnie odważa wszystkie składniki. Żółty drobny cukier, samorosnąca mąka – dwa razy przesiana przez wysoko trzymane sitko – proszek do pieczenia i jasne niesolone masło: każdy składnik traktuje tak, jakby był to nielegalny narkotyk lub potencjalnie niebezpieczny dla życia lek. O gram za dużo? Nie będzie ryzykować.

Usuwa zbędną szczyptę mąki.

Wie oczywiście, że w procesie pieczenia bardzo ważna jest dokładność: zbyt dużo środka spulchniającego, za mało powietrza, za długie mieszanie ciasta, za zimne składniki, za gorący piec, zbyt długi czas w piekarniku – każdy z tych czynników może zmienić perfekcyjny biszkopt w płaską, suchą lub ociekającą tłuszczem karykaturę tego przysmaku, idealnego na ogrodowe przyjęcia. Mimo wszystko jej staranność jest przesadna. Ręka, w której trzyma przepis, drży z przejęcia i Jenny wie, że tak gorliwe odmierzenie składników ma jej pomóc się uspokoić. Powinno też odgonić inne natrętne myśli.

W brzuchu jej burczy ze zdenerwowania nie tylko dlatego, że konkurs nabrał dla niej wielkiego znaczenia, ale również przez brutalne słowa Nigela, które usłyszała poprzedniego wieczoru. Nie potrafi pogodzić obrazu męża, jakiego do tej pory znała: łagodnego mężczyzny, ojca jej dzieci i towarzysza życia od dwudziestu pięciu lat – z kimś zdolnym do takiego szyderstwa. A może to nieprawda? Zawsze zdawała sobie sprawę, że potrafi być bezwzględny, ale ta bezwzględność nigdy wcześniej nie była skierowana przeciwko niej. Przytyki i kąśliwe uwagi rezerwował dla symulujących pacjentów i zawsze łagodził je śmiechem. Teraz zaś to ona znalazła się na linii strzału, a śmiech gdzieś zniknął.

To się zdarzyło w kuchni, bo gdzież by indziej. Właśnie wyjęła z piekarnika świeżą partię muffinów z jagodami i rozerwała jeden z nich: żeby niby sprawdzić, czy maślanka i soda dodały mu pulchności, a tak naprawdę żeby pochłonąć ciepłe, wilgotne, lepkie od jagód ciasto. Nigel, ubrany w obcisły sportowy strój z lycry, wpadł do kuchni po szesnastokilometrowym biegu. Podmuch mroźnego powietrza zawirował w dusznym pomieszczeniu, kiedy gwałtownie otworzyły się drzwi. Pomimo panującej na zewnątrz minusowej temperatury mąż nie był przemarznięty, biła od niego radość. Nadal przystojna twarz nabrała rumieńców, bluzę znaczyły plamy potu, oddychał płytko i szybko. Wcale nie wyglądał śmiesznie, jak typowy facet w średnim wieku próbujący desperacko zatrzymać młodość. Właściwie Jenny uznała, że sylwetkę ma lepszą niż trzydzieści lat wcześniej: w młodości sflaczała od godzin spędzanych nad podręcznikami, teraz była szczupła i sprężysta.

Stał w kuchni, głośno sapiąc, i przypominał dzikie zwierzę: nie geparda – to byłoby zbyt pochlebne porównanie – ale raczej lisa lub wilka. „Tak”, pomyślała rozbawiona. Ciemne, przylizane od potu włosy poprządkane siwizną i owłosione nogi zdecydowanie upodabniały go do wilka.

Nagle zwrócił się do niej napastliwie:

– Znowu coś pieczesz?

Kiedyś zadałby to pytanie z czułym rozbawieniem, ale tym razem zabrzmiało jak warknięcie.

– Nie sądzisz, że mogłabyś trochę przystopować? Dochodzi dziesiąta wieczór. Chyba nawet ty nie musisz teraz piec.

Odczuła to jak uderzenie pięścią w brzuch. Miała ochotę odparować, że również on nie musi uprawiać swojego hobby o tak nietypowej porze, ale milczała i patrzyła, jak łapczywie i głośno pije wodę z butelki, wprawiając grdykę w miarowy ruch. Trochę płynu wytrysnęło na kamienną podłogę.

– Ćwiczę przed jutrzejszym konkursem – usprawiedliwiła się, sięgając po ścierkę. Pochyliła się i wytarła niewielką kałużę, tłumiąc gniew. – Po prostu chciałam udoskonalić przepis.

– Wpadasz w jakąś obsesję – atakował dalej. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie czuje potrzeby, żeby ciągle kucharzyć tak jak ty. To na pewno nie wychodzi ci na zdrowie.

– Moje zdrowie na tym nie cierpi – odrzekła ostro, chcąc uprzedzić niewypowiedziane słowa krytyki. Tym razem na próżno.

– Nieprawda, Jen. Twoje BMI pewnie już świadczy o otyłości. Robisz się... Nie, już jesteś grubasem, moja droga.

Słowo to odbiło się rykoszetem od ścian kuchni. Jeszcze nigdy jej tak nie nazwał. Puszysta, krągła, ponętna – określał ją takimi eufemizmami, kiedy zwracała się do niego o wsparcie. Ostatnio jednak oboje unikali jakiegokolwiek wzmianki o jej rosnących wymiarach. Teraz ta niepisana umowa została zerwana.

Łzy napłynęły jej do bladoniebieskich oczu. Spojrzała mu prosto w twarz, szukając potwierdzenia,

że to był tylko żart. Napotkała zimne i cyniczne spojrzenie.

– Jen, mówię poważnie. – Jego głos brzmiał zasadniczo i szczerze. – Musisz wziąć się w garść. Ten konkurs kucharski to jakieś dziwactwo. Nikt nie powinien się obżerać plackami, tortami i ciastkami. A już najbardziej ty. – Nie dość, że wbił jej nóż w serce, to teraz jeszcze obracał go w ranie. Sięgając do lodówki po sok jabłkowy, ciągnął: – Nie zaszkodziłoby ci też trochę ruchu. Gdybym był twoim lekarzem pierwszego kontaktu, zaleciłbym ci regularne ćwiczenia fizyczne i ostrą dietę.

– W takim razie dobrze, że nim nie jesteś – zripostowała niemal sykiem.

– Zgadzam się. Widziałbym w tobie tylko kogoś, kto marnuje fundusze publicznej służby zdrowia – odpalił.

Szukała w jego tonie chociaż jednej żartobliwej nuty, ale niczego takiego w nim nie było. Uniósł krytycznie brew i patrzył na nią oschle.

– Kładę się spać – oznajmił, a ona została w kuchni jak zwykle sama.

Niczym na autopilocie wytarła blaty, zdjęła z ażurowej podstawki muffiny i schowała je do pudełka, a potem niespiesznie i celowo wzięła niedojedzoną połówkę babeczki i wsunęła sobie do ust.

Nawet to nie przyniosło pocieszenia. Miękkie okruchy uwięzły jej w gardle i musiała je wypluć do zlewu, krztusząc się i kaszląc. Trzymając się chłodnej ceramicznej krawędzi, pozwoliła sobie na łyż. Płakała z żalu nad sobą, nad utraconym małżeństwem i własnym ja.

Teraz czuje się pusta. Opuchlizna wokół oczu zmaląła, zamaskowana podkładem i lekką błękitną kreską na powiekach, ale zostało wrażenie, że stało się coś nieodwracalnego. Nie może wyrzucić z głowy fragmentu wiersza, zapamiętanego podczas jakiegoś testu egzaminacyjnego pod koniec szkoły średniej: „Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze...”. Kto to napisał? Nazwisko poety – niezbyt użyteczne po egzaminie i całkiem nieprzydatne, kiedy zaczęła pracować jako pielęgniarka – cały czas jej umyka, ale słowa powracają jak mantra, kiedy uciera tłuszcz z cukrem. Co będzie, jak masa się zwarzy, kiedy doda do niej zbyt chłodne jajka? Ciasto nadal będzie do zaakceptowania, ale nie wyrośnie tak dobrze; nie będzie spełniać wszystkich wymogów. To prozaiczna analogia, ale wydaje jej się trafiona: z zaciśniętym ze stresu żołądkiem zastanawia się, czy tak samo będzie z jej małżeństwem.

Kiedy dziś rano jechała tu pociągiem, wydawało jej się jasne, że ma wybór. Może postąpić zgodnie z życzeniem Nigela: wycofać się z konkursu jeszcze przed startem, zrezygnować z pieczenia i zacząć się głodzić, zostać szczupłą, zdrowo wyglądającą żoną, jaką bez wątpienia chciałby mieć, może nawet zacząć uprawiać jakiś sport – chociaż myśl o bieganiu wydawała jej się śmieszna. Pewnie wybrałaby coś spokojniejszego, na przykład golf. Może też ciągnąć to, co zaczęła: piec jak szalona, piec z pasją, znaleźć ujście dla swojej kreatywności, którą ktoś doceni i nagrodzi. A potem, na koniec trzymiesięcznych zawodów zdejmie klapki z oczu, wejdzie na wagę i wróci do roli żony – chociaż jej małżeństwo właśnie się rozpada. Tak przedstawiony wybór wydaje się łatwy, a ten etap konkursu – prosty biszkopt – nabiera nieproporcjonalnego znaczenia. Po blisko trzech dekadach dogadzania innym ma szansę zrobić coś dla siebie. Może zabłysnąć tym, co umie, i równocześnie określić się na nowo. Myśl o tym wprawia ją w podniecenie. Nie musi być korpulentną kucharką, wesołą grubaską wśród innych zawodników – chociaż zdaje sobie sprawę, że Eaden i Syn obsadzili ją właśnie w takiej roli. Mogłaby nawet poprosić, żeby używali zdrobnienia Jenny, jak nazywano ją w dzieciństwie, zamiast dostojnej wersji Jennifer. Być może uda się jej jeszcze raz być przez jakiś czas małą szczęśliwą Jenny.

Skupia się na cieście. Pomarańczowe dorodne żółtka wpadają do miski, gdzie szybko je ubija i dodaje do masy z tłuszczu i cukru. Mąka samorosnąca z dodatkową porcją proszku do pieczenia zostaje przesiana trzydzieści centymetrów nad miską i delikatnie połączona z resztą składników. Dodatek mleka sprawia, że masa staje się jeszcze bardziej wilgotna. Delikatnie pomagając sobie szpatułką, przelewa rzadkie ciasto z miski do wyłożonych natłuszczonym papierem tortownic, aż nazbyt starannie sprawdzając, czy równo się rozkłada. Dla pewności waży napełnione formy. Wierzch wygładza płaskim nożem i ustawia tortownice jedna obok drugiej w środku piekarnika. Teraz trzeba poczekać, aż zaczną się

alchemia pieczenia.

Jest godzina jedenasta i Karen, wstawiwszy swoje ciasto do pieca, obserwuje pozostałych zawodników. Vicki miesza, dodaje, uciera i ubija, jakby wykonywała jakiś elegancki dworski taniec. Claire pracuje z precyzją; jej ruchy są szybkie i oszczędne, nie ma czasu na zabawę. Jennifer wydaje się nadmiernie spięta, a Mike nonszalancko ignoruje instrukcje – jakby miał w życiu za wiele zmartwień, żeby się przejmować ciastem. Harriet cały czas biega między zawodnikami, jej kolega Dan zaś przechadza się spokojnie, z chłodną pewnością siebie przystojnego mężczyzny po trzydziestce, który ma świat u swoich stóp.

Karen napawa się jego widokiem. Gęste, ciemne kręcone włosy, kształtna głowa, bystre i szczere oczy za hipsterskimi okularami, linia szczęki i kości policzkowe śmiało zarysowane. Kojarzy jej się z Adoniszem wyrwanym z jakiegoś śródziemnomorskiego lasu i przeniesionym w najbardziej pospolite miejsce: do kuchni. Oliwkowa gładka cera promieniuje zdrowiem, pełne usta wydymają się, jakby do pocałunku. Ale to jego ciało sprawia, że kojarzy jej się z greckimi bogami: twarde mięśnie klatki piersiowej rysują się pod bawełnianą koszulą, rozpiętą o jeden guzik za nisko, szerokie ramiona podkreślają wąskość talii, a imponujący wzrost i umięśnione nogi są godne olimpijskiego wioślarza.

W późniejszym wieku może przybrać na wadze, jeśli będzie jadł zbyt dużo chleba, makaronów i ciast, na których, jak twierdzi, się wychował. Karen podejrzewa jednak, że jest zbyt narcystyczny – i wyrachowany – żeby ulec takim pokusom. Jego książka kucharska osiągnęła przed Gwiazdką trzecie miejsce na listach bestsellerów literatury typu non fiction, ale on na pewno zdaje sobie sprawę, że czytelnicy bardziej pragną jego widoku niż jego przepisów. Należy bowiem do nielicznych ludzi obdarzonych prawdziwą charyzmą. Fascynujący, niebezpieczny i nieosiągalny.

A może jednak? Karen niemal automatycznie szacuje każdą poznaną osobę. Zostało jej to z dzieciństwa, kiedy wytworzyła się u niej instynktowna potrzeba oceny konkurencji: była to pierwsza rzecz, którą robiła po wejściu do pokoju. I ten instynkt, pielęgnowany przez ponad czterdzieści lat, rzadko ją zawodził. Teraz wyczuła niebezpieczeństwo: niebezpieczeństwo flirtu – i możliwego uwiedzenia. Patrzy, jak Dan pewnym sprężystym krokiem podchodzi do jej stanowiska pracy, i czeka, aż ich spojrzenia się spotkają. Jego oczy patrzą ciepło, usta rozciągają się w uśmiechu.

– Dzień dobry.

Karen czuje wyraźny dreszcz. „O kurde, kurde, kurde, kurde”.

– Dzień dobry – odpowiada raczej uprzejmie niż zalotnie, ale odchyła głowę w wyzywającej pozie.

– Jak idzie?

Pytanie brzmi dziwacznie, bez związku z sytuacją. O co właściwie mu chodzi? Jego fizyczne piękno ją onieśmiela i zbija z tropu.

– Jak idzie praca przy biszkopcie? – powtarza i uśmiecha się zachęcająco.

– Aaa. – Przecież nie mogła myśleć o czymś innym. – Doskonale, przynajmniej taką mam nadzieję. Poczekamy, zobaczymy – paple gorączkowo. A przecież nie zdarza jej się paplać. „Weźmie mnie za idiotkę – myśli przerażona. – Muszę się ogarnąć”.

– Powinniście już wyjmować ciasta z pieca! – Głos Harriet unosi się nad gwarem panującym w kuchni i wybawia ją z opresji.

Biszkopcy, ostrożnie wyjęte z wyłożonych papierem tortownic, szybko lądują na podstawkach, gdzie mają ostygnąć.

– Zostało pięć minut.

Zawodnicy dopieszczają swoje dzieła, płaskimi ogrzаныmi nożami rozsmarowując dżem malinowy na biszkopcie. Jennifer chciałaby dodać krem maślany lub zamienić dżem na bitą śmietanę i posypane cukrem świeże maliny, ale docenia prostotę. Claire krzywi się, posypując swoje ciasto drobnym cukrem, ponieważ jest ono niższe od innych.

– I... odkładamy sprzęty.

Głośny okrzyk rozdziera powietrze. Vicki łapie się za głowę sparaliżowana z przerażenia. Jej ciasto spadło z blatu wierzchem na dół. Cukier posypał się na podłogę, dżem wycieka pomiędzy dwóch warstw biszkoptu.

– Nic się nie stało. Nic się nie stało. – Czerwona na twarzy i bliska łez gorączkowo daje znaki innym, żeby nie zwracali na nią uwagi. – Chciałam je tylko przełożyć na ładniejszy talerz.

Schyla się, żeby podnieść zrujnowany wypiek, i przy okazji łamie go na dwie części. Zaczyna szlochać, głośno, brzydko i z niedowierzaniem.

– Biedactwo – szepcze Jennifer.

W głębi kuchni Claire głośno wypuszcza powietrze.



## Kathleen

Kiedy to się stało pierwszy raz, ledwo zdążyła uwierzyć, że jest w ciąży. Trzymała sekret ukryty głęboko w sobie, nie będąc w stanie nikomu o tym powiedzieć, a zwłaszcza George'owi, żeby nie robić mu fałszywej nadziei. Przez niemal miesiąc, kiedy piekła, pisała i otwierała supermarkety, chodziła ze świadomością, że chowa w zanadrzu wspaniałą nowinę, i już nie mogła się doczekać, kiedy się nią podzieli. Piersi stały się wrażliwsze, a kiedy uważnie się sobie przyglądała, wydawało jej się, że brzuch lekko się zaokrąglił.

Potem była zadowolona, że nie wykrzyczała swojej radości na wszystkie strony świata; nawet nie wspomniała o niej szeptem. Pomogło jej to przekonać siebie samą, że to być może tylko spóźniona miesiączka z powodu stresu związanego z pisaniem felietonu. Miesiączka spóźniona o cztery tygodnie...

Prawie nie czuła bólu, co zdezorientowało ją jeszcze bardziej. Bo ilość krwi bardzo ją zaskoczyła.

*Battenburg wydaje się dość trudny do zrobienia, ale zapewniam was, że jest wart wysiłku. Niewiele wypieków gwarantuje uśmiech na twarzy. Battenburg to ciasto jednocześnie odświeżne i frywolne. Nikt nie będzie wątpił, że wymagało wielkiej staranności i wysiłku. Taki specjał pieczemy dla kogoś, kogo kochamy.*

Kiedy Harriet podchodzi do Vicki, żeby jej wyjaśnić, jak się robi ciasto battenburg, jej rady są zupełnie niepotrzebne. Spodziewała się, że może to być właśnie to ciasto. To ono zapoczątkowało jej obsesję na punkcie pieczenia, żeby zyskać uznanie w oczach innych.

A wszystko zaczęło się oczywiście od jej matki. Postanowiła upiec battenburg na czterdzieste urodziny Frances. Sama miała wtedy trzynaście lat. Niedorzecznie ambitna decyzja dla nastolatki. Ale przecież Vicki była nieodrodną córką swojej rodzicielki. „Wysłała ambicję z moim mlekiem”, żartowała często Frances, a jej przyjaciółki wybuchały skrzepowanym nieszczerym śmiechem.

Jako mała dziewczynka przepadała za battenburgiem kupowanym w sklepie. Palcami lepkimi od dżemu oddzielała od siebie kolorowe kwadraciki ciasta, nienaturalnie różowe i cytrynowożółte, rozwijała słodką marcepanową otoczkę niczym delikatną wstążkę. Ostrożnie odgryzała małe kawałki z kwadracików, wyobrażając sobie, że jest księżniczką z bajki. Potem rozkoszowała się marcepanową wstążką, zwijała ją ciasno i znów rozwijała, odrywała od niej niewielkie części, które rozpląwały się na języku.

Rzadko jadała to ciasto, tylko jako elegancki poczęstunek. Bo Frances nie kupowała córce słodczy, chociaż czasami pozwalała jej na ciastka owsiane z ciemną melasą, nie ze złotym syropem, czy brownie z mączką karobową zamiast czekolady, nabywane w pobliskim sklepie z żywnością ekologiczną – ciężkie od grubo mielonej mąki, suche od orzechów włoskich i rozczarowujące w smaku, niemającym wiele wspólnego z czekoladą. Battenburga zdarzało jej się próbować u najlepszej przyjaciółki, Nicoli, czyli Nicky. W ciepłej jej kuchni lub w głębi ogrodu rozdzielały części mozaikowego ciasta i układały je na miniaturowych talerzykach, urządzając bajkową herbatkę dla lalek. Oczywiście jako trzynastolatka już od dawna nie bawiła się lalkami, ale nadal kojarzyła battenburg z zabawą, świętem i czymś trochę zakazanym. Tak więc, wspierana przez Nicky, postanowiła upiec go na czterdzieste urodziny mamy.

Na krótką chwilę ogarnęły ją wątpliwości.

– A może wolałaby ciasto marchewkowe? – zapytała przyjaciółkę. – Nigdy nie widziałam, żeby jadła battenburga ani w ogóle coś tak różowego.

– Nie bądź głupia – zganiła ją Nicky. – Nie piecze się komuś ciasta marchewkowego na czterdzieste urodziny! Przecież chyba nie jest królikiem.

Zignorowała wątpliwości, tłumiąc je wybuchem śmiechu.

Z pomocą matki Nicky znalazły przepis i spędziły pracowite popołudnie, produkując ciastoszachownicę. Różowe kwadraty były ostro różowe, a cytrynowe – agresywnie żółte. Ciasto zwęzało się lekko z jednego końca, gdzie niezbyt precyzyjnie ułożyły kolorowe pasy, a w środku miało niewielkie wybrzuszenie. Mimo to mała Vicki próbowała zachować optymizm.

– Myślicie, że jej się spodoba? – pytała Nicky i jej matkę, obgryzając paznokcie i skórki wokół niego tak głęboko, że sączyła się z nich słonawa krew.

– Będzie zachwycona! Ciasto wyszło fantastycznie. No i zrobiłaś je specjalnie dla niej.

Następnego ranka, w dzień urodzin, zaprezentowała je matce wraz z jej zwykłym śniadaniem, składającym się z połowy grejpfruta i filiżanki czarnej herbaty earl grey z plasterkiem cytryny.

Początkowo zamierzała je zachować na podwieczorek, ale niecierpliwość wzięła górę.

Frances, której niezbyt odpowiadało zjedzenie śniadania w łóżku – zwykle wstawała o szóstej trzydziści – roześmiała się z niedowierzaniem.

– Och, kochanie! Sama to upiekłaś?

– Tak.

Policzki Vicki zaczerwieniły się z radości. Już nie była trzynastolatką, znów miała osiem, siedem, sześć lat. Wracała do domu ze szkoły, przynosząc kartki urodzinowe, pełne miłości listy, życzenia na Dzień Matki dla Frances. Jej pismo bywało mniej lub bardziej niezdarne, ale wyrażone uczucia zawsze te same: wołanie o miłość i uwagę.

– Sama nie wiem, co powiedzieć!

Frances obejrzała ciasto z każdej strony, unosząc lewą brew z udawanym przerażeniem. „Powiedz, że jest śliczne”, zaklinała ją w duchu córka, boleśnie świadoma, że matka nie powinna tak reagować.

– Bardzo interesujące. Jakie żywe kolory! Specjalnie się starałaś, żeby robiły takie psychodeliczne wrażenie? – Roześmiała się dźwięcznie.

Vicki poczerwieniała jeszcze mocniej.

– Wcale nie chciałam, żeby były psycho... takie jaskrawe – próbowała się tłumaczyć, a głos wiązał jej w gardle. – Chciałam, żeby było pyszne.

– I na pewno takie jest – przerwała jej Frances w samą porę.

Minęło dwadzieścia lat, a Vicki wciąż pamiętała ulgę na dźwięk tych słów – i wstyd, kiedy matka po chwili zniweczyła krzepiący efekt swoich słów.

– Chcesz spróbować? – zapytała przez chwilę znów radosna Vicki.

– Nie teraz, kochanie. – W głosie matki słychać było obawę. – Może później, przy podwieczorku. I tylko mały kawałek. Nie jestem pewna, czy tyle sztucznych barwników komukolwiek wyszłoby na zdrowie.

Teraz w kuchni Bradley Hall Vicki czuje, że ma szansę naprawić tamtą krzywdę. Upiecze battenburg, który nikogo nie odstraszy barwą i zyska dla niej uznanie i akceptację, których szukała od dwudziestu lat. Zaczyna piec z determinacją, jakiej jej wcześniej brakowało. Zrobi najwspanialszy battenburg i zaskoczy nie tylko sędziów, ale co ważniejsze: własną matkę.

Minęło dwadzieścia minut, a Claire, pamiętając o swoim niedokończonym kursie cateringu, nadal przekonuje siebie, że potrafi to zrobić: wlać różnokolorowe masy do osobnych części formy i ułożyć je tak wprawnie, żeby powstała z nich szachownica. Z natury jest schludna i precyzyjna: włosy koloru herbaty z mlekiem związała na czubku głowy w koński ogon, troczki fartucha ujęła w podwójny supeł, specjalnie na tę okazję kupiła nowe adidas i uprasowała obcisłe dzinsy. Ręce jej drżą, kiedy zagina folię pokrytą pergaminem równo w połowie, a potem tworzy czterocentymetrowe zakładki, mające oddzielić kolory ciasta. Nie ma dla siebie pobłażania. „Weź się w garść. Wiesz, że dasz radę”, upomina się w myślach.

Ręce nadal jej drżą. Wyobraża sobie twarz córki – miękkie brązowe włosy, wielkie śliczne oczy, które nadal patrzą na nią z taką samą ufnością jak w niemowlęctwie. Ten widok ją uspokaja. „Musisz to zrobić – dla Chloe. Nie masz wyboru”, myśli.

Karen również stara się skupić na przepisie, który pozwoli jej wykazać się dokładnością czy wręcz perfekcjonizmem. Nadal wyraźnie czuje bliskość Dana krążącego między stanowiskami zawodników, wysokiej postaci o szerokich ramionach i uderzająco niebieskich oczach. Stara się wyrzucić go ze świadomości, wyobrażając sobie Livy, swoją córkę, która w wieku piętnastu lat jest już piękną, albo nawet Jake’a.

Nie, lepiej nie myśleć o Jake’u. Przestała go rozumieć, tego chłopca-mężczyznę, którego sama urodziła i którego okrucieństwo ją niepokoi. A może aż nazbyt dobrze go rozumie? Tłumi budzący się strach. Czy zmiana w jego zachowaniu to tylko skutek burzy hormonalnej, czy może jego szyderstwa mają

inną przyczynę? „Nikogo nie oszukasz, mamuśka”. Czyżby ich widział? A jeśli wie, to czy ją wyda? Czy powiedział coś Oliverowi?

Pieczenie – a ściśle mówiąc, udział w konkursie, który ma potwierdzić jej umiejętności – jest sposobem na pozbycie się tych lęków. Karen musi określić się na nowo: zdobyć nowe hobby, bliższe macierzyństwu niż głodzenie się, fanatyczne uprawianie sportów, wpadanie w obsesję na punkcie starzejącego się, brzydzącego ciała. W chwilach największej samotności, a przeżywa ich bardzo wiele, wyobraża sobie, że staje się złą królową, a jej córka – Królowną Śnieżką. Albo panią Robinson dla kolegów Jake’a. Tak czy owak, boi się, że przynosi wstyd swoim dzieciom.

Piecze więc: ubija, uciera, miesza i dopieszcza, waży, odmierza i ocenia. Waga cyfrowa i termometr cukierniczy pozwalają jej na precyzję, ale nic nie zrównoważy tego, że nigdy nie próbuje swoich wypieków. Jest jednak kompetentna i pewna siebie, zdeterminowana i potencjalnie bezwzględna. Wkłada całą energię w to ciasto, jakby było najważniejszą rzeczą na świecie. I w tej chwili, w ten ponury marcowy poranek rzeczywiście takie jest.

Minęła godzina i zawodnicy przechodzą do fazy wymagającej umiejętności technicznych. Pasy różowego i złotego biszkoptu trzeba posmarować kremem maślanym i ułożyć tak, żeby utworzyły szachownicę. Biały marcepan należy rozwałkować na owalny placek i owinać nim posmarowane kremem ciasto jak drogi prezent. Pięć battenburgów stoi przed zawodnikami. Niektóre mają regularny kształt, inne są wyraźnie nierówne, w jednym szachownica wyszła krzywo. Królowa Wiktoria – dla której wnuczki wymyślono to ciasto – chyba nie byłaby rozbawiona, pani Eaden pewnie by się przeraziła, ale w kuchni Bradley Hall panuje atmosfera zadowolenia z osiągniętego celu – i ulga, że to już koniec etapu.

– I... odkładamy sprzęty! – Głos Dana, głęboki i melodyjny, unosi się w powietrzu i wszyscy zawodnicy kończą pracę.

Pięć złocistych ciast na białych paterach zostaje ustawionych na długim stole na przodzie kuchni, gdzie za chwilę zostaną przekrojone. Vicki pozwala sobie na przelotny uśmiech i odgarnia włosy za uszy. Nawet z daleka jej dzieło wygląda jak pewny kandydat do zwycięstwa: zgrabne, pulchne, majestatyczne. Cięcie odsłania perfekcyjną złoto-różową szachownicę – szczyt kiczu, ale jakże smakowity i nęcący. Sędziowie są zgodni.

– Samo ciasto jest doskonałe – oznajmia Harriet i zlizuje wilgotny okruszek, który przywarł do jej uszminkowanej wargi. – Mamy więc w tym tygodniu dwie zwyciężczynie. Będą musiały pokazać się na YouTube. Są to Jennifer, za biszkopt królowej Wiktorii, i Vicki.

Słyszac tak korzystny werdykt, na który czekała dwadzieścia lat, Vicki nie umie powstrzymać szerokiego uśmiechu. „Doskonałe. Uznali, że moje ciasto jest doskonałe”. Uśmiecha się jeszcze szerzej, chociaż obawia się, że wygląda idiotycznie. W końcu otrzymała ocenę, której tak potrzebuje.

# Ciasteczka



*Domowe ciastko to piękna rzecz. Lekkie i efemeryczne, słodkie i maślane, powinno rozplýwać się na języku i budzić apetyt na więcej.*

*Nasi amerykańscy pobratymcy jadają miękkie okrągłe placuszki nabijane kawałkami czekolady, które mogą kusić małe dzieci. Ale najlepsze ciastka są o wiele delikatniejsze. Dzięki pięknie zakręconym kruchym rurkom brandy snaps, gwiazdkom kawowym, makaronikom malinowym czy rozplýwającym się w ustach markizom nawet przeciętna gospodyni może wyczarować wyrafinowany i elegancki poczęstunek, którym zachwyci gości zaproszonych na poranną kawę i wprawi ich w osłupienie swoimi umiejętnościami.*

*Zasady są proste. Nie należy zagniatać ciasta zbyt długo i uważać, żeby nie przesadzić z mąką: ciasto nie będzie się kleiło, ale ciasteczka nie będą już takie delikatne. Robiąc ciasteczka zawijane lub wykrawane, pamiętaj, że surowe ciasto musi odpocząć w lodówce co najmniej pół godziny. Niektóre rodzaje ciastek wymagają dłuższego chłodzenia. Najlepsze są proste przyprawy: trochę startej skórki pomarańczowej lub cytrynowej, mielony cynamon lub imbir, mielone migdały lub kawa rozpuszczalna, esencja waniliowa lub kakao.*

*Ciasteczka nie muszą być drogie, ale powinny kusić: pobudzać apetyt tak, żeby powstrzymanie się przed zjedzeniem następnego wymagało siły woli. Jak ptifurki podawane w najlepszych francuskich restauracjach są frywolną błahostką. I może właśnie dlatego tak trudno się im oprzeć.*

*Kathleen Eaden, Sztuka pieczenia (1966)*

## Kathleen

Teraz może piec w Bradley Hall: w wielkiej, wysokiej kuchni, w której jej kucharka przygotowuje wieczorny posiłek dla szesnastu osób.

Pisanie książki idzie dobrze: rozdział o ciasteczkach jest w połowie gotowy, słowa płyną gładko, wypełniając jedną kremową stronę za drugą, a ciasteczka wychodzą odpowiednio kruche lub kleiste. Dzisiaj jednak notatnik leży w szufladzie, a ona piecze bez żadnego powodu. I to nie jakieś nudne herbatniki, ale zabawne, przywołujące wspomnienia z dzieciństwa ciasteczka, które mają wywołać promienny uśmiech na czyjejś twarzy, a nie podziw. Pulchne, ciągnące się i brązowe. Błyszczące od cukru. Ozdobione guzikami i oczami z rodzynek.

Wyrobiła ciasto na piernikowe ludziki i właśnie je rozwałkowuje. Zapach imbiru, przyprawy do pierników i cynamonu raczej nie pasują do tej pory roku, ale Susan i James, dzieci jej siostry, nie będą mieli nic przeciw temu.

Wciska foremki w ciasto: mamusia, tatuś i dwoje dzieci – chłopiec i dziewczynka. Wkrótce na marmurowym blacie pojawiają się dwie rodziny: starsze siostry Kathleen, Esme i Mary, wraz z mężami i potomstwem oraz jeden kawaler, jej urwisowaty młodszy brat Charlie, ich mama Celia i bezdzietna para, czyli ona i George. Wycina jeszcze jednego ludzika: to jej ojciec, pan sędzia Alexander Pollington. Silny, władczy, niestrudzony i godny zaufania, którego niespodziewanie w dniu jej siedemnastych urodzin powalił rozległy zawał serca. Zostawił po sobie pustkę, której nie wypełni nawet najwspanialszy piernikowy człowieczek. Ani Charlie, który w dniu śmierci ojca miał piętnaście lat, chociaż bardzo się stara.

Kathleen zgniata postać w kulkę i przygląda się pozostałym członkom swojej rodziny. Jest ich wielu i nadal ich przybywa, ciepłych, serdecznych, ale też apodyktycznych, często krytycznych. Jej bliscy tolerują George'a i jego majątek, lecz ciągle nie zaakceptowali go do końca. To twardzi ludzie, chociaż za chwilę zmienią się w ciasteczka.

Potem, wolno i z czułością, wycina kolejnego ludzika, małego chłopca. Jeszcze jedno dziecko. Jeszcze nikomu nic nie powiedziała: ani George'owi, ani matce. Spóźnia jej się miesiączka, a piersi stały się wrażliwe. Już umówiła wizytę u lekarza. Jest niemal pewna.

Waha się, czy upiec dodatkowego ludzika, czy zgnieść go i połączyć z pozostałym ciastem. Co przyniesie większego pecha? Tak długo na to czekała i nie chce, żeby znów stało się to, co już raz się zdarzyło. „Nie bądź śmieszna! – upomina się ostro w myślach. – Skończ z tymi zabobonami. To tylko piernikowe ludziki”.

Ale dla pewności tworzy cały rząddek chłopców i dziewczynek: krzepkich, foremnych, a po upieczeniu mocniejszych i wytrzymalszych niż rodzice.

*Poznałam niewielu mężczyzn – czy to synów, czy ojców – którzy nie mieliby słabości do słodczy. Do kleistych makaroników, herbatników pokrytych czekoladą, maślanych szkockich ciasteczek przekładanych kremem... Mogą twierdzić, że wolą ostre, wyraziste smaki, ale to nie znaczy, że nie skuszą się na jakiś słodki rarytas.*

Vicki jest tam, gdzie można ją spotkać najczęściej: stoi przy wyspie na środku kuchni przy blacie zastawionym produktami do pieczenia i spogląda przez okno na zamarznęty świat.

W jej domu, edwardiańskim bliźniaku, jest miło i przytulnie. Ciepło bije od dębowej podłogi kuchni urządzonej w stylu retro, czerwony piekarnik bucha żarem, najwyraźniej nie wierząc w teorię globalnego ocieplenia. Bo przecież mróz podstępnie wkrada się do środka. Wilgoć osiada na szybach wysokich okien, chłodząc jej palce. To nie pozwala jej zapomnieć, że tuż za ścianą jej bezpiecznego domu szaleją bezwzględne żywioły. Mróz nie chce ustąpić: pokrywa ziemię szronem, niszczy pierwsze odważne krokusy. Ludzie mówią o nim z przesadą: „najsroźsze mrozy od trzydziestu lat...”, „najdłuższa fala mrozów od pół wieku”. Synoptycy, uszczęśliwieni możliwością wygłaszania sensacyjnych prognoz, z trudem kryją zadowolenie z tak ekstremalnych temperatur. Brytyjczycy zaś są dumni, że jako naród mogą się wykazać męstwem w obliczu tak surowej aury. A Vicki to wszystko po prostu wkurza.

Podchodzi do stołu i patrzy na efekt swojego porannego trudu: osiem ażurowych podstawek, na których piętrzą się markizy, herbatniki owsiane, ciasteczka z kawałkami czekolady i orzechów laskowych, szkockie maślane paluszki i makaroniki, chrupiące z wierzchu, ciągnące się w środku, pięknie wyrośnięte i błyszczące. Przełamuje ciasteczko na pół i odgryza kawałek słodkiej maślanej skórki, spod której wypływa ciemna gęsta czekolada.

Uśmiecha się do Kathleen Eaden, której zdjęcie umieściła na honorowym miejscu, na drzwiach kredensu. Pani Eaden przechyliła na nim głowę w bok, trzymając w górze miskę, w której coś miesza drewnianą łyżką. „Robisz to tak, jakby to była najłatwiejsza rzecz na świecie – myśli Vicki. – Ale musiałaś być zdeterminowana i ambitna. Nie byłaś tylko modelką, której ktoś zrobił dobre zdjęcie”. Kobieta zdaje się do niej uśmiechać poprzez barierę wielu dekad. „Wesprzyj mnie – prosi ją Vicki bezgłośnie. – Pomóż mi wypaść jak najlepiej, upiec tak dobre ciastka, żebyśmy znów wystąpiła w jednym z tych krótkich filmików na YouTube. I pomóż mi wygrać konkurs”.

Zerka na zegar i zdaje sobie sprawę, że piecze od ponad czterech godzin. Alfie najpierw jej pomagał, potem bawił się kolejką, a w końcu usadziła go przed telewizorem i włączyła kanał CBeebies, który ogląda już od półtorej godziny. Wie, że dobry rodzic nie powinien tak robić, ale usprawiedliwia się, że musiała przeciwiczyć pięć przepisów. Greg nie byłby zachwycony. Tylko że jak zwykle nie ma go w domu.

Idzie do pokoju zabaw i wyłącza telewizor, wywołując natychmiastowe krzyki Alfiego. Powinna była uprzedzić go pięć minut wcześniej i odliczać czas, potrząsając grzechotką, jak to robiła jako nauczycielka, ale przecież już i tak malec zbyt długo siedział przed odbiornikiem.

– Przykro mi, synku. – Próbuje go utulić. – Ale za długo już to oglądasz. Może zjemy lunch? Jak zjesz kanapkę z serem, dostaniesz ciepłe ciasteczko z kawałkami czekolady. Co ty na to?

– Niiieeeeeeee!

Gromki krzyk wypełnia pokój. Głód, nuda i frustracja spowodowane brakiem uwagi ze strony matki wywołują furję. Malec ze złością odrzuca głowę w tył i wyrывa się z zaskakującą siłą, jednocześnie ją atakując. Vicki przytrzymuje mu nogi, odgarnia włosy z poczerwieniałego czoła i próbuje scałować łyzy



wściekłości.

– Przepraszam, mój skarbie – uspokaja go. – Bardzo przepraszam.

Synek nadal krzyczy, ale już bez zapału. Nie walczy, opiera głowę na jej piersi, wdychając niepowtarzalny zapach swojej matki, mieszaninę perfum Eternity i stopionego masła. Szłocha teraz cichutko, uspokojony jej dotykiem. Najbardziej go kocha właśnie takiego. Kiedy udaje jej się go ukoić i przez chwilę bardziej przypomina bobasa niż małego chłopca. Kiedy wtula się w nią, wiotki ze zmęczenia i uległy, jakby w jej ciele szukał bezpiecznej kryjówki.

Ręka w rękę idą do kuchni, gdzie Vicki wkłada do opiekacza kromkę chleba, kroi cheddar w plasterki, awokado w kostkę i przepoławia pomidorki koktajlowe. Zastanawia się, ile dzieci z klasy średniej je taki lunch. Pomidory, ogórki, rodzynki, marchewka pokrojona w słupki, pieczywo – popularne zdrowe przekąski oferowane na dziecięcych przyjęciach i zwykle wyrzucane potem do kosza nietknięte. Chciałyby udawać, że jej syn woli takie przekąski od słodkich bułeczek, ciastek z lukrem i paluszków czekoladowych, ale jak większość dzieci on również wybiera słodkości. Jakby na dowód chwyta teraz ciepłe ciasteczko z kolekcji zgromadzonej na stole i wpycha je do buzi. Wyjątkowo duży kawałek ciemnej czekolady rozpuszcza mu się na brodzie, a lepkie okruszki przywierają do policzków. Zaczyna chichotać, a Vicki dopiero teraz zauważa, co zrobił.

– Och, Alfie! Najpierw zjedz coś zdrowego. Powiedziałam, że ciasteczko będzie na deser.

Jej głos brzmi błagalnie, kiedy jednak spogląda w figlarne brązowe oczy synka, na dołeczki w policzkach, widzi radość ze zrobienia czegoś niedozwolonego, ale w bezpiecznym otoczeniu kuchni, musi się rozchmurzyć.

– Mój wspaniały synek. Trudno się dziwić, że mnie nie posłuchałeś, skoro naraziłam cię na taką pokusę, prawda?

Sama także sięga po ciasteczko, nadgryza miękki środek i niczym współniczka Alfiego również cieszy się niewinnym grzeszkiem.

W swojej wiejskiej kuchni w Suffolk Jenny – postanowiła teraz tak się nazywać – także zмага się z ciasteczkami, chociaż tak naprawdę uważa je za najprostsze ze wszystkich wypieków. Podniesiona na duchu zwycięstwem w pierwszym etapie konkursu również jest pełna optymizmu. Chociaż to nie eliminacje i już nie można odpaść z zawodów, chce być najlepsza, nawet jeśli oznacza to konieczność wystąpienia w tym głupim filmiku na stronie internetowej Eadena i na YouTube. Jeśli ma wygrać, musi dążyć do perfekcji.

Ćwiczy więc z zacięciem, które najwyraźniej irytuje jej męża. Przebywając w kuchni od śniadania do późnego popołudnia, nie prowadzi już domu na takim poziomie jak zwykle. Skupia się na najdelikatniejszych, najwykwintniejszych ciasteczkach. Kruche rurki z brandy, cieniutkie migdałowe dachówki, florentynki, markizy – wszystkie one wymagają precyzji. Trzeba ostrożnie umieścić odpowiednią ilość ciasta na blaszce do pieczenia, wycisnąć z rękawa cukierniczego dokładnie takie same muszelki. Te smakołyki na jeden kęs muszą uwodzić i zachwycać. Dzięki nim udowodni, że pieczenie nie ma dla niej tajemnic.

Zabrakło jej mielonych migdałów i chociaż dostawa zamówiona przez internet ma dojechać wieczorem, ona nie może czekać. Postanawia wybrać się do najbliższego Eadena i tam kupić konieczny składnik. Jest pora lunchu, więc w sklepie panuje ruch większy niż zazwyczaj. Urzędnicy kupują kanapki i napoje albo korzystając z przerwy, robią szybkie zakupy spożywcze do domu. Przechodząc przez parking spostrzega zaparkowane volvo kombi ze znajomą tablicą rejestracyjną. Samochód Nigela. Jest zaskoczona i dezorientowana, widząc go w nietypowym miejscu. Przecież jego terytorium to gabinet dentystyczny. Co więc robi tutaj?

Tego ranka zapakowała mu do pracy sałatkę tajska z marynowaną pierśią kurczaka bez skóry. Może jednak brakuje mu makaronu? Może nie przestrzega tak ściśle diety i właśnie wymknął się z pracy, żeby ukradkiem kupić sobie porcję węglowodanów? Ku własnemu zaskoczeniu Jenny stwierdza, że bardziej ją

to rozczuła, niż irytuje. Jeśli Nigelowi brakuje jej kuchni, będzie mogła sprawić mu niespodziankę. W myślach planuje uwodzicielski posiłek: stek z sosem z brandy, ziemniaki zapiekane w sosie śmietanowym z serem, a do tego trochę surówki z rukoli i rukwi wodnej.

Przeciska się między zaparkowanymi samochodami, spodziewając się, że znajdzie go pochylonego nad słodkimi bułeczkami z lukrem lub wdychającego zapach wieprzowiny zapiekanej w cieście. Nagle staje jak wryta. Nigel również idzie przez parking, w dodatku nie sam.

Śmieje się, odrzuciwszy głowę w tył, i bijąca od niego radość sprawia, że nie wygląda na swoje pięćdziesiąt cztery lata. Idzie zdecydowanym krokiem jak człowiek pełen energii i wigoru. Nie to jednak przyciąga jej wzrok, ale niewielka odległość, jaka dzieli go od idącej tuż obok Gabby Arkwright, ślicznej żony miejscowego lekarza, zapalanej triathlonistki i przyjaciółki rodziny. Pochyliła się ku niej, a ona opowiada mu jakiś dowcip, wpatrzona w niego ciemnymi błyszczącymi oczami. Wyciąga ramię za jej plecami, nie dotykając jej, tylko delikatnie i opiekuńczo prowadząc między przejeżdżającymi samochodami. „Nigel taki jest”, mówi sobie w myślach Jenny. Zawsze uprzejmy, zawsze czarujący, zwłaszcza wobec jej bardziej atrakcyjnych koleżanek. I wtedy jego dłoń wędruje ku talii Gabby, ciasno opiętej sportową bluzką z lycry. Ten gest nie jest już opiekuńczy, ale władczy i poufały. Jenny już wie, nie musi dłużej patrzeć, chociaż jak zahipnotyzowana nie może oderwać od nich wzroku. Wie, że silne palce Nigela pogładzą plecy Gabby, a potem zsuną się na jej pośladki. Ten przelotny gest – tak szybki, że uszedłby uwagi każdego znajomego czy pacjenta – sprawia, że świat Jenny wywraca się do góry nogami.

Ukryta za srebrnym land roverem discovery czuje gryzącą żółć podchodzącą jej do gardła. Własne ciało ją zdradza: serce zaczyna walić jak młotem, przed oczami robi jej się ciemno. „Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze”. Opiera się o solidną metalową karoserię, pochyla do przodu, a dłonie kładzie na kolanach. Opuszcza głowę na piersi, czekając, aż mdłości ustąpią.

Nie wie, jak dotarła do domu. Niczym na autopilocie prowadziła swoje renault espace krętymi wiejskimi drogami, które znała od trzydziestu lat. Chciałaby myśleć, że jechała bezpiecznie – zawsze jeździ bezpiecznie – ale z niezwykłą dla siebie brawurą brała ostre zakręty. „Wszystko w rozpadzie”. Kobiety w średnim wieku szaleją za kierownicą.

Czuje się otępią, a jednocześnie kręci jej się w głowie, myśli wirują niczym w kalejdoskopie, kiedy układa w całość obrazki z przeszłości, wspólną jazdę samochodem, dowcipy opowiadane na przyjęciach... Kiedy to się zaczęło? Dokąd zmierza? I jak on i ona mogli jej to zrobić? Ćwierć wieku małżeństwa i ponad dwadzieścia lat przyjaźni okazały się tak nietrwałe jak ozdobione kroplami rosy pajęczyny spowijające żywopłoty. Ten jeden przelotny gest zburzył jedyną pewną w jej życiu rzecz.

W chwili kryzysu Jenny robi to, co zawsze: gotuje. Musi się czymś zająć, żeby stłumić nienawiść, smutek i wstyd. W takim dniu trzeba ubijać, tłuc, zagniatać. To nie jest moment na przyrządzenie delikatnej napoleonki, ale na bicie tłuczkiem mięsa, ugniatanie twardego ciasta i pochłanianie kieliszków mocnego merlota. Przygotowuje więc wołowinę zapiekaną w cieście, która ma smak żelaza i siły. Powinna dać jej pocieszenie, chociaż Jenny wie, że nie przełknie ani kęsa.

Zdziera brązową, cienką jak papier łuskę z cebuli i wyrzuca ją do kosza. Szybko kroi warzywo, wywołując dodatkowe łzy. Wlewa do żeliwnego naczynia Le Creuset oliwę, dodaje masło i słucha, jak cebula skwierczy na zbyt ostrym ogniu. Wrzuca kawałki wołowiny wraz z musztardą i pieprzem. Na widok swoich palców podskakuje zaskoczona: poplamione krwią mają szkarłatnoczerwony kolor.

Dopiero kiedy czuje słodki zapach zeszlonej na maśle cebuli, zdaje sobie sprawę, że tę samą potrawę jako siedemnastolatka przyrządziła dla ojca i siostry w dniu śmierci matki.

Teraz łzy zaczynają płynąć strumieniem. Płacze nad związkiem, który trwał niemal trzy dekady, i nad pogrążoną w rozpacz osieroconą nastolatką, dla której gotowanie było zawsze wyrazem miłości.

*Jeśli szczęście ci dopisało i masz córkę, przekaz jej miłość do pieczenia. Nauczysz ją cennej umiejętności, a na dodatek jeszcze bardziej się do siebie zbliżycie.*

– A więc tak spędzasz przedpołudnia? – W głosie Frances słychać nutę lekceważenia, kiedy po wejściu do kuchni ogarnia wzrokiem kolekcję ciasteczek ułożoną na kuchennym blacie.

Do kuchni wtargnęło chłodne powietrze i zdaniem Vicki nie jest to jedynie podmuch mroźnego wiatru, który wpadł do korytarza, kiedy wpuszczała matkę do domu. Czuje w powietrzu też lekką dezaprobatę, zauważalną jedynie dla córki, która przez całe życie uczyła się odróżniać jej najdelikatniejsze odcienie.

– Ale przyznasz, że jestem bardzo wydajna – odpowiada Vicki pogodnie.

Z uśmiechem odbiera od matki płaszcz, podsuwa krzesło i stawia przed nią tace z ciasteczkami.

– Kawy?

– Napiję się gorącej wody z cytryną, skarbie. I nie martw się. Przyniosłam własną cytrynę. Ty pewnie zużyłaś wszystkie na kolejną tartę. – Jej głos brzeczy cicho, delikatny i dokuczliwy, niczym odłamek szkła.

Vicki uśmiecha się słodko. Matka jest tu zaledwie od dwóch minut, a już stara się wpędzić ją w kompleksy. „Cóż, nie tym razem”. Sięga po swoją niewoskowaną organiczną cytrynę i potrząsa nią triumfalnie. Potem myje ją mydłem i dokładnie osusza. Pod oceniającym spojrzeniem matki wkłada starannie odkrojony plasterk do porcelanowego kubeczka, nalewa wrzącej wody, wyjmuje srebrną łyżeczkę i mały spodeczek na resztę cytrusa.

– Chyba nie wlałaś wrzątku do kubka? – pyta Frances z bolesnym grymasem.

– O, przepraszam! Zrobię nowy napój.

Odkrawa kolejny plasterk cytryny, wyjmuje czysty kubeczek i tak jak należy wlewa świeżo zagotowaną, ale nie wrzącą wodę.

– Proszę bardzo... Mam nadzieję, że teraz jest dobrze.

Smukła, zadbana wymagająca Frances spogląda na córkę zielonymi oczami zwięzonymi jak u traszki. Czyżby uznała to za przytyk? Vicki czuje w żołądku znajomy nerwowy ucisk. Uśmiecha się, próbując w ten sposób przekazać swoje intencje: „Chcę cię tylko zadowolić, zdobyć twoje uznanie”. Frances miesza łyżeczką gorącą wodę z cytryną, nie zauważając niemej prośby w oczach córki. Vicki czeka i czuje się po raz tysięczny jak uczennica wezwana na dywanik do gabinetu dyrektorki. „To niedorzeczne – gani się w myślach. – Nie narozrabiłaś. To tylko twoja matka”.

Frances wyławia łyżeczką plasterk cytryny, przyciska do ścianki kubka i odkłada na spodeczek. W końcu przywołuje uśmiech na twarz.

– A więc to wszystko na ten konkurs pieczenia?

– Tak.

Vicky jest zaskoczona i rozradowana, że matka okazała zainteresowanie. Dotychczas bardzo się starała umniejszać wagę jej osiągnięcia. Nawet jej nie pogratulowała. Nie wspomniała o konkursie ani jednym słowem.

To bardzo zabolalo Vicki. Frances, od niedawna emerytowana dyrektorka szkoły, dobrze się zna na konkursach, egzaminach i osiągnięciach. Opierało się na nich jej całe zawodowe życie. Ale dla niej znaczenie ma tylko sukces a k a d e m i c k i. Najwyraźniej postrzega zamiłowanie córki do pieczenia jako nic niewarte, a nawet żenujące. Vicki ma wrażenie, że zdaniem Frances jej dążenie do sukcesu

w konkursie kulinarnym jest spowodowane chęcią zrobienia matce na złość. Jakby to, że zdała egzaminy końcowe w szkole średniej i zrezygnowała z pracy, żeby zająć się Alfim, nie było dla niej wystarczającym osiągnięciem. „Jakbym chciała jej dopiec tym, że wybrałam życie gospodyni domowej i starała się być coraz lepszą panią domu”.

– Zamierzałaś mnie poprosić o jakąś przysługę? – Frances jak zwykle od razu przechodzi do rzeczy.

Vicki nietrudno wyobrazić sobie ją jako przewodniczącą rady pedagogicznej: sprawną, władczą, onieśmielającą. Znów ogarnia ją zdenerwowanie.

– Chciałam zapytać, czy nie pomogłabyś Gregowi zająć się Alfim w trakcie najbliższych weekendów, kiedy będę brała udział w konkursie.

Zapada cisza, podczas której matka bierze łyk niemal wrzącej wody.

– Wydaje mi się, że mam duże szanse, ale to znaczy, że pięć weekendów muszę spędzić poza domem. Dla Grega byłoby to wielkie obciążenie. I tak już więcej godzin zajmuje się małym.

Frances krzywi się lekko, rozmyślając nad odpowiedzią.

– Czy nie na tym polega bycie ojcem? Choć, prawdę mówiąc, twój ojciec zniknął tak szybko, że nie zdążył się tym wykazać. – Frances nie mogła się powstrzymać przed wygłoszeniem uszczypliwej uwagi na temat dwóch najważniejszych mężczyzn w życiu córki.

– Cóż... Oczywiście powinien w weekendy zająć się synem bez narzekania, ale wiemy, że rzeczywistość jest trochę inna, prawda? – Vicki ogarnia lekka irytacja. Matka nie ułatwia jej tej rozmowy. – Poza tym – postanawia przemówić do lepszej strony jej natury – pomyślałam sobie, że zechcesz mnie wesprzeć i spędzić więcej czasu z Alfim. Jest w cudownym wieku, a nie zanoszi się na to, żebyś miała jakieś inne wnuki, więc byłoby wspaniale, gdybyś widywała go troszkę częściej.

Zaczyna tracić panowanie nad sobą, więc gorączkowo układa ciasteczka w pojemnikach, rodzielając je pergaminem. Wypełnia w ten sposób trzy pudełka. „Mama chyba widzi, jaki on jest cudowny – myśli Vicki – chyba rozumie, co do niej mówię. Nie będę miała kolejnego dziecka. Jestem bezpłodna. Jałowa. Proszę ją o pomoc”.

Powraca pamięć o dawnej ranie i Vicki przez chwilę ma ochotę o tym wspomnieć. Wycofuje się jednak, zanim ta myśl nabrała realnych kształtów. To byłby ogłuszający cios. „Któregoś dnia się odważę – obiecuje sobie w myślach. – Ale nie dzisiaj”. Zamyka wieczka pudełek. Najpierw zakończy tę potyczkę.

Tymczasem Frances patrzy, jak Alfie popycha ambulans wokół jej krzesła, i wzdryga się lekko, kiedy malec uderza nim o nogi stołu. Jest dzisiaj wyjątkowo uroczy, ale Frances wcale nie jest przekonana, czy opieka nad wnukiem będzie pozytywnym doświadczeniem. Nieraz oświadczała, że dzieci stają się interesujące dopiero, gdy idą do szkoły średniej, gdy „stają się inteligentne”, albo, co przyznawała w chwilach szczerości, kiedy osiągają dorosłość. Nigdy nie rozumiała zachwyty nad maluchami, chociaż wiedziała, że obiektywnie rzecz biorąc, na pewno były ujmujące.

Vicki zdaje sobie z tego sprawę, ale ma nadzieję, że matka zrobi wyjątek. Ciekawi ją, czy dla niej również zrobiła wyjątek. „Czy w domowym zaciszu całowała i pieściła moje pulchne niemowlęce nóżki? Czy przyglądała mi się, kiedy spałam, zadziwiona spokojem dziecięcego snu, tak jak ja przyglądałam się Alfimu? Czy wtulała twarz w moją szyję, wdychając ciepły mleczny zapach? Czy gładziła mnie po miękkim policzku i zastanawiała się, jak to możliwe, że wyszło z niej coś tak nieskazitelnego? Taka skończona doskonałość”.

Nie przypomina sobie, żeby Frances się z nią bawiła, żeby wchodziła do świata jej wyobraźni. Pamięta za to, że matka odpowiadała na jej niezliczone pytania z irytacją, nie tolerowała powtórzeń i dziecięcego niedorzecznego plecenia. „Skoro nie chciała bawić się ze mną, dlaczego miałaby to robić z innym dzieckiem?” Oczywiście wie, że matka jest zajęta. Na emeryturę przeszła prawie rok temu, ale nie miała zamiaru zwalniać tempa. Raz w tygodniu pracowała jako wolontariuszka w Bibliotece Bodlejańskiej. Każdego ranka pływała, udzielała się w miejscowym oddziale organizacji humanitarnej

Oxfam, wznowiła lekcje gry na pianinie i zapisała się na wieczorowy kurs włoskiego. Zaczęła naukę obsługi komputera na poziomie zaawansowanym, a we wrześniu wystartuje na zaocznych studiach magisterskich w dziedzinie rozwoju dziecka. No i były jeszcze podróże: nieobciążona partnerem życiowym, z przezornie gromadzonym funduszem emerytalnym w lecie wyjedzie do Laosu i Kambodży, a na Wielkanoc wybiera się na Sycylię.

To wszystko było wspaniałe. Bezsprzecznie. Frances nie zamierzała być jedną z tych babć, które mimo zmęczenia i ischiasu, pogłębiającego się na skutek pchania wózka z uwięzionym w nim dzieckiem, zapewniają bezpłatną opiekę nad wnukiem. Zresztą Vicki wcale by tego nie chciała. Akceptowała i podziwiała czynny tryb życia matki. Frances całe życie ciężko pracowała i na pewno nie było jej łatwo samotnie wychowywać córki, jednocześnie pnać się po szczeblach kariery, a teraz wreszcie mogła okazać odrobinę zdrowego egoizmu, chociaż Vicki nigdy by tak tego nie określiła. Ale raz na jakiś czas miło by było, gdyby trochę bardziej włączyła się w opiekę nad wnukiem. Vicki nie spodziewała się, że Frances dostanie na jego punkcie bzika. Była realistką. Lecz ucieszyłaby się, gdyby matka wykazała zainteresowanie choćby w minimalnym stopniu.

Frances nie spieszy się z odpowiedzią.

– Och, kochanie, bardzo bym chciała, ale obawiam się, że nie będę miała czasu. Nie mogę ci nic obiecać, mając tyle innych zobowiązań. – Kłamstwo przyszło jej automatycznie.

I chociaż Vicki spodziewała się takiej reakcji, nie potrafi ukryć rozczarowania.

– Jasne. Co za głupota z mojej strony. Zapomnij, że w ogóle cię o to pytałam.

Ze spuszczoną głową nadal układa ciasteczka w pojemnikach.

Frances chyba usłyszała, że jej głos zabrzmiał inaczej.

– Ale oczywiście, jeśli Greg nie da sobie ze wszystkim rady sam, możesz się do mnie zwrócić. Nie mogę jednak się zobowiązać do pięciu weekendów. Zresztą jestem pewna, że nie o to ci chodziło, prawda?

– Nie, nie o to. – Vicki pospiesznie uspokaja matkę, dostrzegłszy szansę na uzyskanie pomocy. – Może o jeden dzień podczas weekendu albo co drugi weekend...

– Co drugi weekend? – Frances wyraźnie się zaniepokoiła. – Och, nie. Raczej nie mogłabym poświęcić całego weekendu. Może soboty, jeśli Greg go do mnie przywiezie, a wieczorem odbierze.

– Ja też mogłabym to zrobić. A może wolałabyś przyjechać do nas?

„Dlaczego tak mi to utrudnia?” – myśli Vicki.

– Wolałabym być u siebie.

Frances pociąga nosem, spoglądając na porozrzucane wokół zabawki. Jasno daje do zrozumienia, że jeśli ma wyświadczyć córce tę przysługę, to robi to na własnym gruncie i na swoich warunkach. W końcu się zgadzają. Vicki podwiezie Alfiego do Oksfordu w drodze do hrabstwa Buckingham, gdzie Frances zajmie się nim przez trzy soboty, a o osiemnastej odbierze go Greg, któremu nie spodoba się konieczność długiej jazdy, ale będzie zadowolony, że ktoś wyręczy go w opiece nad synem.

– Dziękuję, mamo.

Ogarnięta wdzięcznością Vicki pochyla się nad matką, obejmuje ją, lekko całuje w upudrowany policzek i mocno przytula. Frances wydaje się zmieszana, sztywnieje, nie potrafiąc poddać się uściskowi.

– Uważaj, bo wylejesz. – Teatralnym gestem odsuwa porcelanowy kubek, zawstydzona tą nagłą demonstracją uczucia.

– Dobrze.

Vicki odsuwa się i spuszcza głowę, zmieszana reprimendą. Matka jednak jeszcze nie skończyła.

– Poczęstujesz mnie w końcu którymś z tych smakołyków?

## Kathleen

Ma wrażenie, że dziecko rozwija się prawidłowo. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu od ostatniej miesiączki upłynęło już dziewięć tygodni i gdzieś w jej ciepłym wnętrzu zagnieżdża się maleństwo – nie myśli o nim jako o embrionie – którego życie jest ściśle uzależnione od jej organizmu.

Jeszcze nic nie widać. Każdego ranka staje bokiem do lustra i przygląda się sobie, ale jej brzuch jest nadal płaski, a może nawet wklęsły. „Królowa wypieków o godnej pozazdrosczenia figurze” nadal istnieje ku swojemu rozczarowaniu i frustracji. Nie widząc łagodnej wypukłości brzucha, obawia się, że to sobie wymyśliła. Choć doktor Sharp zapewnił ją, że wszystko jest w porządku, podobnie jak James Caruthers, wybitny ginekolog z Harley Street, do którego ten pocziwy lekarz ją skierował. Doświadcza też innego charakterystycznego objawu ciąży: porannych mdłości. Właściwie są to całodzienne mdłości, które targają nią niczym sztorm małym stateczkiem na wzburzonym morzu. Dostaje niezłe cięgi. Jediną rzeczą, która łagodzi nudności, są słodkie węglowodany, miękkie i łatwe do zrobienia, rożki i ciasteczka, brioszki i bułeczki. Piecze więc. Ignorując podchodzącą do gardła żółć, zagniata ciasto i wyobraża sobie ulgę, jakiej na krótki czas dozna, kiedy poczuje w ustach słodycz gotowego wypieku.

Cały czas pracuje również nad książką: opisy ciastek i bułeczek ze Shrewsbury powstają błyskawicznie, jak proces pieczenia. Rękopis pęcznieje w oczach, chociaż jej talia nadal pozostaje szczupła. Mimo nudności i zmęczenia nieustająca kreacja daje jej przyjemność: piecze i pisze – świadoma, że rozwija się w niej dziecko. Żyje w produktywnym wirze.

– Wkrótce zacznę pisać o chlebie – informuje George’a pod koniec kolejnego owocnego dnia. – Książka jest już niemal w połowie gotowa.

– Nie będziesz miała na to czasu, kiedy urodzisz dziecko – zauważa mąż z pobłażliwym uśmiechem.

– Ależ będę – odpowiada stanowczo. – Będę pisać, kiedy dziecko będzie spało. Mogę robić wiele rzeczy jednocześnie: pisać, piec i wychowywać dzieci.

– Może przy każdym dziecku będziemy wydawać kolejną książkę?

Otacza ją ramionami w talii, a jej uśmiech blednie.

– Najpierw muszę urodzić to pierwsze – mówi i ogarnia ją lęk. Potem dodaje bardziej optymistycznym tonem: – Ale teoretycznie masz rację. Zapełnijmy dziećmi ten wielki dom.

Mniej więcej w tym czasie udoskonala swój przepis na drożdżowe bułeczki z Chelsea. „Bułeczki z Chelsea dla mojej dziewczyny z Chelsea”, mawia George, kiedy żona wyjmuje kolejną partię z piekarnika. To krótkotrwała obsesja. Pozuje z nimi do zdjęć reklamowych, pisze o nich do „Home Magazine”, a potem nagle i niespodziewanie przestaje je piec.

Czuje, że zupełnie straciła na nie apetyt.

*Gdy chcemy coś upiec, dobra organizacja i przygotowanie mają podstawowe znaczenie. Jeśli opanujemy tę sztukę, będziemy piec spokojnie i skutecznie. To samo można powiedzieć o życiu. Poświęć czas na przygotowania, czy to dla męża, czy do pracy, a wkrótce zgarniesz korzyści.*

Jest sobotni ranek, połowa marca, dzień, w którym rozpoczyna się etap konkursu poświęcony ciasteczkom, a Karen Hammond siedzi przed Bradley Hall, uwięziona w swoim porsche cayenne, i czeka, aż pogoda się poprawi.

Ciągle pada. Strugi deszczu nieustannie zalewają przednią szybę samochodu mimo pracownicy rozgarniających wodę wycieraczek. Karen wyłącza silnik. Lepiej poczekać, aż ulewa się skończy. Zniszczy sobie fryzurę, jeśli pobiegnie do drzwi w deszczu.

Zmuszona do chwili bezczynności rozsiada się wygodniej w podgrzewanym, obitym skórą fotelu kierowcy i przygląda się majaczącej przed nią rezydencji – bajkowemu pałacowi o tysiącu fallicznych wieżyczek. Rozumie, dlaczego mogła urzec kogoś takiego, kto jak George Eaden doszedł do wszystkiego własną pracą i chce zmanifestować swoją zamożność. Domyśla się jednak, że Kathleen Eaden wolałaby coś skromniejszego, mniej ostentacyjnego.

Znudzona sięga do schowka po ulotkę, którą otrzymał każdy z uczestników konkursu. George kupił tę własność w 1964 roku, kilka miesięcy po wybuchu afery Profumo, która miała swój początek w pobliskim Cliveden. Może przez to kupił rezydencję taniej? A może miał nadzieję na nagie igraszki w wodzie w świetle księżyca? Patrzy na czarno-białą fotografię George'a: dobrze zbudowany, flegmatyczny mężczyzna o jasnych włosach i wesołym uśmiechu, wygląda jak handlarz. Tak, na pewno potrafił wyczuć okazję, ale był chyba zbyt zachowawczy, żeby pływać nago po nocy.

Wyciąga się w fotelu i czyta o gruntownej renowacji domu. „Po zakończeniu prac znajdzie tu miejsce sala pamięci, w której pokazana zostanie historia firmy Eaden, od skromnego sklepiku spożywczego po notowaną na giełdzie korporację. Będzie tu też elegancki ośrodek wypoczynkowy dla najlepszych pracowników spółki i siedziba archiwum mieszczącego wszystkie rękopisy Kathleen Eaden”. Na fotografii widać skąpany w letnim słońcu dom otoczony rabatami – klasyczny przykład ekscentrycznej angielskiej rezydencji. Dzisiaj jednak niebo jest ołowiane, rabaty ogołoczone z kwiatów. Doskonała sceneria dla gotyckiej powieści.

Po dwudziestu minutach deszcz słabnie i zza ciężkich szarych chmur wygląda słońce. Karen chwyta skórzaną torbę podróżną i postanawia zaryzykować. Zgrabne balerinki chrzęszczą na żwirze, kiedy tanecznym krokiem biegnie do wejścia, pokonuje kamienne, zalane wodą schody i staje w imponującym holu. Od tego etapu zawodnicy mają piec przez cały weekend – tak więc dzisiaj pierwszy raz tutaj przenocuje i będzie mogła lepiej poznać ten dom. Serce bije jej mocniej nie z powodu wysiłku fizycznego, tylko z przejęcia. Rozpiera ją energia.

Bierze klucze do przydzielonego jej pokoju i wchodzi po stopniach, mijając kotary w kwieciste wzory, zwieszające się z sufitów niczym płatanina pnączy porastających zamek Śpiącej Królowej. Z obu stron z olejnych portretów oprawionych w złote ramy czarne oczy śledzą jej każdy ruch, kiedy nieustraszona przemierza korytarz. Naprawdę powinni pospieszyć się z remontem.

Kiedy jednak otwiera ciężkie dębowe drzwi do swojego pokoju, stwierdza, że jest jasny i współczesny: świeżo pomalowane jasnoszare ściany, białe gzymsy i listwy wykończeniowe, nowe wielkie łóżko z żelazną ramą z popielatą moherową narzutą, nieskazitelnie biała pościel drogiej firmy... Ma wrażenie, jakby nagle znalazła się w butikowym hotelu – chociaż w przylegającej do pokoju czystej

białej łazience nie ma darmowych kosmetyków.

Stawia torbę na podłodze i siada na materacu – jest twardy, tak jak lubi – potem kładzie się na łóżku i chociaż nigdy tego nie robi, próbuje się zrelaksować. Dociera do niej, jak wiele wysiłku włożyła w przygotowanie się do tej chwili. Podobnie jak Vicki i Jenny doskonaliła swoje techniki wypieku ciasteczek, układając ciepłe migdałowe dachówki na pomarańczach w celu nadania im półokrągłego kształtu i owijała ciepłe *brandy snaps* wokół trzonka drewnianej łyżki, tak jak nakazuje to *Sztuka pieczenia*. Doskonaliła również siebie. Lista zabiegów kosmetycznych, które zwykle rozłożyłaby na trzy tygodnie, została zrealizowana w ciągu trzech dni. Przyszygano ją, oczyszczano, masowano, oklepywano, nawilżano i wygładzano, jakby była wyjątkowo bujnym ogrodem, który rozrósł się ponad miarę i trzeba go doprowadzić do porządku.

Wiele z tych czynności uznaje się za przyjemne – liftingujące zabiegi na twarz, luksusowy manikiur, okłady i masaże całego ciała – i wydała na nie ponad sześćset funtów. Ale ją niecierpliwiły, ponieważ oznaczały długie godziny spędzone poza kuchnią. Bez wątpienia były konieczne, tak samo jak odświeżenie ciemniejszych pasemek we włosach i dodatkowe pięć godzin spinningu oprócz zwykłych codziennych wizyt w fitness clubie. Dzieci prawie jej nie widywały, chociaż jako uczniowie prywatnych szkół z całodziennym programem zajęć i tak wracały do domu o dziewiątej, do domu, który wydawał się tak samo spokojny, pusty i sterylny jak zwykle. Oliver spędził cały tydzień w Londynie, tłumacząc się obowiązkami związanymi z przejściem jakiejś firmy. Sama już nie wiedziała, co ma robić, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Miała wrażenie, że w ogóle nie dostrzega już jej istnienia.

Wzdycha i spogląda na swoje odbicie w replice weneckiego lustra. Dostrzega małe zmarszczki mimiczne na policzkach i głębszą bruzdkę na czole. Oto skuteczność odmładzającego zabiegu kosmetycznego. Gładzi się po czole, jakby chciała zetrzeć oznaki starzenia się. Jak długo jeszcze uda się jej unikać botoksu?

Może właśnie to miał na myśli Jake, kiedy od niechcienia rzucił: „Nikogo nie oszukasz”. „Nie jesteś już atrakcyjną młodą kobietą. Z tyłu liceum, z przodu muzeum”. Ścisnęło ją w żołądku. W głębi duszy czuje, że nie o to chodziło – albo nie tylko o to, bo wtedy jego pogardliwy ton byłby łagodniejszy, nie zraniłby jej niczym skalpel.

Wraca myślą do rozmowy, którą poprzedniego wieczoru odbyła z Olivią, szczupłą, pilną uczennicą. Córka ma piętnaście lat i jej świat jest o wiele bezpieczniejszy niż świat matki, kiedy była w tym wieku. Flirtuje z chłopcami na Facebooku, ale nawet do głowy by jej nie przyszło, żeby ich dotknąć. Namiętność to coś, o czym czyta się w powieściach, więc rozsądnie czeka na swojego Heathcliffa, pana Darcy’ego czy Edwarda Cullena. Ale mimo tej naiwności Livy jest mądra, co sprawia, że często wydaje się starsza od brata. Spogląda na matkę szarymi oczami, a Karen ma deprymujące wrażenie, że ta piękna niewinna dziewczyna – tak inna od niej w tym samym wieku – potrafi ją przejrzeć na wylot.

Jej dzieci są sobie bardzo bliskie: dzieli je zaledwie półtora roku, więc Jake zwierza się siostrze i jest wobec niej opiekuńczy, co zdumiewa Karen, zwłaszcza gdy przypomni sobie, jak ją samą traktował Steven, jej starszy brat, którego ostatni raz widziała dwadzieścia lat temu. Jeśli Jake ma jakiś konkretny powód, żeby nienawidzić swojej matki, to Livy najprawdopodobniej go zna. I chociaż trudno będzie skłonić ją, żeby zdradziła ten sekret, Karen musi spróbować.

Zastała córkę siedzącą z podwiniętymi pod siebie długimi nogami na kanapie, pogrążoną w jakiejś obowiązkowej lekturze szkolnej.

– Livy... Nie wiesz czasem, czy Jake ma jakiś problem?

– Wszedł w okres dojrzewania? – odpowiedziała niedbale córka, nie podnosząc głowy znad książki.

– To chyba coś bardziej konkretnego. – Wyduśła z siebie te słowa, jakby więzły jej w gardle. – Coś go bardzo wzburzyło. Może to coś ma związek ze mną?

Dopiero wtedy Olivia podniosła głowę i spojrzała na nią przez okulary w grubych oprawkach, których Karen nie lubi. Ma wrażenie, że okulary oddzielają córkę od niej: jest przez nie bardziej



niedostępna i trudniej oszacować wyraz jej twarzy.

– Jeśli to ma związek z tobą, to chyba nie powinnaś mnie o to pytać. – Córka spuszcza nogi na podłogę, wstaje i rusza do drzwi. – Porozmawiaj o tym z Jakiem.

Oczywiście nie odważyła się na to. Łatwiej było przygotowywać posiłki, sprzątać ze stołu, przypominać mu, że czas już na trening rugby i że nie będzie jej w domu następnego wieczoru, ale Oliver wróci i zajmie się nimi. Łatwiej było tego ranka wymknąć się z domu, nie zaglądając do jego pokoju, żeby się pożegnać. Udawać, że robi to ze względu na niego, żeby dać mu się wyspać.

„Nikogo nie oszukasz, mamuśka” – te słowa kołaczą się w jej głowie. Nie, nie oszukała go. Najwyraźniej także nie udało jej się oszukać córki. Strach, że stracili o niej dobre mniemanie, że być może ją potępiają, rani jak ostrze marki Sabatier.

A reszta świata? Cóż, musi sprawdzić. Cały czas musi się sprawdzać.

Skupia wzrok na znajomej twarzy, która spogląda na nią z lustra. Z wprawą znawczyni sięga po kosmetyczkę z metalizowanej skóry, wyjmuje pęsetkę i wrywa pojedynczy nieposłuszny włoszek z brwi. Jeszcze raz szacuje się wzrokiem, potem zdecydowanymi rytmicznymi ruchami szczotkuje gęstą grzywkę, prostując choćby najmniejszą falę. Na koniec leciutko drżącą dłonią obrysowuje wargi konturówką, nakłada szminkę w neutralnym kolorze i przyciska usta do białej chusteczki higienicznej, zostawiając na nich lepki ślad. Wygładza krótką sukienkę, prostuje ramiona, a przed samym wyjściem bierze bardzo głęboki oddech.

Na dole uczestnicy konkursu piją kawę w salonie, wyraźnie podekscytowani i onieśmieleni majestatycznym domostwem. Claire jest najbardziej spięta. Nie może się rozluźnić na obitej kwiecistym materiałem sofie w obawie, że rozleje herbatę. Stara się spokojnie trzymać filiżankę, ale w rezultacie tylko rozlewa płyn na spodek. Czy ktoś to zauważył? W żołądku ją ściska, jakby ktoś go zawiązał w supełek, kiedy odlicza czas dzielący ją od rozpoczęcia następnego etapu męki.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, wstaje i podchodzi do wielkiego łukowatego okna, z którego roztacza się widok na imponujący zwirowy podjazd. Właśnie zatrzymał się na nim wysłużony ford focus, więc uśmiecha się lekko, czując niespodziewaną ulgę. W strugach deszczu Mike Wilkinson wyjmuje z bagażnika torbę podróżną i ze spuszczoną głową brnie przez kałuże do drzwi. Kogo zostawił w domu na ten weekend? W zeszłym tygodniu zamieniła z nim zaledwie kilka słów, ale zauważyła na jego palcu obrączkę i usłyszała przypadkiem, jak wspomniał coś o dzieciach. Wyczuła jednak bijący od niego smutek.

Patrząc, jak stara się ochronić przed deszczem, uświadamia sobie, że ten jedyny mężczyzna w gronie współzawodników wzbudził w niej natychmiastową sympatię. Wyczuwa w nim bratnią duszę: kogoś, kto nie bardzo wie, jak się tu znalazł, ale stara się czerpać przyjemność z tej przygody. Z jakiegoś powodu – może jest to zawziętość, z jaką zmagają się z ulewą, albo poczucie humoru – podejrzewa, że Mike jest do niej podobny. Jak ona pogubił się w życiu i jest kim innym, niż się z pozoru wydaje.

Vicki natomiast wygląda na bardzo pewną siebie. Cóż, w końcu zdobyła pierwsze miejsce za battenburg. Jenny dla odmiany wygląda na zdenerwowaną. W minionym tygodniu zachowywała się bardzo przyjaźnie, teraz do nikogo nie odzywa się pierwsza, wręcz unika rozmowy. Claire przygląda się jej uważniej i widzi, że kobieta jest nie tylko czymś zatroskana, ale jej oczy patrzą martwo. Jakby coś się wydarzyło, kiedy wszyscy zajmowali się tworzeniem czekoladowych makaroników i ciasteczek z bakaliami. Coś zaszło w jej życiu, z dala od nagrzanego piekarnika i wysmarowanych tłuszczem blach do pieczenia.

– Witam wszystkich. Czy jesteśmy gotowi do następnego etapu konkursu na nową panią Eaden? – Cora, ubrana w wąskie granatowe spodnie i bluzę w marynarskie paski, uśmiecha się do nich oczekująco, z błyskiem w oku przechylając głowę.

Zawodnicy mają dwie godziny na przygotowanie markiz, szkockich maślanych paluszków, makaroników oraz ciastek z chili i z migdałami. Ma to być test nie tylko zdolności kulinarnych, lecz także

na umiejętność zarządzania czasem.

W głębi sali Jenny spogląda na otrzymane przepisy i cieszy się, że wypieki są bardziej skomplikowane niż biszkopt królowej Wiktorii. Będzie musiała skupić się na obliczeniach i działać szybko, a wyścig z czasem wywoła miły przyływ adrenaliny. Kiedy rozpisuje plan pracy, nagle przypomina sobie, jak jej matka w błyskawicznym tempie wypiekała niezliczone ciasteczka, maślane paluszki i babeczki z dżemem na letnie kościelne festyny dobroczynne. Poplamiona masłem książka kucharska *Good Housekeeping* leży otwarta na stole, ale kilka lat później zastąpiła ją *Sztuka pieczenia*. Lucy, w bawełnianym kombinezonie ukrywającym zgrabną figurę, zaglądała to do jednej, to do drugiej z nich, porównując przepisy i dodając własne notatki. Stojąc na krześle w kuchni, jedynym ciepłym pomieszczeniu w pełnej przeciągów plebanii, Jenny zanurza pulchny palec w surowym cieście i zlizuje z niego maślaną słodycz. „Jenny, powinnaś zapytać o pozwolenie, zanim zrobisz coś takiego” – upomina ją matka z uśmiechem. U jej stóp siedzi półtoraroczna siostrzyczka Eleanor i uderza drewnianą łyżką w pokrywkę garnka. Spogląda na starszą, czteroletnią siostrę, licząc na jakiś smaczny kąsek. Jenny podaje jej kawałek surowego ciasta, kiedy tylko matka odwraca się plecami. Uśmiechają się do siebie lekko, tłustymi ustami. Łączy je smakowity, słodki aż do mdłości sekret.

„Gdyby tylko życie nadal było takie proste”, zamyśla się Jenny, ustawiając na blacie cukier, niesolone masło i mąkę, konieczne do sporządzenia ciasta na szkockie paluszki. Cheddar, chili i czosnek już czekają w kolejce. Stoi w bezpiecznym ciepłe kuchni, otoczona zapachem topionego masła, który wydobywa się ze staromodnego piekarnika, z siostrą u stóp i mamą u boku. W ustach czuje lekkość słodkiego ciasta. Za oknem widzi zalany słońcem wiejski ogród. Czy życie może być piękniejsze? Przez chwilę pragnie cofnąć się w czasie, ale wraca do terażniejszości.

Salę wypełnia szum wyętej pracy. Od czasu do czasu słychać pytanie Harriet, która krąży między stanowiskami zawodników niczym wymagająca nauczycielka przedmiotów ścisłych.

Jenny łączy niesolone masło, mąkę, cukier i sól, patrząc, jak pod jej pękatymi palcami powstają w misce tłuste bryłki. Najważniejsze jest wycucie, upomina się mechanicznie. W pieczeniu i w życiu.

Łączy grudki ciasta w jedną masę, zawija w przezroczystą folię i wkłada do lodówki. Następnie powtarza niemal te same czynności, żeby przygotować ciasto na pikantne ciasteczka. Łączy cheddar z masłem i chili w proszku, potem dodaje mąkę i wodę, a na koniec pękate, obrane ze skórki migdały i zagniata wszystko w twardy wałek, który również ląduje w lodówce.

Teraz nadszedł czas na bardziej fantazyjne wypieki i Jenny uśmiecha się lekko na myśl o tych wyszukanych słodkościach. Ubija białka na sztywną pianę i stopniowo dodaje drobny cukier, tworząc szklistą masę bezową. Delikatnie łączy z masą mielone migdały wymieszane z cukrem pudrem i wyciska na papier do pieczenia równe błyszczące krążki o trzycentymetrowej średnicy. Delikatnie stuka w blaszkę, żeby usunąć zbędne pęcherzyki powietrza, wygładza czubki krążków nożem i zostawia na godzinę, żeby utworzyła się na nich skórka.

W końcu przechodzi do markiz. Po czterdziestu minutach wyętej pracy zastanawia się nad ostatnim przepisem. Świeżo umytą trzepaczką ubija kolejną partię miękkiego masła i cukru pudru, dodaje esencję waniliową, mąkę zwykłą i kukurydzianą i wszystko uciera na gładką masę. Następny etap to świetna zabawa. Z typową dla siebie zręcznością we wnętrzu rękawa cukierniczego rysuje barwnikiem spożywczym prostą linię, wkłada surowe ciasto do środka i wyciska dwadzieścia cztery perfekcyjne zawijaski. Precyzyjnie ukształtowane i symetryczne, połyskują na blasze do pieczenia. Markizy na pewno nie są zdrowe, ale jest w nich jakaś skromność. Daleko im do dekadencji tortu czekoladowego lub sernika z serka mascarpone. Pani Eaden na pewno by je pochwaliła.

Ostatnia blaszka ciasteczek przygotowana, piekarnik się nagrzewa, więc Jenny wychodzi na zewnątrz, żeby nacieszyć się chwilą spokoju z dala od innych zawodników.

Deszcz siąpi bez zapału, rozpryskując się na kamieniach dziedzińca, jakby przeproszał za swoją wcześniejszą brawurę. Jenny otula się szczelniej pikowaną kurtką, staje pod osłoną muru i wyjmuje

iPhone'a. Żadnej wiadomości od Nigela. Wyłącza go, włącza ponownie i sprawdza jeszcze raz. Nadal nic. Rozczarowanie dławi ją w gardle niczym trudny do połknięcia zbyt duży kawałek pizzy. Sama nie wie dlaczego – wbrew wieloletniemu doświadczeniu – miała nadzieję na jakiś pojednawczy gest z jego strony. Oczekiwała jakiegoś esemesa, jeśli nie z wyrazami miłości, to chociaż z życzeniami powodzenia. Oczywiście nawet nie napomknęła o tym, że przypadkiem widziała go z Gabby Arkwright. Załamałaby się, gdyby się przyznał do romansu, ale nie zniosłaby też kłamstwa. Poza tym nie wie, jak rozpocząć rozmowę z mężczyzną, którego, jak się okazuje, wcale nie zna. Przeraza ją myśl, że mógłby się zachować, jakby nic się nie stało. Wszystko by przekręcił, a ona czułaby się winna, że bezpodstawnie oskarżyła go o zdradę.

Zamiast konfrontacji w typowy dla siebie sposób próbowała ugodowymi metodami zmniejszyć dystans, jaki stale się między nimi powiększał od tego wieczoru, gdy Nigel złamał niepisaną umowę i nazwał ją grubasem. Łzy pieką ją pod powiekami, kiedy przypomina sobie tę awanturę, a na wspomnienie upokorzenia z minionej nocy uginają się pod nią kolana.

Leżeli już w łóżku na ogromnym materacu, który kupili wiele lat temu, żeby pomieścić nie tylko ich, lecz także trzy małe córeczki, codziennie przybiegające do ich sypialni na poranne przytulanki. Ostatnio jednak jego rozmiar ułatwia im wyłącznie to, żeby mogli przespać całą noc, wcale się nie dotykając. Teraz ona wkłada do snu długą, dziewiczo białą koszulę nocną o skromnym wiktoriańskim kroju, która działa jak sygnał, czytelny jak spodnie od pizamy u Nigela, a w szczęśliwszych czasach pudełko tamponów zostawione na widoku w łazience. „Nie dzisiaj, kochanie”.

Ostatniego wieczoru wybrała krótszą wersję koszuli: wprawdzie z bawełnianej dzianiny, też nieskazitelnie białą, ale całkiem niewiktoriańską. Starła się rozciągnąć materiał zbyt ciasno opinający fałdy tłuszczu na biodrach i miała nadzieję, że obfite piersi, widoczne w głębokim dekolcie obszytym białą koronką, skutecznie odciągną od nich uwagę. Kiedy była dwadzieścia pięć lat młodsza i niemal czterdzieści kilogramów lżejsza, często kusiła Nigela nagim biustem, gdy nikt nie patrzył. Nie pamięta jednak, kiedy zdarzyło się to ostatni raz. Uwielbiała energiczny seks, podchodząc do niego jak do sportu, i entuzjazmem nadrabiała brak finezji. Ale ostatnio kochali się jakby z obowiązku i bez radości, w misjonarskiej pozycji. Jenny bała się zainicjować coś bardziej ekscytującego, żeby nie przyciągać uwagi do swoich zbędnych kilogramów.

Kiedy weszła do sypialni, Nigel leżał odwrócony do niej plecami. Wsunęła się pod kołdrę z gęsiego puchu, z przyjemnością odczuwając miękkość świeżej pościeli, i zebrała się na odwagę. Z wahaniem pogładziła męża po udzie, zaskoczona twardością jego mięśni, przy której jej miękkie ciało wydawało się jeszcze pulchniejsze. Przesunęła dłonią po gładkiej skórze między jego nogami aż do aksamitnej w dotyku pachwiny.

– Przestań – nakazał zdławionym głosem. Chwycił jej rękę i odepchnął od siebie, niemal miażdżąc jej palce. – Nie mam ochoty.

Powiało chłodem.

Przesunęła się na swoją stronę łóżka i poczuła, jak gorące łzy spływają na poduszkę. Przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić szlochanie. Nigel trochę się zmiętył, słysząc, że ją zranił. Odwrócił się do niej, wsparł na łokciu i zacisnął rękę na jej ramieniu.

– Przepraszam... Po prostu nie jestem w nastroju. I chyba szczerze powiedziałem, ty też nie. – Czekaj, aż ugodowo skinie głową, potwierdzając, że ma rację. – Mam mnóstwo pracy i jestem zmęczony. Na dodatek te treningi do maratonu bardzo mnie wyczerpują.

Chciała wymamrotać: „Nie wspominając o Gabby”, ale powiedziała tylko:

– Oczywiście – starając się odegnać od siebie obraz tych dwojga uprawiających dziki seks.

Przywołała na twarz pełen zrozumienia uśmiech, a w zamian otrzymała łaskawy pocałunek w czoło. Zadowolony mąż przesunął się na swoją stronę łóżka, odwrócił do niej plecami i bez trudu zasnął. Ona jednak spędziła następne trzy godziny, zmagając się z lękiem. Na przemian otulała się ciasno kołdrą, a po

chwili wierzgnięciem zrzuciła ją z siebie. W jej głowie kłębiły się obrazy, których do tej pory nie może się pozbyć: Nigel kłusujący jędrne piersi Gabby, ściskający jej pośladki, poruszający się w niej i wstrząsany spazmami orgazmu; Nigel z czułym wyrazem twarzy, który pamiętała, ale którego od dawna nie widziała.

Kiedy wreszcie zapadła w sen, nie był on spokojny. Śniła jej się gibka triathlonistka dosiadająca jej męża z histerycznym pokrzykiwaniem. Gdy świecące cyfry na budziku wskazały piątą trzydzieści, odczuła ulgę. Mogła już przestać udawać, że śpi.

Teraz, na zalanym deszczem dziedzińcu, te same obrazy znów wypełniają jej wyobraźnię. Przeciera wyświetlacz iPhone'a. Wie, że musi wziąć się w garść, więc ociera łzy, rozmazując na policzku tusz do rzęs. Rozweseli ją wysłanie wiadomości do córek. Bardzo starannie racjonuje swoje kontakty z nimi. Kiedy pierwszy raz stała się posiadaczką smartfona, wzorem córek nieustannie wysyłała esemesy, jakby nie chciała rozluźnić łączącej ich pępowiny. Wysoki rachunek za telefon i łagodne przytyki Lizzie oraz o wiele mniej delikatne uwagi Emmy przywołały ją do porządku: niekontrolowane esemesowanie jest domeną nastolatek, mamom wolno wysyłać sporadyczne pogodne wiadomości. Z najmłodszą córką pozwala sobie na wymianę kilku zdań co drugi dzień, dwa razy w tygodniu wysyła wiadomość do Kate i Emmy, chociaż na odpowiedź musi czasami czekać cały dzień, co zawsze wywołuje jej niepokój. Wczoraj udało jej się opanować, więc dzisiaj śmiało wysyła esemesa do najmłodszej latorośli: „Dziś następny etap konkursu. Piekę ciasteczka. Jest trochę trudniej niż ostatnim razem! Życz mi szczęścia!”. Uderzając lekko palcami, wystukuje fałszywie radosną informację. Czy może okazać trochę uczuć? „PS Kocham Cię. Mama”.

Rozlega się miły dźwięk wysyłanej wiadomości, a potem jeszcze przyjemniejszy sygnał, że nadeszła odpowiedź: „Naprzód, mamó! Odezwę się później. Też cię kocham!”. Ciepło zalewa jej serce. Wraca do kuchni z pogodniejszą miną.

W kuchni rozchodzi się mocny zapach topionego masła i cukru. Makaroniki wyjeżdżają z piekarnika, roztaczając wokół woń słodkiej bezy i orzechów. Vicki podnosi wzrok i dostrzega ślady łez na twarzy Jenny.

– Wszystko w porządku? – pyta, dotykając ramienia starszej koleżanki.

Jenny kiwa głową i uśmiecha się twierdząco.

– Już dobrze. Ale to nie ma nic wspólnego z ciasteczkami.

– Tak podejrzewałam. – W oczach Vicki widać szczerą troskę.

– Po prostu... martwiłam się o coś. – Jenny czuje, że musi udzielić jakiegoś wyjaśnienia, a może po prostu ma ochotę otworzyć się przed tą ładną młodą kobietą. – Sama nie wiem... Próbowałam skontaktować się z mężem. Nie wiem, jak twój, ale mój jest beznadziejny, jeśli chodzi o odbieranie telefonu. Chyba nie rozumie, do czego służy komórka. Typowo męskie zachowanie! Ale już wszystko dobrze. I dostałam miłego esemesa od najmłodszej córki. Tak. Wszystko jest w całkowitym porządku.

Nadchodzi zaplanowana godzinna przerwa, więc zawodnicy wychodzą, żeby napić się czegoś i uciec od konkursowego napięcia. Jak nurkowie dający sobie sygnały pod wodą, Mike i Claire zbliżają się do siebie z nieśmiałym uśmiechem ludzi, którzy pragną się lepiej poznać, ale nie wiedzą, jak zacząć. Przytrzymał przed nią drzwi i razem poszli przez mokry kuchenny dziedziniec do tylnych drzwi rezydencji. Milczenie, z początku naturalne, po chwili zaczęło im ciążyć, kiedy jedno czekało, aż drugie rozpocznie rozmowę.

– Jak poszło? – Mike pierwszy wyrzuca z siebie pytanie. Zerka na nią z ukosa i zauważa delikatny rumieniec na białych policzkach dziewczyny.

– Nie za dobrze. – Smutny uśmiech zmienia się w grymas. – Chyba wszystko schrzaniłam. Przepraszam. – Sprawdza, czy to słowo go nie uraziło.

Mike uspokajająco kręci głową.

– Makaroniki nie wyszły mi takie kruche jak trzeba i trudno je było oderwać od pergaminu. Ale nie

ma czasu, żeby upiec następną partię przed przełożeniem ich kremem. – Claire zagryza wargę.

Jej towarzysz tylko kiwa głową, powstrzymując się od banalnych słów pocieszenia. Chce, żeby Claire mówiła dalej. Chyba zapomniał, jak się prowadzi zwykłą towarzyską pogawędkę.

– A tobie jak poszło? – pomaga mu pytaniem.

– Jakoś. – Nie mówi jej, że dzisiejsza sesja wydała mu się zaskakująco łatwa. – Trochę dziwny dobór przepisów, nie sądzisz? – dodaje po namyśle. – Nie jestem przyzwyczajony do pieczenia takich rzeczy.

– A co zwykle pieczesz? – Uśmiecha się zachęcająco. Podobają jej się jego skromność i niezdecydowanie.

– No wiesz, to, co lubią dzieci: babeczki, torty urodzinowe, pierniczki, puddingi. Czasem chleb, jeśli się zorganizuję.

– Żona pewnie cię uwielbia.

– Hm... Nie mam żony.

Policzki Claire czerwienieją.

– Bardzo przepraszam. Zauważyłam obrączkę, więc założyłam, że...

– Zmarła dwa lata temu. – Uśmiecha się, żeby łatwiej jej było znieść ten niezręczny moment. Zatrzymuje się i zdecydowanym gestem kładzie rękę na jej ramieniu. – Proszę cię, nie martw się. – Patrzy na nią błagalnie. – Skąd mogłaś wiedzieć.

Znów ruszają przed siebie.

– To był rak. Rachel miała czterdzieści lat. Czasami myślę sobie, że powinienem ostrzegać nowych znajomych, rozdawać jakieś ulotki, skrócony życiorys. Może wszyscy powinniśmy tak robić? – Jego śmiech jednocześnie brzmi nerwowo i gorzko. – Przeszła mastektomię, ale to była wyjątkowo złośliwa odmiana raka. Nastąpiły przerzuty do kości. Zmarła tuż przed czwartymi urodzinami Sama, naszego syna. Pippa miała wtedy sześć lat.

Mike milknie. Nie chce dodawać bardziej brutalnych faktów, zdając sobie sprawę, że i tak już zszokował Claire. A ona również milczy, przeglądając w myślach możliwe odpowiedzi. Każda z nich wydaje się banalna i szablonowa. Cisza ciągnie się jak kawałek gumy napięty do granic wytrzymałości.

– Ale dzieci są cudowne. – Mike rozpoczyna radośniejszy, znajomy temat, a Claire z ulgą szybko chwyta wątek:

– Mają teraz osiem i sześć lat? Moja córeczka Chloe skończyła dziewięć. Pierwszy raz spędziłam noc z dala od niej i tęsknię za nią jak wariatka.

– Założę się, że świetnie się bawi z tatusiem... – tym razem Mike sonduje grunt.

– Wątpię. Tatusiami nie zawracamy sobie głowy. – Teraz Claire go szokuje. Wybucha śmiechem, czując, że jego gafa w jakiś sposób usprawiedliwia jej niezręczność. – To znaczy oczywiście kiedyś tatuś był ważny, bo przecież nie wzięłam nasienia z banku spermy. Ale już od dawna, od niemowlęctwa Chloe nie ma go w naszym życiu. I świetnie dajemy sobie radę.

Mike nie ciągnie tematu. I tak już między kuchnią a tylnymi drzwiami do głównego budynku poznali się o wiele bliżej niż ktokolwiek inny z zawodników. Na kilka sekund obnażyli swoje dusze i nawiązali intymny kontakt, którego tak bardzo im w życiu brakuje. Oboje uśmiechają się szeroko. „Jakie on ma piękne oczy – spostrzega zaskoczona Claire. – Ciemnobrązowe i szczerze. A kiedy mu się bliżej przyjrzyć, wcale nie wydaje się taki stary. Ciekawe, jak wygląda, kiedy wybucha szczerym śmiechem”. „Ma śliczny uśmiech – myśli Mike. – I tyle żywiołowej energii. Wątpi w siebie, ale nie powinna. Ten facet musiał ją cholernie zranić. Widać jednak się nie poddaje”.

*Kiedy pieczesz z przyjaciółmi – na spotkanie Ligi Kobiet lub na festyn kościelny – nie daj się zbyt łatwo ponieść żądzy rywalizacji. Pieczenie może być rozrywką dla wszystkich.*

Karen z cichym westchnieniem kładzie głowę na oparciu drewnianego fotela w barze Bradley Hall, który otwarto dla uczestników konkursu. Długi dzień dobiegł końca i wszyscy zawodnicy zebrali się tu, żeby rozmyślać o swoich dzisiejszych dokonaniach, zastanawiać się nad stanowiskiem sędziów i szacować swoje szanse. Atmosfera rozluźniła się, ponieważ nikt, nawet Karen, nie potrafi tak długo wytrwać w stanie konkurencyjnej presji. „Zaczynamy się lepiej poznawać – stwierdza w myślach. – Może nawet się polubimy. Bo z jakiego innego powodu wszyscy by tutaj przyszli?” Zastanawia się nad tym, rozglądając się po sali, następnym pomieszczeniu nadającym się do kompletnej renowacji. Mike i Claire przysiedli na obitej ciemnoczerwoną skórą ławie pod ścianą wyłożoną mahoniem. Jenny i Vicki usadowiły się na dziewiętnastowiecznych krzesłach z wyplatany siedziskami. Podkładki pod kufle do piwa leżą w nieładzie na grubo lakierowanym stole, którego blat najwyraźniej klei się od brudu.

Karen wstaje.

– Przepraszam! – Z uśmiechem zagaduje Jerry’ego, barmana. – Czy mógłby pan wytrzeć stół? Wydaje się trochę brudny.

Odwraca się ku niej gwałtownie, ale choć wydaje mu się, że wyczuwa w jej słowach nutę flirtu, rezygnuje z żartobliwej odpowiedzi. Kobieta uśmiecha się słodko, jej głos brzmi łagodnie, ale oczy patrzą chłodno.

Stół zostaje wytarty tak, jak tego chciała, chociaż może niezupełnie, ponieważ nie jest przekonana, czy szmata była wystarczająco czysta, więc znów usadawia się wygodnie w fotelu. Policzki ma różowe od ognia w kominku, który płonął nierówno, dopóki Mike go nie podsycił. Karen pociąga łyk dietetycznej coli i sprawdza, co piją inni: Claire wódkę z tonikiem, Mike piwo Beck’s, Jenny i Vicki zamówiły butelkę wina Merlot First Reserve z oferty Eadena, ale Karen wątpi, czy zdołają opróżnić ją całą. Chociaż wszyscy się rozluźnili, nikt nie chce fundować sobie kaca.

Kiedy przypomina sobie, po jakich zakazanych spelunkach szlajała się jako piętnastolatka, po raz trzeci tego dnia powtarza sobie w myślach, że daleko zaszła. Wiele lat minęło, odkąd z butelką cydru w ręku na końcu mola wymieniała pocałunki, albo coś więcej, na pojedyncze papierosy. Wzdraga się na wspomnienie chłodnego wiatru od Tamizy, który owiewał jej uda, zapachu frytek z octem i siarkowej woni bijącej od błotnistej równiny, smaku kwaśnej śliny i dymu papierosowego. Jej matka, Pamela, spędzała większość czasu na kanapie przed telewizorem, objadając się słodyczami i oglądając programy typu *Randka w ciemno*. Nigdy nie pytała, co robią jej piętnastoletnia córka i siedemnastoletni syn. Dla niej niewiedza była błogosławieństwem.

Karen czuje, że znów przebiega ją dreszcz. Cóż, uciekła z tamtego świata i tylko to się liczy. Teraz musi przestać o tym myśleć. Może czas już trochę się rozerwać? Nagle ma dość sztucznego napoju w szklance, chociaż to jej zawór bezpieczeństwa w nieznośnym świecie jedzenia i alkoholu. Odsuwa go od siebie i oznajmia, że idzie po wodę gazowaną.

– Czy coś komuś przynieść? – zwraca się do pozostałych, ale zatrzymuje wzrok na Mike’u, jedynym mężczyźnie w tym gronie, a więc oczywistym centrum jej uwagi.

Wydaje się zaskoczony intensywnością jej spojrzenia.

– Jeszcze jednego becka? A ty, Claire? Wódka z tonikiem?

– Nie, dziękuję. Jeden drink mi wystarczy – odmawia dziewczyna.

– Och, daj spokój! Zrób sobie święto. – Zdecydowanym krokiem rusza w stronę baru, nie zważając na protesty Claire. – Może nawet się do ciebie przyłączę – dodaje. Uśmiecha się do barmana. – Dwie wódki z tonikiem, dużą butelkę gazowanej wody i becka – zamawia.

Wyjmuje z dużego portfela szeleszczący banknot dwudziestofuntowy, postukując paznokciami w lakierowaną skórę.

– Pomogę ci.

Wrodzona uprzejmość Mike'a daje o sobie znać. Karen ze zdziwieniem zauważa, że jest od niej o wiele wyższy. Kiedy tak stoi obok niej, nagle wyczuwa w nim coś bardzo męskiego, chociaż nawet się nie dotykają. Zastanawia się, czy pozwolić sobie na mały flirt. Co by to komu zaszkodziło? Mike to jedyny mężczyzna wśród czterech kobiet i choć nie jest w jej typie – za stary, niewystarczająco umięśniony, niezbyt przystojny – odruchowo decyduje, że ona najbardziej z nich mu się podoba. Taki wniosek jest dla niej tak naturalny jak oddychanie. Poza tym w jego smutnych oczach kryje się coś pociągającego. No i jest wdowcem, co zdradziła jej Claire. Zastanawia się, czy uprawiał seks od śmierci żony. Zerka na niego spod długich rzęs. On tego nie zauważa. Nie, bardzo wątpi, czy od tego czasu z kimś spał.

Wracają do stołu, Mike, nieco swobodniejszy przy drugiej butelce piwa, pyta każdą po kolei, dlaczego przystąpiła do konkursu.

– No a ty, Jenny? – zachęca ją uśmiechem.

– Dlaczego chcę zostać nową panią Eaden? – Jenny chce zyskać na czasie, żeby sformułować wystarczająco szczerą odpowiedź. – Cóż, mam pięćdziesiąt dwa lata, więc kiedy dorastałam, moja mama stała się z przepisów Kathleen Eaden. Gotuję od dzieciństwa i pomyślałam sobie: dlaczego nie pokazać, czego się przez ten czas nauczyłam. Jestem gospodynią domową, ale moje córki już opuściły dom, a mąż... już nie potrzebuje, żebym stała dla niego pieką. Często jest zajęty, bo biega w maratonach i ma różne sprawy do załatwienia. Pierwszy raz od wielu lat... Nie, w ogóle pierwszy raz w życiu mam czas, żeby zrobić coś dla siebie. – Uśmiecha się. – Kiedy zobaczyłam ogłoszenie o konkursie, pomyślałam sobie: „Potrafię to zrobić”. Nie twierdzą, że jestem mistrzynią czy coś w tym rodzaju, ale znam podstawy. Czuję, że to będą prawdziwe zawody w pieczeniu. To znaczy, wiem, że trzeba nagrywać te dziwne filmiki na YouTube i że nasze zdjęcia będą na stronie internetowej Eadena i w „Eaden's Monthly”, ale nie trzeba będzie pokazywać się w telewizji. To już byłby wyzysk. – Wypija łyk wina. – W sumie po prostu uznałam, że to sprawi mi przyjemność. Takie małe życiowe wyzwanie... I poczułam, że mam szansę – tylko szansę – żeby dobrze się spisać.

– Ja czuję podobnie – wtrąca Vicki z uśmiechem, stwarzając Jenny możliwość wyjścia z centrum uwagi. – Co prawda nie mam dorosłych córek i takiego doświadczenia jak twoje, ale wychowuję synka, który właśnie zaczął chodzić na kilka godzin dziennie do przedszkola. Zrobiłam sobie przerwę od pracy zawodowej i szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czego chcę od życia. Kiedyś byłam nauczycielką w podstawówce. Nauczanie początkowe. Uwielbiałam to robić i byłam w tym niezła, więc wydawało mi się, że wychowywanie własnego dziecka będzie moim żywiołem. Ale okazało się trudniejsze, niż się spodziewałam. Nie potrafię synka opanować i zajmowanie się nim nie sprawia mi takiej satysfakcji jak praca w szkole. Jest za mały, żeby się zainteresować literami albo malowaniem. Nie da się z nim porozmawiać tak jak z pięcio- czy sześciolatkiem. Chyba ten konkurs pozwala mi odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Przygotowuję się do kolejnej konkurencji i widzę rezultaty. Tak jak w szkole. I mogę zrobić coś dla siebie.

– A ty, Mike? – Karen zwraca się do niego. Pochyla się lekko, żeby uwidocznic piersi i patrzy na niego uważnie.

– To chyba wczesny kryzys wieku średniego. Mam czterdzieści dwa lata – mówi lekkim tonem, jakby bał się, że zdradzi coś zbyt osobistego. – Jak wszyscy tutaj uwielbiam piec i również jak was wszystkich – ciebie też, Jenny – pociąga mnie współzawodnictwo. Przetrwają tylko najsilniejsi i tak

dalej... – Obraca na palcu obręczkę i mówi dalej, zdecydowany na szczerość. – Kiedy Rachel zachorowała, zmieniłem zawód i zostałem nauczycielem. I chociaż ta praca niesie wyzwania – uśmiecha się do Vicky – to jednak brakuje mi adrenaliny, którą dawało mi stanowisko w ministerstwie finansów. Tęsknię za dawnym tempem życia. Tak, wiem, że nauczycielstwo wymaga ciągłego dokształcania się, żeby nie zostać w tyle, bycia przygotowanym na najtrudniejsze pytania, ale mam do czynienia z uczniami szkoły średniej, nie z ministrami. Brakuje mi tej pracy na pełnych obrotach, nieustannej gotowości. – Parska śmiechem, jakby chciał za coś przeprosić. – Może to zabrzmie trochę żałosnie, ale ten konkurs właśnie mi to zapewnia. Plus – i zabrzmie to jeszcze gorzej – dzięki niemu zyskuję potwierdzenie własnej wartości. Wydaje mi się, że sprawdzam się jako ojciec, ale nie ma nikogo, kto by to ocenił. W ten sposób przynajmniej się dowiem, że coś robię dobrze. Dobrze karmię swoje dzieci, a przynajmniej piekę im smaczny chleb i ciasta.

Przez chwilę wszyscy w milczeniu myślą nad słowami Mike'a. Jego szczerość sprawiła, że zniknęły dzielące ich bariery.

– To wcale nie jest żałosne. – Claire lekko ściska jego ramię.

Karen zastanawia się, czy to nie za wcześnie na takie gesty, i szybko stawia dziewczynę w centrum uwagi zebranych:

– A jaka jest twoja motywacja, Claire?

Claire natychmiast cofa rękę.

– Dlaczego się zgłosiłam?

Widać, że jest skrzepowana sytuacją, garbi szczupłe ramiona, obejmując dłońmi szklaneczkę.

– Mmm... Nie miałam wielkiego wyboru. Mama wysłała moją kandydaturę, a jej się lepiej nie sprzeciwiać. – Wybuch śmiechem, jakby coś sobie przypomniała. – Mówiąc serio, to była niespodzianka. Sama nigdy bym się do takiego konkursu nie zgłosiła. Nie wysłałabym tego listu. Muszę za to podziękować mamie – albo ją obwinić.

– Dlaczego więc się nie wycofasz? – drąży Karen.

Patrzy na Claire z uwagą. Nie okazuje wrogości, ale rzuca jej wyzwanie. Dziewczyna nie unika odpowiedzi:

– Cóż, oprócz tego, że można wygrać pięćdziesiąt tysięcy, robię to dla swojej córeczki Chloe. Nie wiedziała, że jej mama może wziąć udział w czymś tak emocjonującym, że jest w stanie coś osiągnąć. I pewnie z tych samych powodów robię to dla siebie. – Kiedy wypita wódka dociera do jej organizmu, Claire daje upust narastającej irytacji: – Widzisz, jestem inna niż ty, Vicky czy Jenny. Dla mnie to nie zabawa. To szansa na lepsze życie dla mojego dziecka. Pracuję w Eaden's i widuję takie kobiety jak wy, zastanawiające się, czy wybrać mięso zrazowe, czy rumszyk, śmietaną kremówkę czy ser mascarpone. A ja siedzę i rozmyślam nad tym, jak urozmaicić sos do makaronu, który znów muszę zrobić na obiad. Nie zgłosiłam się sama. I co z tego? To nie znaczy, że nie chcę się wykazać. Będę się starać z całej siły.

To jest najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek wygłosiła, i teraz ma wrażenie, że zrobiła coś niestosownego, wybuchając tak agresywnie. Zawodnicy w milczeniu przetrawiają jej słowa, zastanawiając się nad swoimi odczuciami. Długotrwała cisza staje się krępująca. Jenny gorączkowo szuka jakiegoś frazesu, który nikogo by nie uraził. Vicky uśmiecha się skruszona. Atmosfera się zagęszcza niczym powietrze przed burzą, zanim spadną pierwsze krople deszczu.

– Karen, a ty? – Mike, dzięki któremu rozpoczęła się ta sesja zwierzeń, postanawia zadbać, żeby osoba odpowiedzialna za wybuch Claire nie uniknęła odpowiedzi na to samo pytanie.

– Och, no, wiecie, znudzona pani domu z klasy średniej, ostra zawodniczka chciałyby przeżyć ekscytującą przygodę z Danem Kellerem.

– Karen! – Vicky jest zachwycona. Autoironia wywołała pożądany efekt.

– A jaki mogłabym mieć inny powód? Zawsze fascynował mnie jego strudel – dodaje z kamienną twarzą.



Vicki wypić już dwa kieliszki wina, więc śmieje się nieskrępowana.

– Jego strudel... A czyj strudel interesuje ciebie, Claire?

– Hm... Niczyj.

Czerwieni się, ale chciałyby rozluźnić atmosferę, która przez nią tak się zagęściła.

– Wolę strudel – taki prawdziwy – od seksu.

– Co za strata – stwierdza Karen i zerka na Mike'a, żeby sprawdzić, czy zgadza się z jej zdaniem.

– Wcale nie. – Ton głosu Claire znów staje się wyzywający. Ma dość Karen i jej osądów. – Tak jest mi łatwiej. Nikt się nie wtrąca w moje życie, nie marnuje mojego czasu, nie chce mną rządzić. Jesteśmy tylko ja i Chloe.

– Nie brakuje ci tego? – Wódka, której Karen zwykle nawet nie tyka, pali ją w gardle i skłania do otwartości.

– Musiałabym wypić o wiele więcej, żeby zacząć odpowiadać na takie pytania. A na dziś już mi wystarczy. Na mnie pora. Muszę zadzwonić do Chloe. Miło było poznać was wszystkich trochę lepiej.

Zabiera torbę i sweter, szybkim krokiem przemierza bar, a po sekundzie jej szczupła sylwetka znika za drzwiami, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować.

– Czyżbym ją spłoszyła? – Karen wypija resztę swojej wódki.

Mike z przerażeniem patrzy za odchodzącą Claire.

– Najprawdopodobniej. – Merlot wywołuje u Vicki przypływ szczerości. – Ale nie martwiłabym się o to. Moim zdaniem Claire to czarny koń tych zawodów. Jest bardziej zdeterminowana, niż nam się wydaje. Myślę, że jutro wykończy nas wszystkich swoim domkiem z piernika, a teraz wyszła, żeby sprawdzić, jak się robi najlepszy karmel na świecie.

– Skoro mowa o wychodzeniu, to ja też już was opuszczę. – Jenny jest zakłopotana takim obrotem rozmowy. Nagle czuje się stara. – Ostatniej nocy ze zdenerwowania źle spałam i też nie jestem pewna swojego przepisu. Może powinnam go sprawdzić? Sama rozmowa na ten temat mnie rozstraja – pape, co jej ślina na język przyniesie.

– Jesteśmy bardziej lekkomyślni? – zastanawia się Karen głośno, unosząc szklaneczkę w stronę dwojga pozostałych.

– Właściwie to chcę sprawdzić, co u Alfiego, a właściwie u Grega. Muszę się upewnić, że wszystko jest w porządku. – Vicki wzdycha, przeprasza i wychodzi.

Szybko przemierza pomieszczenie, w pośpiechu uderzając opiętym ciasnymi dzinsami biodrem o barowy stół. Karen patrzy na to rozbawiona i nalewa sobie szklanekę gazowanej wody. „Trzeba na nią uważać. A może to tylko kolejna niepewna siebie młoda mama z klasy średniej, która lubi piec babeczki?” Zerka na Mike'a.

– Alkohol szybko uderza jej do głowy, prawda?

W barze robi się cicho. Zostali tylko oni dwoje i kilka osób z obsługi, spokojnie dopijających swoje drinki przy stole w rogu. Ogień płonie, rozżarzone do białości węgle spadają na pokryte popiołem palenisko. W innych okolicznościach otoczenie wydałoby się jej bardzo romantyczne. Karen jednak nie potrzebuje romantyzmu, tylko rozrywki. Czegós, co odpędziłoby demony, które nagle bez powodu zaczęły wypełzać z przeszłości.

Mike przeciera oczy, jakby się zdumiał, że został tu z nią sam. Karen uśmiecha się łagodniej. „Uważaj, to wrażliwy mężczyzna” – upomina się w myślach. Będzie musiała działać ostrożnie.

– No tak. – Unosi szklaneczkę w jego stronę. – I zostało tylko dwoje. Jak w wierszyku o Murzyniátkach.

Zauważa jego zmieszana minę. Cholera, kiepska odzywka. Próbuje jeszcze raz:

– Bardzo poruszyło mnie to, co powiedziałaś o swojej motywacji... Że przystąpiłaś do konkursu z potrzeby uzyskania potwierdzenia swojej wartości...

– Ach, to... – Pociera czoło, jakby był zmęczony ojcostwem i swoim statusem wdowca. – Sam nie

wierzę, że to powiedziałem. To trochę niedorzeczne, ale pewnie wszyscy tego pragniemy. – Zamyśla się. – Chociaż ty chyba nie.

– Nie byłabym taka pewna – odpowiada ze śmiechem. „Jak on mnie mało zna”.

„Nikogo nie oszukasz”.

– W takim razie dobrze ci wychodzi udawanie kogoś, kto nie potrzebuje. – Uśmiecha się. – Ja najwyraźniej desperacko pragnę, żeby ktoś mnie pochwalił jako ojca, żeby mi powiedział, że jestem równie dobry jak matka, ponieważ potrafię upiec dzieciom panettone. Ty wydajesz się o wiele bardziej pewna siebie.

– Ależ wszyscy potrzebujemy aprobaty – protestuje, nie chcąc stać się głównym tematem rozmowy i obiektem amatorskiej próby psychoanalizy Mike’a. – Trudno się jednak dziwić, że bardziej zależy ci na takim potwierdzeniu niż większości rodziców.

Mike milczy. Może posunęła się zbyt daleko. Sączy wódkę, zastanawiając się nad następnym krokiem.

– Ciekawa jestem, czy w domu masz jakieś wsparcie emocjonalne.

– Cóż, dzieci są wspaniałe. Stale mi powtarzają, że mnie kochają. – Uśmiecha się na to wspomnienie. Jest zdumiewająco mało domyślny.

– Ale... czy nie wspiera cię ktoś dorosły? Masz może jakąś przyjaciółkę?

Pytanie jest nieco obcesowe, lecz delikatniejsze sondowanie nic nie dało.

– Och, nie. Nie mam nikogo takiego. – Kręci głową, jakby sama myśl o tym była mu obca.

Przez chwilę milczą oboje.

– Musisz się czuć bardzo samotny. – Patrzy na niego z ogromnym zrozumieniem i odrobiną zachęty, którą by zauważył, gdyby był nią zainteresowany.

– W jakimś sensie tak. Ale przecież w związku też można być samotnym, prawda? – Z przygnębioną miną wypija łyk piwa. – Lecz dość już o mnie. Ta rozmowa staje się zbyt poważna. – Uśmiecha się do niej przyjaźnie, jakby rozmawiał z matką ucznia.

Karen milczy ogłuszona. Tego się nie spodziewała. Jeśli cokolwiek sobie wyobrażała, to raczej delikatny flirt z sugestią czegoś więcej: czegoś dyskretnego, wyważonego i bez niepotrzebnych słów, jak przystało na dwoje dorosłych, świadomych swoich czynów ludzi. Nie zdawała sobie sprawy, że ma do czynienia z kimś tak prostolinijnym i odzwyczajonym od wylapywania seksualnych sygnałów.

Wypija łyeczek wódki. Cóż, byłby dla niej wyzwaniem, ale chyba nie ma na to energii. Niespodziewanie ogarnia ją apatia.

– A więc Dan Keller... Powiadasz, że to on cię przyciągnął do konkursu... – Mike uśmiecha się, jakby z wysiłkiem szukał tematu do rozmowy.

Karen sadowi się wygodniej za stołem i postanawia spróbować jeszcze raz:

– Cóż, jest dość przystojny, chociaż pewnie zbyt zapatrzony w siebie. Doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej urody, a u mężczyzny to nigdy nie jest pociągające. – Spogląda na niego, otwarcie szacując go ciemnymi oczami, i rozciąga usta w uśmiechu. – Wolę, kiedy mężczyzna całkowicie nie jest świadomy tego, że jest przystojny. To o wiele bardziej mnie kusi.

Nadal nic do niego nie dociera. Karen ma dość. „Co ja wyprawiam?” Zbiera jej się na płacz. „Drażnię się z tym biedakiem niczym kot z myszą. Nie, to złe porównanie. Mysz byłaby świadoma tej gry. On niczego nie zauważył”. Ta myśl uderza ją tak mocno jak łyk wódki palący w gardle.

– Muszę już iść.

Szybko i sprawnie ustawia szklanki obok siebie, odnosi puste butelki do baru i zarzuca torbę na ramię, a Mike w tym czasie uświadamia sobie, że chyba przeoczył komplement.

– Aha... W takim razie dobranoc – mówi zdezorientowany.

Zauważył jednak zmianę jej nastroju. Dostrzegł napięcie, które z niej teraz emanuje.

– Dobranoc, Mike. Śpij dobrze – odpowiada Karen.

Przez chwilę zastanawia się, czy nie wsunąć palców w jego gęstą czuprynę, nie pocałować w policzek, a potem nie zbliżyć warg do jego ust, ale odpowiedni moment już minął. A raczej nigdy go nie było. Z zadowoleniem stwierdza, że stać ją na obojętny uśmiech i spokojny krok, kiedy opuszcza bar.

*Domek z piernika to kulinarny dom dla lalek, świat zrodzony z wyobraźni cukiernika oraz niewielkich ilości cukru, przypraw, jajek, masła i mąki. W domku z piernika może zamieszkać każdy: nie tylko zła czarownica czyhająca na dzieci, ale też przemiła babcia lub kochająca mama z gromadką maluchów. To jest – lub może być – dom idealny.*

Jest ósma rano i rozwodniony blask porannego słońca sączy się do sypialni Karen, oświetlając ją niczym biblijną postać na obrazach starych mistrzów. W ustach czuje obrzydliwy niesmak, jakby zdechła tam mysz. Nieświeży oddech miesza się na języku z jakimś nieznanym gorzkim posmakiem i czymś jeszcze bardziej gryzącym. Zęby wydają się pokryte nalotem. Na dodatek ktoś zaciska cienką metalową obręcz na jej głowie.

Staje pod niemal wrzącym prysznicem. Strugi gorącej wody spływają jej po plecach i między piersiami, parząc skórę i szczypiąc w twarz. Przesuwa dźwignię w drugą stronę i puszcza lodowaty strumień. Szok następuje natychmiast. Spazmatycznie chwytą powietrze. Skóra jej bieleje i pokrywa się gęsią skórką. Potem znów się różowi pod wpływem zimna. Woda omywa jej ciało i napełnia je energią niczym po skoku do morza w wilgotny grudniowy dzień.

Chłód pobudza ją do życia. Namydla całe ciało żelem, przesuważąc dłońmi po ramionach i nogach, wnikając w każde zagłębienie. Po szamponie czas na odżywkę. Kiedy wychodzi spod prysznica, metalowa obręcz jest już luźniejsza. Zdechła mysz została splukana, ale lekki niesmak nadal daje się odczuć. Karen szoruje zęby elektryczną szczoteczką. Potem czyści je nitką, wypluwając krew do umywalki.

Wraca do sypialni, staje przed dużym lustrem, upuszcza puszysty biały ręcznik na podłogę i przygląda się sobie krytycznym okiem. Widzi szczupłe i silne ciało. Nogi mogłyby należeć do kobiety o połowę młodszej, imponująco płaski brzuch nie zdradza dwukrotnej ciąży, piersi sterczą wyzywająco, jakby dopraszały się o pieszczoty. Odwraca się. Pośladki są jędrne i gładkie, mięśnie twarde jak skała. Plecy nadal wyglądają młodzieńczo: nie noszą oznak upływającego czasu, nie widać na nich zbędnego tłuszczu. Stopy ma zgrabne, pedikiur w kolorze bordo prezentuje się nieskazitelnie. Dłonie, starannie nawilżane, jak zwykle z francuskim manikiurem, gorzej przechodzą test: z niechęcią zauważa na nich drobne plamki wątrobowe.

Przenosi wzrok na twarz pod turbanem z ręcznika. Nos jest kształtny, usta kuszące, ciemne oczy patrzą zagadkowo, ale wokół nich rysują się zdradzające upływ czasu zmarszczki. Bez makijażu, zaczerwieniona po kąpieli, wygląda na kogoś, kto przeżył cztery dekady z niewielkim okładem. Przypomina sobie zmieszanie Mike'a i lekko się wzdryga. „Co też on sobie o mnie pomyślał? Może nie zauważył, że odruchowo, choć bez zapału, próbuję z nim flirtować...” Ale barman Jerry od razu ją wyczuł. „Nikogo nie oszukasz”.

Zrywa turban z głowy i energicznie wyciera włosy. Potem szybkimi ruchami osusza ciało, trąc je ręcznikiem.

– Dzisiaj przed wami trudniejsze zadanie. Jeden z ulubionych przepisów Kathleen Eaden. – Harriet w schludnym bliźniaku, ze sznurem pereł na szyi patrzy na kwintet zawodników, stojący przy stanowiskach pracy. – Chcemy, żebyście zbudowali dla nas domek z piernika. Najlepiej własny. Pozwólcie nam dowiedzieć się troszkę więcej o waszym życiu. Ma to być solidna konstrukcja i na dodatek interesująca: pamiętajcie o tym, jeśli mieszkacie w typowym szeregowcu na przedmieściach. Dajemy wam cztery godziny na stworzenie swojego idealnego domu z piernika.

Vicki się uśmiecha. Lubi takie wyzwania: uporządkowane i estetyczne. Nigdy nie była zbyt twórcza, więc przychodzi jej do głowy jedynie tradycyjny domek Jasia i Małgosi, tylko w bardziej kiczowatej wersji: ozdobiony zawijasami z białego lukru, z dachem z czekoladowych pastylek i drzewami z lizaków oraz kwiatami z galaretek wokół. Z pasty cukrowej – nie z piernika – robi dwoje dzieci: chłopca w czapeczce i bryczesach oraz dziewczynkę z blond kucykami.

Pracująca obok niej Jenny zamierza sumiennie przestrzegać instrukcji i spróbuje zbudować wiejski dom z epoki królowej Anny, którego symetria będzie łatwa do odtworzenia. Tylko okna ozdobi polewą. Roztopia masło z ciemnym cukrem muscovado i złotym syropem, miesza z mąką, mielonym imbirem i cynamonem, cały czas zastanawiając się, kto będzie mieszkał w tym domu. Może powinna zrobić z białej pasty cukrowej figurkę biegacza w średnim wieku ubranego w czerwone szorty? Dodać trzy piękne dorosłe córki? A może powinna być tam sama, pochłonięta pracą w kuchni, z miską do mieszania ciasta w ręce?

Claire również ma problem z decyzją. Harriet zasugerowała, żeby nie budować nudnego podmiejskiego bliźniaka, więc co by powiedziała na trzypokojowe mieszkanie komunalne w bloku z lat sześćdziesiątych? Czy powinna odtworzyć przeciekający dach i betonową klatkę schodową, w której czuć moczem?

Postanawia myśleć twórczo. Harriet powiedziała, żeby zaprezentować swój dom idealny. Gdzie miałby stać? Nad morzem. Zbuduje więc piernikową letnią chatkę przy plaży, z dwojgiem rodziców przygotowujących sobie filiżankę herbaty na kuchence gazowej. Czas, który musiałaby poświęcić na stworzenie większej konstrukcji, wykorzysta na modelowanie kamyków i muszelek z pasty cukrowej. Cukrowa Chloe będzie się bawić przed chatką, ćwicząc stanie na rękach.

Karen wykaże się większą ambicją. Paracetamol, kofeina i, co u niej nieczęste, węglowodany – pół łyżeczki grubo posmarowanej miodem – błyskawicznie zwalczyły kaca. Zastanawia się, czy nie wykonać repliki swojego wiktoriańskiego domu: piernik będzie wyglądał jak czerwona cegła, a eleganckie zdobienia z łatwością wykona przy pomocy rękawa cukierniczego. W tym jednak zadaniu dostrzega szansę na stworzenie swojego ideału, domu, w którym by zamieszkała, gdyby jej życie potoczyło się inaczej. Zbuduje minimalistyczny apartament na ostatnim piętrze budynku w City: surowe szkło i ostre linie. Tafle stwardniałego karmelu utworzą dwie szklane ściany. Użyje kątomierza, żeby precyzyjnie wszystko dopasować. Nie będzie żadnych infantylnych cukierczków i czekoladowych drażetek, żadnego kiczu. I nie będzie dzieci z masy cukrowej. Jej świat to świat ludzi dorosłych.

Mike również rezygnuje z dzieci. Co prawda w pierwszej chwili chciał zbudować domek na drzewie z dwojgiem maluchów w roli głównego elementu całej konstrukcji, ale nie wie, jak stworzyć wystarczająco mocne drzewa, i nie ma przekonania, czy wystarczy mu zmysłu artystycznego. Postanawia dowieść swojej ambicji. Nawijając żartobliwie do dawnego życia, zbuduje dom przy Downing Street 10. Piernik będzie ciemny, zamiast złotego syropu użyje ciemnej melasy, doda goździków, żeby odwzorować szerniałe cegły.

Praca trwa cztery godziny i choć jest połowa marca, wokół unoszą się świąteczne zapachy: cynamonu, imbiru, melasy i goździków. Od początku na prowadzenie wychodzą Mike i Karen. Ich konstrukcje są najbardziej oryginalne i pomysłowe, najstaranniej wymierzone, przycięte i dopasowane. Trzymają się najmocniej. Ale postronny obserwator, bardziej zainteresowany charakterami uczestników niż ich umiejętnością pieczenia, zwróciłby uwagę przede wszystkim na Vicki, która pędzelkiem do szminki maluje różowe kwiatki na sukience malutkiej cukrowej dziewczynki. Jej domek z piernika wygląda najzupełniej poprawnie – jak podręcznikowa wersja do naśladowania – ale autorka najwięcej wysiłku poświęca miniaturowym dzieciom. Przygląda się im uważnie, potem zgina cukrowe ramię chłopczyka i otacza nim jego siostrzyczkę. Cukrowe włosy dziewczynki zostały zaplecione w warkoczki.

Pracująca obok Vicki Claire ostrożnie ustawia swoją figurkę dziewczynki. Trzymając ją do góry

nogami, jakby robiła gwiazdę, przykleja miniaturkę lukrem do plaży. W domu Jenny nie ma ani dzieci, ani męża. Nie ma tam także Jenny. Gdyby tak jak początkowo zamierzała, ustawiła w kuchni samotną postać pani domu, zdradziłaby zbyt wiele. Jej dzieło wygląda zastanawiająco sterylnie.

– I... odkładamy narzędzia!

Cztery godziny intensywnego skupienia dobiegły końca. Karen stawia swój nowoczesny apartament na stole sędziowskim i dziwi się, że jest tak zdenerwowana. Nie ma to nic wspólnego z obecnością Dana, chociaż na jego widok czuje odruchowy przypływ pożądania. Tu chodzi o dumę z projektu i z jego wykonania. Udało jej się za pomocą piernika i karmelu odwzorować surowy styl nowoczesnej architektury.

– Chętnie bym tu zamieszkał. – Dan patrzy na jej dzieło i na nią ze szczerym podziwem. – Fantastyczny pomysł. Nigdy bym na taki nie wpadł. Bardzo oryginalne podejście do tradycyjnego zadania.

Ciepło promienieje z żołądka, rozchodzi się po klatce piersiowej, zalewa twarz.

– Dziękuję – odpowiada Karen i pierwszy raz od początku konkursu szczerze się uśmiecha.

Chleb



*Jaka jest twoja ulubiona woń? Zapach dziecięcej główki? Aromat niedawno zerwanych fiołków? Moim zdaniem nie ma wspanialszego zapachu niż zapach świeżo upieczonego chleba.*

*Francuzi mają swoją bagietkę, Włosi ciabattę, mieszkańcy Bliskiego Wschodu placki. Ale zwykły bochenek porządnego chleba to nadal podstawowy produkt na stołach większości brytyjskich rodzin. I nic nie jest w stanie dorównać smakowi i zapachowi bochenka świeżo wyjętego z piekarnika.*

*Najpierw trochę naukowej teorii. Środkiem spulchniającym używanym do wypieku chleba są drożdże, żywe organizmy, które potrzebują ciepła. Trzeba im też dostarczyć pożywienia w postaci mąki i wilgoci w postaci wody. Wtedy zdarzy się kuchenny cud. Tworzą się bąbelki dwutlenku węgla, którym chleb zawdzięcza swoją lekką, puszystą strukturę. Najważniejsze, żeby tego etapu nie przyspieszać, a kiedy się skończy, zagniatać ciasto bardzo delikatnie. Naszym celem jest lekki, sprężysty mięsz i złocista chrupiąca skórka.*

*Wiele osób mi mówi, że nie ma czasu na pieczenie chleba. Poza tym po co mieliby zadawać sobie tyle trudu, skoro ten z piekarni, jak w sklepach Eadena, jest taki smaczny i łatwo dostępny? Zgadzam się, że przygotowanie chleba jest czasochłonne i może nie być ulubionym wypiekiem zapracowanej pani domu, a tym bardziej kobiety pracującej. Ale jeśli nauczymy się dobrze zarządzać czasem, bochenek domowego pieczywa jest w zasięgu każdego, kto chce się wykazać w kuchni. A wyraz zachwytu na twarzy męża albo radość dzieci, kiedy poczują jego zapach, i zapał, z jakim posmarują go masłem, wynagrodzi ci wszystkie trudy.*

Kathleen Eaden, *Sztuka pieczenia* (1966)



## Kathleen

Ból chwyta ją podczas pisania: dojmujący skurcz zaciska jej podbrzusze tak mocno, że musi zgiąć kolana i podciągnąć je pod brodę. Od razu wie, co to jest. To nie ból miesiączkowy, ale coś o wiele okrutniejszego, bardziej niszczycielskiego. Przeszywający spazm sprawia, że zaciska palce na krawędzi dębowego blatu biurka, wypuszczając pióro, które zostawia kleks na papierze. Chce się wyprostować, lecz zalewa ją kolejna fala cierpienia.

Próbuje oddychać głębiej, walcząc z ogarniającą ją paniką. To się nie dzieje naprawdę. Niemożliwe, żeby znów się to stało.

Kolejny skurcz macicy jest jeszcze silniejszy.

Wtedy właściwie nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że jest w ciąży. Powtarzała sobie, że po prostu okres jej się spóźnia i tyle. Odwleka się o miesiąc przez stres spowodowany pisaniem pierwszego felietonu do czasopisma. Ale ilość krwi świadczyła o czymś innym. A teraz znów się to dzieje.

Czuje nagły ruch i majtki robią się mokre. Przydarzył jej się jakiś wypadek. Dotyka skóry ud nad pończochami i natrafia na lepłą, ciepłą wilgoć. Palce przybrały czerwoną barwę i czuje jakiś słony odór. Gorączkowo ściera nylony. Krew spływa po wewnętrznej stronie ud – gęsta, jaskrawa, niepowstrzymana. Zastanawia się, skąd jej tyle wypływa, chociaż odpowiedź jest oczywista.

Jakoś udaje jej się dotrzeć do łazienki. Mniej więcej co dziesięć minut krew tryska z niej na nowo. Teraz jest ciemnoczerwona i gęsta. Widać w niej skrzepy rozmiarów niewielkiej monety. Boi się, że za chwilę pojawi się coś większego. „Nie mogę mu pozwolić wpaść do toalety – myśli. – Nie mogę dopuścić, żeby się pobrudził”. Wstaje z trudem i podkłada pod siebie ręcznik.

Podłoga jest zimna, ale Kathleen dygocze z szoku, nie od chłodu kafli. Szczęka zębami niczym postać z kreskówki. „Weź się w garść. Weź się w garść”. Słowa zmieniają się w szloch.

„Oddychaj miarowo”. Wdech na dwa, wydech na pięć, wdech na dwa, wydech na pięć. I to ma niby pomóc? Nie stara się już myśleć racjonalnie. Wyciera ręcznikiem podłogę, żeby usunąć wszelkie ślady. Nie ma jednak szans na wygraną w tej walce. Za każdym razem, kiedy czyści ułożone w szachownicę kafle, pojawia się następna plama, kałuża lub strużka. Kiedy Kathleen się porusza, krew znowu z niej wypływa.

Okręcona ręcznikami zwija się w kłębek i czeka na nieuniknione. Szacuje, że jest... była w dwunastym tygodniu ciąży. Jeszcze wczoraj męczyły ją mdłości. Dzisiaj nudności zniknęły i poczuła z tego powodu ulgę. Cały dzień spędziła na pieczeniu, przyglądaniu się, jak rośnie ciasto, i wyobrażaniu sobie własnego pęczniejącego brzucha z pojawiającymi się na nim rozstępami. Zagniała ciasto, nie bojąc się, że za chwilę żółć podejdzie jej do gardła.

Teraz oddałaby wszystko za falę mdłości. Byłby to dowód, że dziecko nadal w niej rośnie, rozwija się kolejny dzień, przygotowuje się do życia...

George będzie taki zawiedziony... A ona? Nikt w jej rodzinie nie ma dzieci. Wszyscy tego oczekują i właśnie tego chcieliby jej ojciec.

Macica zaciska się mocno i wraz ze strugą krwi wychodzi z niej to, co miało być dzieckiem.

*Wyrabianie ciasta jest jak małżeństwo: czasami trzeba zwrócić na nie większą uwagę i wykazać się wrażliwością.*

Jakiś głuchy odgłos budzi Grega ze snu. Stłumione dudnienie. O wiele łagodniejsze niż huk i rytmiczne, jakby ktoś odmierzał takt na cztery czwarte. Radiobudzik wskazuje piątą trzynastą. Bardzo frustrująca pora. Zbyt mało czasu zostało do pobudki zaplanowanej na piątą czterdzieści pięć, żeby znów zapaść w sen, a jednocześnie – o tej porze roku – jest za wcześnie na poranny śpiew ptaków, który zwiastowałby koniec nocy i nadejście nowego dnia.

Dudnienie znów się rozlega. Na wpół rozbudzony przesuwają się w stronę Vicki w nadziei, że przytuli się do jej ciepłego miękkiego ciała i dzięki temu znów zapadnie w sen. Ale jego ramię natrafia na chłodnawe prześcieradło. Druga połowa łóżka jest pusta i tylko ostatnie ślady ciepła świadczą o tym, że niedawno jeszcze ktoś tu leżał.

Całkiem rozbudzony ponownie spogląda na budzik: piąta czternaście. Z narastającą frustracją uświadamia sobie, że jest sobota, jedyny dzień, kiedy może trochę dłużej poleżeć w łóżku. W niedzielne poranki trzeba wozic Alfiego na niedorzecznie wczesne lekcje pływania, podczas których maluch tylko krzyczy i kurczowo trzyma się krawędzi basenu. Za to w soboty o świcie Greg może przytulić się do Vicki i fantazjować o porannym seksie, do którego jednak dochodzi bardzo rzadko, gdyż Alfie z regularnością zegarka budzi się około szóstej trzydzieści. Dzisiaj, czternaście po piątej, seks byłby możliwy, gdyby tylko Vicki leżała obok.

Układa się wygodniej na poduszkach i niejasno zaczyna kojarzyć, że rytmiczne dudnienie może mieć związek z jej nieobecnością. Rozczarowany wstaje z łóżka, wkłada bluzę z kapturem i chwiejnie zmierza do drzwi. Słaby dźwięk staje się coraz bardziej uporczywy, w miarę jak Greg schodzi na parter i zbliża się do kuchni, z której na dębową podłogę sączy się światło. Bum, szur, szur, szur, bum, szur, szur, szur, bum, szur, szur, szur. Bum.

Vicki, ubrana tylko w za duży sweter i kuchenny fartuch, zagniała ciasto na granitowym blacie. Praca pochłania ją całkowicie niczym jakiś rytualny obrządek: rzuca kleistą masę na blat, potem ugniata ją i zwija niczym w powtarzalnym układzie tanecznych ruchów, uśmiechając się przy tym lekko. Jak na kogoś, kto w codziennym życiu lubi mieć wszystko pod kontrolą i nieustannie dąży do doskonałości, wydaje się nienaturalnie zafascynowana tą prymitywną czynnością. Odsuwa z czoła brudne blond włosy umoczoną ręką i rzuca ciasto na blat z wyjątkowo donośnym hukiem.

– Vicki... Co ty wyprawiasz? – Greg nie podziela jej fascynacji. – Jest piąta rano. Sobota. Obudziłaś mnie.

Żona patrzy na niego z troską.

– Bardzo przepraszam, kochanie. – Podchodzi, żeby go objąć, ale z jej rąk osypuje się mąka. – Robię bajgle. Pomyślałam sobie, że chętnie zjesz świeże bajgle na śniadanie. Nie martw się, zaraz wracam do łóżka, ponieważ ciasto musi się odleżeć przez półtorej godziny, zanim je uformuję i wrzucę do wrzątku. Zrobię to o siódmej. Gdybym teraz nie zaczęła, dostałbyś je dopiero na lunch. – Jak zwykle mówi energicznie i z przekonaniem, ale Greg jest sceptyczny.

– Wstałaś przed piątą, żebym miał świeże pieczywo na śniadanie? Ale po co? Nie ożeniłem się z piekarzem.

Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Ależ właśnie tak.

– Wcale nie. Ożeniłem się z kimś, kto wpadł w obsesję na punkcie konkursu kulinarnego. To wspaniale. Cieszę się razem z tobą. I wiem, że chcesz ćwiczyć. Ale trochę przesadzasz. Nie musisz piec po nocach. Musisz się wysypiać jak normalni ludzie. A może powinnaś pomyśleć o następnym dziecku? Wydawało mi się, że właśnie tego chcesz. – Jego twarz o regularnych rysach wykrzywia złość, która jednak z wolna ustępuje, kiedy Greg zauważa, jak dziwny obraz stanowi jego ubrudzona mąką żona stojąca z nagimi nogami w kuchni o niemal nocnej godzinie.

Mimo woli zaczyna czuć podniecenie. Jest coś zaskakująco seksownego w tym jej pieczeniu. Vicki pociera nos, zostawiając na nim ślad z mąki. Greg dopiero teraz dostrzega ciemne kręgi zmęczenia pod jej oczami. Najwyraźniej przygotowania kosztują ją wiele wysiłku. Po raz pierwszy dociera do niego, jak bardzo żona chce wygrać ten konkurs. Zalewa go fala czułości. Patrzy na nią, stojącą w snopie halogenowego światła, i miłość miesza się w nim z pożądaniem.

– No to wracajmy do łóżka.

Vicki wkłada ciasto do miski, nakrywa folią, płucze ręce i podchodzi do męża, żeby go ułagodzić. Greg zauważa, że używa wobec niego takiego samego spokojnego tonu i techniki odwracania uwagi, jakie zastosowałyby wobec ich trzyletniego synka. Ale to zupełnie zbędne. Kiedy tak na niego patrzy, on mięknie jak wosk i może zrobić z nim wszystko.

– Nie mógłbym teraz zasnąć. Za bardzo się rozbudziłem. – Uśmiecha się do niej niewinnie.

Vicki patrzy na niego figlarnie i przesuwa chłodnymi palcami po wewnętrznej stronie jego uda, pod pasiastymi bawełnianymi bokserkami.

– A kto mówi o spaniu?

Zna go aż nazbyt dobrze. Nawet jeśli chciałby się jej oprzeć, żeby dowieść, jak bardzo zirytowała go przedwczesna pobudka, nie ma szans. Nie potrafiłby tego zrobić. Całują się. Z początku pocałunek jest niewinny, jakby na przeprosiny, ale wkrótce zmienia się w zaproszenie. Jej język bada wnętrze jego ust, dłonie gładzą jego szyję. On kładzie dłonie na jej pośladkach i z dreszczem zaskoczenia odkrywa, że są nagie pod pospiesznie narzuconym swetrem. To podnieca go bardziej, niż mógłby przypuszczać. Z lekkim wysiłkiem – przez wszystkie te dodatkowo pieczone smakołyki waży już prawie sześćdziesiąt cztery kilogramy – podnosi ją i sadza na obsypanym mąką blacie. Odsuwa się lekko i chichocze na widok swoich pokrytych białym proszkiem ud.

– Ciii... – Chce zatrzymać tę chwilę, zachować ją w pamięci nieskażoną wybuchem śmiechu.

Vicki patrzy na jego twarz pełną oczekiwania, złagodniałą od pożądania.

– O piątej rano można robić o wiele ciekawsze rzeczy niż zagniatanie ciasta – mamrocze Greg, trochę zawstydzony faktem, że tak bardzo jej pragnie.

Ona przyciąga go do siebie i rozpoczyna inny rytmiczny taniec.

*Z ciastem na ogół trzeba postępować stanowczo. Należy trzymać pod kontrolą tę zmienną organiczną substancję: wyrabiać ją, sprawdzać, jak bardzo da się rozciągnąć, ugnieść w odpowiednim momencie i nadać jej właściwy kształt. Innymi słowy, musisz się zachowywać jak mądra żona, która wie, że sekret małżeńskiego szczęścia polega na tym, żeby nauczyć męża dostrzegać jej potrzeby.*

Nigel Briggs stoi nagi w przylegającej do sypialni łazience, która przedtem służyła za garderobę, i wykonuje swoje codzienne poranne czynności. Z powiekami ciężkimi od snu staje przed toaletą i z chłopcą satysfakcją wsłuchuje się w szum swojego moczu, którego strumień nakierowuje w różne strony. Uryna skapuje z czubka jego członka, kiedy na koniec potrząsa nim troskliwie, i ląduje na kamiennej podłodze, tworząc lepką okrągłą plamę. Nawet przez myśl mu nie przejdzie, żeby ją wytrzeć. Jenny to wyczyści i zdezynfekuje dettolem.

Staje przy umywalce i zaczyna zabieg, który zaleca wszystkim swoim pacjentom. Czyści zęby nicią dentystyczną, szczotkuje elektryczną szczoteczką, płucze usta płynem do usuwania kamienia. Następnie bierze prysznic – krótki, zimny, orzeźwiający. Dopiero potem, odświeżony i zdolny do prawidłowej koncentracji, przystępuje do głównej czynności.

Znów nagi staje na czerwonej cyfrowej wadze żony i z dreszczem emocji obserwuje zmiany odczytu na wyświetlaczu z nadzieją na satysfakcjonujący wynik, który z początku rośnie, żeby zaraz zmaleć. Siedemdziesiąt trzy kilogramy i osiemset dziewięćdziesiąt gramów. To lepiej niż wczorajsze siedemdziesiąt cztery kilogramy i dwadzieścia gramów, ale nadal za dużo. Z niezadowoleniem wydyma wargi i po raz setny zastanawia się, czy różnica byłaby o wiele większa, gdyby najpierw się wypróżnił.

Owinięty ręcznikiem wraca do sypialni i notuje wynik w małym notesie. Kiedy skończy się ubierać, wprowadzi go do arkusza kalkulacyjnego w laptopie, gdzie zostanie przekształcony w wykres, ilustrujący konsekwentny spadek wagi jego ciała przez ostatnie tygodnie. Właściwie nie musi nic notować. Liczba 73,89 będzie tkwiła w jego umyśle przez cały dzień, determinując wybór posiłków i dystans, jaki przebiegnie wieczorem. Nie potrzebuje wykresu, żeby wiedzieć, że przy swoim wzroście metr osiemdziesiąt trzy do idealnej wagi wciąż musi zrzucić ponad cztery kilogramy.

– Nadal dużo mi brakuje do celu – rzuca oschle w stronę Jenny, która w pełni ubrana weszła właśnie do sypialni, przynosząc mu filiżankę porannej herbaty.

Nawet do głowy mu nie przyjdzie, że ta informacja wcale jej nie obchodzi.

– Hm? – mimo to pyta z umiarkowanym ożywieniem, nauczona przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa, że należy okazywać mu zainteresowanie.

Jej reakcja nie irytuje go, ale też nie satysfakcjonuje w pełni.

– Chodzi o moją wagę docelową. Jeszcze mi do niej daleko. Mężczyzna mojego wzrostu biegający w maratonach powinien ważyć mniej niż siedemdziesiąt kilo – piętnaście do dwudziestu procent mniej niż przeciętny facet mierzący metr osiemdziesiąt. Ważę prawie siedemdziesiąt cztery kilogramy, czyli tylko dziesięć procent mniej niż średnia. Muszę sprawdzić na wykresie, ile dokładnie muszę zrzucić. Sebastian Coe był lżejszy o dwadzieścia procent.

Zasypana gradem liczb Jenny stara się znaleźć odpowiedź jednocześnie świadczącą o jej wiedzy i chęci podtrzymania męża na duchu.

– Sądzisz, że powinieneś się porównywać do zdobywcy dwóch złotych medali olimpijskich?

To najlepsze, co udało jej się wymyślić. Efekt jednak jest daleki od oczekiwanego.

– Oczywiście, że się nie porównuję do olimpijczyka – odwarkuje Nigel, jakby ten pomysł był

kompletnie absurdalny. – Ani do biegacza na średnie dystanse. Podałem go jako przykład wybitnego lekkoatlety. I tak, właśnie do takiego wyniku dążę, moja droga.

Z rozsierdzoną miną, w skarpetach i bokserkach przegląda zawartość szafy z ubraniami. Wygląda przy tym nieco zabawnie. Mimo szczupłej sylwetki i niewątpliwej urody nadal pozostaje mężczyzną w średnim wieku, który powinien był zacząć pracować nad swoją wagą trzy dekady wcześniej, jeśli chciał zostać wybitnym lekkoatletą.

Marudząc coś pod nosem, szuka swojej ulubionej koszuli, odrzucając trzy inne, które żona uprasowała mu poprzedniego wieczoru. Jenny bez słowa rusza do drzwi, żeby nie słyszeć lekceważącego tonu, jakim ostatnio wygłasza większość swoich komentarzy.

Choć trzyma głowę w szafie, najwyraźniej wyczuł, że żona odchodzi, więc woła ją z powrotem jak właściciel przywołujący psa do nogi.

– Jennifer.

– Tak?

– Zadałem ci pytanie. Czy potwierdziłaś rezerwację hotelu w Paryżu na ten weekend, kiedy pobiegnę w maratonie?

– Jeszcze nie, ale zrobię to.

– Czternasty i piętnasty kwietnia. Nie zapomnij.

– Czternasty, piętnasty kwietnia – powtarza i zdaje sobie sprawę, że będzie miała problem.

W ten weekend za trzy tygodnie ma się odbyć kolejny etap konkursu, w którym będą piec placki i ciasta. Lekkie jak piórko domowe ciasto ptysiowe to jej znak firmowy. A placki są jej mocną stroną. Jeśli opuści ten etap, straci szansę na zabyśnięcie. W praktyce zaś będzie to oznaczało odpadnięcie z konkurencji, a tego w ogóle nie brała pod uwagę.

Chwila nie jest najlepsza, żeby poruszyć ten temat, ale postanawia się przemóc.

– Nigel, kochanie, nie będę mogła ci towarzyszyć.

Patrzy na nią z pytającą miną.

– Ten wyjazd koliduje z następnym etapem konkursu. Nie mogę go opuścić. Przykro mi.

Z początku zdaje się jej nie rozumieć, ale zaraz jego twarz przybiera drwiący wyraz. Patrzy na nią szydlerczo spod uniesionych brwi.

– Kwiecień w Paryżu kontra pieczenie placków w hrabstwie Buckingham? – Jego głos ocieka sarkazmem. – Twój wybór, moja droga, twój wybór... Wydawało mi się, że z chęcią byś się wybrała na romantyczny wypad. Nie wspominając o możliwości okazania wsparcia mężowi. Ale nie, ty wolisz sterczeć przy piekarniku.

W jej piersi formuje się twarda kula wściekłości. Ma ochotę krzyknąć na niego, zburzyć jego przekonanie o własnej doskonałości i przygadać mu, że dla odmiany to on mógłby okazać jej trochę wsparcia. Na końcu języka ma jeszcze uwagę, że być może Gabby Arkwright ma ochotę spędzić kwiecień w Paryżu, ale nie potrafi zdobyć się na takie słowa. Bierze więc głęboki oddech i siłą woli zmusza się do zachowania spokoju. Kiedy udaje jej się wydobyć z siebie głos, zaskoczona stwierdza, że brzmi chłodno i zdecydowanie:

– Oczywiście, że cię wspieram. Ale to jest dla mnie ważne. Nie zrezygnuję z konkursu, chociaż nie będę mogła oklaskiwać cię na mecie. Przykro mi, ale muszę tam jechać.

Cisza ciągnie się o wiele dłużej, niż się spodziewała. Z twarzy Nigela zniknęła drwina i mąż znów wygląda tak, jakby nie pojmował, co do niego mówi.

Jenny wychodzi z sypialni odmieniona, z wysoko uniesioną głową, krokiem bardziej sprężystym niż zwykle. Dopiero kiedy dociera do swojej bezpiecznej kuchni, dostrzega, że drżą jej ręce.

– Nie mogę uwierzyć, że nie pojedziesz tam, żeby mu kibicować. – Emma Briggs, jak zwykle pewna swojej racji i stanowcza, nie posiada się z oburzenia, kiedy Jenny oznajmia jej przez telefon, że nie wybiera się do Paryża kibicować jej ojcu. – Mamo, przecież tu nie chodzi o jakieś lokalne zawody. To

jest słynny paryski maraton! Wielkie wydarzenie. No i przecież wszyscy mieliśmy się tam spotkać, prawda? – Znajduje się w Montpellier, ale jej głos w telefonie komórkowym brzmi tak donośnie, jakby stała w tym samym pokoju.

Jenny ma już dość. Z pewnością siebie charakterystyczną dla młodego wieku jej średnia córka dobitnie daje jej do zrozumienia, jak bardzo jest nią rozczarowana, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozdrażnienie matki. Mówi i mówi, najwyraźniej wszedłszy w rolę adwokata Nigela, napastliwie starając się obudzić w niej wątpliwości i skłonić ją do zmiany planów. Jenny cierpliwie znosi ten atak, czekając, kiedy córka wspomni cokolwiek o nowej pani Eaden. Następuje to po długim czasie.

– A o co w ogóle chodzi w tym konkursie?

Jenny powtarza sobie w myślach, że córka wie o wiele bardziej interesujące życie niż ona, na dodatek w innym kraju. Klienci działów piekarniczych w supermarketach Eaden's są bardzo zainteresowani konkursem, ale wieść o nim na pewno nie dotarła jeszcze do przeciętnego studenta. A już na pewno nie do dziewczyny, która nie mając zbyt wielu zajęć na trzecim roku, cieszy się życiem na południu Francji. Oczywiście Jenny wspomniała o nim Emmie, ale córka uparcie udaje niewiedzę, jakby chciała podkreślić, że ma lepsze rzeczy do roboty niż oglądanie na YouTube, jak kobiety w średnim wieku pieką ciasteczka maślane. I zapewne rzeczywiście tak jest.

Ale Jenny nie daje się wyprowadzić z równowagi. Robi głęboki wdech.

– Ależ, skarbie, przecież wiesz, o co chodzi. To konkurs „Nowa Pani Eaden”, o którym ci opowiadałam. Jednym z jurorów jest ten przystojny piekarz Dan Keller. Zawody są rozłożone na trzy miesiące, a po każdym etapie organizatorzy nagrywają krótki filmik ze zdobywcami pierwszego i drugiego miejsca i zamieszczają go na YouTube. Można nas też zobaczyć na stronie internetowej Eadena i w ich magazynie. Zwycięzcę jednak wybiorą sędziowie. Jeśli wygram, dostanę czek na sumę, która wystarczy na spłacenie pożyczki studenckiej was trzech, a poza tym będę miała szansę pisać artykuły i udzielać porad na temat wypieków.

– Czyli to poważna sprawa? – Głos córki nadal brzmi nieustępliwie.

– Tak. Wiem, że zawiodę tatę i że będzie rozczarowany, ale nie zrezygnuję z konkursu, żeby go oklaskiwać w tłumie gapiów. Chcę w tym czasie zrobić coś dla siebie.

Następuje przerwa tak długa, że Jenny zastanawia się, czy Emma nie straciła zasięgu.

– Emma? Em? Jesteś tam? Odezwij się.

Słyszy, jak córka głęboko wzdycha z rozczarowaniem, i już wie, że czeka ją kolejna emocjonalna przeprawa.

– Po prostu myślę, że to wielka szkoda. Oczywiście wiem, co chcesz mi powiedzieć. Ale tatuś... – aby podkreślić swoją lojalność wobec ojca, Emma używa zdrobnienia, którym posługiwała się w dzieciństwie – tatuś włożył w przygotowania tyle wysiłku. To trochę smutne, że nie pojedziesz go wesprzeć. Oczywiście to niczyja wina – ciągnie z męczeńską wielkodusznością. – Doskonale rozumiem, dlaczego jest tak zawiedziony. Zwłaszcza że wszyscy mieliśmy się tam spotkać i zrobić sobie rodzinne święto.

Obraz odwołanego rodzinnego spotkania, po którym tak wiele sobie obiecywali, naturalnie budzi w niej smutek. Jenny zastanawia się, jak może zadośćuczynić to córce, kiedy Emma przypuszcza emocjonalny atak z innej strony:

– Postawiłaś mnie w bardzo trudnej sytuacji. Teraz nie wiem, komu mam kibicować.

Matka od razu odczytuje jej intencję.

– Och, skarbie, co prawda to nie są zawody, ale musisz kibicować tatusiowi, jeśli czujesz, że tego chcesz.

– Nie masz nic przeciwko temu? – Emma uznaje, że może użyć pojednawczego tonu, skoro jej weekendowi w Paryżu nic już nie zagraża. – Nie będziesz myślała, że cię nie wspieram albo że chcę zająć twoje miejsce?

– Ależ skąd, kochanie. – Jenny też może pozwolić sobie na wielkoduszność, gdy agresja Emmy przygasła. – Właściwie to wyświadczysz mi przysługę i zmniejszysz moje poczucie winy. Jedź i baw się dobrze.

*Żeby upiec dwa bochenki zwykłego białego chleba, weź białą mąkę, drożdże, ciepłą wodę, odrobinę masła, cukru i soli. Czas, trochę wprawy i cud natury to wszystko, co jeszcze będzie potrzebne.*

Sobotni poranek, druga połowa marca, a Mike Wilkinson jest tak blisko doznania szczęścia – czy raczej tego, co po odejściu Rachel stanowi je dla niego – jak to tylko możliwe.

Pippa i Sam leżą na podłodze w sąsiednim pokoju, oglądając jakiś błazeński teleturniej, i co chwila wybuchają zaraźliwym śmiechem, który potrafią wydawać z siebie tylko małe dzieci. Nie po raz pierwszy żałuje, że nie pamięta, jak można tak się śmiać, i zastanawia się, kiedy jego dzieci stracą zdolność do odczuwania tej czystej radości.

Zagląda do nich. Zapomniawszy o wszelkich sprzeczkach, głowa przy głowie napawają się niepowodzeniami zawodników, którzy zsuwają się po pochylni, wpadają z pluskiem do wody i brodzą w błocie.

– Co was tak rozmieszyło? – Jako wieczny outsider również zapragnął się pośmiać.

Sam, który nadal przeżywa atak szaleńczego śmiechu na dźwięk zakazanych słów „pupa” i „kupa”, ledwie nad sobą panuje.

– Ten pan... ten pan... wpadł na... – Tak bardzo chce dokończyć zdanie, że z wysiłku poczerwieniała mu twarz, ale znów zaczyna zwiijać się z niepohamowanej radości.

– Głupek – docina mu siostra.

Ośmioletnia Pippa uważa, że do takich niekontrolowanych ataków wesołości w jej wieku nie należy się już zniżać. Po krótkiej chwili jednak o tym zapomina.

– Tatusiu, patrz! Widziałeś to?! – piszczy radośnie, odwracając rozradowaną śliczną buzią do Mike’a. – Zleciał na sam dół!!!

Mike szacuje, że będzie miał najwyżej czterdzieści minut spokoju, i tym razem nie ma wyrzutów sumienia, że pozwala dzieciom spędzać czas przed telewizorem, ich zdalnie sterowanym rodzicem zastępczym. Wrócili właśnie z ponadsześciokilometrowej wyprawy rowerowej i dzieci na pewno czują to w pochłapanych błotem nogach, ale wie, że po lunchu i tak będzie musiał zabrać je na plac zabaw. Czterdzieści minut wystarczy mu, żeby wstawić zapiekanekę do piekarnika, przygotować *purée* ziemniaczane i zabrać się do przygotowania chleba. Następny etap konkursu to pieczenie chleba, ale Mike jako realista wie, że i tak go nie wygra. Nie zamierza więc doskonalić swojej techniki. Chce po prostu upiec świeży bochenek dla przyjemności, jaką daje mu to zajęcie.

W zeszłym roku pewnej soboty przygotowywał ciasto na chleb i oddawał się innej kultowej dla klasy średniej czynności: słuchaniu programu kulinarnego w Radio 4. Kiedy ostrożnie zagniatł ciasto, składał je ku sobie, uciskał nasadą dłoni, przekręcał i znów powtarzał ten ciąg ruchów, w radiu czystym zbiegiem okoliczności rozmawiano właśnie o tym, co robił. Co więcej, dowiedział się, że pieczenie chleba ma działanie terapeutyczne. W programie wypowiadali się między innymi weterani z Afganistanu, którzy założyli piekarnię, i ofiary tortur spotykające się co tydzień na terapeutyczną sesję wypiekania chleba. Rytmiczne zagniatanie ciasta uspokaja i wycisza człowieka, kiedy nachodzą go natrętne myśli i wspomnienia. Tak tłumaczył to działacz organizacji charytatywnej. A zapach, smak i konsystencja chleba mogą przenieść człowieka w przeszłość, do bezpiecznych czasów sprzed doznanej traumy.

Słuchając programu, Mike nagle poczuł, że po policzkach płyną mu łzy. Płakał nie tylko nad ofiarami tortur – głównie uchodźcami z Iranu – lecz także nad sobą. Próbował wtedy osiągnąć równowagę po



śmierci Rachel. Choć nie traktował pieczenia chleba jako terapii, nagle zdał sobie sprawę, że pierwszy bochenek zrobił tydzień po pogrzebie, kiedy dopadła go rozpacz początkowo tłumiona przez adrenalinę. Tłukł pięściami w ciasto – wbrew poradom z książki kucharskiej, gdzie zalecano delikatne składanie i ugniatanie – i doznał swego rodzaju katharsis; pozwoliło mu to oderwać się od rzeczywistości i uwolnić gniew.

Teraz pieczenie chleba stało się cotygodniowym rytuałem, nie tylko terapeutycznym, lecz także pobudzającym kreatywność. Była to okazja do stworzenia czegoś wyjątkowego, czegoś, co w najprostszy sposób pokazuje jego troskę o dzieci. Uwielbiał też poczucie ciągłości, jakie towarzyszy wytwarzaniu własnego chleba: robili to już dawni Anglosasi, o czym lubił opowiadać swoim uczniom. Byli bardziej myśliwymi niż rolnikami, więc widok kielkującego zboża i rosnącego ciasta napawał ich lękiem. Dlatego też wypowiadali zaklęcia na każdym etapie pieczenia. Powtarza uczniom, że chleb jest nierozzerwalnie związany z brytyjską kulturą i językiem. Wystarczy pomyśleć o wszystkich powiedzeniach i przysłowiach związanych z nim i z młynarstwem: „woda na młyn”, „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”, „zarabiać na chleb”. Chociaż już przed śmiercią Rachel był agnostykiem, czasami wspomina, że nawet Jezus doceniał znaczenie chleba i nazywał siebie „chlebem życia”.

Zamiłowanie do tej czynności i zrozumienie jej roli w brytyjskiej kulturze skłoniły go do eksperymentów, których unikał, piekąc ciasta czy przygotowując puddingi. Używa więc mąki orkiszowej lub żytniej, dosypuje maku i pestek słonecznika, dodaje oliwek i rozmarynu, pancetty i karmelizowanej cebuli, sera pleśniowego i orzechów włoskich. Ale najczęściej piecze zwykły biały chleb z trzema nacięciami na wierzchu i podstawową wersję razowca. Wie, że podczas zawodów będzie musiał zabłysnąć, dowieść, że potrafi przygotować hinduski *naan*, bajgle lub chałkę. Ale dzisiaj, w ciepłej kuchni, piecze zwykły chleb farmerski dla swoich głodnych dzieci.

Claire Trelawney również spędza czas w kuchni. Wraz z matką i córeczką piecze bułeczki z krzyżykiem, chlebek szafranowy i chleb herbaciany. Kiedy zagniata ciasto na blacie, rozciąga je i obraca, jej ręce poruszają się lekko i swobodnie, ale szczęki ma nerwowo zaciśnięte. Odezwał się ojciec Chloe, Jay. W takich sytuacjach zawsze piecze chleb, a nie delikatne ciasta czy ciasteczka. Sięga wtedy odruchowo po białą mąkę chlebową tak, jak inne kobiety sięgają po wódkę, wyrzucają z siebie stek wyzwisk lub zapalają papierosa.

– Spokojnie, kochanie.

Claire podnosi wzrok i widzi uniesioną brew matki.

– Przepraszam.

Uśmiecha się i spogląda na babcię i wnuczkę: dwa pokolenia wspólnie oddające się przyjemności mieszania prostych składników – mąki, drożdży, wody, soli i cukru – i obserwujące kulinarną magię w działaniu.

– Mamusiu, dobrze to robię? – Chloe jak zwykle doprasza się matczynej pochwały, walcząc z lepkiem ciastem na bułeczki, które oblepia jej palce.

– Trzeba dodać trochę więcej mąki... Nie aż tyle...! – kończy piskliwie, kiedy córka wysypuje na blat zbyt dużą porcję. – Nie chcemy, żeby ciasto było twarde i suche.

– Ja się tym zajmę, słoneczko.

Angela, seniorka domu i bezsprzecznie najlepsza specjalistka od pieczenia w rodzinie, choć pewnie Claire sądzi inaczej, przejmuje kontrolę. Zgarnia mąkę z powrotem do torebki, odrywa ciasto od rączek Chloe i sama zaczyna je zagniatać.

– Mamo, daj jej to zrobić samodzielnie. Musi się uczyć – mówi Claire, zirytowana ingerencją matki.

Angela nie ustępuje.

– Po co ma się tak męczyć. Po prostu jej pomagam.

– Babciu, teraz jest lepiej. Tak ładnie się ciągnie. – Chloe spogląda raz na jedną, raz na drugą, wskazując ciasto ugniatane przez babcię. Jej entuzjazm gasi sprzeczkę w zarodku. – Fantastycznie,

wspaniale. Dobra robota!

– Teraz musisz je ugniatać tak jak ja przez jakieś dziesięć minut. Ma być gładkie jak jedwab i elastyczne – instruuje Angela, przekazując ciasto wnuczce. – Wyjdą z tego pyszne bułeczki z krzyżykiem.

Wszystkie trzy pracują w przyjacielskim milczeniu. Claire tworzy ciasto szafranowe, lejąc zabarwione szafranem letnie mleko niczym płynne złoto na suszone owoce, cukier, drożdże i posiekane masło z mąką. Miękkie, tłuste ciasto przypomina jej domowej roboty plastelinę, którą bawiła się z Chloe, kiedy ta była małą dziewczynką. Jest elastyczne, miękkie i zmysłowe. Tylko pachnie ładniej: suszonymi owocami i drożdżami, a nie solą. Ma też inną strukturę: jedwabistą, nie szorstką.

– Ładny zapach, co? – Angela patrzy na dzieło córki z aprobatą. Jej ciasto zostało już uformowane w gładką kulę i leży teraz w misce, nakryte wilgotną ściereczką. – Robi się z ciebie całkiem niezła piekarka – oznajmia pojednawczym tonem, przyznając w ten sposób, że córka ma prawo nie liczyć się z jej radami, skoro tak dobrze jej idzie w konkursie.

Claire z uśmiechem przyjmuje komplement, tym cenniejszy, że rzadko je słyszy z ust matki.

– Dziękuję. Tak, idzie mi coraz lepiej. Ale jeszcze nie osiągnęłam celu. Daleka droga przede mną.

– No tak. Na pewno ci się uda. Prawda, Chloe?

Uśmiech rozjaśnia delikatne rysy Chloe, nosek obsypany po bokach piegami marszczy się, a oczy błyszczą z dumy i przejęcia.

– Jasne, że tak. Piecze najlepiej na świecie i jest najwspanialszą mamą pod słońcem.

– No tak. Robię postępy. Mój domek z piernika bardzo się podobał.

Claire uśmiecha się mimowolnie, ale znów zaczyna mocniej ugniatać ciasto, kiedy przypomina sobie, jaki był rezultat ukazania się na YouTube jej filmu. Jay zasypał ją e-mailami i esemesami.

– Chyba się tym nie martwisz, co? – Angela, zawsze wyczulona na zmiany nastroju swojego najmłodszego dziecka, zauważa pogłębioną bruzdę między jej brwiami.

– Tak trochę. Szczerze mówiąc, bardzo. Wiem, że nie wygram. Nie jestem głupia. Ale chciałabym, żebyście wszyscy byli ze mnie dumni.

Uśmiecha się, żeby ukryć przed Chloe nieustannie dręczące ją poczucie odpowiedzialności, ale zdradza ją drżący głos. Znów ma siedemnaście lat i musi powiedzieć matce, że zaszła w ciążę.

– Nie chcę was zawieść.

Angela przytula ją do okrytej kuchennym fartuchem piersi wraz z zaniepokojoną Chloe. Pachnie mydłem Pearsa i pieczeniem.

– Skarbie, nigdy nas nie zawiedziesz.

Stoją tak przez kilka sekund, aż Claire wyswobadza się z objęć nieco zażenowana ckliwym gestem mamy. Boi się też, że wystraszy córkę.

– Wspaniale to zrobiłaś, skarbie – mówi, wskazując na wyrobione przez Chloe ciasto, które już leży w misce nakryte plastikową torbą. – Teraz postaw ciasto na kaloryferze i umyj ręce. Potem możesz sobie włączyć płytę.

Chloe kiwa głową i z poważną miną osoby odpowiedzialnej przenosi miskę na kaloryfer. Później biegnie do łazienki zadowolona, że nie musi się martwić o mamę i będzie mogła sobie potańczyć przy muzyce.

– A więc... czym się tak zamartwiasz?

Claire od dawna wie, że przed matką nic się nie ukryje. Wyciera mąkę z blatu, zwlekając z odpowiedzią.

– Jay znów się odezwał.

Angela marszczy nos, jakby ktoś zepsuł powietrze.

– Widział na YouTube mój domek z piernika.

– Nie przypuszczałam, że interesuje się wypiekami – oznajmia Angela sucho i zmywa mąkę z dłoni.

– Zdaje się, że jego siostra zamieściła link do tego filmiku na swojej stronie na Facebooku.

Właściwie wszyscy moi znajomi to zrobili. Widziało go już piętnaście tysięcy osób, choć jakoś trudno mi w to uwierzyć. – Nie potrafi ukryć zaskoczenia tym wynikiem. Ani dumy.

– Aha.

Angela w milczeniu zastanawia się nad tą informacją i nad nieznaną jej siłą internetu. Dokładnie osusza dłonie ręcznikiem.

– Chyba nie zamierzasz się z nim spotkać?

– Oczywiście, że nie – odpowiada Claire gwałtownie. – Dlaczego miałabym zrobić coś tak głupiego?

– W porządku.

– Nie wierzysz mi.

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musisz nic mówić.

Matka spogląda na nią znacząco.

– Przepraszam, mamó. Bardzo przepraszam. Nie. Nie obiecałam mu, że się zobaczymy.

Ta odpowiedź nie przekonuje Angeli.

– Po prostu cię znam, skarbie. I wiem, jaki on ma na ciebie wpływ.

– Tak... Rozumiem. Ale to wszystko jest takie trudne. Chciałabym, żeby Chloe go zobaczyła. Żeby zaczął odgrywać większą rolę w jej życiu. Bardzo bym się cieszyła, gdyby stał się dla niej prawdziwym ojcem.

– Sądzisz, że on tego pragnie? – pyta Angela sceptycznie.

– Tak twierdzi... Mówi, że ten film z YouTube... To, że zrobiłam domek przy plaży dla Chloe... Że dzięki temu zdał sobie sprawę, ile traci – próbuje przekonać sama siebie. – Jeśli się z nim spotkam, to tylko ze względu na małą.

Angela prycha znacząco.

– Mamó!

– Wiesz, jaki on jest. Pamiętasz, jak cię potraktował. Dlaczego chcesz to przeżywać jeszcze raz? Zwłaszcza że sama bardzo dobrze sobie radzisz.

– Wiem, wiem. – Claire uśmiecha się, żeby uspokoić matkę.

Angela odchrząkuje głośno, a Claire wsuwa głowę do szafki w poszukiwaniu esencji waniliowej, która nagle stała się jej pilnie potrzebna.

*Wiem, że moda nakazuje ograniczać ilość spożywanego chleba i zastępować go sucharami lub pieczywem chrupkim. Nie powinniśmy jednak odmawiać sobie wszystkiego. Jedzenie jest po to, żeby się nim cieszyć. A substytuty rzadko smakują tak dobrze jak oryginał.*

Podśpiewując pod nosem, Vicki przemierza alejki w swoim lokalnym supermarkecie Eaden. Nuci cicho i wytrwale, lekko przy tym fałszując. Jest wczesne popołudnie, więc jak na ten sklep nie ma zbyt dużego ruchu. Zniknęli już urzędnicy, którzy wyskakują tu z biur w przerwie na lunch, żeby kupić sobie kanapkę z pastrami czy wrap z kozim serem i grillowanymi warzywami, a jeszcze nie pojawiły się zabiegane matki, ciągnące za sobą marudne dzieci, żeby w drodze ze szkoły kupić torbę słodkich bułeczek.

Vicki nuci radośnie częściowo z powodu nieoczekiwanego telefonu. To on wywołał gonitwę myśli w jej głowie i stworzył możliwość życiowej zmiany. Amy Springer, nauczycielka klas trzecich z jej dawnej Szkoły Świętego Mateusza, zadzwoniła do niej, że jest w ciąży i we wrześniu idzie na urlop macierzyński. Jej etat będzie wolny i Vicki może go objąć. Oczywiście nie skorzysta z tej możliwości. Alfie wkrótce pójdzie do przedszkola, a od początku planowali, że poświęci synkowi całą swoją uwagę, dopóki ten nie zacznie chodzić do szkoły. No i że urodzi następne dziecko. Choć na to drugie jakoś się nie zanosi.

Może praca byłaby dobrym wyjściem? Dzięki niej zajęłaby się czymś konkretnym i przestała czuć, że jej życie ograniczyło się tylko do oczekiwania na ciążę... Tak, to kusi. I jakie to cudowne, że Amy natychmiast powiadomiła ją o tej szansie. Uznała, że Vicki doskonale się do tej pracy nadaje. Zastanawia się, czy nie zadzwonić do Colina Johnsona, dyrektora szkoły. Nie, jasne, że nie. To tylko miła fantazja. Ciekawe, co by powiedziała jej matka na wieść o tym, że córka wraca do pracy. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że bardzo by się ucieszyła. Frances zawsze odbierała jej rezygnację z pracy jako osobistą przykrość, tym bardziej że sama w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wiele dla niej poświęciła. Wprawdzie ostatnio przestała się dopytywać, kiedy Vicki znów zacznie uczyć, ale ta kwestia jest stale obecna w życiu ich obu niczym groźna burza, która z pewnością kiedyś się rozpęta.

Nie chce w najbliższy weekend doświadczać takiego napięcia. Skupia uwagę na najbliższym zadaniu: musi przygotować coś pysznego dla matki. Będzie to podziękowanie za opiekę nad Alfim i kolejna próba zyskania jej podziwu i aprobaty.

Krąży po sklepie. Wspaniale jest robić tu zakupy, na dodatek bez dziecka. Kiedy zdaje sobie z tego sprawę, ogarnia ją poczucie winy. Ale dobrze jest mieć czas na spokojne obejrzenie każdej rzeczy, powąchanie mango czy sprawdzenie miękkości awokado, bez Alfiego, który nie chce siedzieć w wózku, tylko nieustannie szarpie ją za pasek, połę kurtki, torebkę, a potem ucieka i chowa się między półkami. Zakupy bez dziecka to całkiem inne doświadczenie. Miła czynność, podczas której można się oddać rozmyśleniom – rozważyć, co upiec w następnym etapie, żeby zapewnić sobie występ na YouTube, jak to się jej udało z battenburgiem (18 928 wyświetleń, kiedy ostatni raz sprawdzała, godzinę temu). Ten przepis miał dla niej większe znaczenie emocjonalne niż jakikolwiek inny, zastanawia się więc, czy żeby pokazać, co potrafi, musi wybrać wypiek związany ze złymi wspomnieniami.

„No, droga pani Eaden, niech mi pani pomoże”, myśli, pchając wózek w stronę ulubionej alejki z produktami do pieczenia. „Co mam zrobić, żeby zabłysnąć, żeby zyskać przewagę nad Karen, mistrzynią domków z piernika, czy nad Jenny, która wyraźnie wychodzi na prowadzenie? Jenny jest cudowna, choć najwyraźniej ma jakieś kłopoty z mężem. Ale tak bardzo chcę wygrać... Jeśli nie mogę wrócić do

nauczania, to muszę pokazać matce, że w tej dziedzinie potrafię się wyróżnić. Drugie miejsce nie wystarczy, żeby zdobyć jej uznanie. Muszę być najlepsza”.

Skreca w ulubioną alejkę. Następny etap to chleb. Nigdy nie był jej mocną stroną. Czy powinna się skupić na różnych rodzajach mąki, czy na dodatkach smakowych? Co zrobiłaby pani Eaden? Co spodoba się sędziom?

Przygląda się torebkom mąki chlebowej: organicznej, żytniej, razowej i orkiszowej. Spędza nad nimi przesadnie dużo czasu, a w końcu wybiera zwykłą białą i organiczną pszenną razową. Po chwili wahania dokłada trzecią: organiczną bezglutenową.

„Założę się, że nie mieliście takiej matki jak moja”, myśli, wybierając potrzebne jej do bułeczek z krzyżykiem organiczne suszone morele, wielkie złote sułtanki, czerwone rodzyunki i kandyzowaną skórkę pomarańczową. Jeśli użyje mąki bezglutenowej, będzie mogła upiec ciasto dla Frances. „Znów to robię – uświadamia sobie ze smutkiem. – Piekę, żeby ją uszczęśliwić”. Musi to być coś bez sztucznych barwników i dodatków smakowych, bez glutenu i – jeśli się da – bez cukru i tłuszczu. Jakie ciasto upiec, żeby była zadowolona? A może powinien to być chleb? Z mąki bezglutenowej? „O, ja głupia, chleb nie wchodzi w rachubę”. Zawierałyby drożdże, a po nich Frances męczą okropne wzdęcia.

Pogodny nastrój błyskawicznie ją opuszcza, więc Vicki biegnie do działu warzywnego, żeby wybrać coś, co na pewno będzie odpowiadało matce. Może przecież zrezygnować z ciasta i zrobić dla niej smaczną i niskokaloryczną sałatkę tajska z soi, czerwonej papryki, kolendry i imbiru. Wkłada do wózka paprykę, młodą kukurydzę, kiełki sojowe i groszek cukrowy w strączkach. Przystaje i się zastanawia. Groszek pochodzi z Zimbabwe, kukurydza z Kenii. Odkłada je na miejsce. Matka na ich widok wygłosiłaby wykład na temat zatruwania środowiska przez samoloty, którymi takie towary są transportowane. A może jabłka pod kruszonką? Angielskie jabłka, bezglutenowa mąka, płatki owsiane, odrobina brązowego cukru, tłuszcz... Nie, masło odpada. Może zaakceptuje niskotłuszczową margarynę? A może najlepiej będzie przygotować dla niej deser z gotowanych jabłek z dodatkiem niskotłuszczowego organicznego jogurtu? A na główne danie rybę z ekologicznego gospodarstwa i podać ją z brokułami z lokalnej organicznej uprawy?

Niezdecydowana rozważa kolejne możliwości. Chciałaby zrobić wszystko tak, jak trzeba, i otrzymać doskonały rezultat. W końcu wybiera najpiękniejsze warzywa, chociaż wie, że matka i tak będzie miała im coś do zarzucenia. Nie będą tak świeże i smaczne jak warzywa z działki jej znajomej, ale tym razem będą musiały wystarczyć.

Wybrała wszystkie produkty – chociaż nadal nie jest pewna swoich decyzji – i poczuła, że potrzeba jej jakiejś lekkiej rozrywki, więc kieruje się do działu z prasą. Znajduje magazyn kanału CBeebies dla Alfiego i już sobie wyobraża jego radość na widok nalepki z Rastamyszą, którą do niego dołączono. Ostatniego wieczoru czytała mu bajkę o przygodach rapującej myszki, z wysiłkiem naśladowując jamajski akcent, a synek słuchał w skupieniu. „Przepraszam cię, ale nie potrafię tego zrobić lepiej” – tłumaczyła się, ale on tylko potrząsnął głową i w odpowiedzi użył nowego słowa: „Było super!”. Potem przytulił się do niej, ciepły, ufny i pełen zachwytu. „Czasami coś mi się udaje”, myśli, przeglądając magazyny kulinarne: „Świat Wypieków”, „Świat Cukiernika”, „Torty i Ich Zdobienie”, „Babeczki i Muffinki”. Tytuły na pastelowych okładkach biją w oczy. Zastanawia się, na które wydać trzy funty i dziewięćdziesiąt pięć pensów. W żadnym nie ma rad na temat pieczenia chleba, wszystkie skupiają się na słodkich wypiekach. W dodatku proponowane sposoby zdobienia są trudne technicznie, ale sztampowe. Staromodne.

Jakaś kobieta przygląda jej się badawczo, z uśmiechem przechyliwszy głowę.

– To ty, prawda?

Vicki nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Vicki? – upewnia się nieznajoma. – Przyszłaś tu reklamować konkurs? To chyba nie jest konieczne. – Wskazuje na trzymany w ręku egzemplarz „Eaden’s Monthly”.

Bierze od niej pismo. Nie zdawała sobie sprawy, że już się ukazał kwietniowy numer. A oto i ona na okładce obok Claire i Karen dokonuje ostatnich poprawek swojego domku z piernika. Wygląda na osobę pewną siebie, spełnioną. I szczęśliwą.

– Pięknie wyglądasz! – Kobieta wyraźnie jest nią zafascynowana. – Kibicuję ci od początku. Przypominasz mi moją córkę. Jak wrócę do domu, jeszcze raz obejrzę twój film na YouTube i zamieszczę jeszcze jeden komentarz. Bardzo mi się podobał twój battenburg.

– Dziękuję... Bardzo dziękuję. – Speszona Vicki przypomina sobie o dobrych manierach.

– Wiem, że to trochę głupie... – ciągnie kobieta – ale czy mogłabyś... Pewnie nie zechcesz...

A może?

Wyjmuje z torebki długopis Parkera i wskazuje na magazyn.

– Chce pani, żebym się podpisała?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu. To nie jest zbyt taktowne, ale inaczej córka mi nigdy nie uwierzy.

– Z przyjemnością. – Vicki wróciła zdolność mówienia. Chichocze nieco skrepowana i przejęta. – Nigdy jeszcze tego nie robiłam. Pierwszy raz czuję, co to znaczy być celebrytką!

– Pierwszy, ale nie ostatni. – Kobieta uśmiecha się szeroko. – Nie mam co do tego wątpliwości.

## Kathleen

Jego komentarze wydały jej się ogromnie niestosowne, chociaż wiedziała, że po prostu próbuje być miły.

Kilka minut wcześniej leżała na fotelu w jego gabinecie na Harley Street z nogami w strzemionach i poddawała się badaniu, które miało stwierdzić, dlaczego – dwa tygodnie po wydarzeniu, którego nie chciała nazwać – nadal obficie krwawi.

– Obawiam się, że trzeba będzie wykonać łyżeczkowanie macicy, żeby sprawdzić, czy nie zostało tam coś brzydkiego. – James Caruthers, członek Królewskiego Stowarzyszenia Położników i Ginekologów, poinformował ją o tym, zdejmując rękawiczki i myjąc ręce.

Zaczerwieniona unika jego wzroku po badaniu wewnętrznym.

– Coś brzydkiego...? To znaczy moje dziecko?

– Nie. Niewydalona tkanka. Pozostałości łożyska.

Zerka na nią przelotnie i dalej szoruje dłonie między palcami. Nie jest nieprzyjazny, tylko zasadniczy.

Ogarniał ją coraz większy smutek, podczas gdy ginekolog tłumaczył jej naturę zabiegu, ryzyko i korzyści z nim związane. Jego słowa ledwie do niej docierały: znieczulenie ogólne, ryzyko infekcji, pozostanie w łóżku, zaniechanie stosunków płciowych, konieczność ułatwienia poczęcia w odpowiednim czasie... Równie dobrze mógłby mówić w klasycznej grece lub innym równie osobliwym języku, tak obco brzmiały jego słowa.

Spojrzała na fotografie w srebrnych ramkach ustawione na biurku: James Caruthers, jego elegancka żona i ich trzech synków w mundurkach prywatnej szkoły. Jasnowłosi, dobrze sytuowani, nieznający trudów życia. Najmłodszy ma dołeczek w policzku i żywiołowy uśmiech. Wtedy poczuła, że nagłe gorące łyzy pieką ją pod powiekami. Julie, pielęgniarka, podała jej wyprasowaną bawełnianą chusteczkę, wydając pocieszające pomruki. Pan Caruthers musiał przerwać przemowę, którą wygłaszał, chodząc po wykładanym drewnem gabinecie. Przystanął, na chwilę zbity z tropu, potem przysiadł na biurku swojego partnera i położył piegowate dłonie na udach.

– Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli postara się pani nabrać sił przed kolejną ciążą – powiedział spokojnie i rozsądnie. – Proszę jeść te rzeczy, o których pani tak ciekawie pisze. Może nie ciasta, ale paszteciki i pełnoziarnisty chleb. Są bardzo pożywne. Wskazane jest też dużo czerwonego mięsa i zielonych warzyw. Muszę dodać – ciągnął, zapalając się do tematu – że pani zainteresowania są wspaniałe. Moja żona jest pani wielbicielką. Co miesiąc czytuje pani artykuły i twierdzi, że pisze pani książkę. Czy to prawda?

– Tak... Piszę *Sztukę pieczenia*.

Speszona, nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć o swoim projekcie. Ostatnio utknęła w miejscu, jakby uszła z niej również zdolność pisania. Udało jej się sklecić artykuł do „Home Magazine” – przerobioną odę do szarlotki z kruszonką – ale nie napisała niczego, co nadałoby się do zamieszczenia w książce. Jak może układać zdania o pieczeniu smakołyków dla rodziny, skoro sama jej nie posiada? A raczej posiada, ale składającą się jedynie z niej i George’a.

Patrzy na lekarza, któremu się wydaje, że ma ochotę rozmawiać z nim o pisaniu i pieczeniu, podczas gdy ona pragnie jedynie usłyszeć, dlaczego straciła dziecko. James Caruthers ma tak zadowoloną z siebie minę, jakby znalazł sposób na zrekomensowanie niedociągnięć sztuki medycznej.

– A więc ustalone... – Prostuje się i obdarza ją szerokim uśmiechem. – Doprowadzimy panią do

porządku i dobrze się wszystkiemu przyjrzymy. Jestem pewien, że nie ma powodu, dla którego nie mogłaby pani urodzić ślicznego bobasa. Być może trzeba będzie próbować trochę dłużej, poświęcić na to więcej czasu... Zresztą ma pani szczęście. Jeśli sprawy nie całkiem pójdą tak, jak by pani sobie życzyła... cóż, ma pani jeszcze plan B, prawda? Zawsze może się pani poświęcić wypiekom i pisaniu.



*Ciasto na smalcu – ulubione ciasto mojego męża – może się wydać trochę staroświeckie: przysmak na podwieczorek lepki i słodki, pełen rodzyneków i korzennych przypraw. W przeszłości ciasto to przygotowywano na specjalne okazje, ponieważ cukier, suszone owoce i przyprawy były bardzo kosztowne. Obecnie cena nie musi nas niepokoić, a jedynym ograniczeniem jest to, jak bardzo zależy nam na szczupłej talii.*

– Dzień dobry! – Karen Hammond uśmiecha się przez ramię do przechodzącego obok Dana Kellera, który obserwuje technikę pracy zawodników. W kuchni Bradley Hall Karen przyrządza swój popisowy wypiek – chleb na zakwasie.

Jest pewna zwycięstwa. Upiecze chleb orkiszowy posypany płatkami żytnimi. Bez pszenicy, oryginalny i nowoczesny. Ani chlebek szafranowy Claire, ani chleb z kardamonem i fenkułem Mike’a, ani razowiec z miodem i orzechami włoskimi, który przygotowuje Vicki, nie mają żadnych szans.

– Zawsze tak zagniatasz ciasto? – Pytanie to, wypowiedziane lekko rozbawionym tonem, zaskakuje Karen.

– No...

Nieruchomieje nieco zbita z tropu jego bliskością. Ich ramiona prawie się stykają, kiedy sięga po jej ciasto.

– Użyłaś mąki orkiszowej, tak? Będziesz więc musiała wyrabiać je dłużej. Pozwolisz, że zademonstruję?

– A to jest dozwolone? Nie będzie uznane za oszustwo?

Myśl o złamaniu zasad na oczach wszystkich przyprawia ją o dreszcz emocji.

– Nie zrobię całej pracy za ciebie, ale wolno mi pokazać kilka ruchów.

W jego słowach słyszy seksualną aluzję, więc rozgląda się czujnie wokół. Inni zawodnicy, pochłonięci pracą, najwyraźniej ich nie słyszą. Odsuwa się na bok, dając mu przesadnie dużo wolnego miejsca, ponieważ jego fizyczna bliskość działa na nią zbyt mocno. Dan zerka na nią, a potem zaczyna rozciągać i obracać ciasto. Jego ręce poruszają się szybko i lekko, chociaż wyraźnie widać, jak bicepsy napinają się pod materiałem koszuli.

– Teraz ty spróbuj.

Ustępuje jej miejsca, a Karen kładzie dłonie na elastycznej masie, ogrzanej i zmiękczonej przez jego dłonie. Nacisnąć, obrócić, złożyć, nacisnąć, obrócić, złożyć... Naśladuje jego ruchy i stara się ignorować jego bliskość, zapomnieć o tym, że jego palce przed chwilą były tam, gdzie teraz są jej, zlekceważyć ciepło w podbrzuszu.

– Dużo lepiej.

Znów się do niej uśmiecha i odchodzi spokojnym krokiem, a ona mimo woli patrzy na jego kształtne pośladki, wąską talię i szerokie ramiona. Czuje się jak nastolatka wdychająca skrycie do szkolnego przystojniaka, który nią manipuluje – uśmiecha się do niej, żeby zaraz potem objąć jej koleżankę.

Wraca do ugniatania ciasta. Co oprócz atrakcyjnego wyglądu sprawia, że Dan tak ją pociąga? Może na jakimś podstawowym poziomie odbiera jako coś bardzo męskiego fakt, że potrafi on dostarczać pożywienie. Piecze ciasto i chleb, umiałby wyżywić rodzinę, mając do dyspozycji mąkę, drożdże i wodę oraz sprawne ręce. Nie ma wątpliwości, że gdyby przyszło mu zamieszkać w dziczy, instynktownie by wiedział, jak zbudować schronienie, oprawić małego ssaka, złapać rybę i rozpalić wielkie ognisko, nie byle jaki ogienek. Jego ciało jest nie tylko pociągające, lecz także sprawne i silne.

Przypomina jej Dave'a, budowlańca, który pięć lat temu pracował przy wznoszeniu wartej dwieście tysięcy funtów dwupoziomowej dobudówki do ich domu i przez trzy miesiące regularnie pojawiał się w jej kuchni. Z początku uznała go za niewartego uwagi gburę, robotnika, który czytywał brukowiec „The Sun” podczas licznych przerw na herbatę, jadał kanapki na białym chlebie, zjawiał się w pracy przed ósmą, ale zniknął, gdy tylko zapadał zmrok. Wkrótce jednak zaczął jej się podobać. W kontaktach z nią i z resztą ekipy wykazywał się inteligencją i poczuciem humoru. Naprawdę się speszył, gdy pewnego razu, zjawiwszy się przed siódmą, zastał ją nieubraną. W kuchni starał się zachowywać uprzejmie i uważał, żeby ciężkimi ubłoconymi buciorami nie pobrudzić podłogi. A przede wszystkim był sprawny – silny i praktyczny. Kiedy komunalny wydział architektury zdecydował, że należy zburzyć kolejną ścianę, uporał się z tym w ciągu jednego dnia i wszystko zorganizował. Gdy gwóźdź przebił rurę i woda zalewała sufit, szybko znalazł źródło problemu, wezwał hydraulika z innej budowy i stał nad nim, przeklinając z cicha, dopóki ten nie usunął awarii. Kiedy spadł śnieg i temperatura wynosiła minus dwanaście stopni, zawstydził dekarzy, którzy nie chcieli pracować na rusztowaniu, sam wspinając się na dach. W pewnym momencie, gdy straciła panowanie nad sobą i niemal się rozplakała, bo okno dachowe za czterdzieści tysięcy przywieziono potłuczone, prawie oczekiwała, że przytuli ją i w jakiś sposób poskłada odłamki szkła. On tymczasem przez kilka sekund stał z zaskoczoną miną, ale zaraz potem sięgnął po komórkę i zażądał od dostawcy wymiany towaru.

Łączyły ich czysto służbowe stosunki między pracodawczynią a pracownikiem, ale z ulgą przyjęła zakończenie prac, ponieważ trudno jej było dłużej znosić gęstą od testosteronu atmosferę. To doświadczenie jednak sprawiło, że zdała sobie sprawę z atrakcyjności mężczyzn pracujących fizycznie. W przeciwieństwie do Olivera, który poruszał się w wirtualnej rzeczywistości, zajmując się liczbami, zyskując, a czasami tracąc niewyobrażalnie wielkie sumy pieniędzy, Dave potrafił zbudować dom. Nie chciałyby być żoną kogoś takiego; zajęcie Olivera mogło się wydawać śmieszne w porównaniu z fachem Dave'a, ale doceniała jego pensję i dodatkowe premie. Z chęcią jednak zaciągnęłyby Dave'a do łóżka. I na pewno umiałyby nieźle go nakarmić. Tak, ta wizja była całkiem kusząca.

Oczywiście zajęła pierwsze miejsce w konkursie na najlepszy chleb i drugie – po Jenny – kiedy przyszedł czas na wybór najlepszego ciasta na smalcu: pulchnego, połyskliwego, lepkiego i nasyconego tłuszczem. Na myśl o przełknięciu kęsa czegoś takiego Karen ma odruch wymiotny. Krąży po kuchni, starając się pozbyć słodkich kawałków ciasta, i wzdryga się wewnątrz na widok ociekających smalcem rodzynek i porzeczek.

– Nie zechciałbyś spróbować mojego smakołyku? – Staje przed Danem, który spogląda na nią rozbawiony. – Czuję się jak siedemnastowieczna dziewczka służebna – wyjaśnia żartobliwie i ku swojemu przerażeniu stwierdza, że za chwilę się zaczerwieni.

– Bardzo bym chciał – odpowiada Dan.

Zauważa, że lekko się zarumieniła i bije od niej radość z sukcesu, co sprawia, że wygląda łagodniej niż zwykle, jej pozy są też mniej wystudiowane. Patrzy jej w oczy o ułamek sekundy zbyt długo.

– A jeśli chodzi o ciasto na smalcu... było wyśmienite, ale przez ostatnie pół godziny musiałem spróbować jeszcze pięciu innych, a niektóre z nich wręcz ociekały tłuszczem. – Zerka na Vicki i Claire, a Karen wybucha śmiechem. – Od samego patrzenia na te ilości omasty nabieram wielkiej ochoty na mocnego drinka... albo trochę ćwiczeń fizycznych.

Coś w jego sposobie bycia prowokuje ją do flirtu, a przynajmniej tak sobie później wytłumaczy swoją reakcję.

– Chyba mogę ci w tym pomóc – oznajmia bez zastanowienia. – Mam na myśli ćwiczenia fizyczne. – Dan unosi brew, więc Karen wyjaśnia powoli, znacząco obniżając ton głosu: – Zabrałam z sobą strój do biegania. Przyłączysz się?

– Nie wiem, czy wolno mi się tak zbliżać do zawodników – odpowiada z uśmiechem.

– Naprawdę? Boisz się, że cię pokonam? – automatycznie rzuca mu wyzwanie.

Jak się okazuje, skutecznie, bo Dan prostuje się na całe metr dziewięćdziesiąt swojego wzrostu.

– Chętnie sprawdzę, co potrafisz. Spotkajmy się na tyłach budynku za dwadzieścia minut.

– Nie mogę się doczekać.

Kiedy się spotykają, jest już ciemno, zapada bezchmurna marcowa noc, księżyc w pełni wisi na niebie, a gwiazdy lśnią nienaturalnie jasno na granatowym tle. Karen dla rozgrzewki truchta w miejscu, a jej oddech tworzy skłębione obłoki wilgoci. Nie włożyła czapki ani opaski – włosy to jej mocny punkt. Ma na sobie jaskraworóżowy polar i czarne legginsy z lycry, podkreślające kształt nóg.

W blasku reflektorów skierowanych na rezydencję, a potem w świetle księżycy biegną ścieżką prowadzącą w głąb posiadłości i okrążają cały teren. Tam, gdzie to możliwe, trzymają się alejek, ale czasami muszą się zapuszczać między drzewa, na pokrytą liśćmi trawę. Dan przejmuje prowadzenie, biegnąc w miarowym tempie, które pozwala mu rozmawiać bez najmniejszych oznak zadyszki czy oblewania się potem. Karen dotrzymuje mu kroku nie tylko dzięki dobrej formie, ale przede wszystkim pragnieniu, żeby pozbawić go pewności siebie. Chce obrócić sytuację na swoją korzyść: niech to on będzie jej niewolnikiem, a nie ona jego.

Przez jakiś czas biegną w milczeniu, oboje skupieni na uzyskaniu równego szybkiego tempa – jeden kilometr na pięć minut – odmierzanego przez stopy uderzające o gnijące liście i wilgotną trawę. Karen zauważa, że jednocześnie biorą oddechy, i skupia się na utrzymaniu tej synchronizacji, napawając się siłą ich ciał i dopasowaniem pod względem sprawności fizycznej. Wbiegają na wzgórze i przemierzają jego grzbiet. Równiejszy teren pozwala na krótką wymianę zdań, ale nie rozgadują się zbyt, jakby oboje chcieli się skoncentrować na fizycznej stronie wspólnego biegu. Słowa – zwyczajowe narzędzie flirtu – są zbędne.

– Szybciej? – pyta Dan, powstrzymując się przed narzucaniem współzawodnictwa.

– Oczywiście.

Karen zwiększa tempo. Zmusza nogi do szybszego ruchu i czuje, jak krew huczy jej w uszach. Ma wrażenie, że serce za chwilę wybuchnie jej w piersi.

– Spokojnie... – Dan parska śmiechem między kolejnymi wdechami. – To nie sprint.

Zwalniają i kierują się słabo oświetloną ścieżką w głąb zagajnika, gdzie nie dociera światło księżycy.

– Cieszę się, że nie jestem sama – dyszy Karen.

– Ja też – odpowiada Dan.

Po obu stronach szeleszczą zarośla. Przez ścieżkę przebiega królik, w mroku błyskając białym ogonkiem. Grunt jest nierówny, co zmusza ich do dalszego zmniejszenia tempa.

– Krótki odpoczynek? – proponuje Dan.

– Zabrakło ci sił?

Śmieje się przez ramię, klucząc między drzewami, rozradowana własną siłą, flirtem i doświadczeniem bycia ściganą. Tak łatwo byłoby zatrzymać się w ustronnym zagajniku, rozpiąć polar – „Ale mi gorąco!” – i zobaczyć, co by się stało. Karen jednak rzadko wybiera łatwą drogę. A poza tym chce, żeby ten pościg trwał dalej.

Wybiegają spomiędzy drzew na otwarty teren. Przed nimi ukazuje się Bradley Hall w całym swoim gotyckim splendorze.

– Już niedaleko.

Dan dogonił ją i wyprzedził, rzucając przez ramię szeroki uśmiech. Jeszcze raz przyspiesza i szybko się z nim zrównuje. On zwalnia nieco, żeby bieгло im się przyjemniej. Oddech Karen jest teraz nierówny. Krople potu błyszczą na policzkach, ale osuszają je podmuchy zimnego wiatru. Ma nadzieję, że wygląda korzystnie z rumieńcami na twarzy.

– Pasujemy do siebie – stwierdza Dan, kiedy ze chrzęstem biegną po żwirze podjazdu.

– Owszem.

Karen zwalnia, a potem zaczyna rozciągać mięśnie jak zwykle pod koniec treningu.

– Musimy to kiedyś powtórzyć – nalega Dan i spogląda jej w oczy, kiedy prostuje się po rozciągnięciu ścięgna podkolanowego.

– Jesteś pewien, że to dozwolone?

– Moim zdaniem to jest nawet mój obowiązek, biorąc pod uwagę ilość tłuszczu, którą pochłone przez następne tygodnie. Jaki jest kolejny etap? Słodkie placki, a potem puddingi? Będziesz musiała sprawdzić, na ile mnie stać.

Posyła jej porozumiewawczy uśmiech, jakby sugerował, że łączy ich jakiś wspólny zamysł – tak przynajmniej odczytuje go Karen, widząc w nim otwarte zaproszenie. „Podobam mu się – myśli z dreszczem miłego zaskoczenia. – Podobam mu się i pragnie mnie”. Rozpiera ją radość.

Claire podeszła do okna, żeby zaciągnąć zasłony, i teraz patrzy na nich z góry, ale nie może dostrzec wyrazu ich twarzy. Odczytuje jednak język ciała: on pochyla się ku niej, kładzie jej rękę na ramieniu, a potem przelotnie, choć zauważalnie, gładzi jej policzek. Claire zastanawia się, ile czasu minęło od momentu, gdy mężczyzna tak jej dotknął, jakby nie mógł się powstrzymać przed czułym gestem. Jakby przez tę jedną krótką chwilę była dla niego wszystkim, co się liczy. Tylko jedna osoba w życiu sprawiła, że tak właśnie się czuła: chłopak, który najbardziej ją zranił. Przystojny, uroczy, nieodpowiedzialny, nieświadomie okrutny Jay. Bierze telefon i jeszcze raz odczytuje jego wiadomość. Chyba po raz setny zastanawia się, co by się stało, gdyby mu odpowiedziała.

## Kathleen

Dwa dni po łożyczkowaniu macicy Kathleen jest już w pełnej formie i u boku George'a otwiera kolejny sklep. Potem bierze udział w sesji zdjęciowej, pozując z bochenkiem chleba w rękach: ciężkim niczym noworodek i nadal ciepłym.

– Kathleen? Wszystko w porządku? – George otacza ją opiekuńczo ramieniem i patrzy z troską, niepewny, czy nie zmusza jej do zbyt dużego wysiłku, nakłaniając do pozowania do zdjęć.

– Ależ oczywiście! – odpowiada rześko, choć ostrzejszym niż zwykle tonem. – W końcu to nie jest David Bailey – dodaje, wskazując na młodego fotografa.

– Ciesz się bardzo dobrą opinią.

– Wiem, kochanie. – Natychmiast pożałowała swojego tonu. – Chciałam powiedzieć tylko, że chodzi o zwykły plakat do kampanii reklamowej. A ja nie muszę udawać Jean Shrimpton.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło.

– Nie chcę żadnej Shrimptonki. Chcę Kathleen Eaden, tak jak nasi klienci.

– Tak, wiem. – Próbuje śmiechem pokryć swoje niemądre słowa.

Wyswobodzając się z uścisku męża, przez chwilę myśli, jakie życie mogłaby prowadzić: włóczyłaby się po Londynie w gronie atrakcyjnych młodych ludzi i robiła to, co robią młode dziewczyny. Musiałaby jedynie wyglądać pięknie, ale nie miałaby obowiązku zachowywać się jak idealna pani domu. Dziewczyna, nie kobieta, która może – a nawet powinna – dobrze się bawić. Przygładziła sukienkę – nie żadną mini, tylko skromną prostą kreację do kolan.

– Zabierajmy się do pracy. Trzeba jeszcze zrobić kilka zdjęć. – Jej głos brzmi energicznie.

– Jesteś całkiem pewna?

– Oczywiście. Życie toczy się dalej!

Spojrzał na nią z taką czułością, że na chwilę zrezygnowała z udawania, iż nic się nie stało.

– Nikt tutaj o niczym nie wie, prawda? Nie wiedzą o dziecku?

– Och, kochanie! Jasne, że nie.

– Głupio się zachowuję. To wszystko takie niemądre z mojej strony.

Uśmiechnęła się i wypila łyk wody, starając się zwalczyć ucisk w gardle.

*Żeby zrobić smakowitą drożdżową bułeczkę z Chelsea, nie możesz żałować składników: cukru, cynamonu, sułtanek, posiekanych suszonych moreli i stopionego masła. Nadzienie wykładasz na rozwałkowany płat ciasta, którego jeden koniec należy czymś obciążyć, żeby się nie kurczyło, a następnie mocno zwijasz w rulon. Wyobraź sobie, że opatulasz kocykiem niemowlę, żeby czule przytulić je do piersi.*

– Na koniec tego etapu konkursu mamy dla was wspaniałą niespodziankę. – Harriet uśmiecha się promiennie.

Jej słowa wywołują wielkie zaniepokojenie Claire, ponieważ dziewczyna podejrzewa, że ich definicje wspaniałej niespodzianki bardzo się różnią.

– Bułeczki z Chelsea. Kathleen Eaden zamieściła cudowny przepis na nie w swojej *Sztuce pieczenia*. Wydaje się, że miały one dla niej szczególne znaczenie. Państwo Eaden posiadali na tyłach King's Road miejski dom w stylu georgiańskim, w którym Kathleen spędzała dużo czasu, a George często żartował, że jest jego dziewczyną z Chelsea. Lubiła więc te bułeczki zarówno ze względu na wygląd, jak i skojarzenia emocjonalne. Trudno mieć nadzieję na zdobycie tytułu Nowej Pani Eaden bez opanowania sztuki pieczenia tych apetycznych bułeczek.

„Cholera jasna!” Claire zerka na Vicki, która budzi jej mimowolną sympatię, i szepcze:

– Jasne! Pełny luz!

Ale Vicki nie zwraca na nią uwagi, ponieważ jak pilna uczennica chłonie każde słowo Harriet. Jenny i Mike słuchają jej z równym zainteresowaniem, tylko Karen, oglądająca swoje paznokcie, nie wydaje się przejęta. Tego ranka wygląda na wyjątkowo zadowoloną z siebie, chociaż jej ciasne dżinsy, jedwabna koszula i wysokie botki nie są najpraktyczniejszym strojem do kuchennych zmagani. Claire spogląda na swoje dżinsy i tanią podróbkę conversów. Najwyraźniej Karen jest pewna, że nie pobrudzi się jajkami i mąką. Tego ranka Claire jest w zdecydowanie wybuchowym nastroju i wcale jej to nie odpowiada. Boli ją całe ciało: plecy ma zeszywniałe, a umysł zamroczony z powodu braku snu, bo ostatnią noc spędziła na rozmyślaniach o Karen i Danie oraz o sobie i Jayu, o ich beznadziejnym związku. Zadręczała się pytaniami, co mogła zrobić – jeśli w ogóle było to możliwe – żeby go zatrzymać, dlaczego uciekł, kiedy Chloe miała cztery miesiące, i od tamtej pory tylko przelotnie pojawiał się w ich życiu. Po raz kolejny zastanawiała się, co poszło nie tak.

Dla poprawy samopoczucia rano wypiła zbyt dużo słodkiej czarnej kawy i teraz cała dygocze. Serce wali jej jak oszałałe, czuje ogromny niepokój; nie potrafi ustać w miejscu, więc stale przestępuje z nogi na nogę. W dodatku jest bardzo zdenerwowana. Czy potrafi stworzyć doskonałą bułeczkę z Chelsea – miękka, lekka, z odpowiednią proporcją bakalii i cukru? Jej ciasto na smalcu okazało się porażką, chlebek szafranowy wyszedł bardzo przeciętnie. Jej szanse na wygranie kolejnego filmiku – nie mówiąc o całym konkursie – zmniejszyły się tak szybko jak objętość zbyt gwałtownie podgrzewanego syropu cukrowego.

Harriet nadal przemawia. Mówi coś o tym, że bułeczki mają mieć regularny kształt. Lepiej będzie, jeśli Claire się skupi.

– Wymagają precyzji wykonania. Chcemy uzyskać kształtne ślimaczki, wypełnione równomiernie rozłożonym nadzieniem o doskonale wyważonych proporcjach przypraw korzennych i suszonych owoców – tłumaczy specjalistka od słodkich wypieków. – Chcemy również, żeby były równo zarumienione. Owoce nie mogą być przypalone, a ciasto niedopieczone. Bułeczki w rogach formy nie mogą być suche,

nawet jeśli te w środku pozostaną smakowicie wilgotne. Wszystkie muszą być upieczone jednolicie.

Cóż, tylko tyle? Claire z westchnieniem miesza sól, drożdże i mąkę, robi w środku zagłębienie, wlewa w nie płyn i zagniata ciasto. Robi to starannie, co chwila obracając je na umączonym blacie, żeby było gładkie i elastyczne. Nie podnosi głowy, żeby ukryć rumieńce. Boi się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

Uświadamia sobie, jak bardzo irytuje ją i przygnębia myśl, że Jay być może by nie odszedł, gdyby była podobna do Karen, wiedziała, jak postępować z mężczyznami, jak ich wykorzystywać, jak radzić sobie w życiu. Pocziwa Claire po zejściu w ciążę uwierzyła w jego obietnice, że nigdy jej nie opuści, ufała, że będzie jej wierny, że będzie ją kochał, nawet jeśli przez ten krótki czas często chodziła z przetłuszczonymi włosami w dresie poplamionym mlekiem, a jej staniki nie były już kolorowe, tylko rozciągnięte i zszarzałe. Głupia, naiwna Claire sądziła, że Jay jest jej towarzyszem życia. Kimś, kto wytrwa przy niej przez te pierwsze trudne miesiące i nie będzie przy każdej okazji urywał się na popijawy z kolegami; kto zrozumie, że jest zbyt zmęczona na seks, i nie pójdzie go szukać u innej kobiety. Zakładała, że Jay dojrzeje, tak jak ona musiała to zrobić. Myślała, że fakt posiadania córeczki zmieni go w ojca, a miłość do niej i do Chloe zatrzyma go przy nich.

Gwałtownymi ruchami zagniata ciasto. Nie przewidziała tylko, że Jade Russell i radość z beztroskiego bzykania w połączeniu z obietnicą pracy za barem na Ibizie okażą się o wiele łatwiejsze i bardziej pociągające niż życie w Exeter z Chloe i jej matką. Kiedy przyznał się do wszystkiego, dodał oklepane wyjaśnienie: „To nie twoja wina, to wszystko przeze mnie”. Powtórzył je, kiedy wrócił pod koniec lata i kiedy znów zniknął w kwietniu. Angela powiedziała mu wtedy, dokąd może się wynosić, a Claire, zdruzgotana i zagubiona, pozwoliła jej na to. Od tego czasu pojawiał się w ich życiu i znowu zniknął. Widywał się z Chloe, kiedy odwiedzał mieszkającą w Devon matkę. Uważała, że zabraniając mu tego, wykazałaby się egoizmem, ale gdy ostatnim razem wystawił córkę do wiatru, Claire przysięgła sobie, że to już koniec.

Wyładowując swoje rozżalenie na cieście, uświadamia sobie pewien żalony fakt. Tak naprawdę nie poznała nikogo, kto by dorównał Jayowi. Przeżyła kilka przygód, ale żadnego z partnerów nie zdecydowała się przedstawić córce. Nie ufała im na tyle, żeby ich wpuścić do ich wspólnego świata. Jest jak dzika gęś. Łączy się w parę na całe życie. Głupia gęś, która chciała się połączyć z pawiem. Krzywi się na tę myśl. Od początku było wiadomo, że to nie może się dobrze skończyć.

Ciasto jest już gładkie. Kiedy wkłada je do miski, ogarniają ją inne uczucia. Użalanie się nad sobą przechodzi w gniew – z początku na siebie, potem na Karen. Podnosi głowę i widzi, jak kobieta uśmiecha się do przechodzącego obok Dana. On odpowiada jej uśmiechem i spojrzeniem kryjącym w sobie, zdaniem Claire, jakąś obietnicę. Karen spuszcza głowę zawstydzona jak nastolatka. Claire musi odwrócić wzrok.

„To niesprawiedliwe, że Karen flirtuje z jurorem”, myśli, przykrywając miskę kawałkiem przezroczystej folii. Oczywiście nikomu o tym nie powie. Mimo wszystko taka niesprawiedliwość boli jak pchnięcie rzeźnickim nożem.

Uświadamia sobie, że na świecie są dwa rodzaje kobiet. Takie jak ona i pewnie Jenny oraz Vicki: miłe, stawiające dobro innych nad własnym, którym czasami w życiu nie wychodzi. I takie jak Karen: bezwzględne, rozumiejące, na czym polega życie, i biorące z niego, co się da; gwiazdy pośród bardziej wielkodusznych i uprzejmych ludzi.

Dwie i pół godziny później bułeczki z Chelsea wychodzą z pieca. Zmęczeni zawodnicy oglądają swoje dzieła, szacując ich zalety: czy suszone owoce dobrze połączyły się z ciastem, a cynamonowy ślimak równo się skręcił, czy bułeczki są jednakowych rozmiarów i czy są miękkie; rozważają wyższość zwykłego cukru nad glazurą morelową i polewą z lukru.

– Ta jest wyśmienita. – Harriet odgryza kęs bułeczki Claire i przeżuwa go z namysłem. – Puszysta i lekka, ciasto miękkie... słodkie rodzynki i sułtanki użyte w odpowiedniej proporcji. Wyczuwa się

przyprawy, ale nie tłumią one innych smaków... Posypane właściwą ilością cukru. Ojej. Ta nie jest taka dobra. – Dotyka wyraźnie niedopieczonej bułeczki Vicki, zbyt bladej i zakalcowatej. – Ojej. – Jeszcze raz nagniata kawałek. – Ktoś niezbyt precyzyjnie wyliczył czas pieczenia.

Analiza trwa. Ta bułeczka jest zbyt spieczona, tamta za ciężka. Vicki czerwienieje ze wstydu. Claire zaś opuszcza przygnębienie. Powoli dociera do niej, że nikt w kuchni nie otrzymał tak entuzjastycznego komentarza jak ona. Teraz Harriet ocenia inną partię, chyba autorstwa Jenny, ale jej bułeczki nadal pozostają niedoścignione. Zerka na Mike'a, a ten puszcza do niej oczko. Harriet ogłasza werdykt:

– Tym razem bezdyskusyjnie zwyciężyła Claire. Dobra robota! Jestem zachwycona.

Z niedowierzaniem patrzy na bijących brawo współzawodników. Vicki i Jenny odpowiadają uśmiechem, Mike wydaje się autentycznie uszczęśliwiony jej sukcesem. Kiedy wreszcie napotyka spojrzenie Karen, śmieje się głośno i szczerze jak ktoś zaskoczony, szczęśliwy i pełen ulgi. Przez chwilę spogląda prosto w oczy starszej koleżanki i uśmiecha się jeszcze szerzej, jakby chciała przekazać jej swoją radość. Ostrożnie, jakby to, co w tej chwili odczuwa, było czymś obcym i podejrzanym, Karen również zaczyna się uśmiechać.



## Kathleen

Jak na grzeczną dziewczynkę przystało, słucha zaleceń Jamesa Caruthersa i dużo piecze, żeby wzmocnić coraz szczuplejsze ciało: chleb ze skórką obsypaną ziarnami, bogate w żelazo mięsa zapiekane w cieście. Wołowina i cynaderki często pojawiają się w jej kuchni, również jagnięcina, kurczak i królik. Zielone warzywa, zwłaszcza brokuły, jajka i łosoś. Piecze i je wręcz kompulsywnie, wizualizując sobie, jak z każdym wmuszonym w siebie kęsem jedzenia poprawia się skład jej krwi, wzmacnia się błona śluzowa macicy.

George, jak zwykle kochający, ale nieudolny, nie wie, jak jej pomóc. Siedzi i patrzy na żonę, nakładającą na talerz kolejną porcję duszonej jagnięciny. W skupieniu próbuje potrawy, zjada ją bez radości.

– Sumiennie przestrzegasz zaleceń lekarza – zagaja.

– A niby jak inaczej? – odwarkuje Kathleen.

Na twarzy męża pojawia się zaskoczenie. Nie rozumie, co się z nią dzieje. Jeszcze nigdy tak się do niego nie odnosiła. Pani Jennings, pracująca u nich od wielu lat kucharka i degustatorka nowych przepisów, lepiej ją rozumie.

– Pan Eaden niedawno wspominał o swoim ulubionym cieście na smalcu. Zastanawiał się, czy mogłaby pani je upiec dla niego. Ja bym to zrobiła z przyjemnością, ale nie mam takiej lekkiej ręki jak pani.

Uległa tej sugestii, z początku niechętnie, ponieważ wypiek ten miał wątpliwą wartość odżywczą, ale kiedy poczuła, jak zagniatane ciasto przeciska się między jej palcami, nabrała zapału. Słońce wpadało przez okno, a ona przypomniała sobie, jak wspaniale jest piec zwyczajnie, dla przyjemności, tworzyć coś ociekającego słodyczą, tłuszczem i dekadencją – coś, co wywoływało uśmiech na twarzy biednego męża.

Tak zaczęła się dobra passa. Ciasta i ciasteczka, bułeczki i herbatniki, tarty i croissanty... Przypominała sobie swoje ulubione wypieki, udoskonalała klasyczne przepisy. Razem z panią Jennings pracowała ramię w ramię, a w kuchni unosił się zapach przypraw korzennych, cukru i masła.

Odwiedziła ją starsza siostra, Mary. Susan i James poprawili się na diecie złożonej z kiełbasek w cieście, kremowych rożków i minitart z migdałami.

– Dobrze, że sama nie masz dzieci. Byłyby pulchne jak dobrze wyrośnięte babeczki – skomentowała jej siostra nieco kąśliwym tonem, patrząc, jak jej dzieci biegają po ogrodzie.

Kathleen jednak uważała, że siostrzeńcowi i siostrzenicy służy jej kuchnia: byli sprawni i wyglądali zdrowo. Z zapałem bawili się w berka, a potem pochłaniali paszteciki z wieprzowiną i soczyste koksy zerwane prosto z jabłoni.

– Możemy zostać u ciebie dłużej? Gotujesz lepsze jedzenie – wyszeptał jej do ucha James, a ona poczuła całkiem niesiostrzaną radość.

Słowa też zaczęły jej przychodzić łatwiej. Rozdział o chlebach i słodkich bułkach niemal sam się napisał, więc wkrótce zaczęła testować nowe przepisy na nadzienie do pasztecików i obmyślać synonimy dla słów „listkować się” i „maślany”. „Zdążę wszystko napisać na czas” – zapewniła George’a i po raz pierwszy od straty dziecka rzeczywiście w to wierzyła. Stworzy *Sztukę pieczenia*, nawet jeśli nie może wydać na świat dziecka. Styl pisania wyraźnie jej się poprawił, każde zdanie świadczyło o tym, jak bardzo kocha swoje zajęcie – zarówno produkt końcowy, jak i sam proces. Niewiele wykreślała i sama się dziwiła, że jej tekst jest tak zwarty i sugestywny. Czasami, kiedy pióro szybko przebiegało kartkę albo

nowa tarta okazała się szczególnie smaczna, zastanawiała się, czy jest jakaś granica jej kreatywności. Czy rzeczywiście może dobrze pisać, układać nowe przepisy i nadal mieć nadzieję na poczęcie dziecka? Czy to nie jest przesadna zachłanność?

A potem jesień zamieniła się w zimę i stało się coś cudownego, co rozwiało jej obawy. Po raz trzeci zasła w ciążę.

*Jeśli przyjaciele i znajomi zachwycają się twoimi wypiekami, przyjmij ten komplement. Inaczej byłoby nieuprzejmie.*

Nadeszła Wielkanoc, a Claire, sama w swoim małym mieszkaniu, z niezwykłym u niej radosnym przejęciem otwiera stary laptop i czeka na połączenie z YouTube. Oto i ona. Pokazuje, jak robi się bułeczki z Chelsea. Jest poważna, ale wygląda niemal ładnie, tłumacząc cały proces. Żałuje, że włosy bardziej jej się nie błyszczą, ale przynajmniej nie brzmi głupio. Widać też dowód jej sukcesu: 15 407 wejść. Dwieście trzy więcej niż godzinę wcześniej. Ponad piętnaście tysięcy osób obejrzało jej zwycięski wypiek – sądząc po komentarzach, podobał się im.

Odzywa się sygnał telefonu. Jedna z osób, które obejrzały filmik, wysyła jej esemesa. Jay.

Cóż, oczywiście zadzwoniła do niego. Mama byłaby wściekła, gdyby wiedziała, dlaczego tak naprawdę musi się dzisiaj wieczorem zająć Chloe. Nie chciała jednak być bezduszną i odmówić mu spotkania, skoro przeprowadził się bliżej, żeby zostać prawdziwym ojcem. Tak przynajmniej twierdził.

Claire ma wrażenie, że trochę się ustatkował. Trudno jej w to uwierzyć, ale został agentem sprzedaży nieruchomości. Doskonale umie sobie wyobrazić, że odnosi sukces w tej branży: nosi elegancki garnitur, jeździ służbowym samochodem, sprzedaje marzenia. Kiedy zadzwonił w zeszłym tygodniu z propozycją spotkania, powiedział jej, że specjalizuje się w ekskluzywnych apartamentach na Nowej Angielskiej Rivierze, co – jak podejrzewa – oznacza drogie mieszkania z widokiem na plażę w Exmouth. Jeśli w ogóle ktoś potrafi przekonać nabywców, że ta plaża, nawiedzana przez nagłe sztormy i omywana przez silne prądy morskie, jest brytyjskim ekwiwalentem kurortu na południu Francji, to jest nim właśnie Jay.

Spotyka się z nim dzisiaj, żeby omówić bardziej regularne kontakty z Chloe. Tak przynajmniej sobie powtarza, choć nie tłumaczy to faktu, że umalowała się wyjątkowo starannie. Zwykle tylko pociąga rzęsy tuszem, ale dzisiaj nałożyła srebrzysty cień do oczu, który rzuca lekki blask na jej policzki, użyła eyelinera i pomalowała usta błyszcznikiem tak, żeby wargi wyglądały na pełniejsze. Pochyliła się i związuje włosy w koński ogon wyżej niż zazwyczaj, uszy ozdabia kolczykami w kształcie kół, obciąża bluzkę, żeby powiększyć dekolt, i wkłada botki na wysokim obcasie – wypolerowane, ale proszące się o nowe fleki. Próbuje przekonać siebie samą, że nie robi tego dla Jaya. Że robi to dla siebie. Żeby się dobrze czuć. Ale i tak wie, że tylko się oszukuje.

Nadal to sobie powtarza, zmierzając do baru przy plaży w Exmouth, i nagle widzi go naprzeciwko. Idzie z rękami w kieszeniach, zielone śmiejące się oczy kontrastują z opaloną podczas surfowania twarzą. Sylwetkę ma szczupłą i wysportowaną. Nie idzie, tylko raczej kroczy jak paw prezentujący swój ogon przed zainteresowaną samiczką. Nadal widać, że zdaje sobie sprawę ze swojej atrakcyjności, ale najbardziej irytuje Claire, że rzeczywiście jest przystojny. Mimo krzywdy, jaką jej wyrządził, mimo tego, że najbardziej kocha siebie, jest niedojrzały i samolubny, nadal działa na nią jego nonszalancki uśmiech.

– Co tam?

Claire znów ma siedemnaście lat i nie potrafi się oprzeć urokowi przystojniaka z college'u. Jay rozkłada ramiona.

– Może mnie uściskasz na powitanie, królowo YouTube?

Wbrew sobie odpowiada uśmiechem, daje się objąć. Czuje siłę jego mięśni, ale jej ciało pozostaje sztywne.

– Nadal się na mnie złościysz? – Zagląda jej w twarz i gładzi ją po policzku.

Czubki palców ma ciepłe, od piersi bije żar. Claire kręci głową, odwraca się lekko i odsuwa od niego.

– Chodźmy się czegoś napić. Zaprosiłem tłum ludzi. Wszyscy bardzo chcą cię poznać. – Obejmuje ją ramieniem, przyjacielsko, ale też władczo.

– Och... Myślałam, że będziemy tylko... we dwoje – jąka się i czerwieni. – Może masz ochotę na spacer po plaży?

– Przypomniały ci się dawne czasy? Ty bezwstydną kusicielko – szepcze jej zadowolony do ucha. – Będziesz musiała trochę poczekać.

– Nie o to mi chodziło – protestuje, wściekła na siebie i na niego. – Myślałam, że porozmawiamy o twoich spotkaniach z Chloe.

– Pewnie, że to zrobimy. Oczywiście. – Wygląda jak uosobienie szczerości. – Ale najpierw chciałbym cię przedstawić chłopakom. Muszę pokazać, jaka jesteś fantastyczna. – Przesuwa rękę w dół jej pleców, jakby chciał ją nakierować we właściwą stronę.

Docierają do baru niczym się niewyróżniającego, nowoczesnego i pełnego młodych ludzi, którzy kłębią się przy kontuarze lub stoją w grupkach przy długich drewnianych stołach. Otwiera drzwi i przedzierają się przez opary piwa oraz słodkiego białego wina.

– A oto ona! – woła w stronę stołu przy oknie, gdzie czeka pięciu młodych mężczyzn.

Trzech z nich Claire pamięta z czasów szkolnych.

– Oto nowa pani Eaden!

– Nie jestem nią – syczy zażenowana.

– No dobrze, jeszcze nie. Ale nią zostaniesz. I kolejną celebrytką kulinarną. Ta zgrabna Chinka niech się lepiej ma na baczności.

– Przestań wreszcie! – Jest wściekła.

– Przepraszam, przepraszam. Pamiętacie Claire? Matkę mojego dziecka, światło mojego życia, nową gwiazdę z YouTube?

– Nie jestem gwiazdą!

– Ależ jesteś!

Sean, Ethan i Jason uśmiechają się znad kufli z piwem. Jeden z pozostałych, zdaje się Rob – opalony, wyluzowany, przystojny – podaje jej swój smartfon.

– Powiedziałbym, że jednak jesteś. Obejrzyj sobie.

Film, na którym piecze bułeczki, obejrzało już 16 760 osób. O tysiąc więcej niż przed godziną.

– I spójrz na tę piernikową chatkę przy plaży.

Przesuwa palcem obraz na wyświetlaczu. 31 462 wejścia. Wraca do filmiku z bułeczkami. 16 781 odwiedzających.

Ktoś podaje jej wódkę z tonikiem, więc siada wygodnie w fotelu i przegląda strony w telefonie, porównując swoje wyniki z wynikami Jenny i Karen.

– Przeczytaj komentarze na stronie Eadena. – Jay otacza ją ramieniem w talii i przyciąga do siebie.

– No tak. Jay na ogół nie ogląda takich witryn, ale teraz ta jest jego ulubiona – docina mu Jason żartobliwie.

– No cóż. Nigdy przedtem nie znałem żadnej kulinarnej bogini.

Całuje ją w czubek głowy, a ona mówi sobie, że to tylko przyjacielski gest. Jest z niej najwyraźniej dumny niczym starszy brat.

– Hej, uspokójcie się. Spójrzcie na to. – Ethan podaje im inny telefon i wchodzi na inną stronę Eadena.

Claire wierci się niespokojnie, widząc na zdjęciu siebie z talerzem bułeczek. Z uśmiechem czyta komentarze klientów supermarketu: „Najsympatyczniejsza z zawodniczek. Chcemy, żebyś wygrała”, „Fantastyczne wypieki. Aż ślinka cieknie na widok tych bułeczek” i – co było do przewidzenia, chociaż

wątpi, żeby ten komentarz pochodził od klienta regularnie odwiedzającego sklepy tej sieci – „Claire, złotko! Chętnie dałbym ci się pobawić moimi bułeczkami!”.

– Teraz wierzysz, że stałaś się wielką sensacją? – Jay wpatruje się w nią z uwagą.

– Jaką tam sensacją – protestuje, ale policzki ma czerwone z przejęcia.

– A jak to inaczej nazwać? Żaden z innych zawodników nie ma tyle wejść co ty. Z wyjątkiem tej całej Karen. Nie wydaje mi się zresztą, żeby chodziło o jej umiejętności kulinarne. Założę się, że w pracy zaczęli cię cenić.

– No chyba tak. Robię im dobrą reklamę.

Nadal nie może się przyzwyczać do tej myśli. Czerwieni się, będąc obiektem czyjś zainteresowania, chociaż stale sobie powtarza, że powinna się cieszyć, bo sobie na to zasłużyła.

Jay uśmiecha się, przesuwając ręką po jej plecach i lekko przytula, co wywołuje u niej radosne drżenie.

– Claire Trelawney, jesteś wielką gwiazdą!

– Oczywiście, kiedy przed świętami wyda swoją pierwszą książkę i zacznie pracować nad drugą serią programów, może się z wami skontaktujemy, ale pewnie będziemy balować w jakimś rajku dla smakoszy, może w Rzymie, Paryżu albo Dubaju... Jako jej menedżer będę musiał wszędzie jej towarzyszyć, zwłaszcza przy nagrywaniu programów kulinarnych w ciepłych krajach. Razem z Chloe będziemy pierwsi próbować jej potraw. Pożegnajcie się z tym kaloryferem. – Jay wolno unosi podkoszulek, a koledzy gwizdzą z uznaniem. Przesyła Claire całusa. – Znosi się na to, że wrzucę kilka kilogramów.

Koledzy wybijają werbel, uderzając dłońmi o stół, a Jay jednym haustem opróżnia butelkę piwa. Potem nachyla się i głośno cmoka ją w usta. Claire wyciera z warg piwo, czując, że nachodzą ją wspomnienia.

Jay jest w swoim żywiole i musi przyznać, że udaje mu się wszystkich rozśmieszyć. Nakręcony obecnością przyjaciół i piwem snuje komiczną fantazję o tym, jak to Claire wygra konkurs, a on, jej samozwańczy menedżer, będzie prowadził luksusowe życie. Jest dzisiaj w popisowej formie: rozgadany, uroczy, troskliwy. Brakowało jej tego: wieczoru z paczką znajomych, wesołej rozmowy, poczucia, że ktoś o ciebie dba, i prawienia komplementów. I sugestii, że jeśli tylko zechce, może go mieć – przynajmniej na jedną noc. Dlaczego więc nie może całkowicie się odprężyć i napawać zainteresowaniem, jakim ją dziś obdarza? Może dlatego, że prawie w ogóle nie wspomniał o córce i ani razu nie zapytał o to, jak sobie na co dzień radzi jako matka.

Sącząc wódkę z tonikiem, zauważa, że przez większość wieczoru skupiali się wyłącznie na jej sukcesie, a rozmowa nie dotyczyła jej, ale głównie Jaya i jego zabawnych fantazji na temat własnej osoby.

– Wesoło było, prawda? – zapytał później, kiedy w końcu wyrwali się z baru i szli wzdłuż wybrzeża.

Morze było gładkie jak staw, fale przypląwu łagodnie omywały piasek plaży. Przy bezchmurnym niebie jednak powietrze było chłodne i musiała włożyć ręce głęboko do kieszeni. Schowała głowę w ramionach i drżała z zimna w cienkim żakiecie. Kiedy Jay otoczył ją ramieniem, ona też go objęła, nieco skrępowana, kładąc dłoń na gładkiej skórze pod jego kurtką. „To tylko z przyzwyczajenia – powiedziała sobie. – I dlatego, że tak jest ciepłej”.

– Byłaś w tym barze fantastyczna. W ogóle jesteś fantastyczna. – Uśmiecha się do niej, a jego oczy, zielone ze złotymi plamkami, błyszczą wesoło. Przytula ją mocniej.

Jest jednak coś, co ją wkurza.

– Moje życie to nie tylko ten konkurs. Jest o wiele bardziej złożone.

Opuściła ramię i szła, szurając nogami jak naburmuszony dzieciak.

– Hej, nie denerwuj się. Przecież wiem. Zdaję sobie sprawę, ile zrobiłaś dla Chloe. Jakie to

wszystko było dla ciebie trudne, zwłaszcza że niewiele ci pomagałem.

– W ogóle cię przy nas nie było.

– No dobrze. Nie było mnie – zbył jej uwagę, jakby nie miała dla niego najmniejszego znaczenia. –

Ale teraz powinnaś się cieszyć, że jesteś taka popularna. Docień swój sukces.

– Cieszę się, doceniam. Ale... – Chciała wyrazić swoje obawy, że zainteresował się nią jedynie z powodu jej niespodziewanej sławy, zjawił się po jej występie na YouTube... lecz ją powstrzymał:

– Żadnych ale.

Uśmiechnął się i bardzo delikatnie pocałował ją w usta. Jego wargi były ciepłe i znajome, pocałunek zakazany. Wyczuła smak piwa i przywarła mocniej do niego. Obraz Angeli z wypisanym na twarzy rozczarowaniem stanął między nimi: „Wiem, jaki on ma na ciebie wpływ”.

– Nie mogę.

Odsuwa się od niego niemal z płaczem.

– Przestań się ze mną drażnić – zachnął się niezadowolony.

– Nie drażnię się... tylko... po prostu nie mogę. Nie teraz. Nie w tej chwili.

Odwróciła się i odeszła, przygarbiona, ze spuszczoną głową i grymasem bólu na twarzy. Nienawidziła się za to, że uległa wątpliwościom, nie poddała się urokowi chwili. Nie potrafiła być kobietą, która bez żadnego namysłu wykorzystałaby Jaya dla własnej przyjemności.

*Simnel to tradycyjne ciasto wielkanocne: udekorowane kulami symbolizującymi jedenastu wiernych uczniów, pełne bakalii, przypraw oraz marcepanu – zabronionych podczas postu. Ja, świętując ideę narodzin i odnowy, wolę podać ogromną tartę z kremem angielskim – w kolorze żonkili, przyrządzoną z wielkiej liczby jaj o złocistych żółtkach.*

Jenny jest w swoim żywiole, przygotowując dekadencją ucztę na wielkanocny weekend. Jej trzódka wróciła do domu. Co prawda Kate spędzi święta w Sydney, ale Lizzie przyjechała z Bristolu, a Emma z Montpellier obładowana tradycyjnymi rybkami i wspaniałymi jajkami z czekolady, wytwarzanymi przez miejscowego mistrza cukierniczego.

– Mamo, czyż nie są wspaniałe? Może zachowasz kilka do dekoracji swojego konkursowego tortu? Możesz tak zrobić?

Niemal dziecinne podniecenie córki i jej nieoczekiwane wsparcie sprawiły Jenny wielką radość. Nigel, który właśnie przechodził przez kuchnię, wybierając się na kolejny trening, wykazał mniej entuzjazmu.

– Są bardzo ładne, ale żadne z nas nie powinno się nimi objadać. A już najbardziej wasza matka.

Jego słowa tak ją ogłuszyły, że nie była w stanie wymyślić odpowiedzi. Mąż jednak jeszcze nie skończył:

– A jeśli już je zjecie, to musicie dokładnie wyczyścić zęby pół godziny później.

Córki nie wierzyły własnym uszom.

– A czy dostaniemy w nagrodę za to znaczek „Dbam o zęby”? – spytała Emma, lecz ojciec już zatrzasnął za sobą drzwi i oddalił się biegiem, z niezadowoloną miną wzbijając fontanny żwiru na podjeździe.

– Założę się, że skonfiskuje moje czekoladowe jajeczka – stwierdziła Lizzie i dodała: – Czy on zawsze był taki wybuchowy?

– Po prostu martwi się swoją wagą przed tym paryskim maratonem – usprawiedliwiła Jenny męża. – To go wprawia w gderliwy nastrój. Ale zaplanowałam na jutro taką wspaniałą ucztę, że chyba nawet on zrobi sobie przerwę w diecie.

Nakrywany tylko na specjalne okazje mahoniowy georgiański stół w jadalni Jenny nadawałby się do świąt z powieści Dickensa lub do pięknych zdjęć w eleganckim magazynie. Perfekcyjnie upieczony udziec jagnięcy o różowym mięsie otoczonym soczystą warstewką tłuszczu, naszpikowany czosnkiem i rozmarynem, zajmuje centralną pozycję. Obok stoją dzbanek z sosem na czerwonym winie, galaretką porzeczkową oraz sos miętowy o wyrazistym smaku – wszystko domowej roboty, z własnych produktów. Pieczone w gęsim tłuszczu ziemniaki mogą stanowić wzorzec: złocista i chrupiąca skórka, lekkie i puszyste wnętrze. Jest też słodkawy pieczony pasternak, marchewki chantenay duszone w maśle i miodzie, zielona fasolka *al dente* oraz, ponieważ Nigel to lubi, surówka z młodej kapusty bez żadnego sosu i miska młodych ziemniaków, choć jeszcze nie sezon na nie. Ugotowała je z miętą na parze, na koniec posypała mielonym czarnym pieprzem, z trudem powstrzymując się przed dodaniem masła. Teraz stoją skromnie jako jedyny postny element na tej uczcie dla żarłoków.

Jenny przygotowywała ten posiłek przez ostatnie cztery godziny i teraz czuje, że policzki jej poczerwieniały: nie tylko od gorącego powietrza w kuchni – co za ulga znaleźć się wreszcie w chłodnej jadalni – lecz także z przejęcia, że dwie z jej trzech córek przyjechały do domu. Przez dwa tygodnie może udawać, że zegar się cofnął i znów nastał czas domu wypełnionego gwarem rozmów, sprzeczkami,

a czasami nawet awanturami z udziałem dziewczynek, które stale potrzebowały pomocy w lekcjach, porad w sprawach przyjaźni i – jako że wszystkie trzy z zapałem uprawiały sporty, więc potrzebowały dużych ilości kalorii – jej pożywnych, czasami wręcz zbyt obfitych dań.

Mimo docinków Nigela i jego narastającej obsesji na punkcie utraty wagi przed maratonem Jenny ma nadzieję, że ten posiłek przypomni mu, jak ważna jest rodzina, a co za tym idzie, jak ważna dla niego powinna być ona sama. Oczywiście cień Gabby Arkwright stale majaczy gdzieś w pobliżu, naśmiewa się z niej, kiedy Jenny wygładza na sobie prostą suknię, co do której miała nadzieję, że ukryje zbyt obfite kształty, a potem rezygnuje z niej, cmoka z przyganą, gdy ona dodaje kawałki masła do ziemniaczanego *purée*, kręci się wokół Nigela, wybucha zbyt głośnym śmiechem przy każdym jego zdaniu i patrzy na niego w uwielbieniu.

Kiedy ostatnio spotkali się towarzysko na drinku u wspólnych przyjaciół, Gabby prawie się do nich nie odzywała. Jenny zaś bała się, że znajomi zauważą nic wzajemnego pociągu, łączącą Gabby i jej męża. Wcześniej wyszli z przyjęcia. Później tego samego wieczoru słyszała, jak Nigel ukradkiem rozmawia przez komórkę. Przerwał połączenie, jak tylko weszła do pokoju, a po chwili jego telefon zaczął przenikliwymi sygnałami oznajmiać nadejście całej serii esemesów. „Ktoś bardzo chce się z tobą skontaktować” – stwierdziła żartobliwym tonem. Nigel udawał obojętność. „To pewnie któraś z dziewczynek przez pomyłkę usiadła na swoim telefonie”. Po chwili jednak dodał: „Nie, to jakaś pomyłka”. Kłamstwo to wygłosił z tak bezczelną pewnością siebie, że przez chwilę miała wątpliwości co do swoich podejrzeń.

Mimo to dzisiaj postanawia zapomnieć o swoich obawach. Nigel przebiegł już swój wyznaczony na ten dzień dystans, więc najwyraźniej weźmie udział w wystawnej rodzinnej uczcie, co napędza ją nadzieją. Co prawda mąż wyraził się krytycznie o jej wadze, ale słyszała, jak córki zastanawiały się, czy czasem nie ubyło jej kilka kilogramów. Niepostrzeżenie ubrania stały się luźniejsze w talii: stres związany z kłopotami małżeńskimi i udziałem w konkursie sprawił, że wpadła w manię pieczenia, ale nie objadania się. Stały kontakt z cukrem i masłem zmniejszył jej apetyt na te produkty. Czasami bywa nawet zbyt zmęczona lub zdenerwowana, żeby próbować czegokolwiek. Ale nie dzisiaj.

– Mamo, to wygląda wspaniale – stwierdza rozpromieniona Lizzie, kiedy zasiadają do stołu. – Nie jadłam takich rzeczy od Gwiazdki.

– Ani ja. Nie wiem, co by na te dania powiedzieli Francuzi. Na pewno spodobałaby im się jagnięcina, ale chyba podaliby ją tylko z fasolką – oznajmia Emma, przyglądając się krytycznie potrawom.

– Zawsze możesz ograniczyć się do tych dwóch rzeczy. – Jenny nie pozwala popsuć sobie nastroju. – Ale pasternak zrobiłam specjalnie dla ciebie.

– Nie mam zamiaru się ograniczać. Zjem wszystko! – Emma wybucha beztróskim śmiechem szczupłej dziewczyny, której metabolizm pozwala na pochłanianie sporych porcji jedzenia. – A ty, tato? – zaczepia ojca. – Możesz na jeden dzień wyrzec się diety? Pozwolisz sobie na grzeszek?

Zapada chwila napiętej ciszy. „Och, daj mu zjeść to, co według niego nadaje się do jedzenia, i pomińmy to, że posiłek jest taki obfity i dekadentcki”. Ale Nigel podnosi głowę znad udźca, który właśnie kroi, i łaskawie się uśmiecha.

– Tylko tydzień pozostał do maratonu paryskiego, Emmo. I nie, nie zamierzam zniweczyć wszystkiego, nad czym tak ciężko ostatnio pracowałem, pozwalając sobie na takie wypasione żarcie, jak byś to pewnie nazwała. Wasza matka zadała sobie wiele trudu i bez wątplenia wszyscy jesteśmy jej wdzięczni, ale nie oznacza to, że wolno wam wywierać na mnie presję i zmuszać do jedzenia wszystkich tych potraw.

Jego słowa mącą atmosferę niczym brudny pędzel włożony do słoika z czystą wodą. Nawet Emma nie wie, co odpowiedzieć, i skupia się na nakładaniu marchewki na talerz. Lizzie spogląda na matkę, szukając wsparcia. Jenny podaje jej sos na czerwonym winie, starannie maskując emocje.



– Kochanie, nikt tu nie wywiera na nikogo żadnej presji. Wszyscy rozumiemy, jak ważny dla ciebie jest ten maraton. Przygotowałam świąteczny posiłek, żeby każdy mógł sobie wybrać, co lubi.

Jakby dla udowodnienia, kładzie sobie fasolkę i marchewkę na talerz obok porcji jagnięciny polanej sosem. Nie śmie jednak sięgnąć po swoje ulubione składniki wielkanocnej uczyty, pieczone ziemniaki i pasternak, ponieważ nie chce jeszcze bardziej zrazić do siebie męża. Dziewczęta tymczasem mimo woli obserwują, co wybiera ojciec: dwa plastry jagnięciny, z których starannie odkrawa tłuszcz i odsuwa na brzeg talerza (leży tam niczym wnętrzości myszy zamęczonej przez kota), jeden młody ziemniak nieskażony sosem ani masłem, stertę zielonej fasolki i surówki z kapusty ogrodowej, których ciemnozielony kolor świadczy o niebywałych właściwościach zdrowotnych.

– Tylko tyle zjesz, tato? – Emma nie umie powstrzymać się od komentarza.

– Na razie tak. Nie wszyscy mają potrzebę obżerania się.

Policzki Emmy robią się czerwone i Jenny wie, że powinna pospieszyć na pomoc córce, ale Emma doskonale radzi sobie sama:

– Wcale się nie obżeram, tylko delektuję się kuchnią mamy. A twoja dieta bardzo mnie interesuje. Naprawdę. Zdziwiałam, że pokonujesz takie długie dystanse, spożywając tak ograniczone porcje.

Nigel przeżuwa w skupieniu. Najwyraźniej trafił mu się jedyny twardy kawałek mięsa lub wyjątkowo łykowany liść kapusty. Czekanie na odpowiedź zwiększa napięcie, ale kiedy wreszcie się odzywa, mówi łagodnie, niczym *pater familias* pobłażliwie traktujący swoje dzieci:

– Emmo droga, próbuję zredukować wagę ciała, żeby móc szybciej biegać. Najlepsi biegacze są średnio o dziesięć do piętnastu procent lżejsi niż inni sportowcy. Dla mnie oznacza to, że powinienem ważyć poniżej siedemdziesięciu kilogramów. Muszę więc jeszcze zrzucić ponad trzy. A że maraton jest już za tydzień, nie uda mi się tego zrobić na czas. Każde zrzucenie pół kilograma poprawi mój wynik prawie o dwie sekundy na kilometr. Jeśli więc zrzucę pięć kilogramów, zyskam dwadzieścia sekund. To oznacza, że przebiegnę maraton o dziewięć minut szybciej niż dotychczas.

Emma zastanawia się nad tymi informacjami, przełykając kęs jedzenia.

– Udało ci się bardzo dużo schudnąć i chwała ci za to. Ale chyba głodzenie się czy drastyczna redukcja spożywanych kalorii tak krótko przed maratonom mogą być bardzo niebezpieczne?

Nigel odchyła się na krzesło i patrzy na nią z udawanym rozbawieniem.

– A wiesz, to zaskakujące. Niczego takiego nie zauważyłem. – Uśmiecha się i jeszcze bardziej protekcjonalnym tonem wyjaśnia swoją teorię: – Każdy zrzucony kilogram poprawi mój czas i pozwoli mi osiągnąć nowy rekord osobisty. Dlatego nadal będę starał się schudnąć, ile tylko mi się uda.

– Zastanawiam się tylko, czy to jest najskuteczniejszy sposób. – Emma nie wie, kiedy odpuścić. – Czy nie powinieneś zwiększyć spożycia węglowodanów w tygodniu poprzedzającym maraton? Będziesz potrzebował węglowodanów złożonych, żeby powoli uwalniały energię podczas wysiłku. Jeśli gwałtownie obniżysz ich konsumpcję, uszczuplisz zapasy glikogenu i po prostu padniesz z wyczerpania.

Na skroni Nigela zaczyna pulsować żyłka.

– Z całym szacunkiem – przemawia ostro – ale trochę lepiej znam się na bieganiu niż ty. Tak, wiem, że potrzebuję węglowodanów, ale uzupełnię je tuż przed biegiem, a nie, jak sugerujesz, na tydzień wcześniej. Jeśli zdecyduję się na węglowodany, to na złożone, które spalają się powoli, jak owsianka. Nie na pieczone ziemniaki i pasternak ociekający tłuszczem czy inne tuczące potrawy, przy których tak się upiera wasza matka.

Odsuwa krzesło i gniewnie patrzy na siedzące za stołem kobiety. Jenny, chociaż kipi ze złości po takiej krytyce swojej kuchni, nie chce go urazić, więc wbija wzrok w talerz i w skupieniu przeżuwa kęs, którego i tak nie może przełknąć. Lizzie mruga jak przestraszony królik. Tylko Emma śmiało spogląda ojcu w oczy nieustępliwa. W końcu Nigel przerywa ciszę:

– Emmo, bardzo ci dziękuję za zrujnowanie tego posiłku. Nic bardziej nie odbiera apetytu niż wytykanie komuś, co je, i krytykowanie jego wyborów. Zapamiętaj to sobie, moja droga.

Czeka na przeprosiny.

– W porządku, tato. – Emma przybiera radosną minę, która ma sugerować, że nie ma ona nic wspólnego z tą awanturą. – Nie pozwólmy jednak popsuć sobie humoru. Mama zrobiła deser owocowy trifle według przepisu pani Eaden. A może tort Sachera albo simnel?

Wyraz jej twarzy można by określić jako prowokujący, chociaż Jenny trudno uwierzyć, że córka może być aż tak nierozważna. Nigel robi się fioletowy, krew napływa mu do twarzy, a pulsująca żyłka na skroni mało nie pęknie.

– Chcesz sobie ze mnie drwić? – Odpycha krzesło i wstaje od stołu, zapominając o zachowaniu pozorów spokoju. – Dlaczego, do diabła, miałbym jeść krem albo czekoladę, skoro nie chcę nawet pieczonych ziemniaków?

Przez chwilę przypomina nadaśane dziecko, które na przyjęciu nie dostało słodyczy, i Jenny czuje przypływ współczucia. Ale Nigel szybko je rozwiewa.

– Wychodzę.

Odwraca się na pięcie i zatrzaskuje za sobą drzwi do jadalni. Po krótkim oczekiwaniu słyszą huk zamykanych drzwi frontowych i chrzęst żwiru na podjeździe. Za chwilę jego volvo rusza z piskiem opon i szybko odjeżdża. Żona i córki spoglądają po sobie.

– Jeszcze trochę pasternaku, Lizzie? – Emma próbuje rozluźnić atmosferę.

– Och, Emmo! Jak mogłaś? – jęczy sfrustrowana Jenny.

Lizzie natychmiast staje u jej boku.

– Mamo, nie płacz. Wszystko jest pyszne. Nie twoja wina, że tata wpadł w jakąś obsesję i że zrobił się taki wybuchowy. – Zerka w stronę drzwi, jakby się bała, że ją usłyszy. – Naprawdę nie twoja wina.

Jenny uśmiecha się z przymusem i osusza załzawione oczy wyprasowaną lnianą serwetką.

– Wszystko w porządku, skarbie. – Wyciera smugę rozmazanego tuszu.

Emma siedzi w milczeniu ze zboląłą miną. Wstaje wolno, dołącza do matki i siostry, obejmuje je ramionami.

– Przepraszam, mamo – mówi szczerze. – Nie chciałam go rozdrażnić. Ale on opowiada takie bzdury!

– Emmo!

– Przykro mi, ale tak jest. Zachowuje się jak anorektyk. Nie będzie miał siły, żeby ukończyć ten maraton. I bardzo dobrze. Dostanie nauczkę.

Lizzie chichocze z lekkim poczuciem winy.

– Pewnie dobrze mu to zrobi. Przekona się, że przesadził i zrobił się strasznie przemądrzały. Może wreszcie doceni, jakie to szczęście mieć taką wspaniałą żonę, która świetnie gotuje.

Jennifer siedzi w objęciach córek, wdychając słodki zapach ich włosów, który tak uwielbiała, kiedy były dziećmi, a którym teraz tak rzadko może się cieszyć. Chciałaby zatrzymać tę chwilę na wieczność, czuć się tak bezpiecznie jak kiedyś w objęciach matki. W dorosłym życiu nigdy jej się to nie zdarzyło.

Jeszcze przez chwilę cieszy się bliskością dzieci, a potem niezdarnie próbuje się oswobodzić z ich objęć.

– Skoro mowa o jedzeniu, to straciłam apetyt na główne danie. Ma któraś z was ochotę na deser?

– Jasne!

Emma zaczyna sprzątać ze stołu z szybkością i wprawą nabytą podczas niedzielnego kelnerowania w restauracji. Lizzie nadal obejmuje mamę, ale zaraz podnosi głowę i z uśmiechem patrzy jej w oczy. Razem składają talerze, przecierają podkładki i chowają przyprawy, jak zgrany zespół, który współpracuje z sobą od lat. Dużo później, kiedy zmywarka jest już załadowana, a ciasta schowane do pudełek – Lizzie odkrawa sobie ostatni kawałek, Emma zaś ukradkiem przełyka jeszcze jeden kęs – napomykają o nieobecny ojcu:

– Często zdarza mu się tak wybiec w nerwach? – zagaja Emma.

– O, bardzo rzadko – odpowiada Jenny niezgodnie z prawdą.

– A co wtedy robi?

– Och... Wydaje mi się, że biega.

– Z Gabby Arkwright?

Jenny zamiera nad zlewozmywakiem, w którym myje brytfankę.

– Czasami z nią.

– Dość często się z nią widuje, prawda?

– Tak – potwierdza krótko, jednocześnie dając znak, że nie należy drażnić tego tematu. – Nie chcę o tym rozmawiać. I nie chcę się przytulać. – Mokrymi rękami odsuwa od siebie córki, odwraca się do nich plecami i zanurza poczerwieniałe dłonie w wodzie.

Lizzie i Emma patrzą na nią zupełnie zaskoczone. Proste pytanie zachwiało jednym z pewników wyniesionych z dzieciństwa. Na kuchennym stole rozpływa się trifle, gęsta bita śmietana miesza się z kremem waniliowym, namoczonymi w kirschu wiśniami i rozmokłymi biszkoptami.

## Kathleen

Kiedy zdarzyło się to trzeci raz, prawie się tego spodziewała. Mimo to była zaskoczona. Sprawę dodatkowo pogarszał fakt, że zrobiła wszystko, co mogła, żeby temu zapobiec. Gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży, w szóstym tygodniu, zgodnie z zaleceniami lekarza została w łóżku. Przez osiem samotnych tygodni leżała plackiem, nasłuchując przez otwarte okno rozmów przechodniów i stukania obcasów na pobliskiej King's Road.

– TIP! – Doktor Caruthers kochał akronimy. – Takie jest leczenie w przypadku poronień nawykowych.

– TIP? – zdziwiła się. O ten drugi termin medyczny wołała nawet nie pytać – kojarzył jej się z czymś nielegalnym, brudnym, podejrzanym.

– Toaleta i posiłki. Można wstawać tylko do łazienki i na posiłki. Poza tym trzeba leżeć. Naprawdę leżeć. Dajmy szansę temu malcowi. – Najwyraźniej nie dopuszczał do siebie myśli, że dziecko mogło być dziewczynką.

Nie chciała mówić, że i tak to robiła. Dostawała też zastrzyki z progesteronu. Co tydzień odwiedzała ją Julie i wbijała jej igłę w pośladek. Otrzymali również zalecenie, aby George powstrzymywał się od swoich mężowskich obowiązków.

– Przykro mi, żadnych stosunków małżeńskich. Żadnych aktów płciowych – wyraził się jasno James Caruthers.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. – Towarzyszący jej w gabinecie George zaczerwienił się jak burak.

– Wiem, że to wszystko jest uciążliwe – lekarz mówił powoli i ospale – ale konieczne dla pani Eaden i dla dziecka.

– A co z moją książką... i pieczeniem? – odważyła się zapytać, kiedy skończył udzielać instrukcji. – Do maja powinnam ją skończyć, czyli za niespełna cztery miesiące.

Spojrzał na nią surowo.

– Obawiam się, że pani pracą jest teraz utrzymanie ciąży.

Musiła mieć bardzo zawiedzioną minę, ponieważ dodał łagodniej:

– Może pani pisać w łóżku, ale o pieczeniu nie ma mowy. Nie wolno wstawać i chodzić do kuchni, a nawet siedzieć przy biurku. Proszę leżeć z poduszką pod plecami lub całkiem płasko. Najważniejsze jest zdrowie dziecka.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Już od dawna przestała na siebie patrzeć jak na odrębną jednostkę, której potrzeby należy brać pod uwagę. Teraz jej podstawową funkcją było noszenie dziecka. Była naczyniem, którego przeznaczeniem jest pielęgnowanie nowego życia. Nie przeszkadzało jej to. Co mogło być ważniejsze niż chronienie dziecka, zwłaszcza nienarodzonego? To było najistotniejsze i, jak się okazało, najtrudniejsze.

Nadal zamierzała pisać. Oparta o cztery poduszki, z notatnikiem na kolanach udoskonalała przepisy na soczyste zapiekane mięsa, placki i lekkie paszteciki. Pomagała jej pani Jennings: postępowała zgodnie z jej instrukcjami i przynosiła gotowe wypieki do sypialni, gdzie razem omawiały niedociągnięcia.

– Powinnaś zostać współautorką mojej książki – stwierdziła półzartem Kathleen, kiedy próbowały świeżo upieczonego quiche'a.

Panią Jennings ucieszył komplement, ale nie potraktowała go poważnie.

– Och, moja droga! – Wreszcie po wielu prośbach przestała ją nazywać panią Eaden. – Nie potrafię tak gładko pisać jak ty.

W ten sposób mijał jej czas. Oczywiście odwiedzało ją też wiele osób. Wpadał Charlie, chociaż czuł się nieswojo w sypialni siostry. Mary przychodziła do niej z dziećmi, które przynosiły jej domowe ciasteczka maślane, starannie wypisane karty z życzeniami i – w przypadku Susan – ulubione przytulanki. Podczas tych wizyt leżenie stawało się znośne, czasami nawet przyjemne, kiedy Susan zwiјаła się w kłębek obok niej i prosiła o bajkę albo kiedy James przysiadł na skraju łóżka i machając nogami, pokazywał jej swoje drogocenne matchboxy. Na zaimprovizowanym na jej nogach torze przeszkód ścigali się samochodzikami, pokonując śliskie wybrzuszenia puchowej kołdry, a sypialnia na krótki czas pulsowała dziecięcym śmiechem.

Okazało się jednak, że chyba robiła zbyt wiele. Dwa miesiące później obudziła się i zobaczyła, że uda ma zalane krwią, a na białym prześcieradle czerwieni się kałuża. W podbrzuszu poczuła pulsujący ból. Przez długie, wlokące się powoli sekundy nie potrafiła się nawet rozpłakać. Kiedy w końcu wydobył się z niej szloch, zabrzmiał w jej uszach jak coś obcego. Pierwotnego.

Jeszcze nie wiedziała, że tak brzmi prawdziwa rozpacz.

Tarty i mięsa  
zapekane  
w cieście



Często się mawia, że wszelkiego rodzaju placki i paszteciki to prawdziwy egzamin na dobrego kucharza. Bo chociaż trudno o prostsze składniki – mąka, tłuszcz, powietrze, żółtka lub woda dla związania ciasta – to każdy piekarz musi wiele ćwiczyć, żeby uzyskać pożądany efekt lekkości.

Tak samo jak przy innych rodzajach wypieków należy przestrzegać ustalonych reguł, ale tutaj radziłabym przestrzegać ich wyjątkowo starannie. Postępowanie ściśle według zasad – ciasto zagniatać jak najkrócej, dać mu odpocząć przed każdym wałkowaniem i przed wstawieniem do piekarnika – jest absolutnie niezbędne, jeśli chcemy osiągnąć doskonałość.

Najbardziej jest to widoczne przy pieczeniu spodów do tart. Prawidłowa technika wykonania zapewni pozornie niemożliwy efekt: delikatnie ścięte nadzienie na chrupiącym cieście. Trzeba podjąć ryzyko – przed wyjęciem z formy nigdy nie wiadomo, czy ciasto nie jest rozmiękłe – i zwracać uwagę na szczegóły. Ale jeśli wszystko zrobisz jak należy, zdobędziesz Świętego Graala sztuki pieczenia.

Posiadłszy tę umiejętność, zmyślna pani domu może przygotowywać takie smakołyki, jak francuskie tartaletki wypełnione crème pâtissière, tarte au citron czy uwspółcześnione brytyjskie klasyki. Warto pokusić się o placek z melasą na chrupiącym spodzie lub tartę z lekkim jak piórko sosem angielskim custard.

Być może wolisz placki z wytrawnym nadzieniem, które poprawią humor zapracowanemu mężowi albo stadku zgłodniałych dzieci. Mięso i cynaderki zapiekane w cieście, nadzienie z kurczaka i grzybów albo z królika i bekonu lub z sosem śmietanowym na cydrze. Nic bardziej nie dowiedzie twojej miłości do rodziny niż podanie takiej potrawy w mroźny zimowy wieczór; nie ma lepszego posiłku po powrocie z szybkiego spaceru na wsi. Sam zapach maślanego kruchego ciasta i soczystego mięsa, który wita w progu powracających bliskich, przypomni im, jak bardzo są kochani.

Lżejszą wersją takiego dania, odpowiednią na wiosenny lunch, będzie francuski placek z pikantnym nadzieniem. Możesz też zachować kruche ciasto i przyjemnie zaskoczyć rodzinę słodkim, pachnącym cynamonem jabłecznikiem albo najwspanialszym w swym rodzaju plackiem z kremem cytrynowym pod warstwą bezy.

Ten rodzaj wypieków bezlitośnie obnaża braki w umiejętności pieczenia. Nie poddawaj się, a na pewno w końcu zadziwisz wszystkich swoim mistrzostwem.

Kathleen Eaden, *Sztuka pieczenia* (1966)

*Robiąc quiche, staraj się tak łączyć smaki i kolory, żeby utworzyły wyrafinowaną kompozycję. To jest typowo kobiece danie: niemal zbyt piękne, żeby je zjeść. Quiche może być składnikiem obfitego posiłku, ale osobiście wolę go w wersji mini: wypełniony nadzieniem z jajek i kremowej śmietany jest wystarczająco sycący, ale jednocześnie delikatny. Czasami dobrze jest zachować umiar, choć wciąż mamy chętkę na więcej.*

W połowie kwietnia wiosna wybucha z wigorem i determinacją, jakby chciała przegonić resztki mrozu, który gdzieniegdzie daje się jeszcze we znaki po fali chłódów. Pojawiają się pierwiosnki; złote i białe krokusy przebijają się do słońca i rozkładają płatki. Dzwonki dopełniają błękitem paletę bieli, żółci i zieleni.

W kuchni Bradley Hall Karen wybiera składniki potrzebne do quiche'a i kątem oka patrzy, jak zbliża się do niej Dan.

– To nie jest jedzenie dla faceta – dowcipkuje, wskazując na jej przepis.

Zapomniała już, jak trywialne bywają jego odzywki. Oliver tak się nie zachowuje.

– Jak ci idzie pieczenie w tym etapie? – Z satysfakcją zauważa, że Dan zatrzymuje się przy niej na dłużej.

– Świetnie. Tylko powinnam trochę pobiegać, żeby spalić kalorie.

– Już się nie mogę doczekać. Zrobimy dziesięć kilometrów po ogłoszeniu wyników?

– Jesteś pewien, że dasz radę?

– Och, spokojna głowa. – Szczerzy zęby w uśmiechu, taksując ją wzrokiem.

Nagradza go promiennym uśmiechem, szczerym jak rzadko.

– Quiche, czyli placek z wytrawnym nadzieniem, jest wypiekiem, który Kathleen Eaden propagowała z zapałem – wyjaśnia Harriet. – Pierwszy raz jadła go w latach pięćdziesiątych w Paryżu i zachwyciła się jego prostotą. Podawany z dobrze doprawioną zieloną sałatą był o wiele lżejszym posiłkiem niż standardowe dania składające się z mięsa, ziemniaków i warzyw, na jakich dorastała w Wielkiej Brytanii. Nasze supermarkety wprowadziły go do swojej oferty po dłuższym czasie, ale pani Eaden od razu zamieściła przepis w swojej *Sztuce pieczenia*. Nie była to jej ulubiona wersja z wędzonym łososiem i rukwią wodną – byłaby ona zbyt śmiała dla jej czytelników – ale pożywny wariant *quiche Lorraine* z bekonem i cebulą. Miała nadzieję, że bardziej przypadnie do gustu ówczesnym mężom. Podawała wspaniałe miniquiche'e na lunchach dla przyjaciółek i jako przystawkę na mniej oficjalnych przyjęciach z obiadem.

– Chcemy, żebyście wykorzystali podstawowy przepis Kathleen Eaden jako inspirację i pokazali nam, co potraficie – teraz Dan dołączył się do wstępnej przemowy. – Łosoś i rukiew wodna, *quiche Lorraine*, a może wersja czysto wegetariańska? Ocenimy waszą umiejętność pieczenia kruchego spodu. Czy potraficie stworzyć chrupiącą, równo wypieczoną złocistą formę, którą wypełnicie smacznym nadzieniem? Nie chcemy bladych, mdłych spodów. Nie powinny też być zbyt brązowe. Nadzienie ma być smakowite, nie może wyciekać bokami i musi pięknie się prezentować. Kathleen Eaden słynęła z pięknych kompozycji kolorystycznych: małe różyczki brokułów i kawałki łososia, buraczki z białym kozim serem, plastry pomidorów i cukinii, a nawet kawałki dyni z serem stilton. Chcemy, żebyście wykazali się podobnym artystycznym i nowatorskim.

Przy stanowisku na przodzie Jenny rażno zabiera się do pracy: krótko gotuje kawałki łososia i obsmaża szalotki do nadzienia, potem miesza jajka ze śmietaną. Zastanawia się, co zrobić, żeby



otrzymać perfekcyjny spód. Ciasto musi wyjść kruche i złociste, tak delikatne jak nadzienie, które w sobie pomieści. Po drodze czyha tyle pułapek. Na powierzchni mogą utworzyć się bąble powietrza, boki mogą się skurczyć i odstawać od formy, w końcu nadzienie może wyciec przez zrobione widelcem nakłucia. To, co dla jednego jest jasnożółtym ciastem, dla innego może być ciastem niedopieczonym. Nawet przy najszczęśliwszych chęciach, nie zawsze da się osiągnąć doskonałość. Jeśli nie będzie umiała się skupić, cały proces może się wyrwać spod kontroli, tak jak reszta jej życia.

Ten wniosek przywodzi jej na myśl Nigela. Paryski maraton rozpoczyna się jutro. Przez ostatni tydzień każde z nich wiodło osobne życie: Jenny spędzała nawet więcej czasu w kuchni, piekąc placki i paszteciki, niż on na bieganii. W ich domu rozgrywała się dziwna wojna: każde z nich okopało się po swojej stronie, choć żadne nie było gotowe rzucić granatem, który wyrwałby ich małżeństwo ze stanu zawieszenia. Żadne nie wspomniało o Gabby ani o tym, gdzie zniknął w wielkanocną niedzielę na dziesięć godzin.

Poczuła ulgę, kiedy cztery dni później wyjechał do Paryża. Ale jak na dobrą żonę przystało, cały czas odruchowo go wspiera. Tego ranka, na dzień przed maratonom, wysłała mu radosnego esemesa z życzeniami powodzenia. Odpowiedzi nie dostała. Nadal ma poczucie winy, że nie będzie kibicowała mu na mecie. Zastanawia się też, czy Paryż wiosną nie miał być idealnym miejscem na pojednanie. Nie kochali się od grudnia. Czy jego romans z Gabby zaczął się potem, czy przedtem? Może stało się to na wigilijnym przyjęciu u Gibsonów? A może przez jakiś czas bzykał – krzywi się na myśl o tym słowie – je obie?

Z zapamiętaniem roztrzępuje jaja ze śmietaną, aż w mieszaniu tworzą się bąble powietrza. Czy ostatnie niezadowolające zbliżenie wynikało z poczucia obowiązku, czy z litości? Czy potwierdziło ono ich niedopasowanie – w łóżku oraz poza nim – i sprawiło, że rzucił się z powrotem w ramiona Gabby?

Nagle wraca do niej wspomnienie popołudnia na polu pszenicy, źdźbła zgniecione przez ich ciała, kłujące jej nagą skórę. Jej ciało było jędrne i brzoskwiniowe, jeszcze niezmienione przez ciążę i porody. Co ważniejsze, miała pewność siebie wynikającą z dumy z pracy na oddziale dziecięcym w dużym szpitalu i świadomości, że to, co robi, jest ważne. Nigel, młody i ochoczy, był nią oczarowany. Skąpana w czerwcowym słońcu patrzyła, jak obwodzi wargami kształt jej piersi i lekko kąsa sutek. Na myśl o tamtej przyjemności przechodzi ją dreszcz.

Minutnik dzwoni piskliwie i zawzięcie, więc wyjmuje spód do tarty z piekarnika. Jest zbyt blady, potrzebuje jeszcze minuty. Smaruje go roztrzepanym jajkiem i ponownie wkłada do środka. Musi się skupić: nastawia minutnik, przesuwa składniki na blacie, żeby zagnieść jeszcze jedną porcję ciasta. Na wypadek, gdyby ten spód się nie udał.

Pracująca obok niej Vicki nie ma takich zmartwień. Jej *quiche Lorraine* będzie arcydziełem, ponieważ trzy razy upiekła go na próbę i teraz wierzy, że jest zbyt dobrze przygotowana, żeby coś zepsuć.

– Jesteś bardzo podobna do swojej mamy, wiesz? – stwierdził Greg poprzedniego wieczoru, konsumując trzeci z kolei placek.

– Co masz na myśli? – odwarknęła, chociaż spodziewała się, co usłyszy.

– Twój perfekcjonizm, twoją determinację, twoją przenikliwość. Belferską potrzebę bycia przygotowanym. Kiedy czegoś pragniesz, zrobisz wszystko, żeby to zdobyć.

– Czy to ma być komplement?

– Cóż, mnie zdobyłaś, prawda? – Uśmiecha się z ustami pełnymi kruchego ciasta. – Te cechy mogą być zaletami – ciągnie poważniej. – Przez nie bywasz czasami irytująca, ale dzięki nim możesz wygrać ten konkurs. Z takim charakterem możesz daleko zajść.

Claire z kolei nie może się skupić. Rozprasza ją postać Karen, która stoi tuż przed nią. Dan najwyraźniej zbyt intensywnie interesuje się jej techniką pieczenia, zastanawia się, czy spód jest wystarczająco złocisty, sugeruje, żeby posmarowała go białkiem.

Claire nakazuje sobie spokój, ale jego zachowanie drażni ją jak kolec z krzaka jeżyny wbijający się

w miękkie ciało i niepozwalający w pełni cieszyć się przyjemnością jedzenia owoców. Nagle zdaje sobie sprawę, że po prostu jest zazdrosna. Zazdrości Karen pewności siebie. Ona by wiedziała, jak potraktować Jaya. Wykorzystałaby go, a nie uciekła z płaczem, zawstydzona i dezorientowana. A on błagałby ją o więcej.

W czasie przerwy na kawę, po tym jak Karen zaprezentowała już swój zwycięski quiche z wędzoną makrelą i chrzanem, ugarniowany kiełkami zielonego groszku, podany z surówką z młodych liści szpinaku i rukwi wodnej, Claire ma wrażenie, że za chwilę całkiem straci poczucie własnej wartości. Starając się czym innym zająć myśli, podchodzi do Vicki i Mike'a.

– Widzieliście ich?

Mike nie ma pojęcia, o co chodzi, ale Vicki jest zaintrygowana.

– Kogo? O czym mówisz?

– O Danie i Karen. On jej pomaga. Jestem tego pewna. Radził jej, ile czasu powinna piec spód, zasugerował, żeby użyła białka, a nie żółtka, i dał znać, że powinna już zajrzeć do piekarnika.

– Jakim sposobem to wszystko zauważyłaś? Przecież byłaś zajęta pracą nad swoim ciastem. – Mike jest zdziwiony. – Ja niczego nie dostrzegłem. Cały czas patrzyłem na to, co robię.

– Tak mi się wydawało, że często z nią rozmawia, ale zawsze to robi. – Vicki zastanawia się chwilę. – Widać, że chętnie do niej podchodzi, ale przecież nie powinien jej pomagać, bo to jest oszukiwanie. I co by mu z tego przyszło?

Claire unosi znacząco brew.

– O nie! – Vicki chichocze nerwowo, podekscytowana możliwością nieprzyzwoitej plotki.

Mike z niedowierzaniem wznosi oczy, odsuwa się i zagłębia w lekturze gazety.

– Coś się tu niewątpliwie dzieje – ciągnie Claire.

Musi się przed kimś otworzyć, a Vicki, najbliższa jej wiekiem i najbardziej przystępna, chociaż pochodząca z zamożniejszej klasy, wydaje się najlepszą kandydatką na powiernicę.

– Skąd wiesz? – dopytuje się zaintrygowana Vicki.

– Ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, biegali razem po okolicy. No i widać było, że ostro z sobą flirtują.

Vicki parska śmiechem.

– Wiem, że to nie nasza sprawa, ale jakoś tak mimo woli jestem zazdrosna. Nie o to, że flirtuje z Danem Kellerem, tylko że ma tyle pewności siebie. Ja nigdy bym się na to nie odważyła.

– Ani ja!

– Naprawdę?

Claire jest zaskoczona. Z góry przyjęła, że Vicki, niewątpliwie zdeterminowana, skupiona i piękna, doskoną kandydatką na gwiazdę „Eaden's Monthly”, może zrobić wszystko, co sobie postanowi.

– O Boże, jasne, że bym się nie odważyła. Jestem beznadziejna. Dobrze się czuję, stojąc w klasie przed grupą dzieciaków – chociaż czasami i na to muszę zebrać wszystkie siły – a ten konkurs mnie przeraża. Do głowy by mi nie przyszło żartować sobie z jurorem, o flirtowaniu nawet nie wspomnę. Nie mam wystarczającej wiary w siebie. Na samą myśl o czymś tak spontanicznym i ryzykownym wariuję ze strachu. Muszę zebrać się na odwagę, żeby się do kogoś odezwać.

Claire nie wierzy własnym uszom.

– Sądziłam... Wydajesz się taka... pozbierana. To znaczy, z wyjątkiem tej sytuacji z biskopem Wiktorii...

– To była zupełna porażka! – odpowiada Vicki ze śmiechem. – Zdaje się, że jestem całkiem niezła w udawaniu. Nauczyciel musi być również aktorem. Ale spróbuj siedzieć w domu z małym dzieckiem, które przez cały dzień nie chce wypełnić ani jednego twojego polecenia! Od razu tracisz pewność siebie. Chociaż... przepraszam. Pewnie to samo przeżyłaś z Chloe?

– Właściwie to nie. Zawsze była naprawdę grzecznym dzieckiem. Nadal jest.

– Szczęściara! To najlepiej świadczy o tym, że jesteś dobrą matką. Pewnie dlatego zawsze wydajesz się taka silna.

– Kto? Ja?

– Tak, ty. Spójrz tylko, ile osiągnęłaś.

Zażenowana Claire śmieje się z niedowierzaniem.

– Niby co takiego?

– Sama wychowujesz dziecko. Kiedy zostałam matką, miałam... ile? Zaledwie osiemnaście lat. Byłam bardzo młoda.

– Po prostu musiałam sobie radzić. Takie jest życie, nie? Mama mnie wspierała.

– Ale nie ojciec Chloe. Tak przynajmniej wynika z tego, co mówiłaś.

– On nie. Nie było z niego najmniejszego pożytku. – Zastanawia się, czy powinna zwierzyć się Vicki. – Szczerze mówiąc, ostatnio znów zaczął się kręcić w pobliżu. Sama nie wiem, czy nie spróbować jeszcze raz.

– Claire, w żadnym wypadku! – Koleżanka patrzy na nią przerażona. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale na twoim miejscu nie robiłabym tego. Uważam, że na błędach z przeszłości należy się uczyć, a nie pozwalać, żeby nas obciążały. Spróbuj iść naprzód. Naprzód i w górę. Tak ci radzę, chociaż sama nie jestem w tym najlepsza. – Przez chwilę wygląda tak, jakby wspominała jakieś wydarzenie ze swojego życia, ale już otrząsnęła się i patrzy życzliwie na Claire. – Wracając do tego, co powiedziałam o twoich osiągnięciach... Osobiście chyba nie dałabym sobie rady jako nastoletnia matka. Nie chyba, na pewno nie. Sama byłam wtedy jeszcze dzieckiem: emocjonalnie niedojrzałym, wściekłym na własną matkę, zbyt infantylnym, żeby udźwignąć odpowiedzialność za kogoś.

Claire patrzy na nią zaskoczona. Rozmowa zmieniła kierunek, a Vicki mówi tak, jakby przemawiało przez nią osobiste doświadczenie, jakby sama miała jej się z czegoś zwierzyć. Ale zaraz znów się uśmiecha.

– Lepiej wracajmy, bo zaczną bez nas.

Odpowiednia chwila minęła.

## Kathleen

Znów siedzi w gabinecie Jamesa Caruthersa z George'em u boku, a ginekolog wyjaśnia im szczegóły dalszego postępowania. Poprzedniego dnia przeszła kolejne badanie wewnętrzne w znieczuleniu ogólnym i tym razem doktor włożył w nią metalowe rozwieracze, żeby ocenić, jak to uparcie nazywał, wydolność szyjki macicy. Zaczyna podejrzewać, że to ona sama jest niewydolna. Na szczęście lekarz szybko przechodzi do rzeczy:

– Tak jak podejrzewaliśmy, przy wprowadzaniu rozwieracza typu Hegar, rozmiar osiem milimetrów, nie dało się wyczuć oporu, co wskazuje na niewydolność cieśniowo-szyjkową.

– Doktorze, a co to oznacza? – George, który jako nastolatek walczył na wojnie i którego pojawienie się na sali posiedzeń dyrekcji natychmiast wywołuje ciszę, po usłyszeniu diagnozy ma przerażoną minę.

– To znaczy, że szyjka macicy pani Eaden jest niewystarczająco mocna. Dylatacja, rozwarcie, następuje zbyt wcześnie, zanim dziecko osiągnie odpowiednią dojrzałość, i przez to dochodzi do nawykowych poronień.

Kathleen bardzo nie lubi tego terminu.

– Czy jakoś można temu zaradzić? – Jej głos brzmi spokojnie, chociaż w środku jest kłębkim nerwów.

– Owszem. Istnieje dość nowatorska i przez to kontrowersyjna technika: szew McDonalda. – Jeszcze nie widziała doktora tak ożywionego. – Założymy szew na szyjkę macicy w siódmym lub ósmym tygodniu ciąży, a usuniemy go, kiedy dziecko będzie mogło przyjść na świat, około trzydziestego szóstego tygodnia.

– Czy to będzie skuteczne? – Sama jest zaskoczona swoim sceptycyzmem, ale trzecia strata sprawiła, że stała się twarda, jakby iskra nadziei, którą w sobie pielęgnowała w czasie ostatniej ciąży, zgasła bezpowrotnie.

Doktor rozkłada ręce.

– Pani Eaden, położnictwo i ginekologia to trudne działy medycyny, a ta technika jest stosunkowo nowa. Jestem jednak pewien, że po tym zabiegu, jeśli będzie pani leżeć przez cały okres ciąży i stosować się do innych zaleceń, które dziś omówiliśmy – cotygodniowe zastrzyki z progesteronu i... hmm... powstrzymywanie się od stosunków płciowych – dajemy przysłemu dziecku najlepszą szansę na przeżycie.

*Jeśli pieczesz tak wytrwale jak ja, powinnaś rozważyć potrzebę ćwiczeń fizycznych. Kawałek ciasta można zrekompensować spokojną przechadzką lub pływaniem w dogodnym tempie.*

Ta noc nie jest tak malownicza jak tamta, kiedy pierwszy raz wybrali się na wspólne bieganie. Chmury częściowo przesłaniają księżyc i gaszą mniejsze gwiazdy, chociaż Wenus nadal mocno lśni. Dwie osoby rozgrzewające się przed dziesięciokilometrowym biegiem tuż przed szóstą trzydzieści przy bramie Bradley Hall, odziane w ciasno przylegające sportowe stroje, podskakują lekko przed startem, całkowicie zaabsorbowane sobą. Żadnej z nich nawet nie przyjdzie do głowy, że są obserwowane z różnych pokoi rezydencji.

Z początku biegają tak jak poprzednio, wzdłuż podjazdu odchodzącego od głównego wejścia, a następnie wokół posiadłości, tym razem w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, w stronę gęstszego lasu. Teren jest trudniejszy. Połamane gałęzie, pokryte gnijącymi liśćmi, maskują wystające tu i ówdzie korzenie drzew.

– Tu jest zbyt nierówno, nie da się tędy biec – decyduje Dan, kierując się na skraj lasu. – Wracajmy na trawę.

Na pewniejszym gruncie ich krok nabiera sprężystości, choć trawa również nie jest zbyt równa, wyskubana przez pasące się na niej owce i poznaczona wyschniętymi krowimi plackami.

– Prawdziwy bieg przełajowy, co?

– Na pewno jako dziewczyna byłaś w tym sporcie najlepsza.

Karen kręci głową, przypominając sobie betonową nawierzchnię boiska przy swojej miejskiej szkole, odłamki szkła połyskujące na asfalcie, cuchnące kosze na śmieci i graffiti na murach. Boiska, na którym nauczyła się sprzedawać ciało za papierosy, a papierosami tłumić głód.

– W mojej szkole nie było zawodów w tej dyscyplinie.

Utrzymuje miarowy oddech. Opłaciły się godzinne biegi na ruchomej bieżni, które odbywała codziennie przez ostatnie dwa tygodnie. Policzki ma zaróżowione, ale raczej z radości niż wysiłku. Ku swojemu zaskoczeniu spostrzega, że Dan zostaje w tyle. Przejmuje prowadzenie i po raz kolejny się zastanawia, czy wykonać jakiś ruch, czy może jemu pozostawić inicjatywę. Decyduje się na to drugie. Chociaż wciąż robi wszystko, żeby zyskać nad nim przewagę, czuje się dziwnie bezbronna. Nieczęsto spotyka się z odrzuceniem, ale ma wrażenie, że gdyby Dan ją odepchnął, nie zniosłaby tego zbyt dobrze.

Zerka za siebie przez ramię. Teraz on ją goni. Jest zdenerwowana jak nastolatka, którą ogarnęło pożądanie, ale boi się tego, co ma nastąpić. Okropny i jednocześnie cudowny stan: strach i świadomość, że wreszcie się żyje.

„Kiedyś tak się czułam przy Oliverze – myśli. – W tym dusznym klubie na West Endzie, gdzie usidliłam go, swoją najcenniejszą zdobycz, swojego bankowca. I potem, kiedy się lepiej poznawaliśmy. Przed ślubem, zanim pojawiły się dzieci i zanim zdałam sobie sprawę, że jego prawdziwą pasją jest i będzie wyłącznie praca”. Czy słusznie tak uważa? Czy tylko jego może winić za to, że się od siebie oddalili? „Czy nie odepchnęłam go od siebie, kiedy urodziły się dzieci i chciałam robić wszystko po swojemu? A może tak naprawdę stało się to o wiele wcześniej, niemal na samym początku?”

Wspomnienia kłębią się w głowie: łazienka w hotelowym apartamencie dla nowożeńców w Rzymie, księżyc świecący za oknem i całkowite zdumienie na twarzy męża... Osiem miesięcy później przyłapał ją drugi raz, kiedy byli na nartach w Val d'Isère, i tym razem błagał ją, żeby szukała pomocy u psychoterapeuty. Sam nawet zamówił jej wizytę. Oczywiście nie poszła na nią, tylko zrobiła wszystko,

żeby nie zaliczyć następnej wpadki. Coraz bardziej się kontrolowała, trzymała z dala od niego, zamykała się w sobie. Swoje życie – dzieci, ćwiczenia, posiłki – organizowała z żelazną dyscypliną. A namiętność, ciepło, miłość, radość: wszystko to powoli znikało.

Dan jest coraz bliżej. Karen utrzymuje tempo. Oddychając równo, stara się odgonić od siebie smutek.

– Ćwiczyłaś? – pyta juror, zrównując się z nią.

– Pieczenie tarty cytrynowej? Ależ oczywiście. I zaczekaj tylko, aż spróbujesz mojej *tarty tatin*.

– Chodziło mi o bieganie – tłumaczy trochę zniecierpliwiony. – Wydaje mi się, że jesteś coraz szybsza.

– Skąd ten pomysł?

Karen przyspiesza i go wyprzedza. Krew szumi jej w uszach. Jest pewna, że bicie jej serca jest wyraźnie słyszalne. Przechodzi w sprint, zmusza ciało do ekstremalnego wysiłku, napawając się własną siłą – fizyczną i seksualną.

Musi ją teraz gonić, zbiegając po łagodnym zboczu, które wkrótce staje się bardziej strome, niż przewidywała. Zaczepia stopą o ukrytą w trawie króliczą norę, potyka się i przewraca. Osłaniając ramionami głowę, stacza się w dół wzgórza i dopiero po trzech obrotach nieruchomieje.

Dan w sekundę dobiega do niej.

– Nic ci nie jest? Wszystko w porządku? Jak stopa? Nieskręcona?

Cała się trzęsie, ale nie z bólu, tylko z szoku wywołanego nagłym upadkiem. Jak mogła być taka głupia? Drwiące słowa Jake’a dźwięczą jej w głowie: „Nikogo nie oszukasz”.

Na twarzy Dana widać panikę: boi się, że ich spotkanie się wyda czy po prostu troszczy się o jej zdrowie? Patrzy na nią z mieszaniną współczucia i przerażenia. „Wyglądam staro – myśli Karen. – Jestem starsza, niż przypuszczałem”.

– Nic mi się nie stało. Naprawdę. Tylko jestem w lekkim szoku.

Próbuje obciążyć kontuzjowaną stopę i udaje jej się nie syknąć z bólu.

– Pomóż mi wstać – prosi szorstko. – Powiedziałaś, że nic mi nie jest.

Obejmuje ją silnym ramieniem. Ma ochotę się do niego przytulić, ale opiera się tej chęci. Pozostaje sztywna i oficjalna.

– Dziękuję bardzo. Wracajmy.

– Jeśli chcesz...

Ale ona już ruszyła, z początku niepewnie, zaraz jednak zwiększyła tempo, kiedy wyczuła równiejszy grunt, po którym można stąpać pewnie. W głowie pulsuje jej mantra: „Nikogo nie oszukam. Nikogo nie oszukam. Nikogo nie oszukam. Nikogo nie oszukam. Nikogo nie uda mi się oszukać”. Dan zostaje z tyłu, jakby poczuł się skarcony jej ostrym tonem. Nie chciał przecież jej urazić. Gdy zbliżają się do podjazdu, woła do niej:

– Mogę później sprawdzić, czy wszystko w porządku?! Chciałbym się upewnić, że nic ci nie jest. To znaczy, chciałbym cię odwiedzić.

Patrzy na niego niepewna, jak to rozumieć: okazuje troskę o kobietę, która miała kontuzję, czy sugeruje coś mniej jednoznacznego? Nie umie rozszyfrować słów, które nie kryją w sobie aluzji, pozbawionych kokieteryjnych sztuczek. Nagle ogarnia ją zmęczenie. Pragnie wziąć gorącą kąpiel i odpocząć w czyichś objęciach. Ta myśl ją przeraża. Przecież nie należy do osób, które lubią się przytulać. Szuka seksu – nie uczuć. Patrzy łagodnie na jego szczerą twarz.

– Dobrze... Bardzo się cieszę – mówi.

*Tarte au citron to zniewalający deser, spożywany w małych porcjach, wyrazisty i świeży, ale bardzo sycący. Cytrusowy smak pozwala zapomnieć o ciężkim posiłku, ale sam również wywołuje wrażenie sytości. I nie możesz już sięgnąć po kolejny kęs. Rozsądna gospodyni podaje tę tartę w małych kawałkach.*

– Dan? – Harriet, widząc go u podnóża schodów, którymi przed chwilą wbiegła na górę Karen, przywołuje go głosem rozczarowanej dyrektorki szkoły. – Czy mogę zamienić z tobą słowo? – Pokazuje mu wejście do salonu, gdzie na niego czekała, i zamyka za nimi dębowe drzwi.

Staje przed nią niczym uosobienie platońskiego ideału mężczyzny. Harriet patrzy na jego ciemne loki lśniące od potu, zaróżowioną twarz, szeroką pierś. Jest od niej dwadzieścia lat młodszy i wiele musi się jeszcze nauczyć, jeśli chce zostać celebrytą. Nie jest jednak pewna, czy zechce jej wysłuchać.

– To raczej delikatna sprawa... – Milknie, żeby sprawdzić, czy Dan wie, o czym mowa, i nieco nerwowo przygląda włosy. – Znasz mnie. Rzadko przybieram mentorski ton, ale czy sądzisz, że stosownie jest uprawiać biegi z uczestniczką konkursu, której prace musisz oceniać?

Dan wzdycha głęboko.

– To wygląda źle. A oboje wiemy, że w tej grze liczą się przede wszystkim pozory. Wasze spotkania mogą być całkowicie niewinne, ale musisz bardzo uważać, żeby właśnie na takie wyglądały. I żeby takie były.

– Ale my tylko biegaliśmy razem... – zaczyna.

– Daj spokój, Dan. Chyba nie myślisz, że urodziłam się wczoraj.

Patrzy na niego jak na ucznia zagrożonego wyrzuceniem ze szkoły, którego jednak nie sposób przestać lubić.

– Gdyby to się wydało, „Daily Mail” miałyby używanie. Nasza marka i twój wizerunek zostałyby zszargane. Eaden natychmiast by się z tobą rozstał, a to byłaby niepowetowana strata. Masz przed sobą bardzo obiecującą karierę. – Uśmiecha się i znów przygląda włosy. – Ale nie działam wyłącznie z pobudek altruistycznych. Stanowimy dobry zespół, świetnie nam się razem pracuje. Odświeżyłeś mnie. Przedłużyłeś mój okres przydatności. – Krzywi się lekko po tym wyznaniu. – Proszę, Dan. Po prostu przerwij to, cokolwiek zacząłeś.

Dopiero tuż przed północą Karen przyjęła do wiadomości myśl, że Dan stchórzył i nie odwiedzi jej w pokoju. W ciągu ostatnich czterech godzin zajmowała się sobą: wzięła długą kąpiel z naturalnymi olejkami, obficie natarła ciało balsamem, zajęła się kostką, na której zaczął się tworzyć fioletowy siniec. Włożyła elegancką czarną bieliznę, a na nią bluzę z delikatnego kaszmiru i spodnie do pilatesu. Wyregulowała brwi pęsetką i od nowa wykonała makijaż. Upewniła się, że stopy wyglądają nienagannie: profesjonalnie pomalowane paznokcie lakierem Chanel o trafnej nazwie „Vamp”, srebrny pierścionek na palcu sugerujący buntowniczą naturę.

Nastawiła na iPodzie przyjemne dla ucha ballady. Wie, że nie są to najmodniejsze utwory, ale właśnie przy nich najłatwiej się rozluźnia. David Gray, Katie Melua, Dido, James Blunt. Na liście nagrań znajduje się też kilka soulowych klasyków. Kiedy odzywa się zmysłowy Marvin Gaye, Karen szybko przewija nagranie do przodu, żeby go uciszyć.

Pierwszą godzinę zajmują jej przygotowania, drugą spędza na próbach opanowania zniecierpliwienia. Przegląda ostatni numer „Vogue’a”, potem otwiera „OK!”, żeby się rozluźnić, czytając nedorzeczne plotki, ale plastikowe uśmiechy celebrytów czwartej kategorii szybko ją irytują. Zastanawia

się, ile związków, wychwalanych tu w ośmiostronicowych fotoreportażach, przetrwa rok. Przez chwilę myśli o Oliverze. Łysiejący zamożny mężczyzna o bystrym umyśle, na którego dobrej opinii nadal jej zależy, chociaż przestała liczyć na uczucie. Czy kiedykolwiek patrzyli na siebie z takim uwielbieniem, jakie udaje ta żwawa aktoreczka na zdjęciu? Nie ma wątpliwości, że on tak. Przed Rzymem, przed Val d'Isère, a może nawet trochę później. Jeśli o nią chodzi, to adorowanie nigdy nie było jej mocną stroną. Ale potrafi się w kimś zadurzyć. To jest antidotum na brak miłości. Mocny narkotyk, który zapewnia niezły odlot, potwierdza jej żywotność i energię. Wciągający i szybki w działaniu. Właśnie dlatego co tydzień o tej samej porze zamawia dostawę z Eadena: Ryan, wysoki dwudziestolatek z tatuażami, odwiedza ją w środy i należy wyłącznie do niej między jedenastą a dwunastą w południe. Również dlatego zawsze chodziła popływać, kiedy Jamie, zaledwie dwudziestodwuletni i nadal po chłopięcemu piękny, dyżurował na basenie jako ratownik. Wtedy wydawało jej się, że bardziej nie można jej zauroczyć. Ale przy Danie jej uczucia osiągnęły nowy poziom: pulsującej, tętniącej obsesji, która dyktuje jej, w co ma się ubrać, co upiec, co mówić, i całkowicie włada jej myślami. Nie chodzi tylko o jego urodę i charyzmę, ale raczej o to, że przyciąganie wydaje się wzajemne. I odwzajemnione uczucie dodaje jej niebywałej energii. Wierzy, że jest równie piękna i pociągająca jak on, wierzy, że jest godna jego pożądania.

W takim razie gdzie on jest? W trzeciej godzinie niecierpliwie oczekiwanie zmienia się w strach. Może czeka, aż horyzont będzie czysty, żeby nie ryzykować przypadkowego spotkania z innymi zawodnikami? Może przyjdzie do niej na tyle późno, że nie będzie wątpliwości co do jego intencji? A może wdał się w rozmowę z Harriet i teraz nie może się wyrwać. Albo opadły go wątpliwości...

W czwartej godzinie strach zmienia się w rozpacz, potem w samobiczowanie. Jak mogła być taka głupia i nie zauważyć, że Dan się nią zabawia? Patrzy na swoją twarz w lustrze. Zmęczenie po długim pracowitym dniu i traumatyczny upadek zostawiły na niej ślad w postaci ciemnych kręgów pod oczami, które widać, chociaż nałożyła grubą warstwę rozświetlacza Touche Éclat. „Nikogo nie oszukasz, mamuśka”. Widzi, że wygląda na swoje czterdzieści siedem lat. Jak mogła uwierzyć, że on nie odgadnie jej wieku?

Mija czwarta godzina, a Karen już wie, co musi zrobić. Wsuwa stopy w baleriny, wkłada długi kaszmirowy sweter, wychodzi z pokoju i lekkim, ale zdecydowanym krokiem zmierza do konkursowej kuchni. Ku jej zaskoczeniu jest otwarta. Smuga światła sączy się z korytarza i oświetla jej drogę, kiedy wkrada się do środka i odnajduje swoje stanowisko pracy. Podchodzi do najbliższej lodówki i otwiera drzwi, a jej twarz zalewa nienaturalna poświata. Szybko sięga do środka i wyjmuje to, czego szukała.

Wszyscy sędziowie spróbowali jej tarty cytrynowej, ale i tak została ponad połowa. Zatapia w niej nóż i odkrawa kawałek, potem natychmiast drugi, szerszy, i jeszcze trzeci. Trzy trójkąty leżą przed nią w mroku. Jaskrawożółte nadzienie lekko drga, kusząc: „Zjedz mnie. Zjedz mnie”. Wciąga głęboko powietrze i ulega pokusie.

Siedząc w kucki na podłodze, wpycha pierwszy kawałek do ust, prawie nie czując cytrusowej cierpkości i maślanego ciasta. Następnie pochłania drugi, większy, i krótko potem trzeci. Usta wypełnia mdła, lepka słodycz z nutą ostrzejszego smaku. Pusty żołądek – na lunch zjadła tylko małą porcję sałatki z kurczakiem – natychmiast wypełnia się i wzdyma. Ma ochotę odkroić jeszcze kawałek, tak żeby połowa zmieniła się w jedną trzecią, a potem w jedną czwartą, ale już zaczyna ją ogarniać wstręt do samej siebie. Chowa talerz z powrotem do lodówki, myje i wyciera nóż, wkłada go do szuflady. Potem wymyka się z kuchni i rusza niemal biegiem, żeby jak najszybciej pozbyć się zawartości rozepchniętego żołądka. Musi wyrzucić z siebie tę galaretowatą masę, która już jest w jej brzuchu lub właśnie tam spływa, tak jak musi się uwolnić od odrazy do siebie.

Korzysta z toalet przy kuchni, zamiast wrócić do swojego pokoju na piętrze, ponieważ musi to zrobić natychmiast. Strach, że potem nie będzie w stanie usunąć jedzenia, zanim dotrze ono do żołądka, sprawia, że zapomina o dyskrecji. Kabiny są puste. Wchodzi do jednej z ich, zamyka drzwi na zasuwkę,



odgarnia włosy w tył i z kawałkiem papieru toaletowego w ręce unosi klapę.

Wsuwa do gardła palce czystej prawej ręki, znajduje miękki punkt podniebienia i uciska go, żeby wywołać odruch wymiotny. Strużka częściowo strawionego jedzenia dociera do ust. Karen jeszcze raz wkłada palce do gardła i uwalnia gwałtowny strumień. Chwieje się lekko, ale znów zbiera siły i wywołuje trzecią falę wymiotów. W gardle ją pali, jest wykończona. Na krótko opiera głowę o chłodną ścianę toalety, ale zaraz widok rolki papieru toaletowego i słodkawy odór uryny napełniają ją obrzydzeniem. Wyciera usta kawałkiem papieru, spuszcza wodę, sprawdza, czy wszystkie wymiociny zostały spłukane, i otwiera drzwi.

Przy umywalkach stoi Claire. Na widok wychodzącej z kabiny Karen oczy rozszerzają jej się ze zdziwienia. Obie są w szoku.

– Jak długo tu stoisz? – pyta Karen stanowczym tonem.

– Przed chwilą weszłam. Trochę się zasiedziałam w barze. Jakoś tak głupio wyszło. Za długo gadałam z Mikiem. A potem sobie pomyślałam, że zajrzę do kuchni – plecie bezładnie.

Karen o nic więcej nie pyta.

– Nic ci nie jest? – Claire jest trochę zaniepokojona.

– A co niby miałyby mi być? – Karen odwraca się od niej, grzbietem dłoni naciska dozownik z mydłem i dokładnie myje ręce pod bieżącą wodą.

– No bo przed chwilą... Miałam wrażenie, że nie czujesz się dobrze.

Napotyka w lustrze na wzrok Karen. W jej oczach widać troskę, nie irytację.

– Nic nie ujdzie twojej uwagi, prawda, Claire? – Karen wybucha ostrym śmiechem, osusza dłonie i staje z nią twarzą w twarz. – Szczerze mówiąc, chyba się czymś zatrulałam. – Na chwilę milknie. Nie znosi prośzenia o przysługi, ale tym razem musi to zrobić. – Proszę, nie mów o tym nikomu, dobrze? Gdyby dotarło to do organizatorów, pewnie nie dopuściliby mnie do następnej konkurencji ze względu na zdrowie i bezpieczeństwo.

– Jasne, nic nie powiem... Ale czy jesteś pewna, że dasz jutro radę?

– Oczywiście, że tak. To tylko lekkie zatrucie pokarmowe. Nic zaraźliwego. Na pewno od tego nie umrę – zapewnia dziarsko. – Przejdzie mi, jak się wyśpię i nawodnię organizm.

Wymija młodszą rywalkę, ale zatrzymuje się w otwartych drzwiach i gestem daje znak, że powinny wyjść obie. Claire posłusznie kieruje się do drzwi, ale badawczo przygląda się Karen, która idzie z wysoko uniesioną głową, chociaż wyraźnie pobladła. „Zatrucie pokarmowe. Akurat! Chyba ma mnie za idiotkę”. Ale alternatywne wytłumaczenie jest jeszcze bardziej niewiarygodne. Nagle przypomina sobie toalety w swoim dawnym ogólniaku: gryzący odór środków dezynfekujących, rolki papieru toaletowego i Hazel Adams, klasowa grubaska, wywołująca u siebie wymioty. Czy to ten sam przypadek?

Claire wraca do swojego pokoju, a smutek przytłacza jej pierś niczym granitowy głaz. Jej umysł stara się przepracować to, co przed chwilą widziała.

## Kathleen

Nie ma dziecka. Nadal nie ma dziecka. Minęła wiosna, wybuchło lato i przeistoczyło się w jesień, a ona nie chce już dłużej prowadzić tej wyczerpującej gry.

Z początku obwiniała swoje pisanie. Dzień po stracie podarła cały rozdział o plackach i tartach i wrzuciła do kominka w salonie. Kiedy płomienie lizały kremowe kartki, a potem z sykiem pożarły je łapczywie, nie czuła nic oprócz ulgi.

George był nieco zaniepokojony.

– Tyle pracy... Dwie trzecie książki było już gotowe.

– I nie mam zamiaru jej kończyć – oznajmiła, nie dbając o to, że brzmi to melodramatycznie. – Czy tylko to się dla ciebie liczy? Żebym napisała tę książkę? Nie mogłam zamieścić w niej tych przepisów. Mam wrażenie, że są skazone.

– To brzmi niedorzecznie.

– Wcale nie. Na pewno nie dla mnie.

Przesuwa termin oddania pracy w nieskończoność, a George powstrzymuje się od komentarzy. Nie narzeka też, kiedy trzy miesiące po ostatniej stracie nadal odmawia uczestnictwa w otwieraniu nowych sklepów. Ale Kathleen niewiele to obchodzi. Regularnie, ku uciesze czytelników, którzy nie mają pojęcia o jej udręce, pisuje artykuły do „Home Magazine”. Teraz o najśłodszych i najfrywolniejszych deserach: bezach, pieczonym deserze lodowym Alaska, ptysiowych piramidach *croquembouche*, torcikach bezowych *vacherin*. Żadnych zdrowych i odżywczych rzeczy, zalecanych przez doktora Caruthersa. Nic zapiekanego w cieście.

Słowa sprawnie spływają na papier, błyskotliwe niczym kryształki cukru, precyzyjne jak ozdobny wzór z płynnego karmelu. Ale czuje, że jej teksty są pozbawione duszy. Tworzy, używając wyłącznie głowy. Jej artykuły olśniewają czytelników, ale jej życie prywatne pogrąża się w mroku. Zamyka się w sobie i odsuwa od George’a. Unika jego dotyku. Nie zdarzy jej się kolejne nawykowe poronienie, jak to uparcie nazywa James Caruthers, jeśli nie dojdzie do stosunku płciowego. Ale trzeba odbyć stosunek, jeśli chce się zajść w ciążę. Potrzeba seksu i mocnej wiary w powodzenie.

We wrześniu wyjeżdża do Bradley Hall. Przenosiny na wieś, do domu, który kiedyś uznawała za wulgarny, dają jej wolność. Ziemia wokół wydaje obfite plony, drzewa uginają się pod ciężarem owoców, a ogród dostarcza nieprzebranej liczby dyń. Nawet w trawie można znaleźć skarby: leśne grzyby o ciemnych zroszonych kapeluszach, pękate kasztany o błyszczącej rudobrazowej skórcie. Gładzi je jak paciorki różańca, kiedy zbiera jabłka i podnosi z ziemi żołędzie. Wędruje po posiadłości, szurając stopami w zwiędłych liściach.

Pani Jennings ledwie daje sobie radę z zagospodarowaniem tych plonów, więc niemoralnie byłoby nie wrócić do kuchni. Kucharka uśmiecha się, a George głęboko oddycha z ulgą. Pewnej soboty kładzie na stole w spiżarni dwa króliki.

– Niby co ja mam z nimi zrobić?

Gładzi krótkie brązowe futro i miękki biały meszek na ich brzuchach. Przypomina jej się Piotruś Królik z dziecięcej książeczki.

– Zapiecz je w cieście – rzuca jej wyzwanie George, zadowolony, że może odgrywać rolę pana dziedzica.

I to właśnie robi, tworząc niebywale aromatyczne połączenie bekonu, szalotek, marchewek, tymianku i mięsa z królika, duszonych w bulionie i cydrze, a na koniec zaprawionych śmietaną. Danie

podaje z fioletowymi brokułami prosto z ogrodu. Pod koniec posiłku ze zdziwieniem stwierdza, że po raz pierwszy od marca, kiedy to straciła dziecko, zjadła wszystko do końca, i mimo woli się uśmiecha.

– Kathleen? – George patrzy na nią, jakby się zastanawiał, czy i jemu wolno się uśmiechnąć.

– Tak, George? – Pierwszy raz od wielu miesięcy w jej głosie pojawia się żartobliwa nuta, ostrożna sugestia dobrego humoru.

Przez chwilę znów jest tą Kathleen, która wypatrzyła go na balu u Carltonów i postanowiła go zdobyć: starszego mężczyznę, który był dla niej szansą na bunt i na bezpieczną stabilizację. Patrzy na niego uważnie. Nie był w stanie załagodzić ani nawet w pełni zrozumieć jej bólu, ale jest jej opoką, mężczyzną, na którym może polegać. Z tą myślą mocno się do niego przytula.

*Jestem głęboko przekonana, że śniadanie to bardzo ważny posiłek. Niekoniecznie musi to być coś smażonego czy jajko. Wystarczy kromka domowego chleba opieczonego w tosterze posmarowana dżemem z czarnej porzeczki i filiżanka earl greya. To jest moje minimum. Bez niego zaczęłabym dzień w zrzędliwym nastroju. Nawet tak skromne śniadanie reguluje poziom cukru we krwi i przygotowuje nas do trudów dnia.*

Osiem godzin później, w dniu paryskiego maratonu Jenny siedzi na skraju łóżka, w skupieniu marszcząc czoło, i próbuje ułożyć odpowiedni esemes. Niepewnie przebiera palcami po wyświetlaczu, starając się wyważyć proporcje: wiadomość do Nigela ma wyrażać wsparcie, ale jednocześnie obciążać go żadnymi oczekiwaniami. W końcu decyduje się na beztroski dziewczęcy ton: „Powodzenia! Jestem z tobą myślami, skarbie!”. Wysyła wiadomość i zaraz krzywi się z niesmakiem. Po co ta wylewność? Dlaczego nazwała go skarbem? Już nie uważa go za swój skarb.

Nie otrzymuje żadnej odpowiedzi – nie spodziewała się jej, ale miała nadzieję – więc wysyła esemesa do Emmy, mocniej naciągając pępowinę: „Myślę o tacie i życzę mu powodzenia. Uściskaj go ode mnie. Ciebie też oczywiście ściskam!”. Emma odpowiada szybko: „Tutaj czyste szaleństwo. Ojciec bardzo przejęty, liczy na pobicie własnego rekordu. Życzę powodzenia w zawodach. Też o Tobie myślę! :-\*”.

Nie jest tak źle na tym świecie. Jenny pozwala sobie na nieśmiały uśmiech, uradowana, że córka rozumie, jak ważny dla niej jest ten konkurs. Rozlega się kolejny sygnał, zwiastujący nadejście nowej wiadomości. Radość Jenny znika niczym kryształki cukru w podgrzewanej wodzie: „Właśnie spotkałam Gabby Arkwright. Strasznie przyjacielska. Będzie kibicować ze mną na mecie, bo Peter też startuje”.

Przebiega ją zimny dreszcz, kiedy próbuje rozszyfrować esemesa i przyczynę, dla której córka jej go przysłała. Czy jest taka naiwna? Czy mąż Gabby rzeczywiście uczestniczy w maratonie? Dlaczego Nigel nawet o tym nie wspomniał? O to nie musi pytać. „To miłe. Zadzwoń w wolnej chwili” – pisze i zaraz wybiera numer Emmy jak rozgorączkowana, odrzucona kochanka. Rozlega się obcy, głucho brzmiący, przerywany francuski sygnał. Zostawia wiadomość: fałszywie beztroski głos drży nerwowo, słowa przekazują wszystko i nic. „Em, proszę, zadzwoń, jak będziesz miała wolną chwilę”.

Jest zbyt roztrzęsiona, żeby zjeść obfite śniadanie. Zamiast porannego earl greya wybiera czarną kawę. Zimny tost z masłem i dżemem z czarnej porzeczki pozostaje nietknięty. Jedzenie, które od dawna służy jej do poprawiania samopoczucia, dzisiaj straciło swoją zbawczą moc.

– Jenny, mogę się przysiąść?

Vicki uśmiecha się do niej z sąsiedniego stolika, jakby chciała przerwać jej rozmyślenia. Chwyta kubek kawy z mlekiem i zastyga niepewnie, jakby przed zajęciem miejsca obok Jenny chciała uzyskać jej zgodę.

– Ależ oczywiście. – Jenny stara się zebrać w sobie i życzliwie powitać młodszą koleżankę. Przywołuje uśmiech na twarz. – Jak się dzisiaj miewasz?

– Dzięki, całkiem nieźle. A ty?

– Ja? – Odpowiedź pada automatycznie: – Bardzo dobrze, dziękuję.

– Jesteś pewna?

– Nie, raczej niej. – Krzywi się, jakby próbowała oszukać samą siebie. Troska Vicki nie pozwala jej dalej udawać. – Wcale nie czuję się dobrze.

– Przynieść ci coś lepszego do jedzenia?

Jenny protestuje, ale Vicki już wybiera najsmaczniejsze rzeczy z bufetu: ciepłe drożdżowe bułeczki z rodzynkami, pełnoziarnisty chleb z kawałkiem chłodnego masła z kropelką wody na wierzchu, dżem morelowy, miseczkę greckiego jogurtu i kiść czerwonych winogron.

– Nie jestem taka głodna.

– Widzę – odpowiada Vicki.

Smaruje kromkę chleba masłem i dżemem, kroi ją na cztery trójkąty i gestem zachęca do jedzenia. Jenny mimowolnie myśli, że Vicki traktuje ją jak dziecko. Jak jej synek ma na imię? Alfie?

– Ale jestem zdania, że kiedy dopada nas przygnębienie, musimy coś zjeść.

Jenny zmusza się do przełknięcia jednego kęsa, potem następnego. Chleb oblepia jej podniebienie i wydaje się całkiem bez smaku. Dżem jednak jest dobry: spore kawałki moreli w gęstym, połyskującym syropie.

– Lepszy niż ten z czarnej porzeczki – stwierdza Vicki, ruchem głowy wskazując na wysuszony tost, który Jenny zostawiła nieruszony na swoim talerzu. – Zaraz to stąd usunę.

Znów wstaje, likwiduje dowody porannego braku apetytu Jenny i wraca z miseczką gęstego kompotu z jeżyn.

– Próbowalaś owoców? Zjedz trochę z jogurtem. Naprawdę nie chcesz? No to ja spróbuję.

Vicki puszcza do niej oko i zanurza łyżkę w jeżynowej masie. Ciemny sok spływa na wysepkę bieli. Przez chwilę jedzą w milczeniu. „Czy zada mi jakieś pytanie? – zastanawia się Jenny. – A jeśli tak, to czy mogę być z nią szczerą?” Przez chwilę rozważa, czy nie opowiedzieć jej o Gabby i Nigelu, ale natychmiast odrzuca tę myśl. Ta śliczna młoda kobieta pewnie jest mężatką najwyżej od pięciu lat. Wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że to nie bajka, ale na tyle krótko, że ewentualność mężowskiej zdrady nawet nie przejdzie jej przez głowę.

– Hmm... Czy mogę ci jakoś pomóc? Może chciałabyś o czymś porozmawiać? – Vicki jest wyraźnie zdeprimowana swoimi pytaniami i Jenny podejrzewa, że dziewczyna rzadko bywa tak bezpośrednia. – Nie krępuj się. – Vicki wzrusza ramionami. – Możesz mi powiedzieć, żebym pilnowała swojego nosa. Po prostu mam wrażenie, że gdybyś zrzuciła ten kamień z serca, poczułabyś się lepiej.

– Czy to jest aż tak widoczne? – Jenny uśmiecha się wbrew sobie.

Vicki kiwa głową.

– Jejku. Ale wstyd. Moje córki zawsze mi powtarzają, że nic przed nimi nie ukryję.

Vicki znów się uśmiecha, pociąga łyk kawy i czeka w milczeniu. Jenny nie jest w stanie zdradzić prawdziwej przyczyny swoich trosk, więc ucieka się do bardziej ogólnego opisu sytuacji.

– Zdaje się, że jak zwykle dręczy mnie poczucie winy. Mąż pojechał na weekend do Paryża, żeby pobiec w maratonie, a ja czuję, że powinnam tam z nim być i go wspierać. Wydaje mi się, że za bardzo sobie dogadzam, będąc tutaj i piekąc ciasta, podczas kiedy on tam przeżywa coś takiego.

– A on? Dlaczego on nie przyjechał tutaj, żeby wspierać ciebie?

– Och, to nie działa tak... – Milknie, nie będąc w stanie wytłumaczyć, że przez ćwierć wieku ich małżeństwa bilans zaangażowania nie rozkładał się równo, a teraz szala zdecydowanie się przechyliła.

Odgryza następny kęs chleba, żeby uniknąć dalszych wyjaśnień.

– Pozwolisz, że powiem wprost? – Vicki patrzy na nią uważnie. – Nie sądzę, żebyś miała jakiegokolwiek powody do poczucia winy. Zbyt często mu ulegamy. Czuję się winna w każdej minucie, której nie spędzam z Alfim, za każdym razem, kiedy zostawiam go u swojej przyjaciółki Ali albo z mamą czy Gregiem, chociaż wiem, że to jest zupełnie bez sensu. Świetnie pieczesz. Stwierdzam to niechętnie, ale jesteś o klasę lepsza od nas wszystkich. Zasługujesz na to, żeby być tutaj i pokazać wszystkim, co potrafisz, tak samo jak twój mąż zasługuje na udział w tym maratonie. Chociaż może ty nawet bardziej masz prawo być tutaj. Bo przecież on nie ma szans na wygraną, prawda?

Patrzy na Jenny, oczekując jej reakcji. Jenny potwierdza jej słowa ruchem głowy.

– No widzisz. O ile Karen albo ja zdecydowanie nie poprawimy naszych wyników, o tyle ty możesz

wygrać ten konkurs. Właściwie nawet powinnaś go wygrać. I to on powinien ci kibicować i cię wspierać.

– Wcale nie jestem taka pewna, że cieszyłby się z mojego zwycięstwa. – Jenny smutnieje i przez jedną okropną chwilę ma wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem.

– A powinien – oznajmia Vicki stanowczo. – Proszę, nie płacz. Próbuję tylko powiedzieć, że bez trudu możesz wygrać ten konkurs. Masz prawdziwy talent i zasługujesz na to, żeby zabłysnąć, nie mniej niż Claire, Karen czy ja.

– Dziękuję – z trudem wydusza z siebie Jenny. – Choć wcale nie jestem pewna, czy to prawda.

– Ależ tak! – Bezradna Vicki podnosi głos. – Oczywiście, że prawda. Nie wygrasz jednak, jeśli tego nie zrozumiesz i nadal będziesz... jak to nazwać... zbyt krytyczna względem siebie. Nie, to coś więcej. Jeśli nie przestaniesz w sobie wątpić. Musisz uwierzyć w siebie. Nabrać przekonania, że stać cię na wygraną. – Przerywa na chwilę. – Koniec mojej przemowy. Przepraszam, że podniosłam głos. Nie chciałam. Moim zdaniem jesteś fantastyczna. Wszyscy tak myślą i najwyższy czas, żebyś sama zdała sobie z tego sprawę.

Dopija kawę i ze stanowczym brzękiem odstawia filiżankę na spodeczek. Jenny przez moment boi się, że ją uraziła.

– Chciałabym wierzyć w to równie mocno jak ty.

Ku swojemu przerażeniu słyszy, że jej głos brzmi nieprzyjemnie. Zaniepokojona patrzy na Vicki: ta dziewczyna właśnie powiedziała jej coś miłego, a ona to odrzuciła.

– Powinnaś. Jesteś najlepsza – odpowiada Vicki krótko.

Nadal nie spuszcza wzroku z jej twarzy i Jenny dochodzi do wniosku, że nie chciałaby jej podpaść, gdyby była jej uczennicą. Chociaż Vicki jest ciepła i miła, ma w sobie jakąś twardość. Emanuje siłą i odpornością.

Vicki chyba czyta w jej myślach, bo wyciąga do niej rękę przez stół, a zaskoczona Jenny ujmuje jej ciepłe palce i ściska je, wdzięczna, że ta bolesna dla niej rozmowa już się skończyła. Dziewczyna jednak ma coś do dodania.

– Jenny, nie wiem, czy twój mąż docenia, jaką jesteś cudowną kobietą, ale wydajesz się trochę... zahukana, jeśli wolno mi tak się wyrazić. Tymczasem tutaj, między nami, naprawdę nie masz do tego powodu.

Jenny spuszcza oczy na swój talerz i skupia się na kwiatowym wzorku, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. Wstydzi się przyznać, że Nigel nie docenia jej ani trochę.

– Dziękuję. – Głos więźnie jej w gardle.

– Jenny...

– Dziękuję – powtarza i uśmiecha się z wysiłkiem. – Jesteś bardzo miła.

– Tu nie chodzi o bycie miłym. – Vicki znów czuje się bezsilna. – Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy ani cię denerwować. Więcej nie wrócę do tego tematu, ale chcę, żebyś przyjęła do wiadomości to, co mówię. – Jej ton jest teraz łagodniejszy, z nutą skruchy. – Jesteś wspaniała. Żadne z nas ci nie dorównuje.

Jenny podnosi wzrok i uśmiecha się, jakby częściowo dała się przekonać.

– Tak. Rozumiem cię. Dziękuję.

– Mike!

Claire zaczęła się przy wejściu do głównego holu, żeby dopaść jedyne go mężczyznę wśród zawodników, kiedy będzie wracał ze śniadania.

– Claire? – Twarz mu jaśnieje. – Co to za tajna operacja?

Wciąga go do salonu, jednocześnie sprawdzając, czy nikt ich nie widzi.

– Podejdź bliżej. Nie, nie zamykaj drzwi! To by wyglądało podejrzanie.

– Claire. – Opiera rękę na jej barku. – O co chodzi?

Bierze głęboki oddech, przysiadła na oparciu sofa i zaczyna mówić. Wylewa z siebie poczucie winy, zdenerwowanie, wstyd: skłębione emocje płyną tak szybko, że Mike niewiele z tego rozumie.

– Hej! Zwolnij trochę i zacznij od początku.

Kładzie duże dłonie na jej ramionach, poklepuje ją w nieskutecznym geście pocieszenia. Zaraz jednak peszy go to, co zrobił.

– Przepraszam, nie chciałem. Powtórz mi wszystko, tylko wolniej. I nie denerwuj się tak.

Claire opowiada mu o wydarzeniach wczorajszego wieczoru. O tym, jak weszła do toalety, kiedy się z nim rozstała, i jak usłyszała, że ktoś wymiotuje w kabinie.

– To była Karen. Powiedziała, że czymś się zatręła.

– A ty w to nie wierzysz?

Kręci głową.

– Zbyt gorączkowo się tłumaczyła, jakby coś ukrywała. – Claire zdradza swoje obawy: – W szkole miałam taką koleżankę. Wsadzała sobie palce do gardła, żeby zwymiotować.

– Bulimia.

– Właśnie. Tak to się nazywa. I sędzę, że Karen właśnie to robiła. – Garbi szczupłe ramiona i zwiesza głowę, jakby miała ochotę przybrać pozycję embrionalną. Kiedy podnosi wzrok, minę ma ponurą i wylęknioną. – Pewnie nawet nie powinnam ci tego mówić. Czuję się winna, jakbym ją zdradziła czy coś w tym rodzaju, ponieważ najwyraźniej nie chciała, żebym się domyśliła prawdy. Ale muszę się komuś zwierzyć, bo najgorsze w tym wszystkim jest to, że byłam o nią taka zazdrosna. – Kuli się jeszcze bardziej. – Wydawała mi się taka elegancka i pewna siebie. A to ja okazałam się podłą plotkarą. Przez cały czas... sama nie wiem... imponowała mi. Tymczasem okazuje się, że jest bardziej pokręcona niż my wszyscy razem wzięci.

Mike ma ochotę otoczyć ją ramionami, przygarnąć do siebie w niedźwiedzim uścisku, pocieszyć, jakby była jego dzieckiem. Ale ona nie jest dzieckiem, a jeśli ma być szczery, to jego uczucia wobec niej nie są wyłącznie opiekuńcze. Powstrzymuje się więc, siada tylko obok niej i lekko ją obejmuje. Teraz w pełni widzi, jaka jest ładna. Patrzy na wygiętą linię jej policzka, leciutkie bruzdki w kącikach oczu, szerokie usta, teraz zaciśnięte ze zdenerwowania. Jej włosy pachną cytrusowym szamponem.

– Przede wszystkim nie masz powodu, żeby czuć się winna – zaczyna. – Jeśli Karen miała epizod bulimiczny, to pewnie i wcześniej jej się to zdarzało. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że z problemem tym boryka się od lat. Nie mogłaś tego przewidzieć, a tym bardziej temu zapobiec. Obawiam się, że nie masz takiej władzy.

Claire chce się roześmiać, ale śmiech więźnie jej w gardle.

– Po drugie, to, że byłaś o nią zazdrosna – chociaż nie mam pojęcia dlaczego – nie ma w tej sprawie żadnego znaczenia. Założę się, że Karen nie zdawała sobie sprawy z twoich uczuć. A jeśli nawet, to wcale nie byłaby nimi urażona. Może nawet pochlebiałoby jej to.

Znów śmieje się niepewnie, tym razem z lekką ulgą.

– Dziękuję.

Grzbietem dłoni ociera łzę i pociąga nosem.

– Proszę. – Mike podaje jej czystą chusteczkę higieniczną.

– Dzięki. – Głośno wydychuje nos i próbuje zażartować: – Jesteś przygotowany na każdą okazję, niczym moja mama.

– Staram się. Już przerabiałem dziecięce kupy na ramieniu, teraz nadeszła pora na dziewczęce pogaduszki od serca. Jak tak dalej pójdzie, stracę całą męskość.

– Naprawdę?

Śmieje się mimo woli bardziej ze wzmianki o dziecięcych kupach niż z wizji utraty męskości przez Mike'a. On o tym nie wie, więc czuje się trochę nieswojo i cofa ramię. Siedzą w niezręcznej ciszy o centymetr od siebie, niemal stykając się biodrami. „Pewnie wydaje jej się, że jestem taki prostolinijny

i rozsądny”, myśli Mike.

– Dziękuję ci. Sprawiliś, że czuję się trochę mniej jędzowata, chociaż nadal mam wyrzuty sumienia. Ale przede wszystkim strasznie mi żal Karen. Przykro mi, że tak się czuje. Teraz patrzę na nią inaczej.

– To chyba dobrze. – Mike rozluźnia się i sadowi wygodniej. Skraj jego spodni dotyka teraz jej uda.  
– Żadne z nas nie jest takie łatwe do rozszyfrowania, jak się z początku wydawało.



*Perfekcyjna francuska bagietka powinna mieć chrupiącą skórę i delikatny mięsz. Przy nagryzieniu ma rozkosznie chrupać, a potem rozplynać się w nicość. Jeśli to tylko możliwe, należy podawać ją ciepłą i świeżą. To zwodnicze pieczywo: pozornie twarde, a w środku miękkie i lekkie jak powietrze.*

Paryż, Avenue Foch. Piękny wiosenny poranek, słońce jasno świeci na błękitnym niebie. Maraton ruszył niemal cztery godziny temu. Emma stoi niedaleko linii mety, zirytowana napierającym na nią z obu stron tłumem ludzi. Radosne oczekiwanie na chwilę, kiedy ojciec przekroczy linię końcową, już dawno zmieniło się w nudę wynikającą ze stania w jednym miejscu. Kobieta po prawej – szykowna zimna Francuzka – nadeptuje jej na stopę.

– *Pardon, désolée...*

Jej oczy za ciemnymi okularami pozostają puste. Ktoś z tyłu co jakiś czas ją popycha. Na dodatek wypila tyle wody, że musi natychmiast iść do toalety.

Wie, że panująca wokół ekscytacja powinna jej się udzielić, ale po kilku godzinach w tej samej pozycji nie potrafi wiele z siebie wykrzesać. Nawet kiedy wiwatuje – na cześć pierwszej kobiety na mecie lub starszego, ale bardzo sprawnego zawodnika – robi to sztywno i bez zapału. Może jest zbyt brytyjska na takie żywiołowe reakcje, zbyt zahamowana albo zbyt samotna? Brakuje jej grupy przyjaciół i alkoholu, żeby się wprawić w odpowiednio radosny nastrój. Poza tym dręczy ją poczucie winy, do którego nie nawykła. Wstyd jej, że dała matce taki wycisk za rezygnację z wyjazdu do Paryża i za to, że nie stoi tu ramię w ramię z Gabby Arkwright. Bo Emma, chociaż doskwiera jej samotność, nie jest sama. Gabby, która – jak się okazało – zatrzymała się w tym samym hotelu co ona i ojciec, przyczepiła się do niej jak nowa, niedobrana wiekiem najlepsza przyjaciółka i zanudza ją wspomnieniami sprzed piętnastu lat, kiedy to Emma bawiła się z jej okropnym synem Robertem.

– Nie masz nic przeciwko temu, Em? – zapytała ją, a Emma aż się wzdrygnęła, słysząc, że zwraca się do niej zdrobnieniem używanym tylko przez rodziców i siostry. – Powinnyśmy razem czekać przy mecie. Peter będzie biegł bardzo długo, więc miło będzie sobie pogadać i powspominać dawne czasy. No i z radością będę kibicować twojemu tacie.

„Nie, Gabby. Nie chcę czekać razem z tobą, ponieważ nie mogę patrzeć na to, jak flirtujesz z moim ojcem, i wiem, jak to wpływa na moją matkę” – tak miała ochotę jej odpowiedzieć, ale dobre maniere, rezultat wychowania przez Jenny i wieloletniej edukacji w drogich szkołach, biorą górę.

– Ależ oczywiście, nie mam nic przeciwko – skłamała, automatycznie uprzejma wobec starej przyjaciółki rodziny. – To doskonały plan.

Teraz żałuje, że nie odpowiedziała szczerze, tak jak by to zrobiła, gdyby chodziło o kogoś z rodziny lub przyjaciół, wobec których zawsze była otwarta. Napina wszystkie mięśnie, żeby dyskretnie utrzymać jak największy dystans od Gabby. Kobieta jednak to zauważa, ale uznaje, że Emma po prostu nie chce naruszać jej prywatnej przestrzeni. Uspokajająco ściska jej ramię i z porozumiewawczym uśmiechem przysuwa się bliżej.

– Twój tata tak wytrwale trenował i zrobił wspaniałe postępy. Powinien pobić swój rekord i osiągnąć czas około trzech godzin i czterdziestu minut.

Emmie wydaje się, że kobieta mówi w jakimś obcym języku, którego ona, chociaż lingwistka, nigdy nie opanuje.

– Imponująco stracił na wadze, a kondycję ma wręcz powalającą.

Emma rzuca jej ostre spojrzenie, doszukując się w tych słowach jakiejś aluzji, ale Gabby ma nieprzeniknioną minę.

– Natomiast Peter bardzo się opuścił. Wciąż mu powtarzam, że nie zejdzie poniżej czterech godzin, jeśli nie będzie więcej trenował. A z takim czasem to nawet nie warto startować. Oczywiście nie chciał mnie słuchać. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy w ogóle mu na tym zależy.

– To po co się zgłosił do maratonu? – Emma czuje, że powinna jakoś zareagować, ale woli słuchanie o niepowodzeniach Petera niż zachwyty nad sukcesami Roberta.

– Bóg jeden wie. Może z przyzwyczajenia. Od lat biega w maratonach. Resztki potrzeby współzawodnictwa? Musi w czymś ze mną konkurować! A może chce stracić brzuch? Cóż, nie bardzo mu to wyszło. – Wybuchają ironicznym śmiechem. – Nie potrafię go zrozumieć.

Zapada krótka cisza i Emma zaczyna się zastanawiać, czy powinna jakoś pocieszyć kobietę lub skomentować jej małżeńskie relacje, ale Gabby mówi dalej:

– Twój ojciec za to wykazuje niezłomną determinację. Wspaniale mi się z nim trenowało. Wie, czego chce, i nie waha się po to sięgnąć. – Znów lekko ściska ramię Emmy.

Dziewczyna popada w coraz większe przygnębienie. Ma ochotę wyswobodzić się z uścisku Gabby, ale wie, że zdziwiłoby ją to i wzbudziło jej czujność. Lecz brak jakiegokolwiek reakcji wzmagają jej poczucie nielojalności wobec matki.

– Zdaje się, że dużo razem trenowaliście?

– Trzy razy w tygodniu. To mój podopieczny. Niedługo wprowadzę go w tajniki triathlonu. Mówił mi, że nieźle pływa.

– Tata? – Emma śmieje się na wspomnienie scen z dzieciństwa. – Strasznie chlapie. Kiedy pływa, wychlapuje połowę wody z basenu. – Świadomość, że wie o ojcu więcej niż Gabby, działa na nią uspokajająco.

– Doprawdy? To zaskakujące. Ale oczywiście teraz jest szczuplejszy niż dawniej i nabrał imponującej koordynacji ruchów.

Emma czuje, że dostała prztyczka w nos. Wyswobadza ramię, udając, że szuka chusteczki higienicznej, i dopóty grzebie w kieszeniach džinsów, dopóki wreszcie nie znajduje zmiętej i sztywnej białej kulki. Gabby zerka na nią z ledwie skrywanym obrzydzeniem.

Wydmuchując nos, sprawdza komórkę i widzi nieodebrane połączenie.

– O, mama dzwoniła. Ciekawe, czego chciała. Zadzwoń do niej teraz czy będzie zajęta? – zastanawia się głośno. Patrzy na zegarek, oblicza czas. – Chyba jest zajęta. – Szybko uderza kciukiem w wyświetlacz, sprawdzając esemesy.

Gabby wydaje się całkiem spokojna.

– Twoi rodzice tak bardzo się różnią, prawda? Twoja mama to bardzo twórcza osoba, ale chyba nie lubi się ruszać. Ojciec natomiast jest bardzo aktywny.

– To niezupełnie prawda – protestuje Emma. – Mama bardzo lubi spacerować i bierze czynny udział w życiu naszej społeczności.

– Ależ ja jej nie krytykuję! – Gabby jest bardziej rozbawiona niż skonsternowana. – Musisz przyznać, że udział w radzie parafialnej i praca w organizacjach charytatywnych to nie to samo, co udział w maratonie. Twój ojciec działa na zupełnie innym poziomie.

Zanim Emmie udaje się wymyślić jakąś trafną ripostę, Nigel potwierdza słowa kochanki, przebiegając obok nich. Czerwony, zlany potem wcale ich nie zauważa. Skupia się na linii mety.

– Nigel! Nigel! – Gabby wpada w ekstazę. Krzyczy, wymachuje rękami, z jej twarzy bije duma.

Emma ma wrażenie, że ktoś jej wymierzył cios w żołądek. Oszołomiona daje się objąć, również krzycząc z radości, a potem szybko przepycha się do linii mety, żeby dotrzeć do ojca pierwsza i otrzymać od niego uścisk zwycięzcy. Gdzieś w środku kłębią się w niej lęk i odraza. Domyślała się, że ojciec ma romans, ale teraz ma co do tego pewność. Biedna, biedna mama. Nic dziwnego, że ostatnio była taka

zamknięta w sobie, udęczona.

Dużo później, kiedy Gabby wyściskała Nigela i pocałowała go z entuzjazmem, a potem o wiele mniej radośnie powitała męża, kiedy zjedli już kanapkę na Champs Élysées – „Nigel, w ciągu godziny od ukończenia biegu musisz uzupełnić zapas węglowodanów”, pouczyła ojca Gabby – i kiedy skrytykowali propozycję Emmy, żeby uczcić sukces piwem – „To najgorsze, co Nigel mógłby wypić. Za bardzo odwadniające”, z dezaprobatą oznajmiła kochanka ojca, a on natychmiast jej przytaknął – dopiero wtedy do telefonu Emmy z opóźnieniem dotarł esemes od matki.

Natychmiast oddzwania, ale kiedy odzywa się automatyczna sekretarka, Emma boi się, że nie opanuje drżenia głosu. Rozłącza się i próbuje wymyślić tekst wiadomości. Co ma napisać, żeby przekazać współczucie i zapewnić o swojej bezwzględnej lojalności? „Próbowałam się dodzwonić. Szkoda, że Cię tu z nami nie ma. Tęsknię za Tobą. Kocham Cię. :-\*”

*Mięso z królika zapiekane w cieście to kwintesencja wiejskich smaków. Wystarczy podsmażyć wędzony bekon, szalotki, marchew i rozmaryn. Dorzucić kawałki królika, zalać bulionem i cydrem, dusić na małym ogniu, aż mięso zacznie odchodzić od kości. Dodać śmietanę. Przykryć warstwą posmarowanego rozmąconym jajkiem kruchego ciasta. Podawać z warzywami z własnego ogródka.*

Jenny oczywiście nie zdaje sobie sprawy z burzliwych przeżyć Emmy. W tej chwili Paryż, Gabby i maraton znalazły się na dalekim planie. Ma czym zająć myśli. Zadaniem uczestników konkursu jest przygotowanie wybranej przez siebie zapiekanki mięsnej. Dla Jenny jest to okazja, żeby złożyć hołd swojej matce. Dorastała na wsi w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i do dzisiaj pamięta królika zapiekane w cieście autorstwa Lucy, pachnącego rozmarynem, szalotkami i cydrem. Jego smak wbił jej się w pamięć o wiele wyraźniej niż smaki potraw, które kilka razy zdarzyło jej się jeść w restauracjach nagrodzonych gwiazdkami Michelina. Wystarczy, że wrzuci bekon na patelnię, a już przenosi się w przeszłość do kuchni na plebanii.

– Co to jest? – zapytała sześciolatka Jenny, widząc oprawionego królika na blacie z surowego drewna, gdzie czekał na podzielenie.

– To tylko kurczak. – Lucy uśmiecha się, podnosząc wzrok znad *Sztuki pieczenia*. Zamierzała oprzeć się na przepisie z tej książki. – Teraz nic ciekawego nie będzie się działo. Potem pomożesz mi przy cieście. Idź się pobawić.

Chociaż była dzieckiem, wyczuła, że matka nie jest z nią całkiem szczerą. Schowała się pod kuchennym stołem i obserwowała, jak sprawnie kroci mięso, wrzuca je do podsmażonego bekonu i dodaje masło, mąkę, cydr, zioła i przyprawy. Mocny aromat alkoholu gotowanego wolno z podsmażonym mięsem i ziołami szybko ją otoczył niczym wonna aureola. Potem Jenny widziała, jak matka oddziela gorące mięso od kości i dodaje porcję śmietany, dzięki czemu potrawa staje się jeszcze bardziej soczysta. Jej zadaniem było udekorowanie warstwy ciasta, która pokrywała mięsne nadzienie. Jak zwykle zadręczała się, czy dobrze jej wyszły ozdobne elementy.

– Tak jest dobrze, kochanie – zapewniała Lucy, chcąc jak najszybciej wstawić danie do piekarnika.

– Ale ten kurczak nie jest taki, jak trzeba. – Jenny w skupieniu przygryzła wargę. – Wygląda zupełnie jak królik.

Lucy z umączonymi rękami pochyliła się i pocałowała córkę w czubek głowy, wdychając zapach czystych włosów i pieczenia.

– Wolę króliki od kurczaków.

Teraz Jenny, wykorzystując w pełni swój talent, dopracowuje i tak świetny przepis – dodaje odrobinę czosnku i szczyptę estragonu. Co więcej, ma wrażenie, że matka jest przy niej: kieruje jej ruchami, stoi u jej boku. Słowa Lucy mieszają się z głosem Vicki w miłej polifonii zapewnien: „Tak jest dobrze, kochanie”, „Możesz wygrać ten konkurs. Jesteś o klasę lepsza od nas wszystkich”.

Vicki łączy tłuszcz z mąką, tworząc drobne grudki, i wspomina kuchnię swojego dzieciństwa: zimne pomieszczenie z w połowie pustymi szafkami i sterylne czystymi blatami, w którym jadała kupiony w supermarkecie quiche z pozbawioną smaku sałatą lodową, podczas gdy matka sprawdzała na piętrze prace domowe uczniów.

Jako nastolatka Vicki próbowała obudzić jej zainteresowanie kuchnią domową: przygotowywała makaron z własnym sosem pomidorowym lub spaghetti z sosem carbonara, rozgotowaną potrawkę z ryżu i wędzonej ryby, nieudane curry z soczewicy. Frances jednak nie wykazywała większego zaangażowania,

ponieważ była zbyt pochłonięta pracą i za dużą wagę przykładła do utrzymania szczupłej figury. Vicki uznała, że gotowanie dla siebie samej nie jest satysfakcjonujące, i zaczęła się żywić jak najprostszymi podstawowymi produktami. Jedzenie stało się dla niej paszą: pieczone ziemniaki z serem, kanapki z paluszkami rybnymi, makaron z tuńczykiem z puszki, jajka na miękko z tostami, jajecznicą. Nie przypomina sobie, żeby Frances kiedykolwiek próbowała przyrządzić mięso zapiekane w cieście. Właściwie to jest pewna, że matka nigdy tego nie robiła. Pamięta za to jej zde gustowaną minę, kiedy raz spróbowała pieroga kornwalijskiego na wakacjach w St Ives. „Mamusiu, zjem to za ciebie” – zaproponowała ośmioletnia Vicki po pochłonięciu kanapki z jajkiem i rzeżuchą, którą dostała jako zdrowy posiłek. Złocisty pieróg z aromatycznym mięsem wydał jej się egzotyczny i jako ciepłe danie przyjemnie rozgrzał ją w chłodny, wietrzny dzień. „No... Lepiej tego nie jeść. Jest bardzo tłusty. Obrzydliwy” – oznajmiła Frances. Po dwóch kęsach wrzuciła ukradkiem pieróg do kosza.

Zagniatając ciasto, Vicki uświadamia sobie, że nigdy nawet nie widziała, żeby matka jadła tego rodzaju potrawy. Każda próba poczęstowania jej tartą ze słodkim nadzieniem czy quiche'em z łososiem i zieleniną kończyła się prośbą o „malutki kawałeczek”. Potem Vicki musiała patrzeć, jak Frances uważnie wybiera widelcem nadzienie, odsuwając ciasto na brzeg talerza lub chowając je pod nożem. Nigdy nie zapytała matki, dlaczego to robi, bo z reguły nie kwestionowała żadnych jej działań. Teraz bardzo chciałaby to zrobić: „Mamo, dlaczego nie potrafisz cieszyć się jedzeniem, które dla ciebie szykuję?”.

Coraz wyraźniej dociera do Vicki, że pieczenie jest jej sposobem tworzenia rodzinnej idylli, której nie zaznała w dzieciństwie. Chce otoczyć Alfiego i Grega zapachami pysznego domowego jedzenia, za którym tęskniła jako dziecko.

Wyraźnie pamięta, jak po treningu drużyny hokejowej siedziała w kuchni swojej przyjaciółki Nicoli i wdychała woń wołowiny po burgundzku. Trzej bracia Nicoli siedzieli za stołem, a jej matka, zamożna, kompetentna i pewna siebie, nakładała im na talerze obfite porcje *purée* ziemniaczanego z masłem i mięsa polanego gęstym ciemnym sosem. Nicky i jej bracia traktowali to jako coś oczywistego, jedli beztrudnie, przekomarzając się z pełnymi ustami, żądając dokładek i nawet nie dziękując matce zbyt wylewnie. Vicki, nienawykła do żartobliwych komentarzy chłopców, podczas pierwszej wizyty u nich czuła się onieśmielona. Ale po kilku kęsach sycącego dania rozluźniła się i choć milczała, z radością brała udział w tym rodzinnym posiłku. Do dzisiaj wołowina po burgundzku skutecznie poprawia jej nastrój.

Przygotowuje więc danie oparte na tym przepisie: wołowina z dodatkiem czosnku, szalotek, tymianku i pancetty, jak nadłuzej duszona w czerwonym winie i zapieczona pod przykryciem z posmarowanego rozmąconym jajkiem kruchego ciasta. Kiedy smaży i dusi, zagniata i wałkuje, cieszy się zapachem wyidealizowanego dzieciństwa, które tak pragnie odtworzyć w swoim domu. Przez chwilę wyobraża sobie, że ma własną hałaśliwą gromadkę: może trzech chłopców i jedną rozpieszczaną dziewczynkę albo nawet dwie córki, piękne, długonogie i długowłose, oraz dwóch synów, wysokich i przystojnych.

Rodzina z jednym dzieckiem wydaje jej się zbyt mała. Troje lub czworo byłoby ideałem. Wzdycha ciężko. Rano dostała okres. Nie może wymagać zbyt wiele. Byłaby szczęśliwa, gdyby udało jej się urodzić chociaż jedno więcej.

Ale co z pracą, którą zaoferowała jej Amy? To pytanie przychodzi jej do głowy w najmniej odpowiednim momencie. Nie, przecież w myślach już odrzuciła tę propozycję... Chyba że zawrze układ z sobą: jeśli do końca czerwca, kiedy mija termin składania podań, nie zajdzie w ciążę, zgłosi swoją kandydaturę. Przecież chodzi tylko o zastępstwo na czas urlopu macierzyńskiego, nie o stały etat. I może właśnie tego jej potrzeba.

Zawodnicy pracują trzy godziny; zagniatają ciasto, przygotowują nadzienie, zapiekają całość w piekarniku.

– Bardzo dobrze wam dzisiaj poszło – chwali Dan wielkodusznie.

Karen przywołuje uśmiech na twarz i zmusza się, żeby na niego spojrzeć. On nie unika jej wzroku i również odpowiada uśmiechem, przyjaznym, ale neutralnym. Takim, jakim obdarza się mijaną na ulicy znajomą osobę, której imienia już nie pamiętamy, lecz czujemy, że nie powinniśmy jej zignorować.

– U większości z was ciasto na wierzchu zapiekanki ma odpowiedni kolor, chociaż to – wskazuje na danie Vicki – jest może trochę zbyt złote. Wszystko więc będzie zależało od konsystencji i smaku nadzienia.

Sędziowie napoczynają przygotowane zapiekanki, próbują i naradzają się, po kolejnych kęsach oczyszczając podniebienie łykiem chłodnej wody. Dzieło Jenny wypada najlepiej: słodkawe szalotki podkreślają smak króliczego mięsa, cydr równoważy łagodność śmietany. Vicki zbiera dobre oceny za wyrazisty smak wołowiny w czerwonym winie, a Claire zadziwia wszystkich, a najbardziej samą siebie, wspaniałą zapiekanką rybną, której wierzchnią warstwę zdobią wykonane z ciasta ogony i łebki sardynek, jakby wyłaniające się ponad powierzchnią spokojnego morza.

– Najbardziej zaskoczyło mnie to danie. – Dan wskazuje na propozycję Mike’a, który starał się odtworzyć wspomnienie cudownych wakacji spędzonych z Rachel w Hiszpanii, więc połączył wołowinę z chorizo. – Doskonałe ciasto francuskie, rozpływające się w ustach mięso. Ale co się stało z przyprawami? Całość jest po prostu zbyt ostra. Dodałeś papryki, pikantnego chorizo i o wiele za dużo octu winnego. Proszę, nie zrozum mnie źle, ale mam wrażenie, że tą potrawą próbowałeś nam coś udowodnić.

– Może starałem się pokazać, jaki ze mnie macho? – Mike pomaga mu sformułować opinię.

– No... tak. Wcale nie twierdzę, że nie jesteś...

Mike uśmiecha się uspokajająco.

– Zdaje się, że zostałem zdemaskowany.

Zerka na Claire, a ta wybucha głośnym śmiechem.

## Kathleen

Jest sylwester, a ona leży w łóżku, słuchając przez radio bicia Big Bena. George poszedł na przyjęcie noworoczne. Niechętnie zostawił ją samą, ale nie ustąpiła.

– Kochanie, nie ma potrzeby, żebyśmy oboje siedzieli tu jak w więzieniu. Idź i wznieś za mnie noworoczny toast.

– No dobrze... Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nalegam. I baw się dobrze. Też bym chciała się napić szampana i potańczyć. Trzeba dziś świętować. To będzie dobry, szczęśliwy rok.

Wyglądza pościel i rozmyśla o mijającym roku 1965. Nie był dobry według żadnych kryteriów. Przeszła w nim trzy poronienia i niemal odrzuciła innego rodzaju dziecko – swoją *Sztukę pieczenia*. Ma nadzieję, że kolejny będzie lepszy.

Książka jest niemal skończona. Jesienią Kathleen odzyskała wigor, przerobiła rozdział o tartach i zapiekankach mięsnych, a potem jak po maśle napisała część na temat puddingów. Pozostało jej do dodania tylko kilka starannie dobranych słów o podwieczorku.

Popija wodę z syropem z czarnego bzu i dochodzi do wniosku, że może sobie pogratulować. Jest dumna z książki, zwłaszcza teraz, kiedy złagodziła jej zwięzły styl, dodając więcej ciepła, które świadczy o jej miłości do pieczenia. Wierzy, że każda rodzina powinna mieć ją w sercu.

Uśmiechając się, bezgłośnie wypowiada słowo „rodzina” i łzy napływają jej do oczu. Wie, że zachowuje się nedorzecznie – a może to po prostu hormony – ale ciągle się wzrusza, kiedy o tym pomyśli. W jakiś cudowny sposób znów zaszła w ciążę. Rośnie w niej dziecko, skulone w bezpiecznym schronieniu od ośmiu, może dziewięciu tygodni. Od George’a w prezencie gwiazdkowym dostała bransoletkę z brylantami Boodlesa, od Jamesa Caruthersa – szew na szyjce macicy. Teraz musi tylko leżeć bez ruchu.

Na myśl o tym bierze głęboki wdech, a potem w skupieniu wolno wydycha powietrze. Wdech na dwa, wydech na pięć, wdech na dwa, wydech na pięć – powtarza sumiennie i świadomie. Musi zrobić wszystko, żeby zachować spokój i dobre samopoczucie. Znów wyglądz kołdrę, unosi w stronę lampy nadgarstek, na którym połyskuje bransoletka, i patrzy, jak maleńkie tęcze pulsują na ścianie obok niej. Opuszcza ramię. Cały problem polega na tym, że rozluźnianie się jest takie nużące.

Dobiegają ją głosy z ulicy: jacyś rozbawieni ludzie wyszli z noworocznego przyjęcia i zapewne idą na drugie. Śmiechy i stukanie damskich obcasów powoli się oddalają. Jej życie jest teraz spokojne, ale może powinna się przenieść w jakieś cichsze miejsce? Odległe i nieskażone, z ogrodem w pobliżu morza i złotą plażą po horyzont? Miesiąc miodowy spędzili w niezbyt modnej okolicy, na północy Kornwalii, i do dzisiaj wyraźnie pamięta, jak wspaniale było wcześniej rano wyjść na pustą plażę, zostawić na niej pierwsze odciski stóp i wskoczyć do wody tak lodowatej, że aż bolało. Dopiero po chwili skóra zaczynała przyjemnie szczytać, a ją samą ogarniało radosne uniesienie. Może ich dziecko tam powinno stawiać swoje pierwsze kroki...

„Pozostaje mi tylko życzyć państwu szczęśliwego Nowego Roku”. Chyba się zdrzemnęła. Spiker wiadomości BBC żegna się ze słuchaczami, a jego dobroduszny głos zostaje zastąpiony zwięzłym komunikatem meteorologa, podającego prognozę dla okolic nadmorskich. „Viking, Utsire Północne, Utsire Południowe, wiatr południowo-zachodni, ósemka, umiarkowane do dobrych”. Wyłącza radio i znów układa się płasko. Szczęśliwego Nowego Roku. O tak, bardzo proszę. Automatycznie zaciska kciuki. „Skończ z tymi przesadami”, upomina się w myślach. Ale obawy mącą jej optymistyczny nastrój.

Co przyniesie ten rok? Wojna w Wietnamie nadal trwa, ale wydarzenia światowe nie poruszają Kathleen. Wiadomości sączą się przez radio lub wyskakują ze stron „Timesa” i „Telegrapha”, lecz to, co ma znaczenie, dzieje się wyłącznie w tym pokoju. W jej ciele. Wewnątrz macicy.

Kiedy George starał się o jej względy, urzekł ją znajomością poezji Johna Donne’a. Zadziwił ją, gdy jąkając się, wyrecytował wiersz *Dzień dobry*. Kto by pomyślał, że ten syn sklepikarza jest taki wrażliwy? Podczas ich nocy poślubnej, zawstydzony, wyrecytował fragment *Wschodu słońca nad kochankami*: „Świeć tylko nam obojgu, a znajdziesz się wszędzie”<sup>[2]</sup>. Wypowiedział te słowa po tym, jak pierwszy raz się kochali, i chociaż sam akt nie zrobił na niej większego wrażenia – była dziewicą, zresztą z czasem ich życie intymne się poprawiło – to fakt, że mąż deklamował metafizyczną poezję miłosną, niemal zrekompensował brak innych doznań. Kiedy leżąc w jego ramionach, słyszała, że „w niej Księstwa”, czuła się bardzo kochana. Od śmierci ojca nie czuła się tak bezpiecznie. Teraz bierze tom *Wiersze zebrane* i znajduje *Wschód słońca*... Książka sama otwiera się na właściwej stronie, jakby tam najczęściej zaglądano.

– „Twoją sferą te ściany, centrum – łóżko będzie” – czyta.

I tak rzeczywiście jest. Łóżko stało się centrum jej świata.



Puddingi

i

desery



*Kto potrafi się oprzeć dobremu puddingowi? Ten słodki, kleisty, niosący pocieszenie przysmak jest tak brytyjski jak deszczowe popołudnie w lutym i może stanowić doskonałe antidotum na taką właśnie pogodę.*

*W tym kraju mamy tradycję puddingów gotowanych na parze: pudding morelowy, pudding z piernika, pudding z syropem, pudding baronowej, zwany też *négre en chemise*, francuska wersja puddingu czekoladowo-migdałowego. Przy bardziej uroczystej okazji polewamy je śmietanką, sosem angielskim lub malinowym i rozkoszujemy się ich miękką, ciepłą lepkością.*

*Są też puddingi pieczone. Desery oparte na nabiale i jajkach, kojarzące się z dzieciństwem: legumina z twarogu, staroangielski pudding ryżowy, babeczki z kremem angielskim, które koją jak uścisk pulchnej, pachnącej gruszkowymi dropsami babci. Następnie musimy wymienić puddingi na bazie chleba i tłuszczu, którymi oszczędna kucharka nakarmi rodzinę, sprytnie wykorzystując resztki: pudding z bułki z masłem, pulchny i wilgotny od jajecznego sosu, pełen bakalii, wzbogacony skórką pomarańczową, pieczony pudding z rodzynkami, podlany łojem, tradycyjna szarlotka jabłkowa lub ciasto z rabarbarem, jabłka zapiekane pod kruszonką czy wreszcie królowa puddingów, z dżemem i tartą bułką zapieczonymi pod warstwą bezy.*

*W szczycie sezonu na truskawki lub gdy jabłonie uginają się pod ciężarem owoców, dobra kucharka skupi się na ciastach z owocami i puddingach letnich. Duszony agrest lub rabarbar z kremem jogurtowo-śmietanowym to typowe wakacyjne przysmaki. Kiedy jednak lato mija, rodzinna kucharka wraca do owoców pod kruszonką, zalanych kremową śmietanką.*

*Choć wszystkie te puddingi są wyborne w smaku, czasami trzeba podać coś bardziej wyrafinowanego. Wtedy sprawna pani domu zaserwuje desery, które zachwycą każdego: ciasto cytrynowe lub szarlotkę z bezą udekorowane anżeliką i kandyzowanymi wiśniami, klasyczne francuskie torciki *vacherin*, boskie połączenie bezy, bitej śmietany i *purée* z kasztanów, krem *bavarois* malinowy, kawowy lub czekoladowy, *crème caramel*, *crème brûlée* lub nasz rodzimy krem *cambridge*.*

*Wśród dbających o linię kobiet zapanowała ostatnio moda na unikanie deserów, zastępowanie ich kawałkiem owocu lub porcją niskokalorycznego jogurtu, obecnie dostępnego w supermarketach *Eaden's*. Ale nasi mężowie i dzieci nadal gustują w słodkich deserach i czują się oszukani, jeśli odmawiamy im takich smakołyków. Staraj się raz w tygodniu podać jakiś iście dekadenski pudding, a zobaczysz, z jakim smakiem zjedzą wszystko, do ostatniego okruszka.*

*Kathleen Eaden, Sztuka pieczenia (1966)*

*Małe dzieci uwielbiają kremowe desery, przypominające im mleko matki. Te potrawy łatwo się przyrządza i równie łatwo zjada. Postaraj się jednak wzorem Francuzów wcześniej przyzwyczajać dziecięce podniebienia do bardziej wyrafinowanych smaków. Trzylatek z radością spałaszuje porcję musu z białej czekolady lub czekoladowy suflet.*

– Alfie, powiedziałam nie. Nie teraz. – Znużona Vicki ocenia swoje czekoladowe *fondant*, naciskając ciasto widelcem, żeby sprawdzić, czy wypłynie z niego odpowiednia ilość czekolady.

– Mamusiu, czekolada! Alfie chce czekolady!

Kiedy ignoruje jego błagania, malec ciągnie ją za spodnie ze zdumiewającą u trzylatka siłą.

– Nie, Alfie. Przecież powiedziałam. Mamusia jest zajęta.

– Czekolada! Mamusiu, proszę! – Alfie nie ustępuje. Dolna warga zaczyna się trząść, a oczy szklą się łzami.

– Nie możesz iść się pobawić? – Głos Vicki brzmi niemal jak głuche warczenie, kiedy zwraca się do chłopca.

Na widok jego nieszczęśliwej miny natychmiast łagodnieje i zaczyna się wstydić swojego wybuchu.

– Przepraszam, skarbie, ale naprawdę jestem zajęta. Za chwilę dam ci miskę do wylizania. Albo zajmiemy się czymś razem. Ale teraz mam pewien problem do rozwiązania.

Chłopiec wysuwa dolną wargę, a na jego buzi pojawiają się złość i frustracja.

– Alfie chce czekolady. Alfie pomoże.

– Już ci mówiłam. To jest trudne zadanie. Mamusia musi zrobić to sama.

Malec, nadal nieprzekonany, ciągnie ją za kieszeń spodni, a potem wsuwa rączkę pod bluzkę, chcąc dotknąć jej brzucha. Jak by postąpiła, gdyby Alfie był trudnym uczniem w jej klasie? W ostateczności odesłałaby go do jedyne go w szkole nauczyciela mężczyzny, uczącego szóstoklasistów, starszego, wyższego od niej, bardziej doświadczonego i cieszącego się większym posłuchem. Wzdycha, odsuwa rączkę chłopca i podbiega do wiodących na górę schodów.

– Greg! – woła ostrym tonem, zawierając w tej jednej sylabie cały swój gniew.

– Co?! – Głos męża dobiega z łazienki.

– Jeszcze nie skończyłeś? Potrzebuję tu pomocy.

„Cholera jasna – myśli, kopiąc w bok klocek Lego, a potem krzywi się z bólu, stając na innym. – Gdzie on się podziewa, kiedy go potrzebuję? Jeszcze stoi pod prysznicem po sobotnim wylegiwaniu się w łóżku?”

Pięć minut później mąż pojawia się w kuchni z nadal wilgotnymi włosami, radosny i energiczny niczym szczeniak rasy labrador. Oczy mu lśnią po wieczornym seksie i całonocnym porządnym śnie. W przeciwieństwie do niego Vicki jest zmęczona. Wstała o szóstej, żeby wprawiać się w tworzeniu koszyczków z nitek płynnego karmelu, zanim Alfie się obudzi. Potem dała mu śniadanie i od tego czasu pracuje nad czekoladowym *fondant*. Na przetłuszczone włosy włożyła opaskę, nadal jest w piżamie, która teraz wymaga prania, przesiąknięta wonią jej ciała i porannego pieczenia. Vicki marzy się długi orzeźwiający prysznic, który zmyłby z niej lepkość, i potrójne espresso zaparzone przez kogoś innego – najlepiej przez baristę w jakiejś kawiarni w centrum miasta, gdzie nie wpuszczają małych dzieci. Dopiero wtedy odzyskałaby formę.

Patrzy na zdjęcie pani Eaden z miską w ręku i czuje przyływ niechęci. „Czy ty kiedykolwiek tak się

czułaś, Kathleen?” Bardzo w to wątpi. „Jak znajdowałaś czas na takie profesjonalne gotowanie, kiedy miałaś dziecko? Wiem, że skończyłaś pisać przed urodzeniem córki, ale nadal piekłaś i bawiłaś się z nią na plaży, surfowałaś, puszczałaś latawce... Twoja córka Laura opowiedziała o tym w wywiadzie: idylliczne dzieciństwo i ty, matka i pełna energii towarzyszą zabaw. Malowałaś z nią obrazki, gotowałaś, szyłaś. Zbudowałaś dom na drzewie i domek dla lalek. Jak ci się to udało?” Wzdycha. „Najwyraźniej w większym stopniu niż ja posiadałaś umiejętność robienia wielu rzeczy naraz”.

– Wszystko w porządku?

Greg wygląda nienaturalnie i irytująco zdrowo. Twarz wyszorowana, zaróżowiona po gorącym prysznicu i dokładnym goleniu, dopasowany sweter, sprężyste ruchy. Nalewa sobie do szklanki sok pomarańczowy i zapomina odstawić karton do lodówki, robiąc jeszcze większy bałagan w kuchni. Wrzuca bajgiel do opiekacza, zostawiając otwartą paczkę na blacie, i włącza automat do kawy.

– Jestem wykończona. Trudno mi zrobić to, co sobie zaplanowałam, kiedy stale kręci się tu Alfie.

– A gdzie on jest? – Greg przypomina sobie, że ma dziecko.

– Posadziłam go przed telewizorem. Ogląda CBeebies.

– Vicki. – Jego głos wyraża dezaprobatę.

– No co? Dzisiaj jeszcze nic nie oglądał, a ja muszę się skupić.

Składa ramiona na piersi. Zdaje sobie sprawę, że przyjmuje postawę obronną, i bardzo ją to drażni.

– Jest dopiero dziewiąta trzydzieści. To oczywiste, że nic jeszcze nie oglądał.

– Cóż, inne dzieci lądują przed telewizorem zaraz po przebudzeniu, żeby oboje rodzice mogli sobie dłużej poleżeć w łóżku.

– Niby kto tak robi? – pyta Greg z niedowierzaniem. – Zresztą nieważne. Mój syn to nie „inne dzieci”. Nie musimy go wychowywać według cudzych zasad.

– To program edukacyjny. – Wie, że skończyły jej się argumenty.

Greg wychodzi z kuchni, żeby uratować syna przed wyimaginowaną deprawacją. Nie słyszy, jak żona z frustracji i poczucia winy przeklina cicho pod nosem.

Vicki wraca do porządkowania kuchni: wstawia do szafki torebki z mąką i słoik z kakao, składa opakowania po czekoladzie o siedemdziesięcioprocentowej zawartości kakao, wrzuca skorupki od jajek do pojemnika na odpadki organiczne, chowa masło do lodówki. Przesuwa palcem po wewnętrznej ścianie miski, zlizuje z niego lepką czekoladową masę i napełnia naczynie wodą. Wyciera rozsypaną mąkę z blatu, zmywa cukier i jajko z rączki miksera.

Alfie wbiega do kuchni z uśmiechem od ucha do ucha, ciągnąc za rękę ojca. Greg ma bardzo zadowoloną minę.

– Jedziemy na wycieczkę z przygodami!

– Aha! A dokąd to? – Pochyla się, żeby zwrócić się do dziecka w odpowiedni sposób. – Na księżyc? Na statek piracki? Już wiem! Do dżungli.

– Nie. – Alfie nie potrafi dłużej utrzymać tajemnicy. – Do Legolandu!

– Naprawdę? – Vicki prostuje się i patrzy Gregowi w oczy.

– Dziś dla odmiany będę zaangażowanym ojcem. Ciągłe narzekasz, że nie wypełniam swoich rodzicielskich obowiązków. Dziś będziesz miała mnóstwo czasu na pieczenie – mówi to bez złośliwości, ale Vicki czuje, że zdobył nad nią przewagę. Mamusia sadza Alfiego przed telewizorem, tatuś zabiera go do rajy małych chłopców, gdzie na pewno kupi mu nowy zestaw klocków.

– Nie wiem, czy nie jest za mały na takie eskapady. Chyba powinniśmy to omówić. Może ja też chciałabym się przyłączyć... – Milknie, zdając sobie sprawę, że brzmi opryskliwie.

– Przed chwilą twierdziłaś, że nie masz czasu, żeby zrobić to, co sobie zaplanowałaś, więc na pewno nie możesz jechać do Legolandu. Poza tym dobrze nam obu robi taka męska wycieczka. Jak dwaj kumple, prawda, Alfie?

– Tak! Dwaj kumple! – powtarza syn, jednocześnie szukając wzrokiem aprobaty matki. – Ale

mamusia też pojedzie?

– Skarbie, bardzo bym chciała...

Targają nią wątpliwości. Z jednej strony nie może znieść myśli, że jej śliczny synek doświadczy bez niej takich wspaniałych emocji, i złości ją, że to Greg zostanie uznany za bohatera, z drugiej strony bardzo by chciała zyskać trochę czasu dla siebie – upiec coś bez domagającego się jej uwagi dziecka albo ogolić nogi, nie obawiając się, że za chwilę malec wpadnie do łazienki i będzie chciał puszczać łódkę w wannie.

Greg wyczuwa jej niezdecydowanie.

– Mamusia zostanie w domu i upiecze to, co sobie zaplanowała. Za to jutro nie będzie już zajęta i spędzi z nami wolny czas.

Vicki otwiera usta, żeby zaprotestować.

– Dobry plan? Tak myślałem.

Tłumi w sobie gniew na własną bezsilność.

– Musi zabrać swój plecak, dodatkowe ubranka, butelkę z wodą i jakieś przekąski.

Kręci się po kuchni, szukając torebki rodzyneków i paczki owsianych ciasteczek. Znajduje bidon ozdobiony rysunkiem z bajki *Tomek i przyjaciele* i napełnia go wodą. Ta gwałtowna krzątanka ma ukryć fakt, że czuje się zbędna.

– Nic nie musi. Tam na pewno można kupić coś do picia. Chodź, Alf. – Greg praktycznie wyciąga syna z kuchni, ubiera go w kurtkę i zapominając zaciągnąć suwak, wkłada mu buty.

– Musi zrobić siusiu.

– Alf, chce ci się siusiu?

Alfie kręci głową.

– Nie można mu wierzyć na słowo. – Vicki z irytacją podnosi głos. – Ma trzy lata. Jasne, że powie nie. – Po chwili dodaje: – Alfie, idziemy do łazienki. Nie zrobisz siusiu, nie będzie Legolandu.

Prowadzi go do toalety na parterze, podnosi deskę i czujnie stoi obok, kiedy chłopiec wysokim łukiem siusia do sedesu. Nie potrafi powstrzymać się od komentarza:

– Widzisz, synku. Chciało ci się siusiu.

Zdaje sobie sprawę, że Greg czeka na korytarzu wkurzony tym, że opóźnia ich wyjście i dowiodła swojej racji.

– Powinnaś mi pozwolić być ojcem – mamrocze, kiedy Vicki wychodzi z synkiem z łazienki i nasuwa wełnianą czapkę na jego loki. – Jedziemy samochodem. Nie potrzebuje czapki – dodaje.

– Pa, Alfie. Baw się dobrze, synku. Poprzytulamy się, jak wrócisz.

Z wysiłkiem utrzymuje uśmiech na twarzy, żeby zamaskować napięcie wywołane rozstaniem z dzieckiem. Greg czuje się nieswojo, jest speszony własną zbyt ostrą reakcją, ale nie ma wprawy w przeproszaniu.

– Na pewno będzie dobrze się bawił. Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem, ale nie powinnaś mu tak cały czas matkować.

Vicki wybucha śmiechem, jakby nie dowierzała własnym uszom.

– Mam przestać mu matkować? Przecież to moje dziecko. Jestem jego mamą. Na tym polegają moje obowiązki.

Mąż przyciąga ją do siebie i całuje w czubek głowy.

– Cóż, może powinnaś robić to rzadziej albo ja powinienem częściej się włączać – szepcze, nagle znużony.

– Aha, akurat.

– Chcesz się o to kłócić? Staram się przecież.

– Wiem – rezygnuje z walki i przytula się do niego. – Wiem. Bawcie się dobrze. Będę za wami tęsknić.

– Spróbuj się wyluzować. No i uporaj się z deserami. – Uśmiecha się do niej. – Dasz radę. Zrób sobie listę jak zwykle i wykreślaj kolejne punkty. Działaj metodycznie.

– Wiem, wiem.

– Mam nadzieję, że po powrocie będziemy się objadać słodyczami.

– Dobrze. – Udaje jej się lekko uśmiechnąć.

– Puddingi to twoja specjalność. Mówię poważnie. Nie wiem, czym się martwisz.

Z przyklejonym uśmiechem stoi w progu, patrząc, jak Greg zapina pasy w foteliku Alfiego. Pokusa, żeby się wtrącić i przejąć inicjatywę – „Nie w ten sposób. Daj, ja to zrobię” – jest tak wielka, że musi objąć się ramionami i wyteńczyć całą wolę. Alfie przyciska zadarty nos do szyby, a jej się wydaje, że dziecko daje jej rozpaczliwe sygnały. Macha mu gorączkowo.

– Pa, synku! Kocham cię! – woła za ruszającym samochodem.

Przestaje machać dopiero, gdy auto znika jej z oczu. Potem zamyka ciężkie frontowe drzwi z witrażowymi okienkami i opiera się o nie ciężko. Musi chwilę tu postać, zanim znów stawi czoło kuchennemu chaosowi.

Ma przestać mu matkować? Przecież nie wie, jak to zrobić. A nawet gdyby wiedziała, to nie chciałaby tego. Macierzyństwo ma w naturze. Co nie oznacza, że nie cieszy jej dzień, w którym może się zająć wyłącznie sobą. Czuje, że budzi się w niej isierka radości. Ma przed sobą wiele godzin i będzie mogła udoskonalać swoje puddingi nieobciążona niczyją obecnością.

Coś przychodzi jej do głowy. Wyjmuje komórkę i wystukuje szybką wiadomość do Jenny i Claire: „Ćwiczę puddingi. Mam nadzieję, że u was wszystko OK i że robicie to samo. Buziaki”.

„Próbuję – z Chloe :/” – odpowiada natychmiast Claire.

„Trochę już zrobiłam. Zostało jeszcze mnóstwo” – pisze Jenny.

W takim razie lepiej zabrać się do pracy. Ale najpierw musi wziąć prysznic.

Z nową energią biegnie po schodach do łazienki i z przyjemnością bierze długą, niczym nieprzerywaną kąpiel.

## Kathleen

Marzec, a ona nadal spędza czas w łóżku, dbając o rozwijające się dziecko. Liczy tygodnie: siedemnasty, osiemnasty, dziewiętnasty, dwudziesty. Prawie połowa drogi.

Brzuch jej napęczniał jak kształtna twarda piłeczka. Jest niewielki, ale wymowny. Oto widoczny dowód na to, że tym razem coś się w niej rozwija. Żałuje, że nie może się nim pochwalić. Jej wypukłości widzą tylko goście odwiedzający sanktuarium jej sypialni: George, Julie i doktor Caruthers.

Jak zhańbiona córka lub karmelitanka wie dzie w samotności. Ale nie przeszkadza jej to. Całą energię skupia na tym, by wypoczywać. Siłą woli zmusza swoją macicę, żeby pozostała silna.

Przeogląda kolumny towarzyskie „Harper’s” i „Tatlera”, widzi tam znajome twarze, ale jest nimi umiarkowanie zainteresowana. Na większości przyjęć nudziła się jak mops. Beatlesi twierdzą, że są popularniejsi od Jezusa, a mordercy z wrzosowisk<sup>[3]</sup> mają wkrótce stanąć przed sądem. Nie zamierza czytać sprawozdań w „Timesie”. Czuje, że na jej dziecko wszędzie czyha niebezpieczeństwo: zarówno w jej macicy, jak i na świecie.

Wsparta na poduszkach pozwala sobie tylko na pół godziny pisania dziennie, pamiętając, co się zdarzyło ostatnim razem, kiedy spędzała całe dni z notesem na kolanach, wypełniając kartki słowami aż do bólu ręki. Podczas starannie odmierzanych trzydziestu minut zdania płyną gładko: popołudniowa herbata nabiera barw i charakteru. Przez resztę długiego dnia obmyśla dalsze akapity.

I nagle wydarza się coś, co nadaje sens temu wszystkiemu, co sprawia, że ostrożność, izolacja i marazm nabierają wartości.

Przeciągając się podczas lektury *Kochanka lady Chatterley*, czuje w brzuchu ruch tak lekki, że z początku boi się, iż go sobie tylko wyobraziła.

Ale delikatne drgnięcie się powtarza.

W dwudziestym pierwszym tygodniu dziecko zaczyna się w niej poruszać.

*Nie ma znaczenia, co pieczesz z dziećmi, ale w takich wypadkach można wziąć pod uwagę uproszczenie przepisu i dostosowanie go do ich wieku. Liczy się to, że spędzasz z nimi czas: dbasz o nie i czuwasz nad nimi. Korzystaj z tej możliwości, póki są małe, ponieważ jako nastolatki więcej czasu będą poświęcać szkole.*

W sterylnie białej kuchni Karen pracuje nad pieczonymi lodami Alaska. Gdyby miała przedstawić siebie jako deser, wybrałaby właśnie ten: na zewnątrz połyskliwy i kruchy, w środku zaskakująco chłodny, nieodparcie kuszący i zaskakujący. Tylko słodki smak i ciepła warstwa zewnętrzna psują tę analogię.

Oczywiście pod żadnym pozorem nie spróbowałaby czegoś tak kalorycznego, ale poszczególne etapy pracy nad nim dają jej ogromną satysfakcję: pieczenie biszkoptu, obieranie owoców, przygotowanie bezy – ubijanie białek nad garnkiem z wrzącą wodą, dopóki nie staną się sztywne...

Upiekła już biszkopt bez użycia tłuszczu i zwinęła go w ciasną roladę z nadzieniem z domowego dżemu z malin, którą z matematyczną precyzją pokroiła na sześć dwucentymetrowych krążków, stanowiących dolną warstwę kompozycji. Teraz umieszcza na nich obrane i posypane cukrem owoce: jeżyny, czerwone porzeczki i maliny, błyszczące jak drogie kamienie. Bierze jedną malinę, kładzie na czubku języka i czeka, aż cukier się rozpuści.

Przez chwilę wspomina matkę. Pamięta, jak odkrawała sobie kawałek kupionej w sklepie rolady lodowej. Ta marna imitacja wykwintnego deseru była dla Pameli sobotnim przysmakiem. Bardzo niewinnym w porównaniu z papierosami i jointami, które paliły jej dzieci. Niemal infantylnym. Zamknięta w swoim świecie harówki, telewizora i jedzenia, Pamela nigdy nie zadawała żadnych pytań. Czy naprawdę niczego nie dostrzegała? Nie zauważyła, że Steven, czarujący, ale bezwzględny, praktycznie był stręczycielem swojej siostry? I że Karen z początku zgadzała się na to bez oporu, ponieważ desperacko chciała przypodobać się bratu i pochlebiało jej, że przebywa w towarzystwie jego kumpli?

Zaczyna przygotowywać bezę. Ubija białka z cukrem z zimną skoncentrowaną furią – nadal jednak dbając, żeby woda w garnku wrzała i nie dotykała miski, żeby jajka się nie ścięły. Mieszanina połyskuje szkliście niczym kryształki lodu na śniegu. Odstawia ją na bok, przykrywa owoce porcją lodów i na każdą porcję deseru kładzie słodką kołderkę bezy. Trzy minuty w piekarniku i ma sześć miniaturowych kopii Mont Blanc: delikatnych, przyłożonych i symetrycznych. Ustawia je na niebieskiej porcelanie i przez krótką chwilę podziwia swoje dzieło, zbyt piękne, żeby je po prostu zjeść.

Ale przecież to nie są dzieła sztuki, prawda? Znajduje nóż, a kiedy chwyta za rękojeść, myśli o bracie. Dzieci nie wiedzą, że mają wujka. Nie chciała utrzymywać z nim żadnych kontaktów. Co by było, gdyby poznał jej piękną niewinną Livy? Na samą myśl o tym robi się jej niedobrze. A Jake? Jest w tym samym wieku co Steven, kiedy zaczął handlować jej ciałem. Syn jednak to zupełnie inna klasa, inne pokolenie, inny rodzaj człowieka – nawet ona już nie potrafi go rozszyfrować. Musi to zmienić. Nie będzie jak Pamela, która nie dostrzegała, co się dzieje pod jej nosem. Zaraz, za chwilę stawi czoło jego wrogości i zajrzy do jego pokoju.

Ale najpierw przekroi pieczoną Alaskę. Cięcie odsłania wciąż zmrożone lody z ciemnymi punkcikami wanilii. Tnie głębiej i w środku ukazują się owoce, puszczające szkarłatny sok.

– Jake?

– Co?



Jego głos, wydobywający się z pokoju na poddaszu, wydaje się bardziej znużony niż wrogi – jakby Jake nie miał siły rozmawiać z matką. To zwykły ton, jakim się z nią komunikuje w tym roku.

– Mogę wejść?

Karen z wahaniem zatrzymuje się przy drzwiach, nie chcąc mu się narzucać. Zapada chwila milczenia, potem rozlega się westchnienie.

– Jeśli musisz.

Grubiaństwo syna ją irytuje. Nie pierwszy raz zastanawia się nad sensem jego kosztownej edukacji, chociaż wie, że Jake odnosi się tak pogardliwie jedynie do niej, a matki kolegów zgarniają korzyści z niebotycznych sum, które pochłania chesne. Otwiera drzwi do jego wielkiego pokoju na poddaszu, obwieszzonego plakatami półnagich celebrytek i motocykli. Para wioseł – jest kapitanem szkolnej ósemki wioślarskiej – wisi pod sufitem. Na łóżku leży skotłowana kołdra, spodnie do joggingu zwisają z fotela, a w kącie rośnie góra bokserek.

– Trudno to nazwać miłym powitaniem – oznajmia zgryźliwym tonem pierworodnemu, który wyciągnąwszy długie nogi, nadal niedbale siedzi na krześle przy biurku i patrzy na nią ze źle skrywaną niechęcią.

– Przepraszam, mamuśka – odpowiada z ironią i uśmiecha się wyzywająco.

Karen ma ochotę wymierzyć mu policzek.

– Przyszłam ci tylko powiedzieć, że idę do siłowni. Olivia uczy się dziś u Anny i dobrze by było, gdybyś ty też wziął się do nauki. – Znacząco patrzy na zamknięte segregatory na biurku. – Za dwa tygodnie masz próbne egzaminy.

Syn prycha rozbawiony.

– Co to ma niby znaczyć? – pyta go Karen.

Wzrusza ramionami.

– Jake?

Milczy, ale zaczyna kopać róg dywanu czubkiem odzianej w skarpetę stopy w rozmiarze jedenastym. Z irytującą regularnością zawija róg, a potem go wygładza. Karen wie, że powinna ignorować takie młodzieńcze demonstracje, ale syn już zaszedł jej za skórę.

– Pytałam, co to ma znaczyć. Jake?

Patrzy jej prosto w oczy, jakby szacował, do jakiego stopnia może jej dopiec. „Nikogo nie oszukasz, mamuśka”. Może teraz wreszcie się dowie, co chciał jej powiedzieć.

– Chyba nie powinnaś wygłaszać mi kazań, bo sama nie zdawałaś egzaminów końcowych. Ani nawet gimnazjalnych, prawda? – mówi wyzywająco. – Poza tym nie powinnaś się mnie czepiać, bo wiem, że tak naprawdę gównie to obchodzi.

– Jake! – automatycznie reaguje na brzydkie słowo i na łatwe do odparcia oskarżenie, że nie dba o naukę syna. Oddycha teraz trochę swobodniej. To nie jest główna przyczyna jego niechęci. Ale nadal ją boli. Zaczyna ogarniać ją gniew, więc liczy w myślach do pięciu. – Obchodzi mnie i właśnie dlatego prosiłam cię, żebyś zabrał się do pracy. A jeśli wygłaszam ci kazania, to właśnie dlatego, że nie chcę, żebyś zmarnował szanse, jakich ja w twoim wieku nie miałam. – Sama słyszy, że zmienia się w stereotypową gderającą matkę, więc na chwilę odpuszcza. – Nie masz pojęcia, jak wyglądało moje dzieciństwo i dlaczego nie mam zdanych egzaminów końcowych, co tak uprzejmie raczyłeś mi wypomnieć. Nigdy mnie o to nie pytałeś, a ja nie chciałam ci o tym mówić. I tak już pewnie zostanie. Ale nie wolno ci z tego powodu ze mnie drwić ani mnie naśladować. Uważasz to wszystko za oczywiste. – Gestem wskazuje pokój. – A nie powinienesz. Masz lepsze życie. A ja zrobię wszystko, żebyś nie powtórzył moich błędów.

Ma już wyjść, wściekła na siebie za utratę kontroli i za to, że nie dotarła do sedna problemu.

– Ale to chyba nie tylko o to chodzi, prawda, Jake? – dodaje, otwierając w ten sposób drzwi do szczerzej rozmowy. – To nie dlatego jesteś na mnie taki wkurzony... i okazujesz mi taką pogardę.

Syn potrzęsa głową, nienaturalnie udając zdziwienie.

– Mamuśka, spoko. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Niedawno mi przygadałeś. „Nikogo nie oszukasz, mamuśka”. Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powtarza. Patrzy na nią pustym wzrokiem, jakby rzeczywiście nie pamiętał.

A może sobie to wyobraziła? Może przeceniła jego intuicję? Albo ona wpada w paranoję, albo on kłamie. Jake nadal wygląda jak uosobienie niewinności. Nigdy nie potrafił kłamać, nawet jako mały chłopiec. Usta natychmiast zaczynały mu drgać, zdradzając, że oszukuje. Karen czuje, że popełniła błąd.

– No dobrze. Przepraszam cię. Nieważne. Zapomnij o tym.

Uśmiecha się, ale nie potrafi zasypać coraz głębszej przepaści między nimi. Niezdecydowana staje w drzwiach i zastanawia się, czy nie spróbować jeszcze raz wyciągnąć do niego ręki. Wybiera tchórzliwe rozwiązanie i wycofuje się – ku jego uldze, a własnemu niezadowoleniu.

– Spróbuj trochę popracować, dobrze? Muszę już iść. Jadę do siłowni.

Odwraca się i odchodzi, ale przysięgłaby, że słyszy jego słowa:

– Nie ma wstydu... Ona po prostu nie ma wstydu.

W szatni klubu wolno związuje włosy, stojąc przed sięgającym od podłogi do sufitu lustrem. Pozornie skupia wzrok na sobie, ale tak naprawdę obserwuje otoczenie. Nie jest podglądaczką, ale śledzi zmiany wagi współtowarzyszek ćwiczeń równie skrupulatnie jak one same. Przeważnie nie zna ich imion, ale wie, która ma najbardziej zwiotczały brzuch, a która piersi obwisłe niczym puste kieszenie. Potrafi odgadnąć, która się głodzi, a która obżera. Wątpi, żeby któraś oprócz niej wywoływała u siebie wymioty.

Na zajęciach ze spinningu wybiera rower z tyłu sali i nadal ocenia inne kobiety, porównując je z sobą. Kiedy ma dobry dzień, zajmuje miejsce z przodu, żeby zwrócić uwagę Bena, umięśnionego trenera. Dzisiaj nie ma dobrego dnia. Zajęcia rozpoczynają się lekko: taneczna melodia z wyraźnym rytmem narzuca łagodne tempo. Ale po pięciu minutach musi się unieść z siodełka na dziesięciosekundowy sprint, który podnosi jej tętno do osiemdziesięciu pięciu procent maksymalnej zalecanej wysokości. Czuje, jak serce wali jej pod żebrami. Znow siada, pedałowując bez wytchnienia; zwiększa opór i zwalnia rytm, jakby pokonywała wzniesienie. Zmienia przerzutkę, aż mięśnie zaczynają ją palić, a nogi są jak z ołowiu. Kobieta obok niej pedałowuje szybciej. Zerka na nią uważniej i stwierdza, że ma opór ustawiony na znacznie niższą wartość.

– Dotarliśmy na szczyt, teraz pędem w dół – nakazuje Ben, więc Karen przejeżdża trzy kilometry w trzy minuty, dostosowując rytm do szybkiej muzyki.

Ćwiczy ze schyloną głową, wyobrażając sobie, że zjeżdża stromą górską drogą albo że dostaje orgazmu. Przez czterdzieści pięć minut lub dwadzieścia jeden kilometrów wyęcza wszystkie siły: unosząc się i siadając, jadąc wolno z dużym oporem lub zjeżdżając sprintem w zawrotnym tempie, jęcząc z wysiłku, a potem z przyjemności. Twarz ma zaczerwienioną, krople potu lśnią na czole. Plamy wilgoci wykwitają w pachwinach i pod pachami lycrowej koszulki. Nikt nie twierdzi, że przy tych ćwiczeniach wygląda się olśniewająco, ale nie zna skuteczniejszego sposobu na spalanie kalorii.

Później idzie na basen, gdzie jak zwykle zmusza ciało do pokonania stu długości w grupach po osiem: stylem grzbietowym, klasycznym i kraulem. Robi szybko osiem obrotów, a jej ciało przecina wodę niczym torpeda, unosi ramiona w regularnym rytmie, przekręca głowę to na jedną, to na drugą stronę. Wygląda jak książkowa ilustracja pływania, przykład elegancji i siły. Następnie robi cztery obroty z deską między nogami i następne cztery, trzymając deskę w rękach; osiem długości pokonuje z płetwami i w rękawicach treningowych, osiem jak najszybszym tempem. Potem zaczyna serie od nowa. Przemierza basen, tnąc wodę, odbija się od ściany, wykonując obrót pod wodą. Bierze pod uwagę przemierzony dystans, ale też czas. Czas jest bardzo ważny. Wpływa na spalone kalorie.

Po stu długościach pozwala sobie na odpoczynek. Sprawdza godzinę na ściennym zegarze i na stoperze na rękę. Trzydzieści cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy. Dwa i pół kilometra w trzydzieści

cztery minuty i trzydzieści dwie sekundy. Ku swojemu zaskoczeniu pobiła własny rekord. Teraz może sobie pozwolić na oszacowanie innych pływaków: młode matki, desperacko starające się pozbyć pozostałej po ciąży nadwagi, z wysiłkiem pływają kraulem po środkowym torze, osiemdziesięcioletni dżentelmen wolno przemierza długość basenu beztroską żabką, kobiety w jej wieku płyną stylem klasycznym, nie przerywając pogawędki i uważając, żeby nie zamoczyć włosów. Członkinie klubu pływackiego konkurują z sobą, ubrane w jednakowe czerwone kostiumy i srebrne czepki. Pozdrawia jedną z nich skinieniem głowy, kiedy ta mija ją w drodze do basenu, i mierzy wzrokiem jej coraz lepiej umięśnione ramiona i wyraźnie mocniejsze nogi. Natychmiast odruchowo zaczyna kalkulować, ile mogła stracić na wadze. Jakie jest jej BMI? Ile wynosi jej osobisty rekord?

Gdy kieruje się w stronę jacuzzi, jej uwagę przyciąga osobliwa para: kobieta, chyba pod siedemdziesiątkę, i mężczyzna po czterdziestce, a może nawet jej równolatek. Trzymają się za ręce, ale jasne jest, że nie są kochankami. Raczej ona go prowadzi, namawia niedźwiedziowatego niezdarę, żeby wszedł do basenu na płytkim końcu. Robi to z wytrwałością najwyraźniej ukształtowaną przez lata praktyki. Mężczyzna stęka zaskoczony, a potem wydaje głośny okrzyk, który odbija się od ścian, spotęgowany przez lustro wody, i przyciąga uwagę wszystkich. Panie płynące stylem klasycznym odwracają głowy i sprawdzają, kto zaburza ich spokój. Nawet osiemdziesięcioletek zerka w jego stronę. Kobieta – drobna, przypominająca ptaka – nie okazuje niepokoju. Podaje swojemu podopiecznemu dużą deskę i holuje go wokół basenu.

– Wszystko dobrze – uspokaja go. – Wszystko w porządku.

Karen spogląda na jej twarz, na której lata troski odcisnęły swoje piętno, ale nadal jest zdolna wyrażać i odczuwać radość. Kobieta z uwagą patrzy na mężczyznę, sprawdza, czy woda nie jest dla niego za zimna, stara się wywołać uśmiech na jego twarzy. Mężczyzna znów stęka głucho. Boi się już mniej, ale nadal jest niepewny. Kurczowo trzyma się deski, z wysiłkiem napinając ramiona. Kobieta z uśmiechem przemawia do niego pieszczotliwie:

– Wszystko dobrze. Wszystko dobrze.

Mężczyzna rozluźnia się i dryfuje po wodzie, ciągnąc za sobą blade nogi. Jeszcze raz wydaje okrzyk – tym razem radości. Ulga wygładza zmarszczki na twarzy opiekunki; jej brzemię na chwilę staje się lżejsze. Mężczyzna oczywiście jest jej synem.

*Twoim malcom spodoba się wycinanie pierniczków lub maślanych ciasteczek. Z twoją pomocą będą radośnie tworzyć misie, gwiazdki i serca. Jeśli przyjdzie ci ochota ich poganiać, powstrzymaj się. Bliskość wytworzona przy wspólnym pieczeniu zaprocentuje w przyszłości.*

– Alfie?

Vicki obserwuje synka przez dobre dwie minuty, zanim decyduje się mu przerwać – tak bardzo zagłębił się w swoim świecie. Leżąc na brzuchu, ustawia wszystkie swoje samochodziki według wielkości i koloru. Tęcza matchboxów wije się po dywanie i znika pod kanapą. Obok siebie Alfie ustawił większe wywrotki, które jeszcze rok temu uważał za bardzo atrakcyjne, a teraz wydają mu się nazbyt dziecinne.

– Teraz ludzie – mruczy do siebie pod nosem i ustawia rząd figurek z serii HappyLand.

Plastikowe dzieci wyglądają zdecydowanie nieproporcjonalnie przy samochodach, ale malcowi to nie przeszkadza. Czy to nie jest sygnał zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych? Czy nie powinna się martwić, że jego zachowanie zbliża się do skali autyzmu? „Nie bądź śmieszna”, gani się w myślach. Przypomina sobie pozytywną opinię wydaną przez przedszkole, w którym teraz synek spędza codziennie trzy godziny przed południem, dając jej czas na pieczenie. Jest bystry, uporządkowany, metodyczny. I po prostu jest chłopcem.

Kładzie się obok niego na dywanie, żeby spojrzeć na świat z jego poziomu. Z tego punktu widzenia wszystko wygląda inaczej: obicie na skraju sofy jest zmechaczone, jakiś zabłąkany kot z kurzu wiruje po podłodze niczym kłęb pustynnej trawy niesiony przez wiatr. Vicki chce od razu wstać i odkurzyć, ale się powstrzymuje. Obiecała sobie, że dzisiaj zapomni o pracach domowych i będzie robiła to, czego zapragnie Alfie.

– Masz ochotę coś upiec?

Synek wyrównuje dłuższy od innych rząd czerwonych samochodów. Potem idą białe, a za nimi zielone.

– Dlaczego jest tak mało żółtych? – pyta zatroskany, ustawiając prosto jedyne żółte matchboxa.

– Nie wiem. Chyba nigdy o tym nie myślałam. Może ludzie nie chcą, żeby ich samochody były w tym kolorze?

Zabawka ma rzeczywiście wyjątkowo brzydki odcień żółci.

– Kiedy dorosnę, będę miał żółte auto.

Wraca do zabawy, a ona obserwuje jego delikatne rysy, kremową cerę bez żadnej bruzdki czy plamki. Jak długo pozostanie taki doskonały, bez najmniejszej blizny?

– Dlaczego na mnie patrzysz? – Marszczy brwi, szeroko otwiera brązowe oczy i przysuwa twarz do jej twarzy tak blisko, jakby chciał się z nią stopić w jedną całość. Przytula usta do jej policzka i parska jak żrebak.

– Nie rób tak!

Alfie chichocze, ucieszony swoim żartem.

– Tatuś mnie nauczył!

– No, dobrze... Możesz tak robić, ale ja ci się zrewanżuję.

– Co to znaczy zre...

– Zrewanżuję. Zrobię to samo tobie.

Chwyta go, podciąga koszulkę z wizerunkiem Tomka Lokomotywy i z głośnym mokrym cmoknięciem

całuje w brzusek.

– Mamusiu! – Malec jest zachwycony. – Ja też! Ja też!

Popycha ją na dywan i z jeszcze większym entuzjazmem głośno cmoka w brzuch. Oddech ma ciepły, a całus jest mokry od śliny.

– Wystarczy. Poddaję się.

Obejmuje go i śmieje się, przytulając twarz do jego włosów, trochę zakłopotana, ale zadowolona, że nadal potrafi wywołać u dziecka taką żywiołową radość. Po dniu, w którym Alfie pojechał z Gregiem do Legolandu, uspokoiła się, bardziej panuje nad wszystkim, ma więcej energii. Jakby lepiej dawała sobie radę... Nie, jakby bardziej cieszyła się swoim trzylatkiem. Wolny dzień pozwolił jej odzyskać właściwą perspektywę: miała okazję zatęsknić za Alfiem i dzięki temu zdała sobie sprawę, jak cenny jest czas z nim spędzany.

– Pobawimy się lego?

Oczy Alfiego błyszczą z przejęcia, jakby wyczuł, że mama chce mu wynagrodzić swój zły humor podczas weekendu i poświęcić dziś dużo uwagi. Ale czy kiedykolwiek można uznać, że poświęciło się jej komuś wystarczająco dużo?

Vicki nagle traci zapał. Przez kilka minut może udawać, że zabawa klockami sprawia jej taką samą radość jak synkowi, ale on może się nimi bawić w nieskończoność.

– Najpierw lego, potem pieczenie?

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu malec sprytnie się targuje. Czy tylko powtarza to, co wielokrotnie słyszał z jej ust? A może dostrzegł jej brak entuzjazmu dla swojej ulubionej zabawy?

– Świetny pomysł. – Uśmiecha się. – Lego, a potem coś upieczemy. Może najpierw pomogę ci zbudować wóz strażacki, a ty upieczesz ze mną ludziki z piernika. Chyba że wolisz babeczki.

– Ludziki z piernika – decyduje bez wahania.

– Skąd wiedziałam, że to wybierzesz?

– Zawsze wybieram ludziki.

– Zgadza się.

– Ludziki, ale najpierw lego – upewnia się.

– Tak, najpierw lego.

Przewraca oczami, a chłopiec natychmiast robi to samo i wybucha niepohamowanym śmiechem.

Potem, kiedy już skończyli składać wóz strażacki – ten zestaw według instrukcji przeznaczony jest dla dzieci od lat pięciu do dwunastu, ale i dla niej jest dość trudny – udaje jej się nareszcie zwabić go do kuchni. Deszcz uderza w szybę świetlika i w przeszklone drzwi, przez co kuchnia wydaje się jeszcze bardziej przytulna i bezpieczna niż zwykle.

Chociaż przepis zna na pamięć, wyjmuje *Sztukę pieczenia* i pokazuje Alfiemu zdjęcie Kathleen dumnie trzymającej talerz z piernikowymi panami i paniami.

– Za duże – oznajmia Alfie.

– Za duże?

– Tak. To dorośli. Ja wolę, żeby to były dzieci.

Podbiega do szuflady i szuka w niej odpowiednich foremek. Razem więc robią całą stertę pierniczków. Dzięki małym foremkom ich liczba jest dwa razy większa niż zwykle, a pozostałe okrawki wałkują jeszcze raz i robią z nich serduszka i gwiazdki. Trochę ciasta zostaje niepostrzeżenie zjedzone – Alfie wpycha je sobie do buzi, zanim Vicki zdąży go powstrzymać.

– Nie. Już wystarczy. Bo będzie cię bolał brzusek – ostrzega, trochę się martwiąc, że razem z ciastem zjada surowe jajka.

Ale syn wrzuca do ust kolejny okrawek i wybucha śmiechem, pokazując oblepione ciastem zęby.

– Mamo, ale to jest najlepsze – oznajmia poważnie i uśmiecha się z szeroko otwartą buzią. – To jest pyyyyszne!

Kiedy tak na niego patrzy, zastanawia się, czy można go kochać jeszcze mocniej. Rzeczywiście, dzisiaj był w swojej najlepszej formie: ujmujący, pełen życia, wymagający, ale też, co dziwne, bardziej posłuszny. „To pewnie dlatego, że poświęciłam mu całą uwagę”, myśli Vicki z lekkim poczuciem winy. A może Kathleen Eaden miała rację i to wszystko dzięki wspólnemu pieczeniu? Razem robią coś, co oboje uwielbiają – szczerze musi przyznać, że ona trochę bardziej niż on – a to pozwala im na rozmowę i poznawanie się. Przez ten czas istnieją w swojej własnej bańce szczęścia, a reszta świata żyje własnym życiem.

– Dlaczego jesteś taka smutna? – Alfie patrzy na nią pytająco.

– Nie jestem smutna, skarbie. Jestem szczęśliwa.

– Masz smutną minę. Jak zobaczyłaś nową siostrzyczkę Maxa wyglądałaś tak samo.

– Naprawdę? – Przełyka ślinę. Czy to było aż tak widoczne? – Kochanie, nie byłam wtedy smutna i teraz też nie jestem.

Zaczyna mu tłumaczyć, że czasami ludzi ogarniają bardzo silne uczucia, ale szybko traci jego uwagę. Wzrok malca wędruje ku stygnącym ludzikom z piernika, zanim udaje jej się skończyć zdanie.

– Nieważne – przerywa sama sobie. – Może spróbujemy naszych wypieków? Co ty na to?

## Kathleen

Dziecko trzyma się w niej mocno. Mocno, mocno, mocno. Co godzinę sprawdza, czy nie ma krwi między udami, ale nic nie znajduje. Potem zmusza się do dwugodzinnych przerw. Dzięki Bogu, uda pozostają suche.

Dziecko znów kopie. To kopnięcie czy drżenie. Drżące kopnięcie. Może mała – Kathleen przeczuwa, że to będzie dziewczynka – uczy się pływać. Wyobraża sobie, że zabiera swoją córeczkę na lekcje pływania i patrzy, jak dziecko nurkuje pod wodą niczym makrela lub mały delfin.

Dziecko znowu kopie. Wyczuwalnie. Naprawdę tam jest.

– Chyba jesteś silna. – Kathleen przemawia do swojego brzucha. – Silna i zdecydowana.

Jeszcze jedno kopnięcie. Panikuje, że szew nie wytrzyma, że dziecko rozerwie go kopnięciami, ale Julie, która teraz odwiedza ją trzy razy w tygodniu, uspokaja ją.

– Takie ruchy to dobry znak. Jeśli przez dłuższy czas nic by się nie działo, wtedy trzeba by było się martwić.

Kathleen chce powiedzieć, że jej córka czasami bywa spokojna. Niekiedy musi czekać długie godziny na kolejny ruch. I wtedy, w środku nocy, leży sztywna ze strachu, bojąc się, że dziecko umarło.

*Żeby zrobić wyśmienity deser trifle, po prostu nasącz kawałki biszkopta kirschem, ułóż na nich wiśnie lub maliny, przykryj warstwą stopionej czekolady, dodaj domowego kremu waniliowego i ułóż na wszystkim welwetową poduszkę lekko ubitej śmietanki. Posyp prażonymi płatkami migdałowymi lub czekoladowymi. Nie używaj galaretki i, błagam, nawet nie myśl o dodaniu mandarynek czy brzoskwiń z puszki. Trifle to zmysłowy deser dla dorosłych.*

– Jestem taka przejęta! – Vicki praktycznie drży z podniecenia, wspinając się po schodach tuż za Corą.

Zawodnicy, którzy zjawili się w Bradley Hall, żeby wziąć udział w kolejnym etapie konkursu na nową panią Eaden, poświęconym puddingom i deserom, dostali bezprecedensową możliwość wglądu do archiwum jej przepisów w poszukiwaniu inspiracji.

– Nie mogę uwierzyć, że zobaczymy odręczne notatki Kathleen. Dotkniemy jej rzeczy! – mówi zdyszana, kiedy dochodzą do pokojów na poddaszu, w których mieści się kolekcja pamiątek. – To prawie tak, jakby ona sama udzieliła nam lekcji. Po prostu niewiarygodne! Prawdziwy zaszczyt. – Zatrzymuje się, żeby złapać oddech.

– Była kobietą z krwi i kości.

Jenny z rozbawieniem patrzy na rozemocjonowaną Vicki, na kult, jakim otacza swoją idolkę, na to, jak rumieni się z zażenowania, kiedy mówi o niej po imieniu.

– Tak, wiem... – Nie brzmi to przekonująco. – Ale była kimś niezwykłym...

– Dopisało jej szczęście – wtrąca Claire, kiedy zatrzymują się dla zaczerpnięcia tchu. Od dawnych pokojów dla służby dzieli ich tylko pół piętra. – Założę się, że mogłabyś być taką panią Eaden, tak jak ona pisać i wydawać książki, gdybyś wyszła za męża za milionera, właściciela sieci supermarketów.

– Och, nie! Nigdy nie mogłabym być taka jak ona – zaprzecza Vicki. – Wyprzedzała swoją epokę. Zwróć uwagę na jej styl pisania: aż chce się piec wszystko, co opisuje, i jednocześnie od razu to zjeść.

– No dobrze. To jej trzeba przyznać – godzi się Claire z udawaną niechęcią i patrzy na Mike'a, przewracając oczami.

– Moim zdaniem rzeczywiście była niezwykła. – Cora, lojalna pracownica Eadena, stara się zapobiec groźbie buntu na pokładzie.

– Była nadzwyczajna – potwierdza Vicki, kiedy idą wąskim korytarzem do większego pomieszczenia. – Inaczej dlaczego zawracalibyśmy sobie głowę tym konkursem?

Przechodzą przez obite zielonym sukniem drzwi i widzą przed sobą szereg pokoiów dla służby: niskich i ciasnych, zwłaszcza w porównaniu z pokojami na dole. Na drzwiach w drugim końcu widnieje tabliczka z napisem „Archiwum”. Cora zachęca Vicki gestem, a ta ostrożnie puka.

Chociaż w prowadzącym tu korytarzu panuje mrok, pomieszczenie archiwum jest jasne i przestronne. Słońce wpada przez dwuskrzydłowe okna i odbija się od białych podłóg, zalewając wszystko oślepiającym blaskiem. Po jednej stronie stoi rząd oszklonych gablot, a kanapa firmy Ercol, ze skośnym oparciem dosuniętym do ściany, ożywia wnętrze rudopomarańczowym obiciem. „Jaki piękny pokój – myśli z podziwem Vicki. – Ciekawe, czy Kathleen tu przychodziła”.

Jakiś szczupły, przygarbiony mężczyzna w znoszonej sztruksowej marynarce i tweedowych spodniach nieśmiało podnosi się zza biurka w rogu, wzbijając chmurę kurzu. Nerwowo rozciera zaczerwienione dłonie, ale uśmiecha się serdecznie i zaprasza ich do swojego świata.

– Jestem Paul Usher. Bardzo mi miło państwa poznać i przedstawić pełniejszy obraz Kathleen



Eaden. Te eksponaty – wskazuje gabloty – zostały skatalogowane. Tamte – pokazuje stos notatników leżący po drugiej stronie pokoju – nadal są badane i oceniane. Łatwiej będzie państwu i mnie korzystać z zasobów opisanych, ale jeśli jest coś szczególnego, z czym chcieliby się państwo zapoznać, możemy naruszyć tamten stos notatek.

Vicki, Claire, Karen i Mike kierują się prosto do uporządkowanych przepisów, wiedząc, że znajdują tam zapiski o puddingach. Tak ich poinformowano. Natrafiają na całe mnóstwo interesujących notatek: całe zeszyty zapisane strona po stronie, pełne szczegółów na temat najlepszego łączenia składników i optymalnej temperatury pieczenia całej kolekcji deserów. Vicki nie może powstrzymać drżenia rąk, jakby myśl o tym, że dotknie kartek zapisanych przez Kathleen, była nie do pojęcia. Nikt inny jednak się nie waha. Mike przegląda segregator, Karen przerzuca kartki notesu w sztywnej oprawie tak obojętnie, jakby to było jakieś sfatygowane czasopismo. Tylko Claire zdaje się rozumieć rozterki Vicki i uśmiecha się serdecznie.

– Daj spokój. Nie przejmuj się tak. Trzeba się brać do dzieła.

Słucha rady koleżanki, wycisza rozedrgane nerwy i zagłębia się w przepisach. Co kilka minut piszczy radośnie i przywołuje Claire.

– Zobacz! Przepis na suflet czekoladowy. Ćwiczyłam go. Jej własne pismo! Jakie śliczne. Okrągłe, kształtne... i jaki piękny atrament. Chciałabym umieć tak pisać.

– Co tam napisała na marginesie?

– „Tym deserem uwiedziesz każdego”.

Chwilę milczą, potem zanoszą się śmiechem.

– Pocziwy George miał szczęście – podsumowuje Vicki.

– A może to nie o niego chodziło? – Karen podsłuchiwała ich rozmowę.

– Karen! No co ty? Nie pani Eaden. Nie Kathleen.

Starsza współzawodniczka wzrusza ramionami i wraca do swojej lektury.

– Tutaj jest przepis na jej wersję trifle’a – Claire przywołuje Vicki.

– Ooo! Zobaczmy... Wiśnie, kirsch, biszkopt własnej roboty, bita śmietana, krem waniliowy, prażone płatki migdałów i... warstwa ciemnej czekolady...

– Mam ochotę zrobić go natychmiast! – oznajmia Claire.

– Nigdy bym nie wpadła na to, żeby dodać czekoladę. – Vicki zagryza wargę zła na siebie, że przebił ją ktoś, kto zajmował się pieczeniem niemal pół wieku wcześniej. – Bardzo dobry pomysł.

– A spójrz na to: tort Paryż–Brest.

– Jest trudny do zrobienia. Próbowalaś kiedyś?

– Nie.

– Aha. – Vicki przez króciutką chwilę odczuwa wyższość względem koleżanki. – Trzeba się trochę namęczyć, ale robi wrażenie. Zobacz. Tu podaje wskazówki, jak zrobić krem pralinowy. Trzeba skarmelizować migdały i zemleć je. A to ciekawe. Twierdzi, że można użyć orzechów laskowych lub mieszanki orzechów i migdałów.

– Chyba nie wypróbuję tego przepisu.

– Pewnie nie. Za to ciasto ptysiowe zawsze wygląda efektownie.

Vicki znajduje przepis na eleganckie ptysie w kształcie łabędzi i siada z nim na kanapie. Zawsze chciała taką mieć, ale Greg twierdzi, że jest zbyt retro. Wielokrotnie mu powtarzała, że to klasyczny projekt, pasuje zarówno do nowoczesnego loftu, jak i edwardiańskiego bliźniaka pełnego dziecięcych zabawek.

– Dość elegancka jak na pomieszczenie dla służby. – Uśmiecha się do Paula Ushera, chwając się swoim wyczuciem stylu.

– Kathleen Eaden zrobiła z tego pokoju swój salon. Sofa pochodzi z kolekcji Ercola z 1965 roku. Wytwarzano je niemal po sąsiedzku, w High Wycombe. George uważał, że jest za nowoczesna i nie

pasuje do reszty rezydencji, ale Kathleen jakoś nigdy nie odesłała jej do domu w Chelsea, umeblowanego w tym stylu.

Po drugiej stronie pokoju Jenny szuka czegoś konkretnego.

– Pewnie nie macie skatalogowanego przepisu na królika zapiekanego w cieście z cydrem, śmietaną i bekonem, prawda? – wypytuje archiwistę. – Pamiętam, jak moja mama go robiła. Przepis znalazł się w *Sztuce pieczenia* i bardzo bym chciała zobaczyć oryginał.

Paul Usher uśmiecha się do niej.

– Może trudno w to uwierzyć, ale nie zbadałem jeszcze przepisów na tradycyjne mięsa w cieście i zapiekanki. Są w notatnikach, nad którymi właśnie pracuję. Proszę łaskawie włożyć te rękawiczki. Poszukamy go razem.

Mimo woli czuje dreszczyk emocji, przewracając strony notatnika, a białe jedwabne rękawiczki dodają tajemniczości sytuacji. Silne, zdecydowane i precyzyjne pismo Kathleen pokrywa kartki, a Jenny z zaskoczeniem zauważa, że atrament pozostał kobaltowo niebieski, jakby od lat nie padało nań światło.

– Czy często przeglądano te notatki? – pyta.

– Te nie. Wydawców o wiele bardziej interesowały przepisy na puddingi i ciasta.

Z dezaprobatą pociąga nosem.

– Szkoda – stwierdza. – Równie dobrze pisała o daniach wytrawnych, ale w obecnych czasach konsumenci stracili na nie apetyt, że pozwolę sobie na taki żart słowny. Z doświadczenia wiem, że ludzi bardziej interesuje słodka strona życia.

Kontynuuje poszukiwania, pomijając przepis na zapiekaną dziczyznę, który wymaga mięsa bażanta, kuropatwy, czerwonego wina i koniaku. Znajduje spis składników potrzebnych do zapiekanki z kurczaka i pardwy: jedna tłusta pardwa, kurczak, sześć plasterów bekonu i sześć jaj na twardo. Tak, sprawdza jeszcze raz, rzeczywiście wymienione są jaja. Natrafia na opisy tradycyjnych zapiekanek w cieście z dziczyzny, cielęciny i szynki czy wieprzowiny, na tarty z homarem, szparagami oraz z kiełbaskami i porem. Już zaczyna wierzyć, że ten przepis jej się tylko przyśnił – albo że była to kompozycja Lucy – kiedy nagle go znajduje. Jest jednak, starannie nakreślony niebieskim atramentem: zapiekany pod warstwą ciasta królik duszony w cydrze i śmietanie.

Znów przenosi się do kuchni na plebanii: widzi Lucy w kłębach pary podsmażającą szalotki i duszącą mięso, podczas gdy ona i Eleanor bawią się obok niej. Wtem dostrzega coś, co przywraca ją do rzeczywistości. Pod kartkę z przepisem ktoś wsunął złożony na pół list, pisany chyba... w Kornwalii. Kilka kartek niebieskoszarego papieru z papeterii Basildon Bond, wypełnionych tym samym, zdecydowanym charakterem.

Zerka na Paula, a potem na pozostałych obecnych, zajętych przeglądaniem przepisów na słodkie dania. Jenny zawsze uważała, że nie czyta się cudzej korespondencji, ale ten przypadek jest inny. List został już otworzony i najwyraźniej wyrzucony. Widnieje na nim data sprzed ponad czterdziestu lat – 18 czerwca 1972. Poza tym widzi tu znaczący zbieg okoliczności: jakby list czekał, aż go znajdzie, chociaż szukała czegoś innego. A może tylko wynajduje usprawiedliwienia? Chyba jest bardziej wścibska, niż sądziła.

Znów spogląda na Paula, który pochyła się nad jakimś skoroszytem. Ukradkiem podnosi wyżej zeszyt z przepisami, żeby ukryć list. Rozkłada go i zaczyna czytać. Szybko przebiega oczami tekst, chłonąc informacje, następnie wolno czyta go jeszcze raz, żeby wszystko zrozumieć. Czas zdaje się stać w miejscu. Pyłki kurzu nadal tańczą wokół Jenny, ale w jej życiu nagle coś się zmieniło. Ma wrażenie, że brakuje jej powietrza, jak tego deszczowego dnia w marcu, kiedy zobaczyła Nigela i Gabby razem. Teraz jednak nie ogarniają jej mdłości, ale czuje ostry ból w żołądku. „Wszystko w rozpadzie – myśli – w odśrodkowym wirze”.

Paul Usher patrzy na nią pytająco, widząc jej zaczerwienione policzki i zdezorientowaną minę.

– Dziękuję za pomoc – zwraca się do niego. – Znalazłam to, czego szukałam. Tak jak miałam

nadzieję. To niesamowite – paple nerwowo, jakby chciała się jakoś usprawiedliwić. – Zobaczyc ten przepis w rękopisie. Teraz przynajmniej wiem, że moja mama nie może się uważać za jego autorkę – próbuje żartować.

Archiwista wraca do przeglądania swojego skoroszytu.

– Mam jedno pytanie. – Jenny stara się, żeby zabrzmiało to swobodnie. – Kto to był Charlie? Widziałam to imię na górze którejś strony – kłamie i natychmiast się czerwieni. Czuje, że musi utrzymać w tajemnicy istnienie tego listu, a zwłaszcza fakt, że go przeczytała. Musi chronić jego autorkę, teraz tak bezbronną.

– Charlie? – Pan Usher marszczy czoło. – Charlie Pollington był uwielbianym przez Kathleen młodszym bratem.

– A Kitty?

Chyba już sama się domyśla.

– Kitty? – Archiwista odchyła się na krześle i patrzy na nią tak uważnie, że Jenny zaczyna się zastanawiać, czy odkrycie listu było rzeczywiście czystym przypadkiem. – Kitty to Kathleen Eaden.

## Kathleen

Dwadzieścia tygodni. Dwadzieścia jeden. Dwadzieścia dwa. Ruchy stają się coraz mocniejsze. Już nie drżące i niepewne, ale zdecydowane.

– Cześć, maleńka. – Uśmiecha się do swojego brzucha, starając się dostrzec zarys stópki, zauważyć zmiany na jego powierzchni. – Jeszcze nie próbuj wychodzić. Zostań tam w środku, gdzie jest ciepło i miło.

Kiedy odwiedza ją George, bierze jego szeroką dłoń i kładzie na bawełnianej nocnej koszuli.

– Nie zrobię mu krzywdy? – niepokoje się mąż.

– George, to przecież twoje dziecko. Zobacz, dotknij mojej skóry.

Czerwieni się, kiedy natrafia palcami na jej włosy łonowe. Nie zbliżył się do niej od czasu, gdy doktor Caruthers założył ciasny szew.

– Potrzymaj tu rękę. Nie, tutaj.

Prowadzi jego dłoń tam, gdzie ostatni raz poczuła kopnięcie. Mąż ma przerażoną minę, biedaczysko, ale ona to rozumie. Dopiero kiedy ruchy dziecka stały się regularne i silne, nabrała przekonania, że może jej w ogóle dotknąć.

– Czujesz to?

– Nie jestem pewien. Chyba nie.

– Cierpliwości. Spróbuj ją pogłaskać. Ona to lubi.

– Ona?

Czerwieni się.

– Nie mówiłam ci? Mam takie przeczucie... że urodzi się nam dziewczynka.

– Wierzę ci na słowo.

– Nie masz nic przeciwko temu?

Patrzy na nią zdumiony.

– Byłbym bardzo szczęśliwy. Bardzo – oznajmia z uśmiechem.

Czekają: Kathleen jak zwykle z obawą, że ruchy dziecka ustaną, George wyraźnie zdenerwowany. Zaczyna gładzić ją po brzuchu zgodnie ze wskazówkami zegara, jak zwykle zaskakując ją, że takie szerokie płaskie dłonie mogą być tak delikatne.

– Zaraz, zaraz. – Oczy rozszerzają mu się z zaskoczenia.

– Poczujesz tym razem?

– O, tak! Zdecydowanie tak!

– A teraz?

– Tak. Mój Boże! Całkiem mocne kopnięcie.

– Jest silna, prawda? – Kathleen śmieje się do niego.

– Tak – odpowiada uradowany. Dostrzega łzy w jego oczach. – Bardzo silna.

*Aby zrobić tak mocno czekoladowe ciasto jak tort Sachera, potrzeba tylko czterech składników, ale za to jakich! Ciemna czekolada, jajka, cukier i mielone migdały. Do polewy ganache będzie potrzebne jeszcze więcej czekolady oraz śmietana kremówka. Na szczęście ten rodzaj tortu bardzo dobrze się przechowuje, ponieważ należy go jeść w małych porcjach. To deser bardzo sycący, dekadentcki, wybitnie dla dorosłych.*

Karen jest niemal spokojna, kiedy po ożywczym biegu i kojącej kąpeli – ale bez jedzenia – kładzie się do łóżka. Namówiono ją dziś, żeby spróbowała własnych wytworów, więc teraz odczuwa potrzebę postu.

Znów wróciła do gry. Jej pieczone alaski były „niezrównane” – słowa Harriet, której aprobatą stała się dla niej nagle ważniejsza niż Dana. Jej tort Sachera konkurował z tortem Jenny o miano najlepszego wypieku: *ganache* był gładki i błyszczący, ornament z czekolady elegancko narysowany, co ją zaskoczyło, ponieważ jej charakter pisma jest bardzo dziewczęcy, krągły i niepewny.

Tego popołudnia nie była w stanie powstrzymać się przed wywołaniem wymiotów: wyrzuciła z siebie pozostałości bezy i tortu czekoladowego w swojej łazience. Po wszystkim paliło ją w gardle, więc musiała złagodzić to nieprzyjemne uczucie oraz podrażnienie żołądka miętową herbatą.

Towarzyszy jej świadomość, że dobrze się spisuje. Leżąc w świeżej pościeli, próbuje się rozluźnić. Jeśli jutro nie popełni żadnych błędów, a dlaczego miałyby je popełnić, będzie na najlepszej drodze do zwycięstwa. Zасыpiając, rozmyśla, co będzie jutrzejszym wyzwaniem: może *croquembouche*? Tiramisu na pewno byłoby zbyt łatwe. A może coś z sosem muślinowym na słodko?

Kiedy odzywa się komórka, Karen jest pogrążona w głębokim śnie i dopiero po trzech dzwoneczkach zdaje sobie sprawę, skąd dobiega dźwięk. Po omacku szuka na nocnym stoliku swojego smartfona, który nie tylko dzwoni, lecz także wibruje, a jego biała obudowa lśni fluorescencyjnym światłem. Zegar pokazuje szóstą trzy.

– Halo? – odzywa się zaspanym głosem.

– Pani Hammond? – Męski głos po drugiej stronie brzmi bardzo oficjalnie.

– Tak?

Już się rozbudziła. Adrenalina odgoniła resztki snu. Niespodziewany telefon o tej porze nigdy nie zwiastuje niczego dobrego. Siada na łóżku, na skraju materaca, gotowa do akcji.

– Mówi sierżant Steve Tyler, oficer dyżurny z aresztu przy głównym komisariacie w Southampton. Dzwonię, żeby panią zawiadomić, że pani audi o numerze rejestracyjnym AK61 2BU zostało skradzione i uległo poważnemu uszkodzeniu. Powiedziałbym wprost, że nadaje się tylko do kasacji. Muszę też panią poinformować, że dokonał tego pani syn, Jake.

– Jake! – Karen zrywa się na równe nogi. – Nic mu się nie stało? Żyje, prawda? – pyta niemal histerycznie podniesionym głosem. Czuje, że ogarnia ją panika.

– Tak, proszę pani, żyje. Nic mu nie jest i jakimś cudem nikogo nie potrafił. Ale został zatrzymany w areszcie.

– W areszcie?

– Tak. W areszcie na komisariacie. Proszę się nie martwić. Odczytano mu jego prawa i już skontaktowano go z adwokatem dyżurnym. Zostanie przesłuchany jeszcze dzisiaj przed południem.

– Przesłuchany?

Pozbawiony emocji głos policjanta sprawia, że waga jego słów dociera do niej z opóźnieniem.

Czuje się upokorzona, że ciągle musi o coś pytać, ale sytuacja jest dla niej tak niepojęta, że słowa wypływają z jej ust automatycznie.

– Zostanie przesłuchany w sprawie kilku wykroczeń drogowych i kradzieży pojazdu.

– Kradzieży pojazdu?

– Paragraf dwunasty ustawy o kradzieżach z 1968 roku: zabór mienia bez zgody właściciela.

– Słucham? – Ma wrażenie, że policjant mówi w obcym języku.

Słyszy w słuchawce ciche parsknięcie i wyobraża sobie rozmówcę: krępy, przysadzisty, zarozumiały.

– Potocznie mówiąc, syn ukradł cudzy samochód, żeby się nim przejechać dla rozrywki.

– Ale to był mój samochód. Nie ukradł go.

– Musi pani do nas przyjechać i złożyć oświadczenie.

– Oświadczenie?

– Padła pani ofiarą przestępstwa, więc musi pani złożyć oświadczenie, które pozwoli zdecydować, czy zostanie wniesione oskarżenie.

Powoli zaczyna do niej docierać nieprzyjemna prawda.

– Chcicie, żebym napisała oświadczenie przeciwko własnemu synowi, żebyście mogli go oskarżyć?

– To by uprościło sprawę. Chyba że udzieliła mu pani zezwolenia?

Karen milczy przez chwilę. Ma wielką ochotę ordynarnie zakląć, ale się powstrzymuje, przecież rozmawia z policjantem. Stara się go zmiękczyć:

– Ależ oczywiście. Syn może jeździć moim samochodem, kiedy tylko ma ochotę.

– Jeszcze nie zdał egzaminu na prawo jazdy?

– Nie.

– A więc skoro pani udzieliła mu zezwolenia, to jednocześnie pozwala mu pani poruszać się samochodem bez wymaganego dokumentu i bez ubezpieczenia. A to jest wykroczenie, które przysporzy pani więcej kłopotów niż synowi. Radziłbym dobrze się zastanowić, zanim pani oznajmi to oficjalnie.

Ogarnia ją coraz większa bezsilność. Ten nadęty człowieczek bawi się w jakieś gierki.

– Nie udzieliłam mu pozwolenia, oczywiście, że nie. Ale nie złożę oświadczenia przeciwko niemu.

– Proszę jeszcze nad tym pomyśleć. Nie musi pani się z nim widzieć, ale powinna pani przyjechać do nas w sprawie kaucji, jeśli jest pani nią zainteresowana. Próbowaliśmy się dodzwonić do pani domu, ale w tej chwili nie przebywa pani w Winchesterze, prawda?

– Jestem w hrabstwie Buckingham, biorę udział w konkursie kulinarnym. – Nagle to tłumaczenie – i jej obecność tutaj – wydają jej się zupełnie niedorzeczne. – Zaraz ruszam w drogę.

– Nie ma pośpiechu. Proszę zachować bezpieczeństwo na drodze. Syn najprawdopodobniej śpi w swojej celi.

– Wątpię – odpowiada z goryczą.

Zapada chwila napiętego milczenia.

– Zaraz u was będę.

Rozłącza się, chociaż jeszcze słyszy głos rozmówcy – zapowiada, że funkcjonariusze odwiedzą jej dom – ale nie dba o to, że zachowuje się niegrzecznie i być może naraża policji. Już miała z nią do czynienia. Nie było to miłe ani dla niej korzystne. Liczy się tylko to, żeby dotrzeć do Jake'a, i to szybko. Wrzuca bieliznę do skórzanej torby podróżnej, otwiera drzwi szafy i wyjmuje z niej prostą sukienkę, którą zamierzała włożyć dzisiaj. Strach napędza jej ruchy. Uświadamia sobie, że potrzeba dotarcia do Jake'a jest silniejsza niż chęć spakowania wszystkich rzeczy. Wciąga spodnie do pilatesu, kaszmirową bluzę z kapturem i wkłada baleriny. Potem zrywa je z siebie. Musi się ubrać tak, żeby budzić szacunek, chociaż właśnie jej świat się wali. Wybiera więc sukienkę i blezer. Kiedy dotrze na miejsce, doda do tego stroju buty na wysokim obcasie. Zaczesa włosy wysoko i ściąga je w koński ogon, palce ozdabia pierścionkami. Trzęsącymi się rękami zbiera kosmetyczkę, woreczek na biżuterię, iPoda i torebkę –

resztę pokoju zostawia w nieładzie.

Nie minęło pięć minut od zakończenia rozmowy, kiedy wsiada do swojego porsche. W tym czasie próbowała się dodzwonić do Olivera, ale nie odbierał ani telefonu domowego, ani komórki, ani telefonu w swoim lokum w Londynie. Powinien być w Winchesterze, więc dlaczego, do diabła, nie odpowiada?

Kiedy z piskiem opon zawraca na zwirowym podjeździe, odzywa się jej smartfon. Dzwoni mąż. Hamuje gwałtownie, wzbijając fontannę kamyczków, i wyłącza silnik.

– Chodzi o Jake’a. Został aresztowany, bo zabrał audi i je rozbił. Nikt nie został ranny, on sam też nie. Ale będzie potrzebował lepszego prawnika niż ten z urzędu. Mógłbyś się tym zająć? Ja już tam jadę.  
– Mówi językiem, który mąż rozumie: konkretnym i rzeczowym, pozbawionym emocji.

Zapada milczenie.

– Wiem. Próbowałem się z tobą skontaktować.

– Wiesz?

– Zadzwoił do mnie.

– Do ciebie?

Jej świat wyraźnie zmienia barwy.

– Wolno mu było przeprowadzić tylko jedną rozmowę telefoniczną.

– Dlaczego zadzwonił do ciebie?

Jakie to wszystko niesprawiedliwe!

– Pewnie dlatego, że jesteś ofiarą, więc oficer dyżurny nie zezwolił na kontakt. – Wzdycha niecierpliwie. – Daj spokój, Karen. Tu nie chodzi o to, do którego rodzica zadzwonił. Najważniejsze to wydobyć go z tego gówna.

Karen jest zaskoczona, słysząc tak niezwykle u męża przejaw emocji.

– Oliver?

– Grozi mu, że stanie przed sądem. Wiesz, że goniła go policja drogowa, zanim wpadł na zaparkowany samochód? Że brał udział w, jak to nazywają, pościgu policyjnym i nie zatrzymał się na wezwanie? Mają wszystko nagrane. Oprócz tego jeszcze prowadził bez prawa jazdy i ważnego ubezpieczenia. Stanie przed sądem i być może dostanie nadzór kuratorski.

– O mój Boże! Co on najlepszego zrobił? I, do jasnej cholery, dlaczego?

Głos Olivera brzmi zimno:

– Nie czas teraz na wzajemnie oskarżenia czy robienie wyrzutów sobie samym. Najważniejsze, jak mu pomóc.

– Tak, masz rację. – Stara się odzyskać panowanie nad sobą. – Gdzie jesteś?

– W Londynie.

Oczekuje, że mąż przyzna się do poczucia winy.

– Livy miała spędzić noc u Molly, a Jake mówił, że zostanie w domu i będzie się uczył, więc wydawało mi się – jak widać, była to zła decyzja – że nie ma potrzeby, żebym wrócił do domu i ich pilnował. Zostałem w mieście, żeby nadrobić zaległości w pracy.

Milczy, ale wyraźnie słyhać, że jest wściekła. Był zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od domu, a jakby na innym kontynencie. Nagle czuje, że ma dość takiego oddalenia, dość swojej samotności. Jak do tego doszło? Przez chwilę ma ochotę wyzbyć się odpowiedzialności: znaleźć się w bezpiecznym uścisku jego ramion, czuć, jak jego pierś opada i się wznosi. Ale tylko wydaje polecenie:

– Załatw, proszę, jakiegoś prawnika. Jadę prosto na komisariat. Zobaczymy się w domu.

Kiedy okrąża Londyn, a jej porsche cayenne pożera kilometry autostrady M25, przychodzi jej do głowy, że dwoje członków jej rodziny można by dziś oskarżyć o przekraczanie dozwolonej prędkości. Dobrze wie, jak szybko jedzie, czasami wyprzedzając po niewłaściwej stronie auta, które mają śmiałość przestrzegać przepisów ruchu. W pewnej chwili jasnowłosa kierowca z czarnego porsche boxstera zaczyna z nią flirtować, z bezmyślnym uśmiechem próbując ją wciągnąć w samochodowego berka.

Zjeżdża na środkowy pas, zwalnia i pozwala mu odjechać w chmurze spalin i na darmo uwolnionego testosteronu. Ruch się zagęszcza. Porsche i mercedesy, które panowały na drodze tuż po szóstej, teraz przepychają się wśród audi i volkswagenów golfów, podrasowanych aut z napędem na cztery koła i taksówek wiozących pasażerów na lotnisko drugi raz tego dnia. Wszyscy pędzą półkolistą drogą, okrążając stolicę niczym sznur lampek świąteczną choinkę.

Po zjeździe na M3 w kierunku południowym ruch maleje, więc znów przedostaje się na wewnętrzny pas, zostawiając za sobą sznur ciężarówek. Samochód wije się między wzgórzami South Downs, króliki skaczą wzdłuż drogi, a lis, który i tak skończy jako padlina na poboczu, ucieka jej spod kół. Pędzi przed siebie, teraz z szybkością stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Winchester jeszcze śpi, a Southampton, gdy tam wreszcie dociera, dopiero budzi się ze snu. Na przedmieściach wszystko pozamykane, na ulicach nikogo z wyjątkiem kilku porannych biegaczy czy zabłąkanych imprezowiczów. Życie toczy się jak zwykle, chociaż Jake siedzi w policyjnym areszcie. To nie do pomyślenia.

Parkuje w centrum miasta i idzie na komisariat: jest siódma trzydzieści siedem, piękna kwietniowa niedziela. Dookoła kochankowie odsypiają zabawę minionej nocy, przytuleni do siebie w łóżkach. Tymczasem jej siedemnastoletni syn odbiera surową, choć może spóźnioną lekcję życia. Wyobraża go sobie, pozbawionego paska i butów, bez portfela i iPhone'a, przeżywającego noc w ciemnej celi gdzieś w zakamarkach budynku policji. Jego piękna twarz jest pewnie zmięta, a zawiadką minę zastąpiły łzy. „Ja nie płakałam – myśli. – Nawet kiedy chwycił mnie za głowę”.

To zapach odświeża jej pamięć. Charakterystyczna woń takich instytucji: ostry odór środków czyszczących i strachu. Ten smród przenosi ją w przeszłość, do toalet w szkole średniej, gdzie w ciasnych kabinach odbywały się szantaże i drobny handel narkotykami. Dziewczyny, przygarbione ze strachu za pojemnikami na papier toaletowy lub skulone na czarnych, poplamionych uryną deskach klozetowych, dawały się poniżać swoim prześladowcom. Wraca do niej jeszcze jedno wspomnienie, które od trzydziestu lat stara się wymazać z pamięci: ona jako siedemnastolatka przyprowadzona na komisariat w Southend. „Nie płakałam wtedy – myśli. – Uporałam się z tym później na własny sposób”.

– Słucham panią?

Oficer dyżurny patrzy zdziwiony na elegancką kobietę, która tak wcześnie rano zjawia się w komisariacie. Jest ubrana tak, jakby wracała z przyjęcia: krótka sukienka, blezer, botki na wysokim obcasie – ale wydaje się przytomna, absolutnie trzeźwa i skoncentrowana.

– Jake Hammond. – Karen obniża głos, chociaż nikogo nie ma w pobliżu, a na pewno nie ma zapamiętanych z przeszłości pijaków, których się bała. – Podobno został tu zatrzymany. To mój syn.

– Pani Hammond? Jestem sierżant Tyler.

Zdziwiony porównuje w myślach stojącą przed nim kobietę z opryskliwą histeryczką, z którą rozmawiał przez telefon.

– Szybko tu pani dotarła. Ale mówiłem, żeby pani tu nie przyjeżdżała.

– Przepraszam. Po prostu chciałam go jak najszybciej zobaczyć.

– Obawiam się, że w tej chwili to niemożliwe. Jest pani poszkodowaną w tej sprawie, więc wolno się będzie wam zobaczyć dopiero, kiedy panią przesłuchamy. A on ma siedemnaście lat. Nie potrzebuje tu pani jako matki.

– Oczywiście, że mnie potrzebuje. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Chodziło mi o to, że nie jest wymagane, żeby był w towarzystwie kogoś dorosłego, rodzica czy innego opiekuna prawnego. W tych okolicznościach jest traktowany jak dorosły.

– Ale nie jest dorosły.

– W świetle prawa jest.

Karen wścieka się w środku, kiedy czuje, że łzy napływają jej do oczu.

– Nie jest dorosły. To mój mały synek.

Uspokaja się, kiedy policjant z drogówki, nieopierzony młody sierżant tuż po szkole, próbuje



uzyskać od niej oświadczenie. Czuje się pewniej, ponieważ jest na własnym gruncie: w swoim obszernym salonie z wypolerowanym dębowym parkietem, który mogą zarysować czarne, niczym wyjęte z komedii buty policjanta. Sierżant siedzi na wielkiej kremowej sofie, przez co od razu wydaje się niższy i mniej groźny. Pomaga jej też obecność Olivera. Osobie z zewnątrz muszą się wydawać zgraną parą, martwiącą się losem syna i świadomą konsekwencji, na jakie wystawił się swoim zachowaniem: popełnił przecież przestępstwo.

– Myślę, że możemy to przypisać młodzieńczej brawurze. – Oliver stara się bagatelizować sytuację z biegiem, o jaką Karen podejrzewała go w kwestiach zawodowych, ale rzadko miała okazję ją obserwować.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, ale to jest chyba coś trochę poważniejszego – nie zgadza się sierżant Knapton. – Jechał obwodnicą z prędkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i uciekał przed patrolem policji.

– Sierżancie, mój mąż chciał tylko powiedzieć – wtrąca Karen z uśmiechem skierowanym do obu mężczyzn, napełniwszy kawą filiżankę policjanta – że Jake nie jest chuliganem. Nigdy przedtem nie miał kłopotów z prawem i, jak zaświadczy dyrektor jego szkoły, jest przykładnym uczniem. Oboje sądzimy – ciągnie – że to był tylko głupi wybryk, który wyrwał się spod kontroli. Wytłumaczymy mu, co myślimy o takim postępowaniu. Może pan być tego pewien. Jeśli zaś chodzi o wniesienie zarzutów, to nie uważam, żeby to coś dało oprócz pozbawienia go czystej kartoteki, przez co może się stać jeszcze bardziej wyobcowany.

– Moja żona ma rację – potwierdza Oliver, uśmiechając się do niej. – Dziękuję, kochanie. Wydaje mi się, że musimy wziąć też pod uwagę – mówi dalej – że to ambitny młody człowiek. Wybiera się na studia do Durham i jeśli w ten sposób zapaskudzimy mu kartotekę, możemy mu zrujnować życie. Tak więc nie wniesiemy oskarżenia i chociaż rozumiemy, jak poważne nasz syn popełnił wykroczenie, będziemy go wspierać. – Uśmiecha się jak zamożny człowiek przyzwyczajony do stawiania na swoim. – A jeśli chodzi o kaucję...

– To zależy od oficera dyżurnego. To nie moja sprawa. Lecz jeśli, jak państwo sugerują, będą państwo go wspierać i nie pomogą w ucieczce i jeśli nie będzie stanowił zagrożenia dla własnego bezpieczeństwa...

– Jake i samobójstwo? Co za niedorzeczny pomysł.

– ...nie ma powodów, dla których nie można by mu było przyznać prawa do kaucji.

– Dziękuję, sierżancie – odzywa się Karen. – A więc może już wrócić do domu?

– Najpierw musi zostać przesłuchany.

– Tak, oczywiście. – Zapomniała o tym. – Kiedy już będzie wolny, chciałabym odebrać go osobiście.

*Musisz znaleźć czas, żeby upiec coś specjalnie dla swoich dzieci, zrobić dla nich fantastyczne kanapki czy ciasto w kształcie motyla. Piękny tort urodzinowy na zawsze zostanie w pamięci dziecka. Każdy pragnie czuć się kochany i wyjątkowy. A dzieci pragną tego najmocniej.*

Jake wita ją zupełnie załamany. Arogancja, której przez ostatnie miesiące używał jako zbroi, zniknęła. Bardziej niż mężczyznę przypomina teraz chłopca: wystraszonego i bezbronego. Bosy i bez paska wydaje się niższy i przygarbiony.

– Co tam, mamó? – wita ją niepewnie.

Nie używa ironicznej formy „mamuśka”. Pochyla głowę, żeby ukryć wstyd i napływające pod powieki łzy. Karen podchodzi bliżej, żeby go objąć.

– Co robisz? – pyta zażenowany, ale zaraz się poddaje.

– Już wszystko dobrze, skarbie. Już dobrze.

Trzymając w objęciach swojego wysokiego chudego syna, zdaje sobie sprawę, że ostatni raz tak go przytulała co najmniej cztery lata temu, kiedy był dwunasto- albo trzynastolatkiem. Jeśli od tamtej pory zdarzało mu się jej dotknąć, to tylko przelotnie, z ironią otaczał ją ramieniem, kiedy wygłupiał się z kolegami, ewentualnie obdarzał ją wymuszonym uściskiem, trzymając się od niej jak najdalej.

Odsuwa się teraz, czując na sobie szacujące spojrzenie inspektora, który dał mu do zrozumienia, jak bardzo jest mu niechętny.

– To nie znaczy, że nie jesteśmy z tatą na ciebie wściekli – mówi Karen częściowo do syna, a częściowo na użytek policjanta.

Nie chce, żeby uznał, że Jake to dzieciak z bogatej rodziny, za którego wybryki zapłacą kochający rodzice – chociaż taka jest prawda. Wiele godzin później będzie go przeklinała w duchu, ponieważ składając oświadczenie dla firmy ubezpieczeniowej, będzie musiała wyjaśnić, że samochód został skasowany, chociaż nie ukradziony. W obliczu realnej groźby utraty odszkodowania w zaciszu łazienki da upust rozżaleniu. Teraz jednak nie padają żadne wymówki. Czuje jedynie wielką ulgę.

Wraz z synem i policjantem wypełnia konieczne dokumenty. Czy może zagwarantować, że syn nie zechce uciec? Nie wygląda na to, żeby stanowił zagrożenie dla siebie lub innych, a na dodatek okazał odpowiednią skruchę, więc może zostać zwolniony za kaucją. Za dwa tygodnie jednak będzie musiał się stawić w sądzie dla młodocianych przestępców. Jake podpisuje odbiór swoich rzeczy zapakowanych w opatrzoną nalepką plastikową torbę. Portfel i iPhone, skarpetki, pasek i klucze do domu. Odbiór kluczyków od samochodu kwituje Karen. Wrzuca ciężki brelok głęboko do torebki, w bezpieczne miejsce.

– Wie pani, że samochód nie nadaje się już do jazdy?

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

– Musi pani skontaktować się z warsztatem.

Rozmawiają o sprawach praktycznych, ogłupiających, nudnych, ale niezbędnych, podczas gdy Jake obok niej umiera ze wstydu. Kiedy docierają do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, syn wybucha płaczem: cichy szloch wstrząsa jego ciałem, a Karen zirytowana myśli, że to wszystko tylko na pokaz. W milczeniu wsiada do porsche i otwiera drzwi pasażera. Dopiero gdy wszystkie drzwi są zamknięte i wie, że nikt ich nie słyszy, może się do niego odezwać.

– No więc? – zaczyna zimno. Gniew przyćmiewa ulgę – gniew nie tylko za zniszczenie samochodu, ale za to, że musiała przejść takie trudne chwile.

Jake łąka głośno. Oczy ma czerwone i zapuchnięte, nad górną wargą połyskują łzy i wydzielina z nosa.

– Na litość boską, wytrzymaj nos.

Wręcza mu świeżą chusteczkę z paczki, potem następną. Jake pociąga nosem i uśmiecha się blado. „Jakby znów miał pięć lat”, myśli Karen, patrząc na niego bardziej obiektywnie.

– Dlaczego to zrobiłeś, Jake? Jak mogłeś być taki głupi, taki nieodpowiedzialny? Mogłeś się zabić albo zabić kogoś innego. Chryste, mogłeś spowodować wypadek i zostać oskarżony o nieumyślne zabójstwo.

Znów pociąga nosem, ale kiedy na nią spogląda, w jego oczach pojawiają się złość i niedowierzanie, podobnie jak u niej.

– A jak ci się wydaje?

– Nie mam bladego pojęcia. Chciałeś się zabawić? Przecież nie byłeś pijany. Naćpałeś się? Mój Boże...

– Nie, nic z tych rzeczy. Szczerze. Na policji zrobili mi badanie krwi.

– No to dlaczego? Żeby się na mnie odegrać?

– Tak. – Teraz już płacze naprawdę.

– Tak? – Ze zdumienia odbiera jej mowę. – Tak? – pyta głośniej.

– Naprawdę się nie domyślasz?

– Nie.

Oczywiście wie, o co może mu chodzić, i jej obawa przeradza się w pewność.

– Z powodu Jamiego – wyrzuca z siebie Jake.

– Ale o co chodzi? – Brakuje jej tchu.

– Przechwalał się...

Robi jej się niedobrze. Reakcja jest fizjologiczna, nie tylko psychologiczna. Otwiera drzwi samochodu i wychyla się. Wdycha świeże ranne powietrze, żeby uspokoić nerwy, powstrzymać katastrofę. „Nikogo nie oszukasz, mamuśka. Nikogo nie oszukasz”.

Zyskuje trochę czasu. Odwraca się do Jake’a, który szlocha teraz ciszej, rytmicznie pociągając nosem.

– Przechwalał się?

– W piątek wieczorem. Wpadłem na niego na mieście. W Wetherspoons. Nie sądzę, żeby wszystkim o tym opowiadał. Taką mam przynajmniej nadzieję. Tylko mnie i Samowi. „Twoja mama to niezła laska” i takie tam. Powiedziałem mu, żeby się zamknął, a on na to: „Ale jej to nie przeszkadza. Jest niezła w te klocki”. – Krzywi się i zerka na nią z ukosa, żeby ocenić jej reakcję.

Karen siedzi blada i wściekła.

– Chciałem mu przyłożyć, ale on tylko się śmiał. Śmiał się ze mnie. A potem dodał: „Wiem to z doświadczenia, maminsynku”. – Ostatnie zdanie wyrzuca z siebie, łkając.

Przez chwilę w samochodzie słychać tylko jego płacz. Wyciera rękawem smarki.

– Znów się na niego rzuciłem i wtedy wywalili mnie z pubu. Potem przysłał mi esemesa: „Przepraszam, stary. To był żart”. Ale on nie żartował. Wiem, że nie.

– Oczywiście, że to był żart – kłamstwo przychodzi jej automatycznie.

– Do cholery, przestań traktować mnie jak dziecko! Nie jestem głupi. – W jego wielkich brązowych oczach widać niechęć. – Mamo, ja wiem. Ja wiem.

„Nikogo nie oszukasz, mamuśka. Nie oszukasz nikogo”. A może jednak spróbować jeszcze raz? To nie koniec rozmowy.

– Zawsze z nim flirtowałaś przy basenie.

Wzdycha z ulgą.

– Co tam flirt. Wiesz, jaka jestem. To tylko nieszkodliwa...

– Raz w czasie ferii wróciłem wcześniej do domu... Odjeżdżał na rowerze spod naszych drzwi i udawał, że mnie nie widzi. Nie rozumiałem, dlaczego był u nas i nie chciał się ze mną spotkać... Kiedy wszedłem, wydawałaś się trochę zmieszana. Upiekłaś, zdaje się, babeczki z kremem waniliowym, moje ulubione. Kilka było zjedzonych. Pamiętam, jak się zdziwiłem, bo przecież ty nigdy nawet ich nie próbujesz, nie mówiąc o zjedzeniu dwóch. Powiedziałaś, że wpadł, żeby przekazać jakieś informacje o lekcjach pływania Livy, i że dałaś mu dwie babeczki. Szczerze mówiąc, byłem zazdrosny. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego częstujesz ratownika z basenu kawą, dlaczego spędzasz z nim czas. Byłem zazdrosny, że dałaś mu dwie pieprzone babeczki, które upiekłaś dla mnie... Potem poszłaś na górę pod prysznic i zdałem sobie sprawę, jaki jest prawdziwy powód jego wizyt i jakim jestem głupim, infantylnym szczeniakiem.

Karen milczy. Nie ma nic do powiedzenia. Zdaje się, że syn ma niepodważalny dowód. W innych okolicznościach nadal by kłamała, ale wie, że Jake'a nie przekona. Patrzy, jak za szybą samochodu Southampton budzi się do życia: biegacze i właściciele psów wracają do domów, niosąc niedzielne gazety, elegancko ubrani wierni spieszą na wczesne nabożeństwo o dziewiątej. Wokół solidnej puszki jej samochodu z napędem na cztery koła życie toczy się dalej. W niej życie stanęło na głowie i trwa w zawieszeniu, chociaż zegar cyfrowy wskazuje upływ kolejnej minuty.

To Karen w końcu wyrzywa ich z marazmu:

– Nie jesteś głupi, jesteś bardzo bystry. – Patrzy na niego i mówi szczerze: – Bardzo, bardzo cię przepraszam.

Samobiczowanie nie leży w jej naturze, tak samo jak płaszczenie się przed kimś. Jeśli będzie robić sobie wyrzuty – a na pewno będzie – to w samotności, w zaciszu łazienki, przy szumie odkręconej wody. Ale przeprosiny wydają się jej niewystarczające: cztery słowa nie oddają głębi jej skruchy. Powtarza je więc, jakby to mogło coś naprawić:

– Tak bardzo cię przepraszam, Jake.

Przez resztę dnia chodzi otepiała. Słucha, jak Oliver dzwoni do starego przyjaciela z college'u – prawnika od spraw karnych specjalizującego się w uzyskiwaniu łagodnych wyroków dla celebrytów, którzy popełnili przestępstwa drogowe. Przyjaciel godzi się reprezentować Jake'a przed sądem dla młodocianych. Z ulgą przyjmuje przekazaną jej przez męża wiadomość, że Jake'owi grozi grzywna trzystu lub czterystu funtów za prowadzenie pojazdu bez ubezpieczenia i będzie musiał czekać półtora roku, zanim dostanie zezwolenie na przystąpienie do testu na prawo jazdy. Gotuje starannie, z miłością, sumiennie. Piecze kurczaka, przyrządza *purée* ziemniaczane z masłem, zieloną fasolkę i sos na winie – wszystko dla syna, który rano nie chciał nic jeść, więc teraz, późnym popołudniem musi być głodny jak wilk. Oliver, wyraziwszy głęboką dezaprobatę dla postępowania syna, ale nadal nieświadomy roli, jaką w tym zdarzeniu odegrała żona, wrócił do Londynu. Sprawdza, jak się miewa Jake. Chociaż jest dopiero dziewiąta wieczorem, syn leży skulony pod kołdrą, małomówny i wyczerpany, ale bezpieczny pod jej dachem.

Kiedy się upewnia, że syn i córka śpią, wycofuje się do swojego sanktuarium: do łazienki minimalistycznej jak pomieszczenia spa, sterylnej niczym w butikowym hotelu, zupełnie nieoddającej jej skomplikowanej natury. Owija się grubym szlafrokiem, przyglądając się swojemu brzuchowi i udom, sprawdzając, czy kości biodrowe są wystarczająco ostro zarysowane, tak że można oprzeć na nich kciuki. Potem ogląda swoją twarz: zaciętą, poznaczoną bruzdkami, zmęczoną. Osuwa się na ciepłą, ogrzewaną od spodu podłogę, ale nadal się trzęsie – z wyczerpania i strachu.

Wymioty jej dzisiaj nie wystarczają, nie dają jej satysfakcji. Nie była w stanie nic dzisiaj przełknąć, więc zwraca jedynie jasnożółtą ciecz: soki żołądkowe. Przygnębiona szuka zapomnienia w kąpieli tak gorącej, że niemal parzy skórę. Siada ostrożnie w wannie, ale po chwili odkręca zimną wodę i zanurza się całkowicie, tak że słyszy tylko szum w uszach, co na chwilę pozwala zapomnieć o wszystkim. Jej włosy rozplływają się na boki i falują wokół niej niczym wodorosty. Nie przypomina jednak

prerafaelickiej Ofelii, tylko zawziętą, czerwieniącą Meduzę.

Wynurza się na powierzchnię, łapczywie chwytając powietrze, i wtedy pojawiają się łzy. Płacze z gniewu, poczucia winy, wstydu i żalu nad sobą. Chociaż gorączkowo szoruje całe ciało, nie może pozbyć się woni komisariatu: zapachu wybielacza i stołówkowego obiadu, strachu i rozpaczy. Znow cała się zanurza, żeby oczyścić każdy zakamarek ciała. Próbuje nawet wymyć nozdrza od środka, ale tylko zaczyna się krztusić. Podnosi się i znow nurkuje, obejmując się ramionami, jakby parodiowała uścisk kochanków.

Obraz, który tkwi w jej głowie, nie przedstawia Jake'a opisującego łamiącym się głosem drwiny Jamiego ani Olivera, chłodno i skutecznie uruchamiającego potrzebne znajomości. Nie jest to nawet obraz jej i Jamiego, wyciągniętych w jej małżeńskim łóżku pewnego chmurnego popołudnia w grudniu – może był to dzień, kiedy nakrył ich Jake – po wyjątkowo udanym seksie, kiedy jej ciało nadal drżało jak napięta struna. Widzi postać, o której od trzydziestu lat chce zapomnieć. To oficer dyżurny z komisariatu w Southend. Mężczyzna średniej budowy ciała, o szerokich ramionach, silny i zwarty, ktoś, z kim nie należy szukać zaczepki. Ciemne oczy patrzyły czujnie i znacząco. Dostrzegły ją, kiedy tylko wciągnięto ją do komisariatu zakutą w kajdanki. Najdokładniej pamięta sprzączkę od paska: ciężką, z matowego mosiądzu. Gruby skórzany pas wrzynał się w jego ciało, podkreślając brzuch i krocze.

– Wiem, w jaki sposób możesz uniknąć oskarżenia. – Uśmiechnął się obleśnie. – Obciągniesz mi szybko laskę i nikt się niczego nie dowie.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz – warknęła z właściwą sobie w tym wieku brawurą.

– Jak sobie chcesz. Pierwszy raz tu jesteś, tak? Za kradzież sklepową? Teraz sędziowie są bardzo surowi w takich sprawach. Taka bystra dziewczyna na pewno nie chce spaskudzić sobie kartoteki. Dostaniesz wpis, że byłaś karana. Ale jeśli uprzyjemnisz mi tę noc, zapomnę o wszystkim...

Rozpiął rozporek, wyjął penisa już w stanie wzwodu. Mięsiłą łapą chwycił ją za tył głowy.

Nawet po trzydziestu latach pamięta ten smród: kwaśny od zaschniętego moczu, widzi białawy osad pod skórą napletka. To i obrzydliwy smak.

Rzuca się do muszli klozetowej i znow wymiotuje.

*Zdarzą się w twoim życiu takie chwile, kiedy pieczenie będzie ostatnią rzeczą, na którą będziesz miała ochotę. Ale nie pozwalaj, żeby taki stan trwał zbyt długo. Z rzadka przytrafia się to również mnie, lecz wkrótce zaczynam za tym tęsknić i czuję się jak owieczka oddzielona od matki.*

– Nie będzie dłużej tego robić.

– Kto nie będzie czego robić?

– Karen. Zrezygnowała z konkursu. – Vicki natychmiast zadzwoniła do Claire z nowiną.

– Jak to: zrezygnowała?

– Tak po prostu. Zadzwoniła do Jenny i powiedziała, że ustępuje jej pola i wycofuje się z gry.

A Jenny zadzwoniła do mnie.

Vicki jest bardzo podekscytowana, ale trochę ją irytuje, że Karen nie widziała w niej głównej konkurentki. W porządku, Jenny ma największe szanse na zwycięstwo, ale byłoby uprzejmie, gdyby Karen tak jasno nie dała do zrozumienia, kogo uważa za faworyta, i skontaktowała się ze wszystkimi uczestnikami.

– Czy powiedziała dlaczego? – Claire najwyraźniej nie potrafi pojąć, jak to możliwe, żeby ktoś zrezygnował z konkursu. – Przecież tak dobrze jej szło. Wygrała w konkurencji puddingów. Ma najwięcej wejść na YouTube. Bez urazy, ale sądziłam, że wygra ona albo Jenny.

– Jej syn ma jakieś kłopoty z policją. Ukradł jej samochód i rozbił. – Vicki nadal w to nie wierzy, a kiedy głośno o tym mówi, cała sprawa wydaje jej się jeszcze bardziej niepojęta.

Następuje przerwa, podczas której Claire analizuje nowinę. Kiedy się odzywa, w jej głosie również pobrzmiewa niedowierzenie:

– Syn Karen ukradł i rozbił samochód dla zabawy? Nie-moż-li-we!

– Właśnie! Chociaż to było jej auto, nie kogoś obcego.

– Niewiele to zmienia. – Claire cicho gwizdże. – Musiała być naprawdę wkurzona.

– Zdaje się, że nie. – Vicki jest zaskoczona takim obrotem spraw. – Jenny twierdzi, że bardzo go wspiera. Za dwa tygodnie ma być rozprawa w sądzie, więc Karen chce się skupić wyłącznie na synu. Dlatego zrezygnowała.

– To bardzo piękne z jej strony... i całkowicie zrozumiałe.

– Tak. Ale chyba trochę zdumiewające... Nie wiem jak ty, ale ja nie dostrzegłam w niej silnych uczuć macierzyńskich. Nigdy nie opowiadała o dzieciach, prawda? Nie tak jak ty czy ja. Ciągłe o nich gadamy. Niezła nauczka. Miałyśmy o niej tyle do powiedzenia, a tak naprawdę wcale jej nie znałyśmy.

## Kathleen

Dwadzieścia trzy tygodnie, dwadzieścia cztery. Wyczytała, że jej dziecko ma teraz wielkość półkilogramowego opakowania cukru. Wizualizuje to sobie, a potem prosi panią Jennings, żeby przyniosła jedno z kuchni. Waży w rękę torebkę ze znakiem firmy Tate and Lyle. Wydaje się ciężka. Solidna. Namacalna. To już jest waga, którą można poczuć.

Dziecięca stópka uderza lekko w ścianę jej brzucha. „Moje kochanie – myśli Kathleen. – Zostań w środku. Zostań tam, gdzie jesteś bezpieczna”. Znowu dotyka wewnętrznej strony ud. Nie czuje lepkości, krew nie wycieka. Patrzy na swojego rolexa. Dziesiąta. Ostatnio upewniała się dwie godziny wcześniej. Musi zwalczyć ten nerwowy odruch, obsesyjne sprawdzanie. Obiecuje sobie, że następny raz będzie dopiero po południu. Co robić? „Myśl o czymś pozytywnym”, upomina się. Tuż za oknem rozkwitła wiśnia... Do sypialni wpada jaskrawe kwietniowe słońce...

– „Twoją sferą te ściany, centrum – łóżko będzie” – mamrocze, cytując Donne’a.

„Myśl o *Sztuce pieczenia*”. Zaraz się uśmiecha. Książka jest skończona, a datę publikacji wyznaczono na początek września, miesiąc po przewidywanym terminie porodu. Będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do formy i pomóc w promocji. Tak zapewniła George’a. I rzeczywiście bardzo chce wziąć w tym udział. Po miesiącach leżenia w samotności sztywno jak deska chce śpiewać wszystkim o radości z pieczenia i o miejscu tej czynności w sercu rodziny. Wierzy, że będzie w stanie znowu wejść w rolę pani Eaden.

Przeciąga się jak kot i prostuje stopy, nie mogąc ćwiczyć inaczej. Cieszy się chwilą satysfakcji. Jedno dzieło zakończone. Jeśli to jej się udało, to może... oby... udało jej się i drugie – wychowanie dziecka.

Automatycznie zaciska kciuki. Poczucie winy nęka ją przez dwa ostatnie lata – strach, że zabiła troje poprzednich dzieci przez to, że ma za słabą szyjkę macicy, odraza do samej siebie tym spowodowana – zaczyna stopniowo słabnąć. „Potrafię to zrobić”, powtarza sobie, powstrzymując się przed dotknięciem wewnętrznej strony ud. Dziecko się porusza. „Potrafimy to zrobić”, poprawia się, głaszcząc brzuch i lekko go poklepując uspokajającym gestem. „Zostań tam jeszcze trochę dłużej. Zostań, gdzie ciepło i przytulnie”.

Obok łóżka leży najnowszy „Home Magazine” zawierający nie tylko jej artykuł, lecz także wzór na buciki dla noworodka. Nie ma zamiaru ich robić ani zamawiać dziecięcych ubranek z domu towarowego Petera Jonesa. Kiedy jednak George kupuje łóżeczko – pasujące do jej ukochanych mebli z Ercola, których mąż nie znosi – dziękuje mu wylewnie. Nie słucha wewnętrznego głosu, który ostrzega, że kusi los.

Uroczysty  
podwieczorek





*Księżna Bedford wprowadziła zwyczaj picia popołudniowej herbaty w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Sto dwadzieścia lat później może on się wydawać nieco przestarzały. Nie mamy takiej potrzeby; w naszych czasach wystarczy chwycony w biegu herbatnik popity kubkiem kawy instant. Może nam się też wydawać, że nie ma na nią czasu przy stale wzrastającym tempie życia. Jest jednak wiele wspaniałych tradycji, które – choć całkiem zbędne – są wysoce przyjemne. Popołudniowa herbata jest jedną z nich. Podana co jakiś czas między czwartą a piątą nie tylko wzmocni nas i orzeźwi, lecz także poprawi nam nastrój. Ucieszy nas i podtrzyma na duchu.*

*W celu zachowania odpowiedniej formy trzeba podać chociaż jedną wytrawną przekąskę. Wystarczą kanapki z cienko pokrojonego pieczywa, jeśli wypełnimy je wędzonym łososiem i kremowym serkiem, drobno pociętą szynką i musztardą, cienkimi plasterkami ogórka i masłem lub gotowanym łososiem i majonezem z koperkiem.*

*Skoro element wytrawny mamy już z głowy, możemy się skupić na smaczniejszych propozycjach: słodkich bułeczkach, herbatnikach i wykwinnych miniaturowych ciasteczkach. Ładny wygląd się liczy, więc używam trzypoziomowej patery. Układam na niej cytrynowe, malinowe i czekoladowe makaroniki, minibabeczki owocowe, miniaturowe eklerki z czekoladą albo minitorciki Paryż–Brest. Tym, których nie zadowolają takie słodkie drobiazgi, możesz podać coś konkretniejszego, na przykład ciasto imbirowe lub szkockie dundee ozdobione na wierzchu migdałami. Osobiście wolę coś bardziej dekadentckiego: ciasto czekoladowe lub tort śmietankowo-truskawkowy. Delikatny, ale konkretny.*

*Do picia należy podać herbatę darjeeling lub earl grey – koniecznie w dzbanku. Tutaj chodzi o rytuał. Nie zapomnij o dzbanuszku z mlekiem i plasterkach cytryny. I pamiętaj: nigdy nie wlewamy mleka na początku. Możesz też zapomnieć o tych zasadach i zaserwować coś naprawdę ekstrawaganckiego, dla wybranych gości – kieliszek szampana.*

*Kathleen Eaden, Sztuka pieczenia (1966)*

*Nigdzie alchemia pieczenia nie jest tak widoczna jak przy pieczeniu ciasta ptysiowego. Surowa słonawa masa pęcznieje i nabiera niezwykłych kształtów, które można napełnić smaczkowym nadzieniem.*

Vicki jest zupełnie roztrzęsiona: wpadła w panikę, nie może logicznie myśleć, a jej kuchnia wygląda jak pobożowisko. Finał konkursu już za jeden dzień, a jej nic nie wychodzi: ciasto ptysiowe jest gęste i ciężkie, minibiskopciki z malinami i kakao wyglądają nieapetycznie, a piętrowe napoleonki *millefeuille* mają nieregularne, pozbawione finezji i elegancji kształty.

Pracowała do drugiej nad ranem, a wstała o szóstej, kiedy Greg wychodził z domu, sugerując, żeby sobie jeszcze pospała. Żyje adrenaliną, cukrem i kawą. I czuje, że robi się jej niedobrze. Jakby jednego dnia miała napisać szkolne sprawozdania, nadzorować wystawienie jasełek i przygotować się do ważnej hospicji. Niemożliwe, żeby dała sobie ze wszystkim radę.

– Maaaamoooo... – To Alfie woła ją z ogrodu, jak zwykle domagając się uwagi. – Zagraj ze mną w piłkę!

– Nie mogę, skarbie. Jestem zajęta.

– Ale obiecałaś...

– Niczego nie obiecywałam. Powiedziałam, że być może zagramy później, jak skończę.

Trzylatek nie rozumie, jaka to różnica, i biegnie w głąb ogrodu ze spuszczoną głową i zgarbionymi ramionami, niemal komicznie demonstrując wściekłość. Vicki przez chwilę ma poczucie winy, że potraktowała go tak zasadniczo i lekceważąco. Nie ma jednak czasu zbyt długo się tym martwić. Postanawia jeszcze raz zrobić ciasto ptysiowe. Przygotowuje składniki: zwykła mąka wysypana na pergamin, woda, masło i sól w niedużym rondelku, trzy jaja od kur z wolnego wybiegu, lekko ubite. Podgrzewa masło i wodę, a kiedy mieszanina zaczyna wrzeć, dosypuje mąki i zestawia rondel z ognia. Potem z zapamiętaniem miesza masę drewnianą łyżką.

– No, dalej – mamrocze pod nosem, a to, co z początku zapowiadało się na kulinarną porażkę, łączy się w gładkie, ciężkie ciasto. – O, teraz lepiej!

W kuchni co jakiś czas rozlega się głucho uderzenie. Zajęta Vicki z początku go nie zauważa i dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, co jest przyczyną tego dźwięku. Alfie, który z początku bawił się swoją piłką w głębi ogrodu, teraz kopie ją, celując w ścianę domu i ramę otwartych przeszklonych drzwi.

– Alfieeee!

Piłka wpada do środka, głośno odbija się od szafek i toczy się do jej stóp. Chłopiec śmieje się histerycznie, ale zaraz zauważa jej gniew.

– Alfie Marchancie, jestem na ciebie bardzo zła!

Porzuca ciasto i wybiega za nim napędzana furją. Malec patrzy na nią trochę ze strachem, a trochę z nadzieją, że będą grać razem w piłkę, ale kiedy widzi wyraz jej twarzy, wybucha płaczem. Ucieka, potyka się o kępkę trawy, wstaje i próbuje schować się w swoim wigwamie. Rozpłascza swoje ciało na ziemi i stara się tyłem wpełznąć do środka i tam się ukryć przed jej wzrokiem.

Vicki wyciąga go na zewnątrz.

– Aj! Boli!

Syn stara się wyrwać z jej uścisku, ale ona mocniej zaciska dłonie na jego ramionach, zostawiając czerwone ślady w zgięciach łokci.

– Jeszcze bardziej cię zabolę, jeśli będziesz niegrzeczny!

Skąd wzięły się u niej takie groźby i taki dobór słów? Odpowiedź przychodzi automatycznie: słyszała je od matki. Przykłęka i odwraca chłopca plecami do siebie, jakby chciała mu wymierzyć klapsa.

– Maaaamooo!

Podnosi rękę, mając wrażenie, że sama siebie obserwuje z zewnątrz. Gdzie się podziała spokojna, miła panna Taylor, jak ją nazywano w Szkole Świętego Mateusza? Cała sytuacja wydaje jej się tak niedorzeczna, tak do niej niepasująca, że natychmiast zamiera bez ruchu. Nie wie, co zrobić z uniesioną ręką. Przyciąga synka do siebie i przytula go.

– Synku kochany, przepraszam cię – szepcze, zaskakując go nagłą zmianą zachowania.

Siedzą razem, ona obejmuje go i gładzi po włosach, szepcząc słowa pocieszenia, on milczy, ponieważ nie pojmuje, co się stało. Vicki bardzo się wstydzi. Dlaczego tak się zachowuje? Jeszcze nigdy nie była tak bliska wymierzenia mu klapsa.

Niesie go do domu, chociaż jest już na to za ciężki i w normalnych okolicznościach biegłby sam. Malec przyłgął do niej, niejasno zdając sobie sprawę, że to dla jej lepszego samopoczucia. Idąc, czule do niego szepcze, ale jej dobroć ma swoje granice. Vicki nie może się oprzeć i udziela mu przestrogi:

– Mamusia nie chciała tak się rozzłościć i bardzo przeprasza, ale przecież wiesz, że nie wolno kopać piłki do...

Alfie łka cichutko.

– Och, kochanie, przepraszam.

Kiedy docierają do kuchni, Vicki stwierdza, że przerwała mieszanie ciasta, zanim porządnie się związało, i teraz utworzyły się w nim grudki. Musi jeszcze dodać jajka, ale powinna była to zrobić wcześniej.

– I jeszcze raz będę musiała zacząć od nowa! – Ten okrzyk, dziecinny i irracjonalny, wrywa jej się mimo woli.

Alfie zupełnie nie rozumie zmian w zachowaniu matki i wrywa się jej. Vicki pochyla się, żeby go zatrzymać, i próbuje równo oddychać. To nie jego wina. Ma dopiero trzy lata. A ona reaguje zbyt gwałtownie. Serce bije jej za szybko. „Uspokój się – powtarza sobie. – Oddychaj głęboko”. Zerka na zegar. Dziesięć po dziesiątej. Z nagłą obawą zastanawia się, co jeszcze musi dzisiaj zrobić. I czy uda jej się to osiągnąć z Alfim u boku? Nie znosi zostawiać go z Ali lub ze swoją matką. Czuje wtedy, że nie staje na wysokości zadania, bo nie potrafi przygotować się do konkursu i jednocześnie odpowiednio zająć się synem. „Kathleen Eaden na pewno dałaby sobie radę”, myśli z niechęcią. Jej córka Laura spędzała długie godziny w kuchni, pomagając jej piec. Ale tutaj chodzi o bardziej skomplikowane przepisy i Alfie nie będzie pomocny. To pewnie jej wina: wybitnej nauczycielce brakuje niezbędnej cierpliwości. Jakkolwiek jest, dzisiaj potrzebuje wsparcia.

– Pooglądaj sobie CBeebies, a ja zadzwonię do babuni i zapytam, czy może się tobą zająć. – Decyduje się na takie rozwiązanie.

– Nie chcę do babuni – protestuje rozżalony chłopiec. – Chcę zostać z tobą, mamusiu.

– Cóż, bardzo mi przykro, ale nie mogę ci dzisiaj poświęcić należytej uwagi. Będziesz się nudził. Przecież lubisz jeździć do babuni, prawda? – Nie daje mu czasu na odpowiedź: – Jasne, że lubisz. Zaraz do niej zadzwonię. Na pewno się uciesz.

Szeroko uśmiechnięta zostawia go przed ekranem, na którym jakieś animowane warzywa śpiewają o radości płynącej z produkowania kompostu, i wybiera numer matki. „Proszę, zgódź się – zaklina ją w duchu, kiedy rozlega się sygnał. – Proszę, zgódź się. I nie wpędzaj mnie w poczucie winy, tylko mi pomóż, bardzo proszę”.

– Vicki?

– To ja, mamó. U ciebie wszystko w porządku? To dobrze. Posłuchaj, mam do ciebie wielką prośbę. Wiesz, że jutro mam finał... Tak, tak, „Nowa Pani Eaden”. Muszę koniecznie przećwiczyć dzisiaj kilka przepisów... Tak, tak... Wiem, że tak... Nie chodzi o to, że jestem perfekcjonistką... nie... Nie mogę

pracować, kiedy jest tu Alfie. Więc... wiesz, o co chcę cię prosić, prawda? Mamo, czy mogłabyś go wziąć do siebie na trochę? Proszę, bardzo potrzebuję pomocy.

Następuje przerwa tak długa, że Vicki zastanawia się, czy matka w ogóle słuchała.

– Mamo?

– Victorio, zastanawiam się – dobiega ją w końcu rozdrażniony ton. – Czy nikt inny nie jest wolny?

A co z przedszkolem?

– Próbowалам, ale dzisiaj wszystkie miejsca są już zajęte... Nie, nie mogą jakoś go wcisnąć.

Obowiązuje ich ścisła proporcja liczby opiekunów i podopiecznych.

– Może Ali?

– Jej Sam jest dzisiaj w przedszkolu, więc nie mogę jej prosić o opiekę nad moim dzieckiem, kiedy ona ma wolne.

– Naprawdę nie możesz?

– Nie mogę... Ostatnio i tak już za często ją o to prosiłam.

– Jestem pewna, że by ci pomogła jeszcze raz.

– Nie, mamo. Nie mogę jej znów prosić. A nawet gdybym mogła, to nie sądzę, żeby się zgodziła.

Znów zapada milczenie.

– Mamo?

– Victorio, myślę...

Vicki czeka, patrząc, jak wskazówka sekundnika na kuchennym zegarze odmierza pełne siedem sekund.

– Zdajesz sobie sprawę, że mam na dziś plany? – odzywa się w końcu Frances. – Zobowiązałam się do dyżuru w Oxfamie, a poza tym wieczorem jest spotkanie klubu książki. Odebrałabyś go do tego czasu, prawda? – Teraz w jej głosie słychać panikę.

Vicki wierci się nerwowo.

– Chodzi o to, że muszę wieczorem być w hrabstwie Buckingham na wypadek jakichś nieprzewidzianych utrudnień w podróży. Greg ma dziś wrócić do domu o ósmej. Czy istnieje szansa, żeby Alfie został u ciebie na noc? Wtedy mogłabym lepiej się przygotować do konkursu. I tak miałaś jutro się nim zająć.

– Właśnie.

To przypomnienie zadziałało na niekorzyść Vicki i ugruntowało opinię Frances o własnej wielkoduszności.

– Wiem, że rujnuję ci plany, mamo. Nie prosiłabym cię o nic, gdybym nie była absolutnie zdesperowana. Tu chodzi o finał. Bardzo mi na nim zależy i szczerze mówiąc, ogarnia mnie lekka panika. – Postanawia iść na całość i wykorzystać pochlebstwo. – Muszę być całkowicie skoncentrowana i dobrze przygotowana. Czy nie tego mnie zawsze uczyłaś? Cóż, kiedy przygotowywałam się do egzaminów końcowych, zignorowałam twoje ostrzeżenia. Teraz rozumiem, że miałaś rację. Pomyśl o tym finale jak o czymś w rodzaju egzaminu. Będę miała szansę zabłysnąć.

Cisza. Frances chrząka z irytacją.

– To chyba nie jest najlepsze porównanie.

– Oczywiście, że nie chodzi tu o osiągnięcie akademickie – Vicki nie całkiem wycofuje się ze swojej teorii – ale i tutaj będą oceniane moje umiejętności, więc jest trochę podobnie.

Znów cisza. „Nic więcej nie mogę zrobić – myśli Vicki. – Przecież niemal błagam ją na kolanach. Jak jeszcze mogę ją przekonać?” Przychodzi jej do głowy opcja wstrząsowa – sprawa, o której nigdy nie rozmawiają – ale wie, że nie zdobędzie się na to. A nawet gdyby to zrobiła, matka nie da w sobie wzbudzić poczucia winy.

– No dobrze – mówi Frances oschle. – Ale to będzie wyjątek. Kiedy Alfie się urodził, powiedziałam ci jasno, że nie możesz liczyć na zbyt wielką pomoc z mojej strony.

– Oczywiście, rozumiem. To już końcowy etap konkursu, więc proszę cię o taką przysługę ostatni raz.

– Sama go do mnie przywieziesz.

Vicki sprawdza godzinę. Dziesiąta piętnaście. Czas szybko się kurczy, ale nie ma wyboru.

– Tak, naturalnie. Przywiozę go.

– Dobrze. W takim razie w porządku – oznajmia matka krótko.

Vicki nie bardzo wie, co powiedzieć. Z wysiłkiem uśmiecha się do telefonu.

– Dziękuję, mamu. Bardzo dziękuję. Jesteś wspaniała.

Matka lekko pociąga nosem.

– Tak, też tak mi się wydaje.

Dwie i pół godziny później Vicki znów jest w kuchni. Odrzuciła propozycję kawy, pospiesznie uściskała Alfiego, ucałowała go i przeprosiła szeptem.

– Nie jedź, mamusiu. Alfie chce się z tobą bawić – szlochając synek, kiedy ona szybko wychodzi z niewielkiego szeregowego domu matki, uśmiechając się pocieszająco. Stara się nie patrzeć mu w oczy.

W drodze powrotnej podnosi się na duchu, wspominając, co powiedziała jej przedszkolna opiekunka syna: „Płacze tylko po to, żeby zrobić na pani wrażenie”. Zastanawia się, czy to prawda, czy tylko niewinne kłamstewko, żeby uspokoić sumienie matek, które zostawiają dzieci pod jej opieką, wykorzystując przyznane przez państwo piętnaście godzin bezpłatnej opieki tygodniowo. Czeka na zmianę świateł, wysyła do matki wiadomość: „Czy wszystko z Alfiem w porządku”. Nie otrzymuje odpowiedzi. Czy Frances nie zareagowała ze względu na brak obowiązkowego „proszę” i „dziękuję” oraz znaku zapytania na końcu? A może znów zapodziała gdzieś telefon? Dręcząca niepewność. Z esemesami zawsze jest ten problem.

W kuchni panuje bałagan, ale Vicki może pracować w spokoju. Sporządza listę sześciu przepisów, które chce przećwiczyć, i systematycznie wykreśla kolejne. Telefon sygnalizuje nadejście wiadomości, więc sprawdza, czy to nie esemes od matki. Tymczasem pisze do niej Jenny: „Jak się miewasz? Denerwuję się. Trudno uwierzyć, że już jutro finał. Nadal ćwiczysz? :-\*”.

Odpowiada wylewnie, zaskoczona nie tym, że starsza koleżanka się denerwuje, ale że tak otwarcie się do tego przyznaje. To chyba nie jest najlepsza strategia? Ale przecież nie konkurowali z sobą zbyt ostro. Zachowywali się wobec siebie uprzejmie, wręcz nawiązali przyjacielskie stosunki. Będzie jej brakowało tej solidarności: poczucia, że pracuje ramię w ramię z ludźmi, którzy doceniają radość płynącą z robienia pysznych rzeczy i nie widzą w tym tylko zaspokajania własnych zachcianek.

Minutnik dzwoni nagle, więc Vicki wyłącza komórkę, żeby nie rozpraszała jej uwagi, i sprawdza świeżą partię ciasta, z której stworzy wielowarstwowe napoleonki *millefeuille*.

Frances również zastanawia się, co zrobić, żeby nikt nie rozpraszał jej uwagi, choć właściwie rozprasza ją tylko jedno: hałaśliwy trzylatek. Jest popołudnie i rośnie w niej przekonanie, że wywiązuje się ze swoich babcinych obowiązków już wystarczająco długo. Nakarmiła go jajkiem na miękko z tostami, przeczytała mu bajkę i próbowała go zainteresować puzzlami, ale niestety te, które kupiła w Oxfamie, są zbyt skomplikowane i tylko wprawiają jej małego wnuka w irytację. Nie daje sobie rady z układanką złożoną ze stu fragmentów.

Vicki z pośpiechu zapomniała wziąć jego pudełek z klockami Lego, samochodzików i piłki. „Może namówisz go na rysowanie? On to uwielbia!” – krzyknęła przez ramię, praktycznie wybiegając z jej domu, żeby się skryć w bezpiecznym wnętrzu samochodu.

Frances próbowała rysować z wnukiem, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu dla pozornie bezładnych bazgrołów i marnowania licznych kartek papieru.

– Alfie, proszę, nie bądź taki rozrzutny – upomniała malca, który właśnie stworzył stertę mistrzowskich gryzmołów, rozrzucając na stole jej najlepszy papier do drukarki.

– Babuniu, Alfie potrzebuje więcej.

– Nie, wcale nie. I babunia to twoja druga babcia. Ja jestem Frances, zapamiętaj. – Wzdrygnęła się lekko.

Spojrzał na nią migdałowymi oczami w obramowaniu nienaturalnie długich rzęs i się uśmiechnął.

– Dobrze, babuniu.

Nie wie, jak zareagować. Alfie ma misia o imieniu Pies, niezbyt ładnie pachnącą zabawkę w opłakanym stanie, z którą nie chce się rozstać. Frances bez powodzenia próbuje go nią zainteresować.

– A jak się nazywa twój miś?

– Pies.

– Naprawdę? Ale to nie jest pies. To jest miś, prawda?

Alfie z przekonaniem pokręcił głową.

– Nie miś. Pies.

– Jeśli będziesz plótł głupstwa, nie będę z tobą rozmawiać.

Malec tylko uśmiechnął się do niej anielsko, a potem włożył palce do ust i rozciągnął je na boki, udając klauna. Chichocząc bezsensownie, zaczął potrząsać głową na boki.

– W porządeczku, mój koteczku! W porządeczku, mój koteczku!

Zrezygnowana Frances wyszła z pokoju. Nastawiając wodę na herbatę rumiankową, zdała sobie sprawę, że już chyba zapomniała, jak się bawić z małymi dziećmi. Zaniepokojona usiłuje sobie przypomnieć, jak zabawiała Vicki. Może nie miała takiej potrzeby? Vicki była takim dobrym dzieckiem, przynajmniej zanim stała się nastolatką. Dręczy ją myśl, że Vicki potrzebowała więcej uwagi z jej strony. „Nie bawiłam się z nią tak jak ona z Alfiem – myśli z nagłą jasnością. – A mogłam to robić. Nawet powinnam”.

Kuchnia wypełnia się kłębamii pary. Pojawia się wspomnienie battenburga. Na twarzy Vicki malowała się obawa, a może wręcz strach. Frances szybkim ruchem wrzuca torebkę herbaty do kubka i wraca do pokoju obok. Alfie rozmawia z Psem, ale na jej widok milknie, jakby nie chciał, żeby go słyszała. Pochyliła się z uśmiechem, ponieważ właśnie przyszedł jej do głowy pomysł.

– Wiem, co możemy zrobić – oznajmia. – Poszukamy w ogrodzie owadów!

Twarz dziecka się rozjaśnia. Biegnie za nią do tylnych drzwi, niecierpliwie ją popychając, kiedy przekręca klucz w zamku.

– Chodźmy, babuniu.

– Już idziemy, Alfie. – Frances zagryza wargę.

Na zewnątrz, w słońcu wszystko wydaje się lepsze. Wnuk przypomina jej owieczkę, kiedy tak biegnie w koło bez celu po jej małym trawniku, ciesząc się wolnością. Daje mu wiaderko i łopatkę, proponuje, żeby poszukał robaczek, a sama siada z herbatą i gazetą. Przez kilka cennych minut koegzystują w szczęśliwej harmonii. Frances musi tylko co jakiś czas z udawanym entuzjazmem zaglądać do wiaderka, a Alfie musi pamiętać, żeby nie deptać klombów i trzymać się trawnika wielkości chusteczki do nosa. Obserwuje go zza gazety, zaintrygowana troską, z jaką przemawia do robaków, które wiją się na dnie kubelka, przysypane trawą.

– Proszę, robaczki. Jedzonko dla was.

Nagle sięga po jeden z kwiatków na rabacie.

– Alfie! – Frances nie umie się powstrzymać.

– Przepraszam, babuniu. – Wysuwa dolną wargę, a głos zaczyna mu drżeć.

– I już ci mówiłam. Nie „babuniu”, tylko Frances.

– Tak, babuniu – odpowiada automatycznie i natychmiast zauważa swój błąd. Po oczach widać, że za chwilę może się rozplakać.

– Halo, Frances! Dobrze się bawisz?

To Julia, sąsiadka w typie Matki Ziemi, wysunęła głowę nad płot dzielący ich ogrody. Wyluzowana, pogodna, wiodąca zdecydowanie alternatywny tryb życia, jest typem kobiety, którego Frances zwykle

unika, chociaż ją lubi. Na przykład pytanie, jakie przed chwilą zadała, mogłoby ją zirytować, ale Frances wie, że nie kryła się za nim żadna złośliwość. Według reguł świata Julii, w którym szaleje czworo dzieci, kobieta z jednym wnukiem pod opieką musi dobrze się bawić.

– Może Alfie chce się pobawić z moją gromadką? Właśnie wrócili ze szkoły. Starsze dziewczynki chętnie pobawią się z jeszcze jednym maluchem...

Alfie patrzy na Frances błyszczącym wzrokiem.

– Babuniu, proszę!

– Julio, nie chcę ci sprawiać kłopotu...

– To nie kłopot. I tak zaraz wracam do gotowania obiadu. Dzieci zostaną w ogrodzie, więc będziesz je słyszeć. Pewnie zajmą się skakaniem na trampolinie.

Jak na zawołanie za płotem rozlegają się piski jej córek, Saffron i Maisie, które właśnie wdrapały się na trampolinę i urządzają konkurs na najwyższy podskok.

– Już są. Alfie, słyszysz je? Chciałbyś też spróbować?

– No, dobrze – zgadza się Frances. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu... Jestem trochę zmęczona...

– W takim razie załatwione. Podasz mi tego młodego dżentelmena przez płot czy ma przejść przez dziurę?

– Hmm... Chyba bezpieczniej będzie, jeśli się przeciśnie na twoją stronę.

– Chodź, Alfie!

Julia znika, a jej głos dobiega teraz z głębi ogrodu. Zachwycony chłopiec zostawia babcię i biegnie w stronę swobodniejszego, weselszego świata. Frances sadowi się wygodnie z gazetą i zmęczona zapada w drzemkę.

*W chwilach stresu pieczenie może służyć jako terapia. Możemy dać upust swoim lękom, zagniatając ciasto czy ucierając masło. Mogą nadejść chwile, kiedy upieczenie czegoś nie będzie najpraktyczniejszym wyjściem, ale pamiętaj: zawsze możesz do niego wrócić.*

Krzyk, który wkrótce po szesnastej rozdziera powietrze, nie brzmi jak ludzki. Właściwie w pierwszej chwili Frances myśli, że to kwik prosiaka, tak jest wysoki i przeszywający. Trwa nieskończenie długo, burząc spokój popołudnia, przeszkadzając sąsiadom. Potem rozlegają się wołania dzieci – gorączkowe, rozhisteryzowane:

– Mamo! Mamo! Coś mu się stało!

Słyszy ciężkie kroki kobiety z nadwagą biegnącej przez ogród.

– Już idę, już idę.

Frances, wyrwanej nagle ze snu, wreszcie świta w głowie, że straszne dźwięki dobiegają z ogrodu sąsiadki, gdzie wysłała Alfiego. Zrywa się z leżaka, niechcący go przewracając, i podbiega do płotu.

Alfie leży na trampolinie i najwyraźniej to on wydaje przerażający krzyk. Julia pochyla się nad nim, zasłaniając widok rozłożystym siedzeniem.

– Julio! Co tam się stało?!

Sąsiadka odpowiada krótko, bez zwykłej dobrotliwej beztroski:

– Alfie złamał rękę.

Odsuwa się na bok i wskazuje na wijącego się z bólu malca. Jego ramię jest wygięte niczym banan. Nie przestaje krzyczeć. Frances nie chce jej uwierzyć.

– To niemożliwe. Przecież go pilnowałaś. – Niedowierzenie zmienia się w oskarżenie.

Julia odwraca się do niej z pobladłą twarzą.

– Trzeba go zabrać do szpitala – stwierdza zwięźle. – Spójrz tylko na niego.

Frances posłusznie patrzy na wnuka, choć widok ten przyprawia ją o mdłości. Alfie trzyma rękę w nienaturalnej pozycji, jego oczy są jak ciemne szparki w białej niczym papier buzi. Wydaje się taki mały i bezradny.

– Mamooo! Mamooo! – woła, szlochając głośno. – Chcę do maaamyyyy!

– Wiem, kochanie, wiem – stara się go uspokoić, oddzielona płotem i siatką okalającą trampolinę. – Mamusia już jedzie. – Kłamie z bezsilności.

Telefon stacjonarny dzwoni trzy razy, zanim do Vicki dociera, że ktoś bardzo chce się z nią skontaktować i że raczej powinna go odebrać. Jest kwadrans po czwartej. Odpowiedni czas, żeby ktoś z centrum obsługi klienta w Delhi chciał jej oznajmić, że wybrała zły kredyt hipoteczny. O tej porze zwykle podaje Alfiemu podwieczorek i każdy, kto ich zna, wie, że w takiej chwili nie ma sensu dzwonić.

Ma dziś bardzo ważne zajęcia. Wykreśliła już cztery z sześciu przepisów z listy i właśnie ma się zabrać do ciasta ptysiowego – w nadziei że tym razem wreszcie jej się uda. Czytając powtórnie *Sztukę pieczenia*, zauważyła, że pani Eaden miała szczególną słabość do ptysiów i minieklerek, jest więc przekonana, że któreś z tych ciastek pojawi się na jutrzejszym finale.

– Które to może być? – zwraca się do zdjęcia Kathleen, ale ta tylko nadal się uśmiecha, spokojna i nieprzenikniona jak zwykle.

„Żaden z ciebie pożytek”, myśli Vicki, ale nic nie psuje jej humoru. Jak zwykle praca w kuchni ją uspokaja i dodaje wiary w siebie.

– Nie pomożesz mi, prawda? – ponownie mówi do zdjęcia.



Nie jest to pytanie, raczej przeświadczenie.

– Najtrudniejsza praca już za mną. Teraz będę piekła jak ty: twórczo i bez wysiłku. Perfekcyjnie.

Telefon znowu dzwoni. Cholera. Matka zadzwoniłaby na komórkę, więc to nie może być ona. Nagle z przerażeniem uświadamia sobie, że wyłączyła ją po wysłaniu wiadomości do Jenny. Podbiega do aparatu i podnosi słuchawkę tuż przed włączeniem się automatycznej sekretarki.

– Vicki, kochanie... – Orientuje się, że Frances jest zdenerwowana.

– O co chodzi, mamó?

Słuchając słów, których boi się każdy rodzic, czuje bolesny skurcz żołądka.

– Nie ma się czym martwić, ale Alfie trafił do szpitala. Złamał rękę i muszą mu zrobić operację.

W piątkowej godzinie szczytu jazda z południowo-zachodniego Londynu na północny kraniec Oksfordu zabiera dwie godziny, ale wydaje się, że trwa to o wiele dłużej. Samochody wloką się w ślimaczym tempie, warcząc silnikami i wydalając kłęby spalin. Vicki trzęsie się z nerwów, kiedy wreszcie wpada na oddział ratunkowy Szpitala Radcliffe. Próbowwała zaparkować na miejscu dla niepełnosprawnych, za co została zganiona.

– Ale chodzi o moje dziecko... o mojego synka. Właśnie trafił do szpitala. – Wybucha płaczem, lecz nie robi to żadnego wrażenia na parkingowym.

– Tak. Wszyscy tak mówią.

W izbie przyjęć panuje względny spokój przed burzą, jaka zwykle się tu rozpętuje w piątkowe wieczory: zaledwie piętnastu pacjentów siedzi w poczekalni na wąskich plastikowych krzesłach. W ogrzewanym pomieszczeniu ich twarze przybierają czerwonawy kolor. Korpulentny mężczyzna po pięćdziesiątce trzyma się za serce, w przerażeniu wytrzeszczając oczy. Kilku ubłoconych i zakrwawionych studentów – ofiar uprawiania sportu – siedzi apatycznie, czekając na swoją kolej. Jeden ma zakrwawiony bandaż na głowie, inny patrzy na swoją spuchniętą kostkę, trzeciego, z kołnierzem ortopedycznym, właśnie wiozą za zasłonę. Przerazonej i pobladłej Vicki atmosfera tego miejsca kojarzy się z jakimś surrealistycznym horrorem. Znudzenie miesza się tu z paniką, zagrożenie z powszedniością.

Udaje jej się dowiedzieć, gdzie jest Alfie. Rusza biegiem na oddział pediatryczny, na którym już są Greg i Frances. Korytarze z radosnymi obrazkami na ścianach zdają się ciągnąć w nieskończoność jak labirynt, który utrudnia jej dotarcie do dziecka. Łóżko Alfiego jest puste, ale obok siedzi Frances i przegląda egzemplarz „London Review of Books”.

– Mamó! – Głos Vicki brzmi jak żalosne zawrodo. – Gdzie on jest? Gdzie Alfie?

Frances wstaje i obejmuje ją.

– Gdzie jest Alfie? – Odpycha od siebie ramiona matki jak rozżłoszczone dziecko. – Co oni z nim zrobili?

– Nic nie zrobili – mówi Frances stanowczo, ale z wyraźnym rozdrażnieniem, co sprawia, że Vicki bierze się w garść. – Jest w gabinecie anestezjologa. Dostaje znieczulenie. Greg czuwa przy nim. Potem zawiozą go na salę operacyjną, a Greg tu wróci. Dadzą nam znać, kiedy po wszystkim znajdzie się na pooperacyjnej.

– Co takiego? Nie mogą go zabrać, zanim go nie zobaczę i nie uściskam! – Vicki jest zszokowana bezczelnością lekarzy i zdziwiona, że matka tak dobrze zna szpitalny żargon.

– Akurat zwolniło się okienko na jedną operację, a Greg był już na miejscu. Zapewnił, że znasz sytuację i na pewno zrozumiesz.

– Tak, tak. Mówił mi o tym przez telefon, ale nie sądziłam, że to się stanie tak szybko. Myślałam, że na mnie zaczekają.

– Chcieli zrobić to, co dla Alfiego najlepsze. Udało mi się załatwić, żeby operację przeprowadził konsultant regionalny, a nie zwykły lekarz. Znam jego żonę z wolontariatu w Bibliotece Bodlejańskiej, więc namówiłam go, żeby to zrobił, zanim wyjedzie na weekend.

– Och...

Wpływy matki ją zadziwiają, ale już po chwili odbiera tę przysługę jako przyganę. Frances udało się zrobić tak wiele dla Alfiego, podczas gdy ona tylko histerycznie panikowała.

– Chcę go zobaczyć. – Nie może dłużej stać beczynną.

Wybiega z oddziału, klucząc między łózkami z chorymi dziećmi, i staje na korytarzu ozdobionym niemodnym borderem ze zwierzętami.

– Wszystko w porządku, złotko? – pyta ją pielęgniarka w średnim wieku, solidnie zbudowana, sprawna i budząca respekt w swoim granatowym uniformie.

– Szukam Alfiego Marchanta. To mój syn. Dostaje teraz znieczulenie. Muszę go zobaczyć. – Nie umie powstrzymać piętrzącej się frustracji.

Pielęgniarka wolno kręci głową, jakby Vicki była umyślowo niepełnosprawna lub szalona.

– Został już znieczulony i przewieziono go na salę operacyjną. Nie wpuszczą tam pani. Za chwilę wróci tu pani mąż – zawiesza głos, jakby chciała zweryfikować jej stan cywilny, więc Vicki gorączkowo przytakuje, żeby tylko mówiła szybciej. – Razem zaczekacie na sygnał. – Pielęgniarka uśmiecha się pobłaźliwie. – Najlepiej wrócić na oddział i tam poczekać, aż go przewiozą na salę pooperacyjną. Może napije się pani herbatki? Nie? Na pewno? O, proszę. Jest tu babcia Alfiego. Pani matka? Możecie posiedzieć razem i porozmawiać sobie.

– Mamo, dlaczego to zrobiłaś? – Znękana Vicki szuka kogoś, kogo mogłaby obwinić za taki bieg zdarzeń. Głos jej drży z gniewu. – Dlaczego pozwoliłaś mu skakać na trampolinie ze starszymi dziećmi, skoro wiesz, że przy takiej zabawie można sobie coś złamać? I dlaczego go nie pilnowałaś?

– Byłam w ogrodzie obok. Trudno mi zarzucić, że go zaniedbałam! – Frances zaczyna się usprawiedliwiać, ale kiedy widzi wściekłość na twarzy córki, milknie i zaczyna myśleć. Nie spieszy się z odpowiedzią; wygładza niewidzialną fałdę na spódnicy. – Nie wiedziałam, że zabraniasz mu zabawy na trampolinie ze starszymi dziećmi, i sądziłam – zapewne błędnie – że jest pod odpowiednią opieką. Alfie bardzo chciał dołączyć do innych dzieci, więc pomyślałam, że będę miła i sprawię mu przyjemność.

Vicki interpretuje to jako przytyk do faktu, że Alfie nie ma rodzeństwa.

– Chciałaś być miła? – oburza się. – Wcisnęłaś go sąsiadce i jej dzieciom, dzieciom, których w ogóle nie zna. To u ciebie znaczy bycie miłą?

– Postępujesz nie fair, oskarżając mnie, że go komuś wcisnęłam – obrusza się matka. – Można powiedzieć, przyganiał kocioł garnkowi.

– Prosiłam cię o wsparcie, o pomoc. Na jeden dzień. Wiem, że nikt inny nie przywiązuje wagi do tego konkursu, ale dla mnie znaczy on bardzo wiele. A jutro jest finał. Myślałam, że kto jak kto, ale ty zrozumiesz, że chcę dobrze wypaść.

– Och, Vicki – mówi Frances łagodniej. – Oczywiście, że dobrze wypadniesz. Dlaczego miałyby być inaczej?

– Właśnie, dlaczego – warczy córka. – Nie ma żadnej gwarancji, że tak będzie. Na jakiej podstawie tak mówisz? Nic nie wiesz o moich umiejętnościach w tej dziedzinie, nigdy się nimi nie interesowałaś. Twoje przekonanie jest bezpodstawne. – Milknie na chwilę, wzburzona oceną matki. – Nigdy nie osiągnęłam wystarczająco wiele, prawda? – ciągnie po chwili. – Nie osiągnęłam takich wyników, jakich oczekiwałaś. Nie „wykorzystałam swojego potencjału”. Ale w tym, jak sądzę, jestem naprawdę dobra. I myślałam, że mnie wesprzesz. Wierzyłam, że choć raz mnie zrozumiesz. – Czeka na reakcję, ale nie pada żadne słowo. – Oczywiście teraz nie ma to znaczenia – mówi dalej, zdając sobie sprawę, że daje już upust złości. – Muszę zrezygnować. Więc twoje dzisiejsze poświęcenie poszło na marne.

– Dlaczego musisz zrezygnować?

Vicki patrzy na nią przerażona.

– Bo jutro odbywa się ostatni etap, a moje dziecko trafiło do szpitala – oznajmia wolno i wyraźnie. – Właśnie je operują. Jak mogłabym je zostawić? I jaką byłabym matką, gdybym to zrobiła?

Frances milczy, nadal wygładzając spódnice. Wreszcie podnosi głowę i patrzy na córkę spokojnym,

jasnym wzrokiem.

– Najzupełniej normalną – mówi. – Taką, która próbuje pogodzić obowiązki rodzinne i potencjalną pracę. Której się przydarzył niefortunny splot wypadków.

Vicki prycha głośno i z pogardą.

– No, ciekawe!

– Ależ tak właśnie to wygląda. Alfiemu nic poważnego nie zagraża. Tak, jutro nie będzie się czuł najlepiej, ale Greg i ja pomożemy mu. Nie ucierpi, jeśli zostawisz go na jeden dzień. Skoro konkurs jest dla ciebie taki ważny – i przepraszam, że nie rozumiałam, ile dla ciebie znaczy – to oczywiście musisz go dokończyć. Może pora przestać się zadrećzać i dopuścić do siebie myśl, że możesz dla odmiany postawić siebie na pierwszym miejscu?

– Widzisz, tak wygląda różnica między tobą a mną – syczy Vicki. Zdała sobie sprawę, że powinna zniżyć głos, chociaż oddział akurat opustoszał. – Ty z przyjemnością stawiasz siebie na pierwszym miejscu, a ja uważam, że moje dziecko ma pierwszeństwo, chociaż czasami postępuję inaczej. Jeśli o mnie chodzi, na tym polega macierzyństwo, choć ty nigdy tak nie sądziłaś.

Przerażona swoimi gniewnymi słowami patrzy, jak na policzkach matki wykwitają dwa czerwone kręgi. „Co ja zrobiłam?” – myśli w popłochu, ale jednocześnie ma ochotę zdobyć się na kompletną szczerłość, wykorzystać najmocniejsze uderzenie. „Niech zobaczy, jak bardzo cierpię”.

– Kiedyś tak się zdarzyło, że nie postawiłam własnego dziecka na pierwszym miejscu. Pamiętasz to, mamó? Pozbyłam się go, bo tak było wygodniej. Miałam osiemnaście lat i poradziłaś mi, żebym przerwała ciążę. Powiedziłaś, że powinnam myśleć o swojej edukacji, że jestem za młoda na dziecko. Od ośmiu miesięcy nie mogę zajść w ciążę. Myślę, że to kara za tamtą decyzję. Kara za egoizm. Co miesiąc przypomina mi to, że nigdy, przenigdy nie mogę stawiać Alfiego na drugim miejscu.

Frances zastanawia się, co odpowiedzieć, jak uśmierzyć trwający czternaście lat ból, który już powinien przerodzić się w smutne wspomnienie.

– A więc o to tutaj chodzi. Pragniesz być matką idealną? Och, Vicki. – Chce otoczyć córkę ramieniem, ale ta otrząsa się, żeby jej to uniemożliwić. – Byłaś taka młoda. Skończyłaś osiemnaście lat, ale nie całkiem dojrzałaś. Tak, chciałam tego, co mi się wydawało dla ciebie najlepsze. Miałaś taki potencjał i byłaś bardzo przerażona perspektywą macierzyństwa. Pamiętam, jak stwierdziłaś: „Dziecko będzie mi tylko przeszkadzało”.

– Teraz tak nie uważam, ale nie mogę mieć drugiego – wypala Vicki bez zastanowienia.

– Wiem. – Frances stara się ją pocieszyć. – Ale twoja... – waha się chwilę – niepłodność nie ma nic wspólnego z tamtą aborcją. Wiesz o tym, prawda? Nie musisz tak się zadrećzać poczuciem winy.

Vicki potrząsa głową.

– Inaczej to odczuwam. Mam wrażenie, że dostałam drugą szansę. Szansę zapewnienia Alfiemu idealnego dzieciństwa.

– Nie musisz być idealną matką. Chodzi o to, żebyś była szczęśliwa. – Frances chce ująć rękę córki, ale ta się wyrywa. – Pytasz, jaki jest sens macierzyństwa. Czy nie oznacza to być dobrym wzorem do naśladowania dla swojego dziecka? Osobą szczęśliwą i spełnioną, a nie zgorzkniałą i chowającą urazę?

Vicki w milczeniu zaczyna obgryzać skórki od paznokci. Spuszcza wzrok, żeby nie patrzeć na matkę. Frances również milczy. Wie, że musi stąpać bardzo ostrożnie.

– Wiem, że nie jestem najodpowiedniejszą osobą do wygłaszania kazań na ten temat, ale zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej. I wybacz, kochanie, że to mówię, ale jako matka nie wydajesz się najbardziej spełnioną osobą pod słońcem.

Vicki prostuje się przekonana, że ona i tak wie lepiej. Gniew pulsuje w jej żyłach. I nagle zaczyna płakać. Łzy płyną po policzkach, łzy smutku, winy i frustracji. Nie znajduje bowiem żadnej odpowiedzi.

Gdy Vicki i Greg wchodzi do sali pooperacyjnej, Alfie jest nadal półprzytomny. Policzki, zwykle brzoskwiniowe, poblądły mu jak mleko, a pod oczami wykwitły sine kręgi. Vicki dotyka jego drobnego

ciałka w obcym szpitalnym stroju. Pod miękką bawełną Alfie wydaje się taki szczupły i delikatny, zwłaszcza w zestawieniu z białym gipsem, który założono mu na rękę.

– Mój kochany synek – przemawia do niego czule. Szloch więźnie jej w gardle i musi się oprzeć o Grega. – Mój biedny, kochany synek.

Dopiero około północy Alfie porusza się żwawiej i znów zaczyna być sobą. Vicki leży na rozłożonym w jego sali polowym łóżku nakryta szpitalnym kocem i prześcieradłem. Ledwie się mieści na wąskim pościeli. Greg usadowił się na niebieskim plastikowym foteliku. Śpi, rozluźniwszy krawat i rozpiąwszy górny guzik koszuli. Vicki ogarnia czułość na widok ich obu. Ojciec i syn tak rozbijająco do siebie podobni.

– Mamusiu.

Natychmiast wstaje i siada obok synka ubrana tylko w wygnieciony podkoszulek, skarpety i bawełniane majtki.

– Mój kochany Alfie.

Chłopiec otwiera szerzej oczy, wystraszony nieznajomym otoczeniem.

– Boli mnie rączka.

Ma wrażenie, że zaraz pęknie jej serce.

– Wiem, skarbie, wiem. Mamusia zaraz coś poradzi.

Przywołuje pielęgniarkę, gładzi go po czole i całuje. Potem, gdy pielęgniarka podała mu nową dawkę diamorfiny i obaj z Gregiem znów usnęli, ukradkiem włącza komórkę. Dzwoniła do niej już wcześniej, kiedy Alfie spał, matka pojechała do domu, a Greg wyszedł w poszukiwaniu kawy i kanapek. Opowiedziała jej o wszystkim, wyrzucając z siebie potok słów, tłumacząc, dlaczego wycofuje się z konkursu, a w jej głosie słychać było poczucie winy, żalu nad sobą i cierpienie. Reakcja Jenny ją zaskoczyła.

– Może jednak mogłabyś przystąpić do tego etapu?

– Jenny! – zawołała Vicki zbulwersowana. – Mówisz zupełnie jak moja matka. Oczywiście, że nie mogę. Jaką ja okazałabym się mamą?

Przyjaciółka zamilkła, a potem odezwała się jeszcze bardziej niż zwykle łagodnym tonem.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa, Vicki. Jak dla mnie jesteś całkowicie normalną mamą. Ja przez lata poświęcałam wszystko rodzinie i zobacz, gdzie wylądowałam: sama w domu. Dzieci wyfrunęły z gniazda, mąż... cóż... oddalił się ode mnie. To ty mi powiedziałaś, że poczucie winy to strata czasu. Pamiętasz? Czy to byłoby takie straszne, gdybyś zrobiła to, czego pragniesz?

Vicki zamilkła. Nie znajdowała sensownej odpowiedzi, choć wiedziała, że powinna jakoś zareagować.

– Ale Karen się wycofała z powodu swojego syna.

– Nie jesteś Karen. Zrobiła to, bo czuła, że musi coś zmienić w swoim postępowaniu.

– Kathleen Eaden nigdy nie zostawiłaby swojego dziecka. – Vicki zdecydowała się na irracjonalny argument. – Nie zachowywałaby się tak jak ja: niezdecydowanie i samolubnie. Wiedziałyby, co zrobić. Z godnością wycofałyby się z konkursu.

Po drugiej stronie telefonu zapadła długa cisza.

– Nie wiesz tego na pewno – powiedziała w końcu Jenny zmienionym głosem.

– Ależ wiem. Była skończoną altruistką. Zrezygnowała z kariery i przeniosła się do Kornwalii, żeby dać córce wspaniałe dzieciństwo. Przecież czytałaś ten artykuł. Zawsze na pierwszym miejscu stawiała rodzinę. Tak twierdzi Laura Eaden.

– Tak, ale... być może były inne powody takiej decyzji. Nie twierdzę, że nie była altruistką, lecz jej odsunięcie się w cień i rezygnacja z pisania mogły mieć bardziej złożone przyczyny, niż nam się wydaje. Przyjęłyśmy za pewnik, że chciała całkowicie poświęcić się macierzyństwu, ale może było to trochę bardziej skomplikowane...

Vicki szybko przeanalizowała jej słowa.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ach, nic ważnego. Przynajmniej w porównaniu z innymi ważnymi sprawami – odpowiedziała Jenny po krótkiej pauzie. – Często z góry przyjmujemy pewne założenia i myślę, że tak było i w jej przypadku. Uznałyśmy, że wiodła doskonałe życie i że macierzyństwo przyszło jej z łatwością, ale te teksty o zamykaniu drzwi do pokoju śpiącego dziecka napisała, zanim sama została matką. Nie mówię, że nie chciała mieć dziecka – na pewno chciała – ale w pewnym stopniu idealizowała macierzyństwo. Może rzeczywistość okazała się trudniejsza? Może jej życie jednak nie było tak doskonałe? Nie wytłumaczę ci tego teraz dokładnie. Spróbuj dotrzeć na konkurs, a wtedy porozmawiamy.

Teraz, w mroku nocy, Vicki przypomina sobie słowa Jenny i stara się je rozszyfrować. Nagle słyszy, że przyszła nowa wiadomość. Zerka na Grega, ale sygnał telefonu go nie obudził. Odczytuje więc słowa, które ukazały się na rozjarzonym wyświetlaczu: „Droga Vicki, przez 30 lat swojego życia stawiałam na pierwszym miejscu dobro innych. Proszę, nie powtarzaj mojego błędu. Poza tym jesteś mi potrzebna, bo z kim będę konkurować? Mam nadzieję, że Alfie smacznie śpi i jutro się zobaczymy. Pozdrawiam serdecznie, Jen”.

## Kathleen

Budzi ją bolesny skurcz i strużka krwi spływająca po udzie.

Doktor Caruthers natychmiast wzywa ambulans „na wszelki wypadek”. Kiedy dwadzieścia minut później dojechali do szpitala przy Fulham Road, było już wiadomo, że dzieje się coś poważnego.

Izba przyjęć jest pełna ludzi: pielęgniarek, lekarzy w strojach przypominających piżamy... Jest tam również sam Caruthers. Rękawy koszuli ma podwinięte do łokcia, a na twarzy wyraz intensywnego skupienia. Wszyscy działają szybko: sadzają ją na wózku, idą za nią do podwójnych drzwi. Czyta: „Sala operacyjna”, „Pediatria”, „Oddział reanimacyjny”. Stara się zrozumieć te słowa w przerwach między powracającymi falami bólu. Układają ją na łóżku w jednoosobowej sali. Ku swojemu przerażeniu natychmiast plami świeżą wykrochmaloną pościel. Na łóżko wylewa się z niej płyn zaróżowiony od krwi.

– Wody odeszły – oznajmia pielęgniarka reszcie zespołu medycznego.

Stara się uchwycić wzrok Caruthersa, żeby uzyskać jakieś wyjaśnienie, ale on rozmawia przez telefon, spokojnie, lecz zdecydowanie. W sali trwa ożywiony ruch.

Skurcze stają się mocniejsze. Patrzy, jak skóra na brzuchu napina się niczym na bębunku, a potem rozluźnia. Ma wrażenie, że ta część jej ciała jest obca, żyje własnym życiem. Próbuje coś powiedzieć, zapytać, co się dzieje, ale brakuje jej głosu. Ucisza ją nowy atak bólu.

– Skurcze co dwie minuty – ogłasza pulchna władca pielęgniarka i Kathleen wreszcie jest w stanie dać upust swojej irracjonalnej furii:

– Skurcze? To nie mogą być skurcze! – Co za nedorzeczny pomysł. – Jeszcze za wcześnie na poród.

Fala bólu zamyka jej usta. Pielęgniarka odwraca się z zaciśniętymi wargami. Nikt nie patrzy jej w oczy. To George, nikt inny, odważa się powiedzieć jej prawdę, której nie chce poznać:

– Kochanie, tego nie da się zatrzymać.

*Jeśli jedzenie porównamy z miłością, to pieczenie można nazwać najbardziej troskliwym jej przejawem. Można piec, żeby dać wyraz trosce o miłosny związek albo o dziecko. Żeby wzmocnić je i pielęgnować.*

Śpi, co zrozumiałe, bardzo niespokojnie. Przewraca się na wąskim łóżku polowym, zamierając na dźwięk każdego głośniejszego oddechu synka. Dziwi się, że Greg tak głęboko zasnął. Alfie jednak śpi spokojnie: snem zmęczonego dziecka, po długim trudnym dniu, środkach znieczulających i sporej dawce diamorfiny. Budzi się, kiedy przez cienkie zasłony zaczyna sączyć się światło, około szóstej rano.

– Mamusia. Tatuś. – Uśmiecha się pogodnie do rodziców.

– Czujesz się lepiej, dzielny żołnierzyku? – Greg odgarnia mu włosy z czoła.

Vicki czuje ukłucie nieuzasadnionej irytacji, że to nie ona pierwsza przemówiła do dziecka.

Alfie kiwa głową.

– Jestem głodny.

Śmieją się oboje, a zaborczość Vicki znika, kiedy Alfie wyciąga do niej zdrową rękę, a mąż obejmuje ją ramieniem.

– To chyba dobry znak? – pyta z uśmiechem.

– Zdecydowanie. – Mąż przytula ją mocniej.

Pojawia się zwykłe w szpitalach śniadanie złożone z herbaty, tostów i pasty marmite. Środki przeciwbólowe zostaną podane później.

– Obchód zjawia się na tym oddziale około ósmej czterdzieści pięć, ale wydaje mi się, że ten dzielny maluch będzie mógł dzisiaj wrócić do domu. – Siostra uśmiecha się krzepiąco.

– Nie będzie musiał zostać na obserwacji? – dziwi się Greg.

– Jeśli nie pojawią się komplikacje, nie ma potrzeby go zatrzymywać. Potrzebujemy łóżka dla innych pacjentów.

Vicki szybko kalkuluje w myślach. Jeśli Alfie zostanie dziś wypisany, czy będzie mu potrzebna? Czy uda jej się dotrzeć do Bradley Hall na czas? Powinna być na miejscu przed dziesiątą, ale na pewno opóźnią nieco start, jeśli ich powiadomi, że już jedzie.

– To fantastyczna wiadomość, prawda, Alfie? Spędzisz miły dzień na kanapie, przytulony do mamy. – Greg uśmiecha się do żony. – Co się stało, Vicks? – Jego uśmiech blednie. – Widzę, że coś cię martwi. Na pewno go nie wypiszą, jeśli będą mieli jakiegokolwiek wątpliwości. Możemy zawsze poprosić o drugą opinię, kiedy zjawi się miejscowy konsultant.

– Nie o to chodzi. Tylko... jeśli go wypiszą, to mogłabym jeszcze zdążyć na finałowy etap konkursu – mówiąc to, składa ręce, jakby go o coś prosiła.

Greg patrzy na nią skonsternowany.

– Naprawdę? Chcesz to zrobić?

– Tak. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

W zdumieniu kręci głową.

– Nie, jasne, że nie. Musisz jechać. Absolutnie. Tylko czy jesteś pewna, że Alfiemu to nie zaszkodzi?

– Nic złego się nie stanie. Wyjadę na jeden dzień. Będzie za mną tęsknił, ale ty zostaniesz przy nim. Alfie na tym nie ucierpi – słyszy, że powtarza słowa matki. – Przepraszam, ale muszę to zrobić.

Rozstanie z Alfiem było trudne. Nie, to mało powiedziane. Czuli się tak, jakby go zdradziła. Greg

i Frances zostali, żeby spakować jego rzeczy, usadowić go w samochodowym foteliku i zawieźć do Londynu po tym, jak konsultant potwierdził, że może bezpiecznie wracać do domu. Ona wybiegła ze szpitala sama, bez malucha przy boku, bez toreb z dziecięcymi manelami. Powinna być szczęśliwa i podekscytowana, tymczasem czuła się jak najgorsza zdzira pod słońcem. Nie pomagała świadomość, że poza tym wypadkiem Alfie był w szpitalu tylko raz, kiedy się urodził. Wychodząc wtedy do domu, nie mogła oderwać od niego oczu, od tej czerwonej, ubranej w biały kombinezon kruszynki z zaskakująco bujną czupryną ciemnych włosów, przypiętej pasami do przenośnego fotelika. Ten mały człowieczek jeszcze dzień wcześniej krył się w jej ciele, a teraz stał się odrębną istotą, powierzoną jej opiece. Obezwładniała ją miłość – i strach. Pamięta, że spojrzała wtedy na Grega i zobaczyła na jego twarzy ten sam wyraz zachwytu i przerażenia, kiedy patrzył na maleństwo w kołysce.

– To niewiarygodne, że pozwolili nam zabrać go do domu – powiedział szczerze.

– Też tak myślę – przyznała z niedowierzaniem. – Co my z nim zrobimy?

A teraz nie ma przy niej noworodka o poważnym, skupionym spojrzeniu. Nie ma małego chłopca o roześmianych oczach, który człapie, szurając bucikami. Idzie coraz szybciej korytarzem, stukając obcasami na szpitalnej podłodze. Gdy dociera do głównego holu z kioskiem i kafeterią, gdzie rozchodzi się woń śniadania, kawy i środków czyszczących, zaczyna trochę odzyskiwać animusz. Widzi strzałkę wskazującą wyjście i wybiega, żeby uciec przed panującym wewnątrz nieprzyjemnym ciepłem. Kilku pacjentów w piżamach i szlafrokach, z podłączonymi kroplówkami stoi przy drzwiach, zaciągając się swoim pierwszym tego dnia papierosem. Zamiast świeżego powietrza wciąga woń nikotyny i dostaje ataku kaszlu.

Kilka minut później jedzie w stronę obwodnicy M40. Dzwoni do Cory, zawiadamiając firmę Eaden i Syn, że czwarty zawodnik jest już w drodze. Kiedy jedzie ostrożnie główną ulicą, poczucie winy powoli zamienia się w lęk. Zaciska ręce na kierownicy i stara się skupić na konkursie. Chce myśleć tylko o pasji, która pchała ją do czynu przez ostatnie trzy miesiące, odkąd dostała zaproszenie do siedziby głównej Eadena, gdzie tamtego okropnego lutowego dnia odbywało się przesłuchanie kandydatów. Tematem ostatniego etapu zawodów jest uroczysta herbata, a Harriet ich ostrzegła, że w finale poprzeczka zostanie znacznie podniesiona. W głowie czuje pulsowanie. Samo myślenie o tym jest męczące.

Spodziewa się, że będą musieli stworzyć wykwintne miniaturowe ciasteczka: eklerki wypełnione kremem i posmarowane błyszczącą polewą czekoladową, łożeczki z letnimi owocami, *millefeuille* przekładane malinami, różowe *fondant*. Najłżejsze bułeczki i wielowarstwowe torty oblane połyskliwym *ganache*.

Nie pierwszy raz zastanawia się, co sprawiło, że Kathleen Eaden była tak zainteresowana, a właściwie zafascynowana pieczeniem. Na zdjęciach widać jej smukłą figurę, więc na pewno nie lubiła się objadać. Wychowała się tuż po wojnie, kiedy z powodu braków żywności obżarstwo nie wchodziło w grę. Może tak jak Vicki po prostu była perfekcjonistką? „Ale tobie wszystko szło tak gładko – zwraca się do niej w myślach. – Chyba nie musiałaś ćwiczyć, żeby osiągnąć perfekcję. «Po prostu weź, ubij, wlej, polukruj...» – piszesz, jakby to było tak naturalne jak oddychanie. Kiedy robisz pudding z chleba i masła, twój mąż jest zachwycony. Kiedy pieczesz chleb, dzieci nie posiadają się z radości”. Z minionej nocy przypomina sobie coś, co ją zastanawia. Dopiero po dłuższej chwili uświadamia sobie co. Patrzy w lusterko, włącza migacz i wyprzedza wyjątkowo powolny samochód ciężarowy, który wyrzuca z siebie czarne spaliny. „«Kiedy pieczesz chleb, dzieci nie posiadają się z radości». A przecież Jenny mówiła, że wtedy jeszcze nie miałaś dzieci. Co jeszcze o nich pisałaś? «Wstawiaj formy ostrożnie, a drzwiczki piekarnika zamykaj tak delikatnie, jakby to były drzwi do pokoju śpiącego dziecka...», «Piękny tort urodzinowy na zawsze zostanie w pamięci dziecka...».

Co powiedziała Jenny? Że z góry przyjęłyśmy, dlaczego zrezygnowałaś z kariery, a twoje życie mogło wcale nie być takie doskonałe... I że niektóre strony macierzyństwa mogły się okazać dla ciebie trudne. Ciekawe jakie.



Dlaczego porzuciłaś karierę? Czy coś ukrywałaś? I dlaczego twoje życie nie było takie idealne, jak zakładałyśmy. Nie. Jak ja zakładałam”.

Naciska pedał gazu, ledwie zauważając strumień samochodów wokół niej. Pytania cisną się do głowy, zagłuszając szum pojazdów. Pojawia się inna rzeczywistość jak przy poruszeniu dziecięcego kalejdoskopu: nie Kathleen Eaden, chętnie zamieniająca karierę na macierzyństwo, ale Kathleen Eaden, która z jakiegoś powodu była zmuszona do rezygnacji.

Wrzuca szósty bieg i pędzi najszybszym pasem z prędkością prawie stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Co Jenny miała na myśli? Jest coraz bardziej przekonana, że w jakiś sposób zaszkodzi to wizerunkowi Kathleen. Może wszyscy się pomyliliśmy i w ogóle nie powinno się organizować konkursu na nową panią Eaden. Może powinniśmy szukać prawdziwej Kathleen Eaden.

## Kathleen

Ból staje się torturą i nie ma sposobu, żeby zatrzymać to, co się właśnie dzieje. Ciało przestało należeć do niej: została zredukowana do zwierzęcia, które bezwiednie wyje z cierpienia na podłodze.

„Dzięki Bogu, że George nie widzi mnie w tym stanie”, myśli, kiedy układają ją z powrotem na łóżku. Znowu przychodzi skurcz, więc krzyczy w panice. Potem następny, jeszcze silniejszy. Zaczyna się trząść jak marionetka wykonująca groteskowy taniec. „Co się ze mną dzieje?”

Ma ochotę wykrzyknąć to pytanie, kiedy pielęgniarka przykładą jej do ust maskę i każe głęboko oddychać. „Co ta kobieta robi? Jak śmie mnie dotykać?” Kręci jej się w głowie, a potem ogarnia ją słabość, kiedy entonox zaczyna działać.

– Grzeczna dziewczynka, grzeczna dziewczynka – chwali ją pielęgniarka, a ona ma ochotę zdzielić ją czymś ciężkim za ten protekcyjny ton.

Grzeczna dziewczynka? To jakiś absurd. Jest niedobłą matką, a nawet gorzej. Niedobłą niedosłą matką. Kimś niezdolnym do macierzyństwa. Niezdolnym do spełnienia najprostszej funkcji kobiecej. Nie potrafi nawet donosić dziecka.

– Grzeczna dziewczynka – powtarza pielęgniarka, jakby nie wiedziała, co się dzieje. – Już, już. Spokojnie.

Znowu ogarniają ją mdłości, kiedy nadchodzi kolejna fala bólu. Wyrzuca z siebie strugę wymiocin, a potem zaczyna się spazmatycznie trząść.

– Niech to się już skończy!!! – wyje rozdzierająco. A potem: – Ona musi zostać w środku. Musi zostać we mnie.

Ktoś głośno krzyczy. Chyba ona sama.

– Już, już – pielęgniarka ucisza ją, przykładając maskę. – Bardzo dobrze ci teraz idzie. Zaraz będzie po wszystkim.

Kolejna fala mdłości. Ktoś każe jej przeć, a ona ma ochotę krzyknąć, żeby dali jej spokój, że nie o to chodzi.

Dlaczego wszyscy jej nagle mówią, co ma robić? Dlaczego dzieje się tak już od dłuższego czasu? Zostań w łóżku, wypoczywaj, rozluźnij się, rób to, co jest najlepsze dla dziecka. Nie pisz, nie piecz – ale nadal bądź panią Eaden. Uśmiechnij się, przyjmij odpowiednią pozę; skłoń głowę, uśmiechnij się, przyjmij odpowiednią pozę. Nie będzie już tego robić. Nie chce też robić tego, co jej teraz nakazują. Musi im wytłumaczyć: to dziecko powinno zostać w niej sześć tygodni dłużej. Naprawdę powinno, chociaż zdaje się, ma na ten temat inne zdanie.

Jęczy głośno i nagle czuje, że coś ciepłego wysuwa się spomiędzy jej nóg. Doktor Caruthers natychmiast odnosi to gdzieś na bok. Ból ustał, ale salę wypełnia teraz przerażająca cisza. Mężczyźni w piżamach zgromadzili się wokół czegoś, co wygląda jak stół do resuscytacji. Cisza wlecze się w nieskończoność. Tak bardzo chciałaby wziąć swoje dziecko w ramiona.

„Zawiodłam”, myśli, kiedy przed oczami ukazują jej się gwiazdki, jakby za chwilę miała stracić przytomność. Próbuje zwalczyć zawroty głowy. Musi się trzymać. Ta kobieta mówi do niej coś ważnego.

Pielęgniarka stojąca obok łóżka spogląda na stół reanimacyjny, na którym, nie wydając żadnego dźwięku, leży jej dziecko.

– Jest bardzo sina – mamrocze pod nosem.

*Ludziki z piernika to najprostszy przysmak. Dzieci je uwielbiają, ale nawet jeśli ich nie masz, nadal możesz je piec, żeby dogodzić sobie. Możesz wykrawać z ciasta serca lub całe rodziny.*

Bradley Hall, godzina dziewięta czterdzieści pięć. Wszyscy zaangażowani w konkurs czekają, aż freelancer Vicki pojawi się na podjeździe. Napięcie jest wyraźnie wyczuwalne. Harriet i Dan krążą po holu, Cora co chwilę niepotrzebnie sprawdza wiadomości na komórce. Bardzo chce, żeby ostatni etap rozpoczął się zgodnie z planem. Claire przysiadła na kwiecistej sofie i przegląda esemesy. Czyta ten od Jaya: „Razem 162 tysiące wejść!”. Potem dwa razy czyta pełną miłości karteczkę od Chloe, mozolnie wypisaną kursywą: „Jesteś najleprzą mamą i najleprzą piekarką pod suonicem!!!”. Różowa kredka głęboko wbiła się w papier, jakby dla podkreślenia głębokiej wiary dziewczynki.

Dzień jest piękny. Była rezydencja wygląda dziś bardziej ekscentrycznie niż groteskowo, a pogoda zdaje się jej w tym pomagać. Poranne słońce złoci się na kamiennych murach, łagodząc linię ozdobnych arkad. Bujna trawa zieleni się połyskliwie. W ogrodzie rozstawiono duży biały namiot i później zawodnicy będą drżeli w nim z chłodu niczym goście ubrani w letnie stroje na wiosennym weselu. Jenny stoi w wykuszowym oknie. Nie wygląda już jak zażywna kucharka z początków konkursu, teraz bardziej przypomina dostojną panią wielkiego domu. Bije od niej łagodny spokój, kontrastujący z panującym wokół gorączkowym ożywieniem. Głowę trzyma wysoko, stoi w dystyngowanej pozie i wypatruje czegoś na końcu podjazdu. Wyraźnie straciła na wadze, ale przede wszystkim pozbyła się niektórych zahamowań. Widać, że doskonale panuje nad sobą. Kiedy jednak na zwirowej alei rozlega się chrzęst opon samochodu Vicki, rusza do akcji. Podbiega do drzwi i obejmuje przyjaciółkę.

– Spóźniłam się... – Vicki jest bardzo zdenerwowana. – Dziękuję, że na mnie zaczekaliście. Czy to bardzo pokrzyżowało wam plany? Zdamę jeszcze pójść do toalety i napić się czegoś, zanim zaczniemy? Gdzie jest Harriet? Są na mnie źli? Och, Jen, czuję się taka winna, że zostawiłam małego Alfa...

– Spokojnie. – Jenny uśmiecha się ciepło i przytula ją mocno.

Jej ciało jest bardziej zwarte, niż Vicki się spodziewała. Nie zapadła się w nie niczym w puchową kołdrę. Raczej emanuje ciepłem i serdecznością. Vicki czuje wokół siebie zaskakująco silne ramiona Jenny, wdycha jej świeży neutralny zapach. „Tak się można czuć w objęciach matki – myśli. – Gdyby moja mama zechciała mnie tak przytulić, właśnie tak bym się czuła, całkowicie bezpieczna”.

Jenny rozluźnia uścisk.

– Mój ty biedaku. I biedny mały Alfie. Jak on się dziś miewa?

– Nieźle. A wkrótce będzie jeszcze lepiej. – Vicki uśmiecha się. Ulga tłumi zmęczenie. – Szczerze mówiąc, nie mogę za dużo o nim myśleć, bo zaraz bym stąd wyjechała. Muszę się skupić i jakoś przeżyć ten dzień.

– O, widzę, że się udało. – Podchodzi do nich przejęta Harriet. – Wspaniale, że twój synek czuje się lepiej i że mogłaś do nas dołączyć. Widzimy się za dwadzieścia minut w kuchni? – Z tymi słowami znika, władcza jak zwykle.

– A więc to już... – Jenny znów się uśmiecha. – Gotowa?

– Chyba nie – odpowiada Vicki przepaszającym tonem. Odciąga towarzyszkę na bok, chociaż Cora, Claire i Mike kierują się już w stronę kuchni. – Stale myślę o tym, co mi wczoraj powiedziałaś o Kathleen. Że wszyscy coś z góry założyliśmy i że jej życie wcale nie było takie idealne. Co chciałaś przez to powiedzieć?

– Och, nic ważnego. – Jenny bierze sweter i torebkę, unikając wzroku Vicki. – Przynajmniej

w porównaniu z innymi naprawdę ważnymi sprawami.

– To samo powiedziałaś wczoraj. Ale dla mnie jest to ważne...

Jenny nieruchomieje i patrzy na nią.

– Właśnie widzę. Jesteś pewna, że chcesz o tym rozmawiać tuż przed konkursem?

– Inaczej bym o to nie pytała! – Sfrustrowana Vicki mówi głośnie, niż zamierzała. – Przepraszam...

– Szybko odzyskuje panowanie nad sobą. – Po prostu nie potrafię przestać o niej myśleć. Mam wrażenie, że nie przysłużyliśmy się jej najlepiej.

Spojrzenie starszej koleżanki – spokojne i zagadkowe – sprawia, że Vicki milknie. Jenny sięga do torby i wyjmuje z niej kartkę szaroniebieskiego papieru firmy Basildon Bond, zapisaną kobaltowym atramentem i starannie złożoną. Podaje ją Vicki.

– Co to jest?

– List. Znalazłam go w jednym z notesów Kathleen. Nie jestem pewna, czy go kiedykolwiek wysłała, ale przeczytaj.

– Prywatny list? No nie wiem, czy powinnam to zrobić. Jak się dostał w twoje ręce?

– Pożyczyłam go sobie. – Jenny się czerwieni. – Pomyślałam, że powinnaś go przeczytać. Potem odłożę go na miejsce. Proszę, weź go. On wiele tłumaczy.

Vicki bierze list, rozkłada ostrożnie i zaczyna czytać.

*Little Haven*

*Trecothan*

*15 czerwca 1972*

*Najdroższy Charlie,*

*miło było Cię wczoraj zobaczyć. To cudownie, że przyjechałeś tu, żeby świętować szóste urodziny Lily. Może takie listowne podziękowanie wydaje się zbyt oficjalne, ale chcę tylko wyrazić, jak bardzo jesteśmy Ci wdzięczni, że zadałeś sobie tyle trudu i że traktowałeś ją jak każde inne dziecko.*

*Latawiec bardzo jej się spodobał. Dokonałeś świetnego wyboru! Wypróbowaliśmy go dziś rano podczas odpływu na plaży w Constantine. Wzięliśmy wózek dostosowany do jazdy po piasku – ten ciężki, który się tak trudno przenosi – i mocno przywiązaliśmy linki na wypadek silniejszego podmuchu wiatru. Lily je trzymała, George pchał wózek i razem biegali wzdłuż plaży, jakby ten wspaniały latawiec ich ciągnął, szybując do słońca. Szkoda, że nie słyszałeś, jak radośnie się śmiała. Była taka szczęśliwa. Piszcziała z przejęcia i strachu, że wiatr porwie jej cudowną nową zabawkę.*

*Nie muszę dodawać, że nic takiego się nie stało. George przywiązał go solidnie – wyobrażasz sobie tę scenę, gdyby tego nie zrobił? Bawiliśmy się tak dobre półtorej godziny. Bałam się, że George dostanie ataku serca, tak bardzo brakowało mu tchu, więc go zastąpiłam. Tak bardzo się cieszę, że to zrobiłam. W ten sposób poczułam się niemal tak, jakbym trzymała ją za rękę i biegła po plaży, a Twój latawiec potęgował uczucie wolności. Szybował przed nami wysoko jak wolny duszek.*

*Potem jeszcze coś zrobiłyśmy pierwszy raz; i z tego też jestem dumna. Namówiłam ją na wspólne pieczenie ludzików z piernika – stworzyłyśmy całą rodzinę. Lily zrobiła je sama. Co prawda potrzebowała pomocy przy wsypywaniu składników do miski, ale sama zagniotła ciasto, rozwałkowała je i wycięła ludziki. Nie mogła stać samodzielnie na krześle obok mnie, ale czy to ważne? Pieklam ciasteczka razem z córką, tak jak sobie to kiedyś wymarzyłam. W pewnej chwili zapytała: „Mamusiu, czy dobrze to robię?”. O mało się nie rozplakałam.*

*Och, Charlie, jeszcze sześć lat temu to wszystko wydawało się niemożliwe. Pamiętasz, jaka była, kiedy się urodziła? Wyglądała bardziej jak ptaszek niż dziecko. Przezroczyta skóra, spod której prześwitywały żyłki. Chudziutka i słaba.*

*Jakie to okrutne sprowadzić na świat takie dziecko po moich trzech wcześniejszych stratach (nadal nie potrafię używać określenia, które stosował Caruthers: nawykowe poronienie). Nie był to pulchny zdrowy bobas, o jakim marzyłam, ale słabowita kruszynka, urodzona w trzydziestym czwartym*

tygodniu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie miała prawa przeżyć i przez te pierwsze straszne tygodnie wydawało się to niemożliwe, i – tak, przyznam to – okrutne wobec nas, a przede wszystkim wobec niej, że jednak jej się udało.

Sama nie wierzę, że napisałam te słowa, ale prawda jest taka – i tylko Tobie, Charlie, mogę to wyznać – że przez długi czas rozpaczałam nad tym, jakim dzieckiem nie jest i nigdy nie będzie. Ale ona się nie poddawała. I kiedy stało się jasne, że przeżyje, moja z początku niepewna miłość do niej zaczęła się umacniać. Lily była naszą małą dzielną wojowniczką. Dzieckiem doskonałym, gdyby nie porażenie mózgowe, spokojnym i beztróskim, gdyby nie zdarzające się co jakiś czas ataki.

A skoro o tym mowa, to wiem, że nadal się niepokoisz miejscem naszego pobytu z dala od szpitali klinicznych. Ale niepotrzebnie się martwisz. Najbliższy szpital jest w Treliске, a poza tym co pół roku odwiedzamy neurologa na Harley Street. Życie w takim odległym miejscu pozwala jej na większą swobodę. Nikt tutaj nie wytyka jej palcem, nie szepcze, jaka to tragedia, ani nie wspomina o tym, że straciłam możliwość kariery. W Londynie nie mogłabym zachować anonimowości, wychowując niepełnosprawną córkę, nie mogłabym biegać z nią za latawcem po Hyde Parku czy Kensington Gardens. Możesz to sobie wyobrazić? Zawsze ktoś by nas zauważył i patrzył na nas z litością.

Właśnie spostrzegłam, że brzmi to tak, jakbym się jej wstydziła. Ty wiesz, że tak nie jest. Nie znoszę natomiast przyciągania ludzkiej uwagi. Zawsze tego nienawidziłam, kiedy musiałam otwierać kolejne sklepy, a teraz, cóż, jeszcze bardziej naruszałoby to moją prywatność. Wystarczy, że nadal prześladowuje mnie pani Eaden i jej naiwne przekonanie, że wie, jak zadowolić rodzinę doskonałą, a raczej założenie, że taką rodzinę można stworzyć dzięki sztuce pieczenia. Tutaj jestem po prostu Kitty, matką Lily. Mogę się skupić na córce i robić wszystko, co w mojej mocy, żeby uczynić jej życie szczęśliwym, jak długo ma ono trwać.

Ale dość tego tłumaczenia się z naszego pustelniczego życia. Za każdym razem, kiedy wciągam w płuca atlantyckie powietrze, kiedy idziemy razem na plażę, wiem, że to dla niej najlepsza decyzja. Daj znać, kiedy znów będziemy mogli Cię zwabić w nasze progi. Potrafisz szybciej biegać z wózkiem niż George, a Lily następnym razem chce się wybrać z latawcem do Watergate Bay. Plaża ma tam prawie pięć kilometrów długości, więc lepiej już zacznij ćwiczyć!

Z wyrazami miłości,

Kitty

Charakter pisma jest taki znajomy: zdecydowany, zamaszysty, krągły, styl jasny i wartki jak zwykle. Tylko rzeczywistość przedstawiona w liście zupełnie się nie zgadza.

– Nie rozumiem. – Vicki z trudem zbiera myśli. – Kto to jest ta Kitty?

– Kitty to Kathleen. To list od niej do brata.

– Kathleen? Kathleen Eaden?

Jenny przytakuje.

– W takim razie kto to jest Lily? Córka Kathleen ma na imię Laura i ma tylko kilka lat więcej niż ja. Zdaje się, że trzydzieści pięć. Pamiętam to z wywiadu. W 1972 roku nie mogła być sześciolatką.

– Kathleen musiała mieć inne dziecko, które urodziła wcześniej i chciała chronić przed światem. To by tłumaczyło, dlaczego sprzedali firmę i przeprowadzili się w tak odległy rejon Kornwalii – wtedy na pewno wydawał się odległy – i dlaczego przestała pisać. Zawsze na pierwszym miejscu stawiała rodzinę, jak mówiła Laura, a przy tak chorym dziecku, nękanym atakami i cierpiącym na porażenie mózgowe, ten wybór był oczywisty i jedyny.

Vicki ma wrażenie, że jej świat się zmienił. Jest dezorientowana, jakby przed chwilą kręciła się z Alfiem na karuzeli.

– Nie lubiła być panią Eaden... Nawet nie wierzyła, że pieczenie uszczęśliwia rodzinę. – Wszystko, co uważała za pewnik, właśnie legło w gruzach.

– Widzisz? Wyobrażam sobie, że mając dziecko z takimi problemami, uważała odgrywanie pani

Eaden za... czy ja wiem... głupie? Może raczej nieszczerze. Dziecko z porażeniem mózgowym i wielokrotne poronienia jakoś nie pasują do spokojnego, kontrolowanego i doskonałego świata, jaki opisuje.

– Ale może pieczenie jej pomagało? Przecież dawało jej tyle szczęścia. – Vicki chce zachować chociaż jeden pewnik.

– Najwyraźniej – zapewnia ją Jenny. – Robiła piernikowe ludziki z Lily, prawda? I to nadal sprawiało jej radość.

– Ale jej życie nie było doskonałe. Przynajmniej nie w takim zakresie, jak sugerują to jej książki i zdjęcia. I chociaż można osiągnąć perfekcję w wypiekach, w życiu... cóż... nie jest to możliwe.

– Doskonała żona, doskonałe dziecko, doskonała matka? Nikt z nas nie pasuje do takiego obrazu. To zwykłe mrzonki. W twoim przypadku, w moim i w przypadku Kathleen.

*Robiąc crème pâtissière, nieustannie mieszaj masę, kiedy dodasz do niej gorące mleko. Krem musi bulgotać, ale nie może przywrzeć do dna garnka. To jeden z tych momentów, kiedy musisz przykładać wagę do szczegółów. Chwila nieuwagi może zepsuć wszystko.*

Frances odbiera telefon po trzech sygnałach, a nie jak zwykle po dziesięciu. Zaskoczona Vicki ściska mocno komórkę. Spodziewała się kilku sekund, podczas których będzie mogła się wyciszyć, a tymczasem musi od razu zacząć rozmowę.

– Mama?

– To ty, Victorio? – Frances pyta ostrożnie, jakby się obawiała kolejnego ataku ze strony rozgniewanej córki. – Nie pojechałaś na konkurs? Czy nie powinien się zaraz zacząć?

– Tak. Za pięć minut. Ale najpierw postanowiłam z tobą porozmawiać. Chciałam cię przeprosić – wyrzuca z siebie te słowa z ulgą.

– Słucham... – mówi matka cicho i spokojnie, ale nie surowo.

– Lepiej byłoby to zrobić twarzą w twarz... lecz chcę ci to jak najszybciej powiedzieć, żeby żadna z nas nie rozmyślała o tym cały dzień. Przepraszam cię. Przykro mi, że cię obwiniłam o tę aborcję i sugerowałam, jakobyś mnie do niej zmusiła. Że zrobiłam to tylko za twoją namową.

Zapada długie milczenie. „Powiedz coś”, ponagla ją w duchu Vicki. Zdaje sobie jednak sprawę, że matka nadal na coś czeka. I tak. Ma jeszcze coś do dodania.

– Chyba było mi wygodniej przerzucić odpowiedzialność na ciebie – mówi dalej. – Zawsze czułam się winna, ale jakoś to sobie tłumaczyłam, zanim urodził się Alf. Potem ta sprawa nabrała większego znaczenia. Zdaje się, że chciałam podzielić się winą albo całkiem ją z siebie zrzucić. Postąpiłam nie fair. Wiem, że wtedy nie dałabym sobie rady z dzieckiem. Sama jeszcze nim byłam. I pamiętam, jak mi wtedy powiedziałaś, że jeśli naprawdę chcę przerwać tę ciążę, to będziesz mnie wspierać. – Milknie i odдыcha głęboko.

Matka odpowiada z wahaniem, ale w przemyślany sposób:

– Wiesz, że to była twoja niezależna decyzja, prawda?

– Tak, mam. To właśnie próbuję powiedzieć. Tak, wiem to. I przepraszam.

– Kochanie, zawsze chciałam tylko tego, co dla ciebie najlepsze. Jeśli chodzi o wykształcenie, ale również, a nawet przede wszystkim, jeśli chodzi o uczucia. I bardzo cię przepraszam, jeśli nie zawsze... a może nawet często nie było to zbyt wyraźne. – Znow zapada cisza. – Wiem, że nigdy nie byłam też odpowiednio matczyzna... Jeśli mam być szczerą, wychowanie małego dziecka nie przychodziło mi łatwo. Pewnie teraz zdiagnozowano by to jako depresję poporodową. – Pociąga nosem, jakby nie dawała temu wiary albo irytowało ją, że musi się do czegoś takiego przyznać. – Potem doszłam do wniosku, że nie mam predyspozycji do bycia dobrą matką, jakkolwiek to rozumieć. Wtedy nie było długich urlopów macierzyńskich. Wróciłam do pracy, kiedy miałaś półtora miesiąca, i dopiero wtedy zaczęłam sobie lepiej dawać radę. Byłam szczęśliwsza, a ty stałaś się spokojniejsza. Przy opiekunce nigdy tyle nie płakałaś co przy mnie. Ale kochałam cię, Vicki. Wiem, że wydawałam ci się surowa: pilnowałam, żebyś zawsze odrabiała lekcje, martwiłam się, czy wykorzystujesz swój potencjał. Pewnie nie bawiłam się z tobą zbyt często, a może nawet w ogóle, ale kochałam cię i żałuję, że nie okazywałam tego w bardziej przekonujący sposób. Chyba chcę ci po prostu powiedzieć, że starałam się, jak umiałam. Zabrzmiało to raczej szablonowo, ale to jest wszystko, co każdy z nas może zrobić. Ty tak postępujesz względem Alfiego. Proszę, nie zadręczaj się myślą, że nie jesteś wystarczająco dobrą matką. Rób to, co mnie się nie

udało: ciesz się swoim dzieckiem.

Następuje jeszcze dłuższa pauza, w czasie której Vicki stara się ułożyć odpowiedź. Nie może jednak wydusić ani słowa przez zaciśnięte gardło. Wydobywa z siebie tylko coś między szlochem a łkaniem.

– Vicki? Wszystko w porządku? Lepiej już idź. Nie powinnaś się spóźnić na rozpoczęcie finału.

– Tak, tak, jasne. – Udaje jej się wziąć w garść. – Dziękuję ci za tę pokrzepiającą rozmowę. Chyba rzeczywiście muszę już uciekać. Pa.

Ale Vicki wyczuwa – a raczej ma nadzieję – że jeszcze coś usłyszy, że matka ma coś więcej do powiedzenia.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś i...

– Tak, mam? – Ściska mocniej telefon.

– Będiesz zawsze pamiętać, że cię kocham, skarbie?

– A więc zaczynamy.

Harriet stoi na środku kuchni, lekko kołysząc się na piętach, i nawet nie próbuje udawać, że nie jest przejęta chwilą. Kiedy zjawiło się czworo zawodników, poczuła ulgę, chociaż brakuje jej Karen, którą uważała za kandydatkę do pierwszego miejsca.

– Uroczysty podwieczorek. Odpowiedni finał wspaniałego konkursu. Fantastyczna uczta dla zmysłów, podczas której bardziej liczy się elegancja niż obfitość. Dzisiaj chcemy stworzyć propozycję wykwiintnej popołudniowej herbatki, jaką opisywała Kathleen Eaden: dekadencją kompozycję miniaturowych przysmaków, które mają cieszyć podniebienie. Nie ma tu miejsca na przeciętność, na twarde babeczki, wyschnięte kawałki puddingu z chleba i masła, na ciastka bez smaku. Chcemy widzieć filigranowe kanapki z cienko pokrojonego świeżo upieczonego chleba, francuskie tartaletki, *millefeuille*, miniaturowe ptyśie i bułeczki z gęstą śmietaną dla najbardziej angielskich gości.

– Dzisiejszy test będzie wymagał doskonałego zarządzania czasem – dodaje Dan. – Macie w sumie cztery i pół godziny. Na co je poświęćcie, zależy tylko od was, od waszego doświadczenia i umiejętności. Żaden z tych przepisów nie jest sam w sobie skomplikowany, ale wykonanie ich wszystkich w czasie krótszym niż pięć godzin – przy odpowiedniej jakości – może stanowić prawdziwe wyzwanie. Dostaniecie pięć propozycji do zrobienia, a każda musi zostać ukończona w przewidzianym czasie.

Zapada cisza. Claire wygląda tak, jakby miała się za chwilę rozchorować, Mike jest osłupiały, Vicki natomiast, chociaż zmęczona, robi wrażenie zadowolonej. Opanowana Jenny uśmiecha się pogodnie.

– Jesteśmy gotowi? – Harriet patrzy na nich życzliwie. – Zaczynamy więc ostatni etap konkursu „Nowa Pani Eaden”.

Cztery głowy pochylają się w skupieniu. Każdy z zawodników rozpisuje swój plan zadań tak sumiennie, jakby to było jakieś zawikłane równanie matematyczne.

Jenny kończy pierwsza, jak zwykle pracując najefektywniej. Zacznie od chleba, a kiedy ciasto będzie wyrastać, robi *crème pâtissière* do miniaturowych babeczek i *millefeuille*. Potem zajmie się drobnymi ciasteczkami. Następnie przyjdzie pora na pieczenie i układanie. Musi niczym sztukmistrz wyczarować zestaw świeżych, doskonałych produktów i uniknąć końcowego wyścigu z czasem.

Patrzy na swój plan pracy i zastanawia się, czy ta dokładność – każdy wyrób ma starannie przypisany czas przygotowania – nie jest czasem jej wadą w dziedzinie pieczenia i słabością jej charakteru. Może była zbyt sztywna, nie pozwalała sobie na puszczenie wodzy wyobraźni jak Kathleen Eaden... Nigdy przedtem nie śmiała wykroczyć poza rolę, którą sobie narzuciła w dorosłym życiu. Wie jednak również, że przywiązanie do porządku ją uratowało. Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze... Ale sos trzeba mieszać i precyzyjnie odmierzać składniki. Struktura tego etapu – i wysokie wymagania – zmusiły ją do skupienia uwagi na tym, co tu i teraz. Nie może dać się złapać w sidła krnąbrnej wyobraźni. Wszystkie myśli o Gabby Arkwright wijącej się w uścisku jej męża odchodzą w niepamięć, kiedy trzeba się skupić na ubijaniu białek i uważać, żeby nie zepsuć dekoracji z czekolady.



Oczywiście wie, że po konkursie będzie musiała stawić czoło rzeczywistości i wrócić do problemów rozpadającego się małżeństwa. Dziwna wojna nadal trwa, ale Nigel, zaintrygowany pozytywną przemianą żony, wykazuje chęć do rozmów pokojowych. Ona jednak raczej ich nie podziela. Dawna Jenny, uległa żona i matka, której świat kręcił się wokół domowej kuchni, została zastąpiona nową, udoskonaloną wersją: dostrzegła inną, intrygującą rzeczywistość za płotem swojego ogródka i rozważa, czy nie poznać jej lepiej. Wierzy, że ją na to stać.

Nowa ulepszona Jenny – a może tylko odświeżona wersja oryginału – wyjdzie z pokoju, jeśli ktoś nazwie ją grubasem, chociaż to określenie nie do końca już do niej pasuje. Stres ostatnich tygodni sprawił, że ku swojemu zaskoczeniu musiała kupić na ten finał ubranie o dwa numery mniejsze. Nadal jest pulchna, ale już nie otyła. Stanie z mężem twarzą w twarz i zapyta go o romans. Nie będzie udawała nieświadomości i trwała w nadziei, że problem sam się rozwiąże. Chciałaby zyskać jego podziw i szacunek i chciałaby wierzyć, że dwadzieścia osiem lat związku nie poszło na marne, że poradnia małżeńska – jeśli miałyby namówić męża na wizytę – pomoże w złagodzeniu drobnych uraz i konsekwencji bardziej okrutnych postępów. Obawia się jednak, że jest na to za późno. Nie chce być z kimś, kto potrafi nazwać ją grubasem. Przypuszcza... nie, w zasadzie jest tego pewna, że od niego odejdzie.

Ta świadomość ją oszałamia. Postanawia więc, że pomyśli o tym później. Skupia się na wyrabianiu ciasta na delikatny biały chleb. Nigel wybiera się jutro do Peterborough, gdzie odbywa się półmaraton, ale jej córki, jej wspaniałe córki będą tu dziś po południu, żeby ją wspierać. Niestety Kate, za którą tak bardzo tęskni, nie może przyjechać z Sydney, ale Lizzie przybędzie z Bristolu. Zjawi się również Emma, czasami zadziorna i trudna, ale tak naprawdę niezłomna i wierna, jak przystało na środkowe dziecko. Myśl, że zostawi swojego nowo poznanego chłopaka i ciekawe życie studenckie na południu Francji, żeby kibicować matce, wypełnia ją szczęściem słodkim niczym syrop sączący się z tarty. Radość pulsuje w jej żyłach. „Mam cudowne córki – myśli – i mam swoje umiejętności. W tym momencie chyba niczego więcej mi nie potrzeba”.

Pracująca za nią Claire również skupia się na pozytywach i stara się sama przemówić sobie do rozsądku. Jednocześnie przygotowuje ciasto ptysiowe do *millefeuille*: łączy masło z mąką, potem wlewa wodę do zagłębienia w środku, żeby wszystko odpowiednio połączyć. Trudno jej było uwierzyć, że jest wystarczająco dobra, żeby się tutaj znaleźć, ale teraz ma niezbity dowód: sto sześćdziesiąt dwa tysiące ludzi obejrzały w internecie, jak robi bułeczki z Chelsea, domek z piernika i suflet czekoladowy. Sto sześćdziesiąt dwa tysiące ludzi uważa, że jest w porządku. A może nawet bardziej niż w porządku.

Kończy formować ciasto i bierze się do *crème pâtissière*, zaczynając od dodania wanilii do mleka. Taki strączek wanilii kosztuje dwa funty, myśli odruchowo, patrząc, jak czarne punkciki rozpływają się w mleku, i wdychając słodki, sugestywny zapach. Przed tymi zawodami nigdy nie używała takich składników, dodałaby kroplę esencji, mocnej i syntetycznej, zupełnie nieporównywalnej z prawdziwym produktem, ale o wiele tańszej. Dwa funty... Można za nie kupić dwie duże torby makaronu, pół kilo mielonego mięsa albo dwa opakowania paluszków rybnych. Dziesięć posiłków dla Chloe albo jeden suchy strączek, który bosko pachnie i pozwala stworzyć wspaniały krem waniliowy, ale w końcu jest tylko przyprawą. Na pewno nikt z tu obecnych nie myśli w ten sposób, ale też żadne z nich nie pracuje za sześć funtów i osiem pensów na godzinę.

Oddziela żółtka od białek i uciera je z cukrem, patrząc, jak pomarańczowe kule gęstnieją i bledną, zamieniając się w krem. Nikt oprócz niej nie wspomniał o pieniądzach: o kontrakcie na pięćdziesiąt tysięcy za udział w kampanii reklamowej, za firmowanie własną twarzą linii produktów do pieczenia i za pisanie cotygodniowych artykułów. Ta suma nie może wyjść z głowy Claire. Pięćdziesiąt tysięcy funtów! – dzwoni jej w głowie jak sygnał wygranej w jednorękim bandycie. Potrafi ogarnąć tę kwotę wyobraźnią, nie tak jak milionową wygraną na loterii, o której marzy jej sąsiad. Ta suma jest bardziej realna. I odmieniłaby jej życie.

Myśl o niej drażni Claire. Pięćdziesiąt tysięcy. Pięć razy więcej niż jej obecna roczna pensja. Wystarczająco dużo, żeby wnieść zaliczkę na małe mieszkanie, gdyby tylko zarabiała więcej i mogła uzyskać kredyt. Wystarczająco dużo, żeby założyć ogrzewanie, kupić Chloe komputer, konsolę do gier, nowe ubrania zamiast używanych. Żeby zabrać ją na wakacje. A może jak inne dzieci Chloe mogłaby się przelecieć samolotem? Już sobie wyobraża jej reakcję na taką wieść: szeroko otwarte oczy, uśmiech od ucha do ucha, radosny skok w ramiona matki i uścisk tak mocny, że nie mogłaby złapać oddechu.

Z zacięciem uciera żółtka. Nie wygra tego konkursu, jeśli pogрузy się w marzeniach. Nagle się uśmiecha. Jeszcze niedawno sądziła, że nie potrafi marzyć.

Krem staje się coraz gęściejszy, ale nagle kuchnię wypełnia zapach przypalonego cukru.

– O, kurczę! – Vicki pracująca przy sąsiednim stanowisku jest bliska łez.

Zdejmuje rondel z palnika i przelewa jego zawartość do innego garnka w nadziei, że uratuje resztę mikstury. Gdy do przypalonego garnka wlewa wodę, rozlega się syk, a w powietrze bucha kłęb pary. Wnętrze rondla jest czarne po bokach, a na dnie utworzyły się bąble ze ściętego jajka i mąki kukurydzianej, wyglądające jak słodka jajecznicza.

– Wszystko popsułam. – Głos Vicki się łamie, wysiłek ostatnich osiemnastu godzin daje o sobie znać.

– Hej, daj spokój... Jesteś po prostu zmęczona i zdenerwowana – pociesza ją Claire, nie spuszczać wzroku z własnego garnka. Krem bulgocze: gęsty, gładki, tłusty. Zdejmuje go z kuchenki. – Może zrób coś innego, dopóki mleko nie przejdzie zapachem wanilii. – Podchodzi do stanowiska Vicki i zerka na jej plan pracy. – O, ciasto ptysiowe. Możesz je teraz zrobić i niech czeka na swoją kolej. Będziesz miała je z głowy.

Patrzy na jej blat zarzucony skorupkami jajek, zaśmiecony i chaotyczny. Ciasto chlebowe wyrasta, ale przypalony krem opóźnił pracę Vicki.

– Dobrze. – Vicki pociąga nosem i wyciera oczy wierzchem dłoni. – Kiepsko mi dzisiaj idzie.

– Masz za sobą ciężkie chwile – mówi Claire. – Pora to naprawić.

– Pewnie tak. – Vicki uśmiecha się blado.

– Weź się w garść, bo za bardzo ułatwisz nam życie – próbuje żartować Claire.

Konkurentka mimo woli wybucha śmiechem.

– Claire, jesteś niesamowita. Idzie ci doskonale i nie musisz się obawiać konkurencji z mojej strony.

– Ty też nie musisz się niczego obawiać. A idzie ci całkiem nieźle. Daj spokój. Wyobraź sobie, że stoisz przed trzydziestoosobową grupą sześciolatków. Jak kiedyś powiedziałaś? „Każdy nauczyciel musi być trochę aktorem”? „Nie wolno okazywać zdenerwowania”?

– Coś w tym rodzaju – mamrocze Vicki.

– Właśnie. Więc potraktuj Dana i Harriet jak parę sześciolatków.

Niczym zbesztane dziecko Vicki robi, co jej kazano: odmierza wodę, masło i sól na ciasto ptysiowe, roztrzepuje jajka, waży mąkę. Gotuje wodę z masłem, dodaje mąkę, tworząc gęstą mieszaninę. Następnie małymi porcjami dodaje jaja i konsystencja zmienia się z gęstej jajecznicy w gładką jasnobrązową papkę. Próbuje odrobinę i wzdryga się: wyczuwa ciepłe masło, sól i jajka, ale efekt jej nie zadowala. Smak jest zbyt wytrawny, surowy. Ale po upieczeniu mieszanka powinna się zmienić w lekkie jak piórko ciasto, chrupiącą kulę wypełnioną powietrzem, którą można napełnić bitą śmietaną lub lodami i stworzyć fantastyczny deser.

Odstawia ją na bok i wraca do *crème pâtissière*, ale zapach bijący od mleka, w którym pływa zanurzony strąk wanilii, przypomina jej woń balsamu, którym nacierała Alfiego w niemowlęctwie, zanim nauczył się zeskakiwać z maty do przewijania i wrywać z jej objęć. Och, to jest beznadziejne. Mimo najlepszych chęci nie jest w stanie się skoncentrować. Przeżycia zaćmiewają jej umysł: poczucie winy ze względu na Alfiego, żal z powodu aborcji i kłótni z matką oraz smutna zaduma nad losem Kathleen. Całe to pieczenie wydaje się jej pozbawione sensu, zwykła rozrywka w porównaniu z ważnymi życiowymi

sprawami, takimi jak wychowanie dziecka. Rozrywa powłoczkę żółtka i parzy, jak złote smugi spływają do miski z białkiem, uniemożliwiając jego użycie. Musi jeszcze raz zacząć na nowo.

Do diabła z tym! Sięga po nową miskę i trzy świeże jajka, dając sobie minutę na odzyskanie kontroli nad sobą. Widzi przed sobą twarz Alfiego: jego wielkie brązowe oczy, pobladłą buzię, wiśniową dolną wargę wysuniętą żałościwie i jego wołanie, kiedy z uspokajającym uśmiechem wychodziła z oddziału: „Mamusi!”.

„Nie chciałam być matką, która opuszcza swoje dziecko – myśli z wściekłością. – Jak mogłam go zostawić, kiedy mnie potrzebował?” Zalewa ją fala złości na samą siebie. „Jak mogłam go zostawić w szpitalnym łóżku?” Automatycznie dodaje w myślach, że Kathleen nigdy by tego nie zrobiła. Dla Lily zrezygnowała ze wszystkiego. Zaraz pojawia się inna stanowcza myśl: „Ale przecież ja nie jestem Kathleen. I kto wie, jaką byłaby matką, gdyby nie przeszła tak traumatycznych, ekstremalnych doświadczeń?”.

Uporczywy głos gdzieś z głębi jej duszy mówi: „Nie nadaję się na pełnoetatową mamę”. „Ale przecież tego chciałaś – spiera się z sobą – i szczęśliwie udało ci się to osiągnąć”. „Wiem, wiem. Ale nie jestem szczęśliwa i daleko mi do doskonałości. Muszę zrobić coś innego”. Uświadamia to sobie, kiedy wreszcie udaje jej się sprawnie oddzielić żółtka od białek. Nagle pojmuje coś, co właściwie od dawna wiedziała: „Chcę zastąpić w szkole Amy. Muszę się przekonać, czy mogę wrócić do nauczania”.

*Pieczenie to sposób na okazywanie troski ukochanym. To przyjemna pożądana umiejętność. Może zaznajomić nas z nowymi smakami i kulturami. Czasami otwiera przed nami całkiem nowy świat.*

Minęły cztery i pół godziny. Na czterech wielopoziomowych paterach piętrzą się *millefeuille*, ptysie i minibabeczki wypełnione kremem i *crème pâtissière*. Są też pulchne babeczki – Mike upiekł je duże, żeby dostarczyły energii na długi spacer. Małe ciasteczka Vicki spoczywają w wyłożonych serwetami koszyczkach, lśniące i posypane kryształkami cukru. Półmiski z kanapkami z łososiem walczą o miejsce z domową szynką i chutneyem z zielonych pomidorów. Dżem błyszczący niczym drogie kamienie obok gęstej śmietany.

Sędziowie niespiesznie naradzają się nad werdyktem, powiedziawszy zawodnikom, że mogą odpocząć i spotkać się z rodziną i przyjaciółmi. Obserwatorzy wychodzą z Bradley Hall, gdzie mogli oglądać konkurs na ekranach telewizorów.

– Mamo, byłaś wspaniała!

Emma biegnie przez trawnik, żeby objąć matkę. Tuż za nią podąża Lizzie. Vicki patrzy zazdrośnie, jak trzy kobiety tworzą radosny, ciasno spleciony krąg, a potem rozdzielają się ze śmiechem. Nigdy nie doświadczyła tak niewymuszonej, swobodnej reakcji matki.

Mike również zostaje powitany uściskiem – obejmuje go dwójka dzieci. To pewnie Pippa i Sam. Potem podchodzi do niego kobieta bardzo do niego podobna, chyba siostra.

Także Claire jest w centrum zainteresowania swoich bliskich: pary w średnim wieku i dorastającej dziewczynki.

– Mamo, byłaś suuuper! – woła Chloe i tańczy wokół niej, a potem wykonuje gwiazdę.

Mimo zmęczenia Vicki wybucha śmiechem.

Córka Mike'a przygląda się Chloe z zainteresowaniem. Wkrótce odrywa się od boku ojca i podchodzi do starszej koleżanki, wyraźnie nią zafascynowana. Claire przedstawia Mike'owi rodziców, a Vicki pierwszy raz dostrzega, że mężczyzna patrzy na Claire z uwielbieniem. Obie grupki nieśmiało mieszają się z sobą. „Wszyscy tu mają duże wspierające rodziny”, myśli Vicki nieco żałośnie i spogląda na zdjęcie, które przysłał Greg, kiedy była zajęta pieczeniem: Alfie siedzi na kanapie, ściskając Psa, czyli swojego sfatygowanego misia. „Wszystko w porządku, mamusiu. Kochamy cię. Powodzenia!” – głosi eemes, a Alfie pokazuje uniesiony kciuk.

Mały chłopiec i jego ojciec. Być może to musi jej wystarczyć. Nie. Raczej: to może jej wystarczyć. I nagle na jej twarzy pojawia się uśmiech. Z początku niepewnie, ale zobaczywszy jej rozradowaną twarz, o wiele szybciej zbliża się do niej osoba, której najmniej się tu spodziewała, ale którą tak naprawdę najbardziej chciała zobaczyć.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu, że przyjechałam? – pyta Frances.

A Vicki tylko uśmiecha się przez łzy.

Obrady trwają, a Jenny, pijąc szampana w towarzystwie córek, przegapia dzwonek telefonu. Potem zaczyna dzwonić komórka Emmy, głośno i uporczywie.

– Jest tam twoja matka? – wszystkie trzy słyszą zagniewany, ochrypły głos Nigela.

– Nigel? – Bierze telefon z wyciągniętej ręki córki. – Aha... aha... Och... Nigel, tak mi przykro.

– Co się stało? – szepczą z niepokojem Emma i Lizzie, starając się pochwycić jej wzrok. Jenny jednak całkowicie pochłonęła rozmowa.

– Nie... Rozumiem, że chcesz, żebym natychmiast wróciła, ale po prostu nie mogę. Konkurs jeszcze

się nie skończył... I po tym wszystkim nie potrafię ci pomóc. Przykro mi, Nigel, ale dłużej już tak nie mogę. Rozumiem... A może Gabby mogłaby coś poradzić? Jestem pewna, że chętnie się tobą zaopiekuje, zwłaszcza że to ona zachęciła cię do startu. Nie... Nie, Nigel, nie mogę... – Odsuwa telefon jak najdalej, aż słyhać płynący z niego potok gniewu, zakłócający miły gwar rozmów toczących się wokół. – Żegnaj, Nigel – mówi i przez chwilę znów trzyma telefon przy uchu, a potem z niespodziewaną determinacją się rozłącza.

– O co chodziło? – Lizzie pierwsza odważa się zadać pytanie.

– Wasz ojciec zerwał sobie więzadło krzyżowe podczas treningu przed jutrzejszym półmaratonem i przez sześć tygodni musi kurować się w łóżku.

Dziewczęta patrzą na nią oniemiałe.

– Powiedziałam mu, że nie wrócę, żeby go niańczyć.

– Brawo! – Emma ściska ją serdecznie, choć Lizzie nadal nie może odzyskać głosu.

– Zdaje się, że zrobiłam coś więcej. – W objęciach córki nagle czuje strach. – Chyba właśnie od niego odeszłam.

– Jeszcze większe brawo! – szepcze jej Emma do ucha z wielkim przekonaniem.

Nieświadoma tych zdarzeń Claire w otoczeniu rodziny i Mike'a niemal trzęsie się z przejęcia. Właśnie zaproszono ją na rozmowę z dyrektorem generalnym Eadena w sprawie rozwoju linii produktów do pieczenia w regionie West Country. Wydaje jej się, że da sobie radę. To łatwizna w porównaniu z tym, czego właśnie dokonała. Wypija kolejny łyk szampana i stuka się kieliszkiem z Angelą.

– To jest dopiero życie, co? – Matka śmieje się uszczęśliwiona.

– Można się przyzwyczaić, prawda?

Już wie, że istnieje zupełnie inny świat, którego może doświadczyć: świat gry w krokietą i prywatnych pokazów kulinarnych, wieczorów degustacji szampana i podziwu w oczach mężczyzn takich jak Mike. Świat, w którym znów może marzyć.

Chloe demonstruje córce Mike'a, jak zrobić gwiazdę, traktując młodszą dziewczynkę nieco protekcjonalnie. Wyciąga się na całą wysokość i wykonuje trzy obroty jeden za drugim. Nagle nieruchomieje i zaraz rusza biegiem, wymachując rękami.

– Tataaa!

W ich stronę dumnym krokiem pawia zmierza mężczyzna o opalonej twarzy i złotozielonych oczach.

– Co on tu robi? – warczy Angela. – Zaprosiłaś go?

– Nie... Nie chciałam go zaprosić. Oczywiście wiedział, że przyjedziecie dziś na finał. Może nie wyraziłam się wystarczająco jasno. – Chciałaby, żeby natychmiast zniknął.

– Co tam? – Jay uśmiecha się do niej i obejmuje Chloe ramieniem.

Angela prychna cicho i wita go chłodnym skinieniem głowy.

– Co ty tu robisz? – Claire nagle zdaje sobie sprawę, jak bardzo Jay różni się od Mike'a.

– Sądziłem... Ostatnio tak dobrze nam szło... Pomyślałem sobie, że przyjadę i ci trochę pomogę w tych gadkach szmatkach. – Bezskutecznie próbuje się uśmiechnąć. – Chloe mi to zasugerowała, ale może to zły pomysł?

Na końcu języka ma ciętą odpowiedź, ale się powstrzymuje, widząc zwróconą ku sobie twarz córki, i tak już nieco posmutniała.

– To świetny pomysł – połyka złośliwość tylko ze względu na nią. – Ale może najpierw zamienimy kilka słów? Zaraz wracam, kochanie – mówi do córki i całuje ją w piegowaty policzek, żeby dodać jej otuchy.

Chce jak najszybciej odsunąć Jaya od swoich nowych przyjaciół. To jest jej nowy świat, nie jego. On pasuje do piaszczystej plaży z czasów jej młodości, nie do krokietą i przyszłości. Patrząc na Jaya, dochodzi do wniosku, że chyba wreszcie z niego wyrosła. Bierze go za ramię i odprowadza na bok, starając się robić to delikatnie. On wyrywa jej ramię ze złością.

– Nie bądź taki – próbuje go udobruchać.

Idą dalej w stronę drzew na wzgórzu, które zapewnią im trochę prywatności.

– Przez ciebie wyszedłem na głupka – mówi obrażony. – Myślałem, że się ucieszysz.

– Ależ Jay, chciałeś tylko mnie wykorzystać.

– Nieprawda – zapiera się z urażoną miną.

– Jay... To ja, pamiętasz mnie? Znam cię. Pochlebia mi, że przyjechałeś tu z tak daleka, ale nie sądzę, żebyś zrobił to tylko ze względu na mnie. Spodziewałeś się, że będzie tu niezła zabawa.

Zapada cisza. Jay najwyraźniej rozważa następny ruch.

– No a co by to szkodziło? Sama czasem powinnaś spróbować się zabawić. – Uraziła jego dumę, więc zaczyna być nieprzyjemny.

– Nic by nie szkodziło. Tylko że nie możesz pojawiać się w naszym życiu jedynie wtedy, gdy zapowiada się dobra zabawa. To tak nie działa.

– Och, daruj sobie to kazanie. – Już chce od niej odejść, ale coś go powstrzymuje – może jej nieugięta postawa, a może strach, żeby nie wyjść na jeszcze większego głupca. Stoi, przestępując z nogi na nogę, i czeka, co jeszcze mu powie.

– Ojciec i partner życiowy powinien być obecny, kiedy jest ciężko i nudno, a nie tylko jak jest fajnie: filmiki na YouTube, wygrany konkurs – akurat tego jeszcze nie wiadomo – eleganckie domy, szampan.

– Nie mów do mnie jak do głupka.

– Nie chciałam, przepraszam. Wydaje mi się, że nie rozumiesz, czego od ciebie z Chloe oczekujemy.

– Doprawdy? No to zobacz.

Podwija rękaw podkoszulka i pokazuje świeży tatuaż, wypisane wokół bicepsa kursywą słowo Chloe. Skóra jest jeszcze zaróżowiona od ukłuć.

– Zrobiłem to, żeby udowodnić, jak bardzo jestem wam oddany, ile obie dla mnie znaczą.

Claire przełyka ślinę. To najgłupsza rzecz, jaką mógł zrobić. Gest na pokaz, który miał dowieść jego dojrzałości, odniósł przeciwny skutek. Ma ochotę pogłodzić go po zranionej skórze niczym dziecko i jednocześnie zmasać tatuaż.

– Bycie ojcem nie polega na tatuowaniu sobie imienia dziecka – mówi teraz bardziej ze smutkiem niż z gniewem. – Trzeba być przy nim, kiedy ma gorączkę, trzymać je nad sedesem, kiedy wymiotuje, zmieniać pościel, kiedy się zmoczy, pomagać w nauce czytania, odbierać ze szkoły, bawić się z nim. Wysłuchiwać opowieści o zmartwieniach. Piec razem. Starać się zapewnić dziecku szczęśliwe życie.

– Tobie się to udało. – Kopie butem kępkę trawy.

– Niezupełnie. – Coraz trudniej przychodzi jej zachowanie spokoju. – Staram się, ale nie mogę jej dać wszystkiego. Chloe potrzebuje również ciebie.

– A ty?

Patrzy na niego łagodnie.

– Sama nie wiem, Jay. Potrzebuję cię jako ojca Chloe, ale czy jako partnera? Nie, nie sądzę.

Zapada cisza.

„Cholera, co ja zrobiłam – myśli. – Kiedy jest smutny, wygląda tak pociągająco. A jak się do mnie uśmiecha, to już po mnie. Prześpię się z nim dzisiaj. Czy to byłoby takie straszne? Uczciłabym w ten sposób swój sukces, poczułabym się jak Karen. Ale przecież nie jestem nią i nie chcę być do niej podobna. I w ten sposób zrobiłabym krok w tył”. Jay patrzy na nią spod gęstych rzęs, kiedy ona z sobą walczy.

– Claire! – piskliwy okrzyk przerywa ich milczenie. To Vicki maszeruje ku nim po trawie. – Przepraszam, ale zaraz ogłoszą zwycięzcę!

Podbiega do nich, ściska Claire i uśmiecha się do Jaya w sposób, który świadczy o tym, że nie wie, w czym im przeszkodziła. „Ocalona przez Vicki”, myśli Claire. Przez tę zabawną elegancką kobietę,

której nie sposób nie lubić, przez nową przyjaciółkę, która kiedyś jej powiedziała, żeby szła do przodu i w górę i nie popełniała starych błędów.

– Boże, jestem przerażona – wyznaje Vicki, biorąc ją pod ramię.

Razem schodzą ze wzgórza.

– Chodź z nami, Jay. Tak masz na imię, prawda? Bo ominie cię główna atrakcja. – Vicki zatrzymuje się, podbiega i bierze go za rękę jak trzylatka.

Claire wątpi, czy kiedykolwiek poznał kogoś, kto byłby tak nieświadomy jego uczuć. Wygląda, jakby przejechał po nim walec. Delikatnie wyswobadza rękę.

– Dobrze, zaraz do was dołączę. Idźcie przodem. Dogonię was.

– Dobra. Ścigamy się! – woła Vicki do Claire.

Ją napędza wypity szampan, a Claire chce uciec od rozedrganych emocji, więc obie puszcza ją się biegiem w dół.

Kiedy wpadają do kuchni, wszyscy już na nie czekają. Jenny i Mike stoją na lewo od stołu sędziowskiego, na którym ustawiono patery. Mike ma zrezygnowaną minę. Jenny wydaje się spokojna, tylko jej uśmiech jest nieco sztuczny.

Claire i Vicki przeciskają się na przód i stają po prawej od Dana i Harriet. Część ciastek ułożonych na paterach gdzieś zniknęła. Claire rozpoznaje swoje eklerki i zauważa, że nie ma jej minibabeczek. Zerka na sąsiednią patere, zdaje się, że z ciasteczkami Jenny, i stara się oszacować, gdzie więcej ubyło. Czy to coś oznacza?

Ogólny gwar słabnie, a potem zapada cisza, nie licząc kilku chichotów i okrzyków „cicho sza!”. Harriet unosi rękę i wszyscy milkną. „A więc to już”, myśli Claire. Główny cel tego konkursu. Ogłoszenie zwycięzcy. Za chwilę okaże się, kto jest nową panią Eaden.

– Dziękuję. – Harriet jest w szczególnie łaskawym nastroju. – Jak wiecie, to jest nasz pierwszy konkurs pieczenia, zorganizowany na cześć Kathleen Eaden, która niestety odeszła od nas w grudniu.

„O, nie – jęczy w duchu Claire. – Szykuje się długa przemowa”.

– Nie byliśmy pewni, czy znajdziemy kogoś, kto by jej dorównał. Ale udało się! Pani Eaden byłaby dumna ze wszystkich naszych czworga zawodników, lecz jedna osoba pokazała to, czego szukaliśmy: pasję, a nawet, można powiedzieć, wewnętrzny przymus pieczenia. Osoba ta wykazała się równym poziomem swojej sztuki, ale także przebłyskami geniuszu, a w trakcie trwania konkursu zmieniła się w kogoś, kto bez cienia wątpliwości wie, że w pieczeniu nie ma sobie równych.

„W takim razie to nie ja”, myśli Claire. Spodziewała się tego rozczarowania. Dodatkowo jej radość słabnie, kiedy słyszy, kto wygrał i jak głośno wiwatują zgromadzeni goście.

– Naszą nową panią Eaden – ciągnie Harriet – jest Jenny.

*Jest wiele powodów, dla których warto piec: żeby kogoś nakarmić, coś stworzyć, zrobić na kimś wrażenie, okazać troskę, poznać samego siebie, a czasami – trzeba to powiedzieć – żeby osiągnąć doskonałość. Często pieczemy też, żeby zaspokoić głód, który lepiej zostałby zaspokojony prostym gestem ukochanej osoby. Pieczemy, żeby kochać i być kochanym.*

„Cóż, wygrała najlepsza”, myśli Karen, oglądając w kuchni na swoim laptopie sprawozdanie na żywo przekazywane przez YouTube. Jenny płacze. Grube łzy wypływają spod powiek i znaczą ścieżkę na upudrowanych policzkach. Vicki też się maże, ale to było do przewidzenia. Claire ma pogodną minę, a jej uśmiech, kiedy ściska Jenny, wydaje się szczery. Mike obejmuje wszystkich zbiorowo, zamykając ich w niedźwiedzim uścisku, a na koniec jeszcze raz przytula Claire.

Karen odwraca się od monitora i sięga po dietetyczną colę: swój kocyk bezpieczeństwa, swoją truciznę. Cienki głosik w jej głowie mówi: „To mogłam być ja”. Cóż, być może, ale rozpamiętywanie tego teraz to strata czasu. Usiłuje myśleć pozytywnie, jak to wyczytała w jakimś poradniku na temat terapii kognitywno-behawioralnej: sama zdecydowała się na rezygnację, agent z pewnego wydawnictwa nadal jest zainteresowany publikacją jej książki z przepisami na wypieki niskotłuszczowe, no i nic nie odbierze jej stu osiemdziesięciu sześciu tysięcy wejść na jej trzy filmy na YouTube oraz świadomości, że była zdecydowaną faworytką konkursu.

Oliver wchodzi do kuchni, zerka na laptopa i staje obok niej. Z opuszczonymi ramionami wygląda bezradnie. Zdejmuje okulary w tytanowej oprawie, przeciera je połą koszuli i z westchnieniem znów wkłada na nos. Przez ostatnie dwa tygodnie częściej bywa w domu. Ale dzisiejszy dzień jest zdecydowanie nietypowy. Oliver cały czas jest tutaj: nie w Londynie, nie w siłowni, nie w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami, ale tutaj, w jej łóżku, a nawet w jej kuchni. I chociaż nie jest do tego przyzwyczajona, nawet nie wie, czy jej to odpowiada, docenia jego starania. Na własny sposób próbuje nadrobić stracony czas. Oczywiście musiała zmienić swój rytm jedzenia i wywoływania wymiotów, co kosztuje wiele wysiłku, ale potrzeba oczyszczenia organizmu szybko okazała się silniejsza niż strach przed zdemaskowaniem. Po prostu musi staranniej wybierać odpowiednią porę. Nadal jednak boi się, że on wie. Kiedy ją w ogóle zauważa, widzi wszystko, szacuje ją tymi swoimi chłodnymi oczami. Jak teraz.

– Żałujesz, że cię tam nie ma? – Wskazuje na jej macbooka.

– Nie, raczej nie... – odpowiada niezbyt przekonująco.

– Oczywiście, że żałujesz. – Przyjmuje to za pewnik. Potem szybko dodaje, jakby zdał sobie sprawę, że jego słowa mogły zabrzmieć lekceważąco: – Doceniam to, że zrezygnowałaś, wiesz o tym. Jake tak samo. Zdaje sobie sprawę, co dla niego zrobiłaś.

– To nic wielkiego. Tylko konkurs pieczenia. Nawet nie pokazali go w telewizji. – „Za bardzo się zapieram”, myśli i sięga po butelkę zimnej gazowanej wody.

– Nieprawda. To było ważne.

Siedzi odwrócona do niego plecami, niepewna, jak zareagować. Na drzwiach lodówki widnieje jakaś smuga, więc szybko wyciera ją chusteczką antybakteryjną, nadal unikając jego wzroku. Do kuchni wchodzi Jake i ogarnia wzrokiem minitor oraz matkę popijającą wodę z bąbelkami.

– Co tam, mamó? – Obejmuje ją długim ramieniem, trochę skrępowany, i ściska energicznie.

– A to za co? – pyta zaskoczona.

– Słyszałem, co powiedział tata... Wiem i jestem ci wdzięczny, że zrobiłaś dla mnie aż tyle. – Opuszcza ramię i czerwienieje.



– To ty go do tego namówiłeś? – zwraca się do Olivera.

– Najwyraźniej jednak wychowałeś syna niepozbowionego uczuć – odpowiada lekko zniecierpliwiony. – Może po prostu chce ci podziękować...

– Teraz musimy uporządkować twoje sprawy, mamó – mówi Jake cicho. Jeszcze bardziej poczerwieniał i patrzy na swoje obgryzione paznokcie.

Żołądek Karen kurczy się gwałtownie. Czyżby syn zamierzał ją wydać i opowiedzieć o historii z Jamiem? Po tym wszystkim, co dla niego zrobiła? Nie śmie spojrzeć na stojącego obok niego Olivera.

Jake jeszcze uważniej przygląda się paznokciom, ale w końcu przenosi wzrok na ojca.

– Tato, my też powinniśmy się nią zająć. Musi przestać się głodzić i wymiotować.

Pokój zaczyna wirować wokół niej, przed oczami migoczą jej gwiazdki. Ma ochotę spytać, od jak dawna o tym wie, ale byłoby to jak wyznanie winy. Milczy więc, siedząc jak wmurowana, niczym przerażone dziecko w nadziei, że jakimś cudem Oliver nic nie słyszał albo przynajmniej nie rozumiał. Ale nic nie ujdzie uwagi jej bystrego męża – czy raczej męża obdarzonego dobrą pamięcią do tego rodzaju spraw.

– Nadal to robisz?

Twarz mu blednie i widać, że szybko skojarzył, co się kryło za wszystkimi niezjedzonymi kolacjami i nagłymi wyjściami do łazienki. A może tylko wróciło wspomnienie tamtej nocy w Rzymie: ona w zalanej światłem księżycy łazience, on patrzący na nią z niedowierzaniem. I ten wypadek osiem miesięcy później, kiedy ją przyłapał w Val d’Isère.

– Sądziłem, że wyszłaś z tego wiele lat temu – mówi.

Podchodzi do niej, nienawykły do fizycznej bliskości, trzymający się z dala mężczyzna, i wyciąga rękę, żeby jej dotknąć. Po chwili jego ramię opada bezwładnie. „Na litość boską, przytul mnie!” – ma ochotę wykrzyknąć mu to w twarz, ale spuszcza głowę, nie mogąc powstrzymać łez.

– Tato, po prostu ją uściskaj. – Jake rozumie ją lepiej.

Ostrożnie, jakby nie wykonywał takich gestów od dawna i zapomniał, jak się to robi, Oliver bierze ją w ramiona.

# Epilog

14 czerwca 2011

## Kathleen

Pracuje rytmicznie i sprawnie. Choć palce prawej dłoni trochę zniekształcił artretyzm, to nadal potrafi dobrze zagnieść ciasto. Wałkuje się łatwo rozłożone na blacie, jak kawałek miękkiego masła. Oblicza, ile ciastek wykroi z pierwszego placka, a potem wciska weń foremki. Dziesięć dorosłych postaci, a dla zabawy dziesięcioro małych chłopców i dziewczynek. Płaskim nożem przenosi ludziki na papier do pieczenia, dorabia im oczy i guziki z rodzynek. Potem wstawia je do gorącego piekarnika, a sama wyciera blat i zmywa naczynia, przygotowując się na przybycie gości.

Świeża bryza znad Atlantyku porusza rozwieszzone w ogrodzie pranie i owiewa jej policzki, wpadając przez okno. Uśmiecha się. Jej poorana zmarszczkami twarz staje się rozpoznawalna: już nie jest nieskazitelna, ale nadal charyzmatyczna, o wysokich kościach policzkowych. „Królowa wypieków o godnej pozazdrosczenia figurze”. Opis, który kiedyś wywoływał uśmiech, teraz wydaje się absurdalny. Jak długo istniała? Ta wystylizowana słodka idiotka szybko zniknęła – w szpilkach nie da się pchać wózka inwalidzkiego podczas mokrych kornwalijskich zim. Pani Eaden również nie istnieje. Tutaj przyjaciele znają ją jako Kitty, Kitty Pollington, od 1993 roku, kiedy zmarł George. Kathleen Eaden, wytwór kulinarny i wdowa po milionerze, dawno zniknęła. I bardzo dobrze. Nigdy za nią nie tęskniła.

Otwiera szeroko okno, wdycha powietrze osłodzone zapachem tymianku i wiciokrzewu, chłonie śpiew skowronków wiszących wysoko na niebie. Z okna widzi morze: granatowy pas nad stonowanym złotem plaży, jasny róż nadmorskich kwiatów, zieleń klifów. Skończyła siedemdziesiąt cztery lata i cieszy ją myśl, że to wszystko tu zostanie długo po jej odejściu.

Trwa odpływ. Na piasku odciska się ślad fal gdzieniegdzie urozmaicony kałużami słonej wody, muszlami i kłębami morskoczynu. Na plaży ktoś puszcza latawiec i przez chwilę wydaje jej się, że widzi wózek inwalidzki i małą dziewczynkę o rozwianych ciemnych włosach, piszczącą z zachwytu. „Głupia stara baba”. Ma dziś sentymentalny nastrój. Ale to nic dziwnego. Dzisiaj Lily obchodziłaby swoje czterdzieste szóste urodziny i chociaż nie chce tego rozpamiętywać, to nie może się oprzeć wspomnieniom.

Ludziki z piernika upiekła dla uczczenia jej pamięci, tak samo jak wielki biszkopt królowej Wiktorii przełożony bitą śmietaną i pierwszymi w tym sezonie truskawkami. To był jej ulubiony tort urodzinowy. Przypomina jej się scena z dziewiątych urodzin Lily – jej ostatnich. Córeczka ubrudzona na nosie bitą śmietaną, którą ukradkiem zlizywała z krągłej truskawki. Oczy jej się śmiały, tak była zadowolona ze swojej psoty. Chciała ją upomnieć, ale córka zagłuszyła ją wybuchem radosnego śmiechu.

Musi natychmiast przestać. Goście zaraz tu będą i nie mogą zobaczyć jej smutnej. Laura nigdy nie poznała Lily, a Kitty dołożyła wszelkich starań, żeby nie zdradzać swojego bólu. Nie chciała, żeby zmarła siostra prześladowała tę żyjącą, która dwa lata po jej śmierci bez trudu przysłała na świat.

Laura była niespodzianką: wspaniałym, nieoczekiwanym prezentem od losu, poczętym w czterdzieste urodziny Kitty, kiedy nawet nie myślała o kolejnym dziecku i ledwie dawała sobie radę z bólem po śmierci pierwszej córki. Założono jej kolejny szew i może tym razem Caruthers zszył ją mocniej, a może po prostu nie miała żadnych oczekiwań. Laura urodziła się w trzydziestym dziewiątym tygodniu. Tylko pięć tygodni później niż siostra, ale to właśnie one miały wielkie znaczenie.

Wystarczy.

Wygląda przez okno i widzi trzy postacie wędrujące grzbietem klifu: dwie małe idące w podskokach przed trzecią, wyższą, objuczoną torbami i poruszającą się znacznie wolniej. Laura jest wysoka, a Lily była niska, ta jasnowłosa, tamta ciemna, ta postawna, tamta drobnej budowy. Jeśli chodzi o wygląd,

Laura jest dzieckiem George'a. Tymczasem Lily była wyłącznie jej.

Brzęczy minutnik. Trzeba wyjąć piernikowe dzieci z piekarnika. Max i Kit nie lubią przypalonych.

Jak na zawołanie słyszy trzask furtki do ogrodu i dwie pary małych stóp biegną po ścieżce, stukając sandałami o kamienne płytki.

– Uważajcie, chłopcy – upomina ich matka bez większej nadziei, że jej posłuchają.

– Wymęczyli cię! – woła Kitty od drzwi, starając się, żeby jej głos brzmiał normalnie.

Wnuki kłębą się u jej nóg.

– Jak zwykle! – Laura przewraca oczami. Odstawia torby, przytula matkę i całuje w policzek. –

Cześć, mamó. Dobrze się czujesz? Jejku, ale jestem skonana.

Chłopcy biegną teraz wokół obu kobiet, paplając bezustannie niczym małe szczeniaczki domagające się uwagi. Jazgot cichnie, kiedy malcy dostrzegają blaszkę do pieczenia.

– Co upiekłaś? – pyta pięcioletni Max.

Obaj na wyścigi biegną do stołu.

– O! Piernikowe ludziki!

– Kiedyś piekłam je dla waszej mamy, jak była mała. Pamiętasz to?

Córka obdarza matkę uściskiem.

– Jak bym mogła zapomnieć! Zobaczcie, babcia upiekła całą rodzinę. Piernikowi dorośli i mnóstwo dzieci. Dziewczynki i chłopcy.

Trzyletni Kit dotyka jednego z nich.

– Ostrożnie, kochanie. Oparzysz się.

Kitty odsuwa jego drobne paluszki od gorącej blachy i dmucha na nie, potem udaje, że chce je ugryźć, a w końcu delikatnie całuje.

– Kit zobaczy?

– Dobrze, skarbie.

Podnosi jego nadal drobne ciało i pokazuje mu pierniki, jednocześnie przekładając je na ażurową podstawkę.

– Którego byś chciał?

W milczeniu, z szeroko otwartymi oczami namyśla się nad odpowiedzią.

– Największego? – podpowiada mu szeptem.

Poważnie kiwa głową.

– Bardzo proszę.

Podaje mu piernikowego tatę posypanego cukrem: jest miękki i słodki, prawie gorący. Chłopiec chwytą go pulchną rączką i uważnie patrzy mu w oczy z rodzynek.

– O co chodzi?

– Wygląda, jakby się uśmiechał – wyjaśnia wnuczek.

A potem, nagle onieśmielony, przywiera do niej i wtula ciepłą buzię w jej szyję.

# Podziękowania

Powieść ta nie istniałaby w obecnym kształcie, gdyby nie pomoc mojej agentki Lizzy Kremer, która prowadziła mnie z inteligencją, zrozumieniem i odpowiednią dozą stanowczości.

Specjalne podziękowania należą się również Kate Parkin za subtelną redakcję i pełne pasji wstawiennictwo, zespołowi wydawnictwa Hodder and Stoughton za wspiane wydanie książki oraz Clare Bowron i Harriet Moore z David Higham Associates.

Moja siostra Laura Tennant była jedyną osobą, która przeczytała tę powieść przed oddaniem do wydawcy, i dostarczyła jak zwykle spostrzegawczych komentarzy, budując moją wiarę w siebie. Moja matka Bobby Hall nieustannie obdarzała mnie miłością i wsparciem, tak jak jej mąż David Evans, mój ojciec Chris Hall oraz jego żona Lynn Sime.

Mary Goodman wysłuchiwała moich zdecydowanie zbyt długich rozważań na temat pisania, namówiła mnie na oddanie książki po trzydziestu tysiącach słów, a kiedy przeżywałam chwilę zwątpienia, natychmiast zjawiała się na moim progu. Dziękuję również Nikki Wilkinson za naturalne zdjęcie, Hazel Rayment za pomoc w sprawach informatycznych, Colleen Marshman za bieżące rady, Brendzie Bishop za książki kucharskie, Sarah Sharrock za zachęcanie do pisania i wszystkim przyjaciołom, którzy nie zwątpili, że mi się uda.

Kilku fachowców poświęciło mi swój czas: James Walker, profesor położnictwa z Uniwersytetu w Leeds, Janet Treasure, profesor psychiatrii z Uniwersytetu Medycznego Guys, Kings i St. Thomas, Ruth Bender-Atik, Mckenzie Cerri, Nina Aufderheide oraz inspektor Mark Rogers z policji hrabstwa Cambridge. Dziękuję również Danowi Leopardowi, którego przepisy z książki kucharskiej *Short and Sweet* były dla mnie inspiracją do opisów ciastek.

Ale najgłębiej z serca płynące podziękowania kieruję do Elli i Jacka, moich dzieci, oraz do Phila, mojego męża.

Tę książkę z miłością dedykuję wam trojgu.

## Przypisy

[1] W.B. Yeats, *Drugie przyjście*, tłum. S. Barańczak, w: tenże, *Poezje wybrane*, PIW, Warszawa 1987, s. 99 [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] J. Donne, *Wschód słońca*, tłum. S. Barańczak, w: tenże, *Wybór wierszy i przekładów*, PIW, Warszawa 1997, s. 421.

[3] Chodzi o Myrę Hindley i Iana Brady'ego, którzy w latach 1963–1965 zamordowali pięcioro dzieci.

# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Prolog](#)

[Ciasta](#)

[Ciasteczka](#)

[Chleb](#)

[Tarty i mięsa zapiekane w cieście](#)

[Puddingi i desery](#)

[Uroczysty podwieczorek](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)